



Słodko-gorzka opowieść o miłości, w której gwałtowne
wydarzenia w Iranie lat pięćdziesiątych
mieszają się z cudownie pachnącymi potrawami
prosto z teherańskich kuchni.

ZAPACH SZAFRANU

MARJAN
KAMALI

Prószyński i S-ka

**MARJAN
KAMALI**

**ZAPACH
SZAFRANU**

Przełożyła
Xenia Wiśniewska

Prószyński i S-ka

Dla Kamrana

Jesteś moją miłością



Natychmiast połączyła ich bliskość,

z której nigdy się nie wyleczyli.

F. Scott Fitzgerald, *Po tej stronie raju*

Na świecie nie ma nic nowego poza historią,

której nie znasz.

Harry Truman

CZĘŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

2013

DOM SENIORA

Wyznaczyłam datę spotkania z nim.

Powiedziała to tak, jakby umówiła się z dentystą lub terapeutą albo namolnym sprzedawcą lodówek, który obiecał jej i Walterowi dożywotnią gwarancję na zimne mleko, chrupiące warzywa i ser bez pleśni, jeśli tylko kupią ten najnowszy model.

Walter wycierał naczynia ze wzrokiem wbitym w ścierkę kuchenną z obrazkiem żółtego kurczaka trzymającego parasolkę. Nie zaprotestował. Zamiłowanie Waltera Archera do logiki, jego zaufanie do rozumu stanowiły świadectwo zdrowego rozsądku Royi. Czyż nie wyszła za mężczyznę, który był racjonalny i – mój Boże – niewiarygodnie wyrozumiały? Przecież w końcu nie wyszła za tamtego chłopca, którego poznała wieki temu w małym sklepie papierniczym w Teheranie, lecz związała swoje życie z tym urodzonym w Massachusetts filarem stabilizacji. Z Walterem. Który prawie każdego dnia jadał na śniadanie jajko na twardo i który powiedział, wycierając naczynia:

– Jeśli chcesz się z nim spotkać, powinnaś to zrobić. Ostatnio nie byłaś w najlepszym stanie.

Roya Archer była już prawie Amerykanką, nie tylko ze względu na małżeństwo, ale też z racji tego, że przebywała w Stanach Zjednoczonych od ponad pięćdziesięciu lat. Pamiętała dzieciństwo spędzone na gorących zapyłonych ulicach Teheranu, na których bawiła się w berka ze swoją młodszą siostrą Zari, jednak teraz jej życie było skrupulatnie zamknięte w Nowej Anglii.

Z Walterem.

Jedna wizyta w sklepie zaledwie tydzień temu – żeby kupić spinacze do papieru! – i wszystko wróciło. Znowu zanurzyła się w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim roku. Kino Metropol w środku największego irańskiego miasta tamtego niespokojnego lata. Czerwona okrągła kanapa w holu, nad którą kryształowy żyrandol lśnił niczym brzuchate łzy, dym z papierosów unosił się smugami. On poprowadził ją po schodach do sali kinowej, a tam, na ekranie, pieściły się gwiazdy o obco brzmiących nazwiskach. Po filmie spacerował z nią w letnim zmierzchu. Niebo było lawendowe i pokryte tak różnorodnymi odcieniami purpury, że nie wydawały się prawdziwe. On poprosił ją o rękę obok krzewu obsypanego jaśminem. Wymienili niezliczone listy miłosne, planowali wspólną przyszłość. Jednak koniec końców nic z tego nie wyszło. Życie wyrwało jej wszystko, co zaplanowali.

Nic się nie stało.

Matka Royi zawsze mówiła, że przeznaczenie jest wypisane na naszych czołach, kiedy się rodzimy. Nie można go zobaczyć, nie można go odczytać, ale na pewno tam jest, wypisane niewidzialnym atramentem, i życie za nim podąża. Bez względu na wszystko.

Roya wyrzuciła tamtego chłopca z głowy na całe dziesięciolecie. Budowała nowe życie, poznawała kraj. Wychowywała dziecko. Równie dobrze tamten teherański chłopiec mógł zostać wciśnięty na samo dno wiadra jak bezużyteczna i zniszczona ścierka, wepchnięta tak głęboko, że po pewnym czasie została prawie całkiem zapomniana.

Jednak teraz mogła go wreszcie zapytać, dlaczego zostawił ją tam, na środku placu.

*

Walter ostrożnie wjechał na śliskie miejsce parkingowe, ograniczone śnieżnymi zaspami. Kiedy się zatrzymali, Roya nie mogła otworzyć drzwi auta. W jakiś sposób podczas wspólnej długiej podróży zostali zamknięci w środku.

Obszedł samochód i otworzył jej drzwi, ponieważ był Walterem i ponieważ został wychowany przez matkę (Alice: uprzejma, miła, pachniała sałatką ziemniaczaną), która nauczyła go, jak należy traktować damę. Ponieważ miał siedemdziesiąt siedem lat i nie potrafił zrozumieć, dlaczego w obecnych czasach młodzi mężczyźni nie obchodzą się ze swoimi żonami jak z kruchym szkłem. Pomógł Royi wysiąść z samochodu i upewnił się, że robiony na drutach szalik osłania jej nos i usta przed wiatrem. Razem ostrożnie przecięli parking i weszli po schodach do szarego budynku Domu Seniora w Duxton.

W holu przywitał ich podmuch przegrzanego powietrza. Za biurkiem siedziała młoda kobieta około trzydziestki, z blond włosami upiętymi w kok. Na piersi miała przypięty identyfikator z imieniem CLAIRE. Ulotki przyklejone do tablicy ogłoszeniowej za jej plecami zachwalały „Wieczór filmowy!” i „Bawarski lunch!” – wszystkie opatrzone wykrzyknikami, chociaż kartki miały ośle rogi, zgarbieni ludzie na wózkach inwalidzkich posuwali się wolno po linoleum, a inni popychali chodziki, podpierając się na nich, by nie upaść.

– Witajcie! Dołączycie do nas na piątkowy lunch? – Claire miała donośny głos.

Walter otworzył usta, żeby coś powiedzieć.

– Dzień dobry, on nie dołączy – odpowiedziała szybko Roya. – Mój mąż zamierza spróbować słynnej fałszywej rolady z homarem w Dandelion Deli. Sprawdziłam ją na Yelp. Rzadko można znaleźć roladę z homarem serwowaną w środku zimy, nie sądzi pani? Nawet jeśli jest fałszywa. – Paplała bez sensu. Tak bardzo starała się nie denerwować. – Dostała pięć gwiazdek.

– Restauracja? – Recepcjonistka wyglądała na zaskoczoną.

– Ich rolada z homarem – wymamrotała Roya.

Walter westchnął. Uniósł pięć palców, by pokazać Claire, że jego żona wierzy w pięć gwiazdek.

– Och, rozumiem! Homar. – Claire pokiwała głową. Wymawiała to słowo „homah”. – Recenzjom z Yelp trzeba wierzyć!

– No to idź – powiedziała łagodnie do męża Roya. Stanęła na palcach, żeby pocałować Waltera w świeżo ogolony policzek. Cienka jak krepa skóra, zapach mydła Irlandzka Wiosna. Chciała dodać mu odwagi.

– Dobrze, dobrze. – Walter pokiwał głową. – Masz rację. W takim razie znikam. – Ale ani drgnął. Ścisnęła go za rękę, delikatny uścisk, jaki znała całe życie.

– Proszę nie pozwolić, żeby wpakowała się w kłopoty – powiedział w końcu do recepcjonistki Walter. Głos miał pełen napięcia.

Podmuch lodowatego powietrza wypełnił hol, kiedy Walter wymaszerował przez podwójne drzwi i zszedł na oblodzony parking.

Roya, czując się niezręcznie, stała przed biurkiem. Nagle przytłoczyła ją woń amoniaku i gotowanego mięsa. Wołowina? Zdecydowanie wołowina z cebulą. Przez ogrzewanie, podkrecone w ramach rekompensaty za zimno Nowej Anglii, zapach gulaszu był trudny do zniesienia. Nie mogła uwierzyć, że naprawdę tu przyszła. Kaloryfery syczały, wózki inwalidzkie piszczały i nagle to wszystko wydało się jej okropnym błędem.

– A jak mogę pomóc *pani*? – zapytała Claire. Na szyi nosiła złoty krzyżyk. Patrzyła na Royę z dziwnym wyrazem twarzy, jakby sądziła, że ją zna.

– Jestem umówiona na spotkanie – wyjaśniła Roya. – Z jednym z waszych pacjentów.

– Ach, ma pani na myśli pensjonariusza. A z kim?

– Z panem Bahmanem Aslanem. – Słowa powoli wypłynęły z ust Royi niczym kółka dymu, widzialne i prawdziwe. Minęły lata, odkąd wypowiedziała na głos jego pełne imię i nazwisko.

Krzyżyk na szyi Claire lśnił w świetle jarzeniówek. Walter już pewnie wyjechał z parkingu.

Claire wstała i obesła biurko, żeby stanąć z Royą twarzą w twarz. Delikatnie ujęła obie jej dłonie.

– Tak miło wreszcie panią poznać, pani Archer. Nazywam się Claire Becker, jestem zastępcą kierownika w naszym domu. Dziękuję, że pani przyszła. Tak wiele o pani słyszałam. Pani obecność tutaj dużo dla mnie znaczy.

A zatem nie była recepcjonistką, tylko kierowniczką. Skąd Claire Becker znała nazwisko Royi? Pewnie widniało w kalendarzu wizyt. Przecież umówiła się na spotkanie. Ale dlaczego ta młoda kobieta

zachowywała się tak, jakby ją znała? I gdzie tyle o niej słyszała?

– Proszę za mną – rzekła łagodnie Claire. – Zaprowadzę panią do niego. – Tym razem nie dodała obowiązkowego wykrzyknika, który wydawał się niezbędny, by przysłonić panujące wokół przygnębienie.

Roya podążyła za Claire korytarzem do dużej sali, w której stał długi stół otoczony plastikowymi składanymi krzesłami. Jednak nikt nie siedział przy nim, grając w bingo czy plotkując.

Claire wskazała w odległy kąt pomieszczenia.

– Czekal na panią.

Przy oknie siedział mężczyzna na wózku inwalidzkim ustawionym obok pustego plastikowego krzesła. Był zwrócony do nich plecami i Roya nie widziała jego twarzy. Claire ruszyła w jego stronę, lecz nagle się zatrzymała. Przekrzywiła głowę i zmierzyła Royę od stóp do głów, jakby szacowała jej możliwości w kwestii bezpieczeństwa, wyrządzania szkód czy hysterii. Zaczęła bawić się naszyjnikiem.

– Czy coś pani przynieść? Wodę? Herbatę? Kawę?

– Och nie, nie trzeba, dziękuję bardzo.

– Jest pani pewna?

– Miło, że pani pyta. Ale nie.

Teraz to Claire się ociągała. Na Boga, nikt nie chciał zostawić Royi samej z tym... pensjonariuszem. Na litość boską! Jakby ona, drobna kobieta po siedemdziesiątce, miała nad nim jakąkolwiek władzę – albo w ogóle jeszcze nad kimkolwiek. Jak gdyby ona, Roya Archer, mogła samą swoją obecnością wzniecić pożar albo spowodować wybuch.

– Wszystko w porządku – dodała. Nauczyła się takich zwrotów od Amerykanów: „wszystko w porządku”, „mam się świetnie”, „wszystko gra”, „oki-doki”. Proste amerykańskie. Umiała to robić. Serce jej waliło, ale ze spokojem patrzyła na Claire.

Ta spuściła głowę, aż w końcu odwróciła się i odeszła. Stukot jej obcasów, gdy wychodziła z sali, współgrał z niebywale głośnym biciem serca Royi.

Wciąż jeszcze mogła ruszyć za Claire i opuścić to cuchnące miejsce, dołączyć do Waltera, zanim skończy lunch, wrócić do domu, położyć się do łóżka i udawać, że nigdy nie dokonała tej dziwnej błędnej oceny. Nie było za późno. Wyobraziła sobie Waltera, zgarbionego nad swoim piwem imbirowym i roladą z homarem, zupełnie samego w tych delikatesach – biedactwo. Ale nie. Przyszła tutaj, żeby w końcu się dowiedzieć.

Jedna stopa przed drugą, tak to się robi. Zmusiła się, by ruszyć w stronę stojącego przy oknie wózka. Jej obcasy nie stukały, miała na sobie niezawodne szare buty na grubej podeszwie. Walter upierał się, żeby włożyła śniegowce, ale odmówiła. Była w stanie zaakceptować wiele rzeczy, ale pójście na pierwsze od sześćdziesięciu lat spotkanie z dawnym kochankiem w puchatych eskimoskich butach było jedną z niewielu, na które zgodzić się nie mogła.

Mężczyzna był nieświadomy jej obecności, jak gdyby nie istniała.

– Czekałem. – Rozległ się nagle głos mówiący po persku i ciało Royi przeszył dreszcz. Kiedy byli nierozłączni, ten głos dodawał jej siły i przynosił pocieszenie.

Był rok tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty trzeci. Lato. Ona miała siedemnaście lat. Nowa Anglia się rozplynęła, zimno i sztuczny upał w budynku zniknęły. Nogi Royi były opalone i umięśnione. Stali, ona i on, przy barykadzie, oparci o nieheblowane drewno, krzyczeli ile siły w płucach. Tłum falował, słońce paliło ją w głowę, dwa długie warkocze sięgały jej do piersi, okrągły kołnierzyk przesiąkł potem. Wokół nich ludzie wymachiwali pięściami i krzyczeli jednym głosem. Oczekiwanie, świadomość, że zbliża się coś nowego i lepszego, pewność, że ona będzie jego w wolnym, demokratycznym Iranie – to wszystko należało do nich. Mieli po swojej stronie przyszłość i los, zaręczeni w kraju stojącym na progu wielkich zmian. Kochała go z siłą eksplozji. Niemożliwe było wyobrazić sobie przyszłość, w której nie będzie codziennie słyszała jego głosu.

Roya zobaczyła na linoleum swoje stopy, których nagle nie mogła rozpoznać – w małych szarych butach starszej pani, z grubymi podeszwami i małymi kokardkami na czubkach.

Mężczyzna obrócił wózek i na jego twarzy pojawił się uśmiech. Wyglądał na zmęczonego, miał wysuszone wargi, a jego czoło znaczyły głębokie bruzdy. Ale oczy miał pełne radości i nadziei.

– Czekalem – powtórzył.

Czy to możliwe, by tak łatwo cofnąć się w czasie? Głos miał ten sam. To był on, cały, te oczy, głos, jej Bahman.

Nagle przypomniała sobie, po co tu przyszła.

– Właśnie widzę. – Jej głos okazał się o wiele donośniejszy, niż się spodziewała. – Ale jedyne, o co chciałam cię zapytać, to dlaczego, na litość, nie poczekałeś wtedy?

Opadła na krzesło obok niego, tak zmęczona jak nigdy podczas wszystkich lat, które spędziła na ziemi. Miała siedemdziesiąt siedem lat i była wyczerpana. Jednak gdy przypomniała sobie tamto okrutne, odzierające ze złudzeń lato, po którym nigdy całkiem nie doszła do siebie, poczuła się tak, jakby nadal była siedemnastolatką.

ROZDZIAŁ DRUGI

1953

CHŁOPIEC, KTÓRY ZMIENI ŚWIAT

Chciałbym – powiedział Baba przy śniadaniu, kiedy jedli świeży naan z serem feta i domowym kwaśnym dżemem z wiśni – abyście wy, dziewczęta, zostały następnymi Madame Curies tego świata. Tego bym chciał. Albo nawet pisarkami – uśmiechnął się do Royi – jak ta Amerykanka: Helen? Keller?

– Ja nie jestem głucha, Baba – zauważyła Roya.

– Ona nie jest ślepa, Baba – dodała Zari.

– A co to ma do rzeczy? – Maman wskazała gestem obu córkom, by jadły szybciej.

– Żeby być Helen Keller, musisz być głucha i ślepa. – Zari się rozpromieniła, dumna ze swojej znajomości amerykańskich bohaterów.

– Nie to miałem na myśli. – Baba odstawił szklankę z herbatą. – Miałem na myśli geniusz. Napisanie jedenastu książek. O to mi chodziło!

Los dał Maman i Babie tylko dwoje dzieci, w dodatku dziewczynki. Baba był nadzwyczajnie, wyjątkowo oświecony jak na tamte czasy: pragnął, aby jego córki odebrały wykształcenie i odniosły sukces. Edukacja była jego religią, a demokracja marzeniem.

Jako uczennice liceum Roya i Zari były w trakcie zdobywania najlepszego wykształcenia, jakie mogła odebrać dziewczyna w Iranie w pięćdziesiątym trzecim roku. Kraj raptownie się zmieniał, rozwijał. Mieli demokratycznie wybranego premiera: Mohammada Mosadeka. Mieli również króla, szacha, który popierał prawa kobiet, kontynuując politykę zapoczątkowaną przez swojego ojca Rezę Szaha.

– Jeśli chodzi o rozdawanie naszej ropy, szach bez wątplenia jest na usługach przeklętych Brytyjczyków! – zawsze mawiał Baba. – Ale tak, pomógł kobietom. To muszę mu przyznać.

Oświeconym wizjom Baby i Maman towarzyszyły szyderstwa i krytyka ze strony bardziej tradycyjnych członków rodziny. „Jak mogli – krzychały szeptem na Maman ciotki w kuchni – pozwolić swoim nastoletnim córkom chodzić wszędzie bez przyzwoitki?” Maman stała się ekspertką w zbywaniu ich uwag śmiechem. Sama zrzuciła hidżab, kiedy tylko Reza Szah wprowadził w tysiąc dziewięćset trzydziestym roku nakaz, by kobiety odsłoniły twarze. Z radością przyjmowała reformy wspierające emancypację kobiet, podczas gdy jej bardziej religijni krewni krzywili się na *farangi*1 styl życia, zapatrzony w zagranicę.

Maman i Baba posłali obie córki do najlepszego liceum dla dziewcząt w Teheranie. Każdego ranka, gdy Maman parzyła herbatę, Roya i Zari szykowały się do szkoły. Roya po prostu myła twarz i splatała gęste ciemne włosy w dwa długie warkocze, ale Zari nakładała odrobinę szminki na usta i z dumą układała fale, które uzyskiwała, nawijając co wieczór pasma włosów na kawałki gazety.

Gdy jej młodsza siostra się pindrzyła, Roya patrzyła na swoje odbicie w lustrze. Przez ostatni rok bardzo się zmieniła. Jej twarz straciła nieco dziecięcego tłuszczyku, dzięki czemu uwydatniły się kości policzkowe. Jej skóra, na której niekiedy wyskakiwały pryszczki, wygładziła się. Długie czarne włosy układały się w naturalne fale i mogła pozwolić, by spływały jej kaskadą na ramiona jak często doradzała Zari. Jednak Roya wciąż zaplatała włosy w warkocze. Dzięki temu czuła się bardziej sobą, zwłaszcza że reszta jej tak wyraźnie zmieniła się fizycznie. Nadal była drobna, ale teraz miała o wiele bardziej krągłe kształty i duży biust – była *rozwinęta*, jak mawiała Zari.

Zari kuksańcem odsunęła Royę na bok i zajęła całą przestrzeń przed lustrem. Przyglądała sobie włosy i wydeła wargi.

– W tej fryzurze wyglądam jak Sophia Loren. Co nie?

Co innego mogła zrobić Roya niż przytaknąć? Zapięła guziki bawełnianej bluzki z długim rękawem, włożyła mundurek z tkaniny *ormak* i podciągnęła zniechęcone podkolanówki. Roya musiała przyznać, że nawet ona chciałaby nosić skarpetki do kostek, „amerykańskie”, jak nazywały je dziewczyny, ale dyrektorka karała dziewczęta noszące krótkie skarpetki. Roya nie zdobyła się na odwagę, by wejść do szkoły z wysoko uniesioną głową i króciutkimi skarpetkami na stopach.

– On jest naszą nadzieją! – Baba przy śniadaniu napychał sobie usta chlebem i serem feta. – Premier Mosadek znacjonalizował naszą ropę, żebyśmy mogli się pozbyć duszącego uścisku AIOC. – AIOC, Anglo-Irańska Kompania Naftowa, była nemezis Baby. – Po raz pierwszy od dziesięcioleci Irańczycy mogą mieć kontrolę nad własnymi bogactwami naturalnymi zamiast być wykorzystywanymi przez kraje imperialistyczne. Premier jest jedynym człowiekiem, który może sprzeciwić się obcym siłom. Pod przywództwem Mosadeka lada chwila zapanuje u nas pełna demokracja. A wy, dziewczęta, jeśli będziecie uczyły się historii, chemii i matematyki, będziecie mogły dołączyć do najlepszej klasy profesjonalistów, jaką ten naród kiedykolwiek widział. Możecie w to uwierzyć? Widzicie, co macie w zasięgu ręki? Jakie teraz młode damy mają możliwości? Co ja mogę zrobić jako urzędnik państwowy? Przekładać papierki? Siedzieć i pić herbatę? – Wziął kolejny, solidny łyk ze szklanki. – Ale wy, moje córki! Wy zajdziecie dalej, niż wasza matka i ja kiedykolwiek marzyliśmy! Czy nie tak, Manidże?

– Jeden poranek! – rzuciła Maman. – Czy możemy spędzić jeden poranek bez wykładu? Po prostu zjeść śniadanie?

Baba wyglądał na odrobinę urażonego, ale nie poddał się całkowicie.

– Moja Maria Curie! – Skinął głową Zari. – Moja Helen Keller! – Puścił oko do Royi.

Dziewczęta, które różniło osiemnaście miesięcy, doskonale znały rozbuchane nadzieje ojca. Siedemnastoletnia Roya próbowała spełniać życzenia Baby, ale tak naprawdę jedyne, czego pragnęła, to czytać tłumaczone powieści pisarzy o nazwiskach Hemingway i Dostojewski. Albo poezje rodzimych, perskich klasyków takich jak Rumi, Hafez albo Saadi. Roya uwielbiała też gotować, stojąc obok Maman, przygotowywać najlepsze *choresz*².

Jej młodszej siostrze było daleko do stania się następną Madame Curie. Zari miała obsesję na punkcie chłopca o imieniu Jusuf. Chciała bogato wyjść za mąż, tańczyć tango i nauczyć się walca. Chciała płacić pięć *toman* za bilet na jedno z popularnych przyjęć dla dzieciaków, rzucić się w wir samby i zrobić na wszystkich wrażenie swoimi ruchami. W większość wieczorów, kiedy kładły się spać, Zari szczegółowo opowiadała Royi o swoich marzeniach.

– No, lećcie! – Maman pocałowała dziewczęta w policzki i zabrała ich szklanki po herbacie.

Zari zasalutowała Babie w prześmiewczym geście posłuszeństwa jego ideałom. Zamiast się roześmiać, Baba odpowiedział salutem, wolno i poważnie.

Zari zerknęła na Royę z szybkim grymasem, zauważalnym jedynie dla sióstr.

Przy drzwiach Roya i Zari włożyły buty. Chociaż Roya była w ostatniej, a Zari w przedostatniej klasie liceum, nadal musiały nosić czarne pantofelki z paskiem, które stanowiły część szkolnego mundurka. Roya pociągnęła pasek i mocno zapięła.

Dziewczęta przeszły z *andarun*, wewnętrznej części domu do zewnętrznej, przemierzyły korytarz i zeszły po schodach do ogrodu. Kiedy mijaly turkusowy staw dla karpia koi, Roya pozazdrościła pływającym rybom. Jedyne, co robiły, to pluskały się w chłodnej błękitnej wodzie. Nie musiały zostawać odnoszącymi sukcesy członkami najlepszej klasy profesjonalistów, jaką ten kraj kiedykolwiek widział.

Roya zamknęła furtkę i weszły w boczną alejkę, a potem na główną ulicę. Tu trzymały się blisko siebie, przyciskając książki do piersi.

Tak wcześnie rano na ulice nie wyszli jeszcze demonstranci, ale ziemia była usłana ulotkami z ostatniego wiecu. Zdjęcia premiera Mosadeka – jego ostrego zakrzywionego nosa, inteligentnych zmęczonych życiem oczu – słały się po chodniku. Roya nie mogła patrzeć na jego twarz, leżącą tam, gdzie ludzie mogli po niej deptać. Podniosła kilka ulotek, ostrożnie układając je fotografią do góry.

– Och proszę, naprawdę myślisz, że możesz go uratować? – zapytała Zari. – Dziś wieczorem

będzie demonstracja komunistów. A potem następna, na którą przyjdą zwolennicy szacha. Nie możesz ocalić premiera. Przerastają go liczebnie dwie frakcje, które chcą się go pozbyć.

– On ma tysiące, miliony zwolenników! Ludzie, *my*, jesteśmy za nim! – odpowiedziała Roya.

– Ludzie bardzo mało mogą i ty o tym wiesz. W tym kraju jest zbyt wiele pozakulisowych układów i korupcji.

Szły dalej, a Roya przycisnęła książki i zdjęcia Mosadeka mocniej do piersi. Oczywiście Zari miała trochę racji. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu w szkole zwołano specjalne zebranie. Dyrektorka stanęła na scenie z rękami na biodrach i zażądała, żeby uczennice wskazały osobę, która rozprowadza wśród nich komunistyczne ulotki. Nikt się nie odezwał. Roya wiedziała, że to Dżale Tabatabai rozdaje ukryte w pergaminie ulotki pod ławkami i podczas przerw. Zastanawiała się, jakim cudem Dżale miała dostęp do tak politycznych papierów. I jak w ogóle odważyła się je zdobyć. Potem, gdy się rozchodziły, pojawiła się policja z megafonem, bronią i szlauchem. Abbas, strażnik pilnujący szkolnej bramy, pomógł policjantowi o grubym karku podłączyć węża do kranu w ogrodzie. Kiedy tylko Dżale wyszła ze szkoły, policjanci odkręcili kran i skierowali na nią strumień. Na początku twarz Dżale wyrażała zdumienie, pewien rodzaj strachu. Ale potem odbiła się na niej niezłomna wola. Dziewczyna pozęglowała w powietrze, by uniknąć syczącego strumienia wody. I wylądowała z łomotem w samym jego środku. Kilka sekund później Dżale była kompletnie przemoczona, mundurek oblepiał jej krągłości, a z mokrych włosów kapała woda.

Jeden z policjantów rzucił:

– Masz nauczkę za to, że okazujesz brak szacunku swojemu krajowi, szerząc komunistyczne kłamstwa. Nie myśl sobie, że nie znajdziemy w końcu każdego z was, knującego zdradziecki spisek z Rosją. Wy, dziewczęta, powinnyście skupić się na tym, by zostać przyzwoitymi młodymi kobietami, a nie politycznymi osłami.

Dyrektorka zaczęła klaskać.

Zbite w grupkę na podwórku zwolenniczki króla, wspierające szacha, biły brawo i wiwatowały. Kilka z dziewcząt popierających szacha pochodziło z bogatych rodzin, w których ojcowie pracowali w przemyśle naftowym. Razem z nimi klaskało parę głęboko religijnych dziewcząt. Po raz pierwszy od dawna ramię w ramię stanęły rodziny duchowieństwa i fanów szacha.

Gdy tylko policja i dyrektorka zniknęły z podwórza, prokomunistki podbiegły i otoczyły Dżale. Próbowaly osuszyć ją swetrami, chusteczkami i skrajem mundurków. Dżale stała wyprostowana, ociekając wodą, i mówiła, żeby się nie przejmowały. Nawet się roześmiała. Roya wiedziała, że teraz Dżale będzie rozprowadzała jeszcze więcej marksistowskich ulotek, nie mniej. Takie były dziewczyny z Tude3. Nieustraszone i zdecydowane, zawsze powtarzały, że Iran powinien pójść w ślady Związku Radzieckiego.

Roya, Zari i inne zwolenniczki premiera skupiły się we własnym kręgu, zszokowane i roztrzęsione. Jeśli inna uczennica pytała Royę, kogo popiera, odpowiadała:

– Premiera Mosadeka i Front Narodowy.

Powiedzenie czegokolwiek innego zламаłoby Babie serce. Premier Mosadek mógł zaprowadzić w ich kraju pełną demokrację. Studiował prawo w Szwajcarii, został ministrem spraw zagranicznych i pojechał aż do ONZ w Ameryce, żeby domagać się, by Anglo-Irańska Kompania Naftowa przekazała Iranowi kontrolę nad ich własną ropą. Royi podobały się niezależność i samodzielność Mosadeka. Podziwiała nawet jego piżamę (w której czasem był fotografowany).

Idąc do szkoły z Zari i wspominając incydent z Dżale i szlauchem, Roya pragnęła, żeby skończyły się polaryzacja i bezustanna rywalizacja polityczna. Polityka dostała się do każdej sali lekcyjnej. Jej koleżanki w szkole były teraz podzielone – tak samo jak kraj – na zwolenniczki króla, premiera i komunistów. A ona była tym zmęczona.

Kiedy Roya i Zari dotarły do bramy, Abbas, strażnik, stał z groźną miną. Jego praca polegała na pilnowaniu, by nikt nieupoważniony nie dostał się na teren szkoły, na ochronie świętości instytucji i bezpieczeństwa dziewcząt. Zakres jego obowiązków nie obejmował rozpinania spodni i machania

penisem, obwiązanym schludnie różową wstążką. Mężczyzna był jednak znany z tego, że od czasu do czasu właśnie tak robił.

Gdy Abbas z uśmiechem otworzył bramę, Zari zeszywniała. Kiedy go minęły i znalazły się poza zasięgiem jego słuchu, wyszeptwała:

– W zeszłym tygodniu znowu pokazał mi swojego *dudul*.

– Obwiązanego wstążką? – zapytała Roya.

– Jak zawsze. Jak w ogóle mężczyźni chodzą z tym czymś tam wiszącym?

– To musi boleć.

– Jest taki wielki. Dziwię się, że wszyscy nie mają tam permanentnej wysypki.

– No cóż, widziałaś tylko u odźwiernego.

– Racja. – Zari wydawała się nad tym rozmyślać przez minutę.

– Powiedziałaś dyrektorze?

– Odpowiedziała, że to bardzo brzydko, żeby taka dziewczynka jak ja kłamała. Że Abbas pracował tutaj na długo, zanim ja w ogóle się urodziłam, i że powinnam się wstydzić wymyślać tak wulgarne historie.

– Rozumiem. Czyli standardowa odpowiedź.

– Dokładnie – westchnęła Zari.

*

Chłopcy nie mieli żadnego kłopotu ze znalezieniem drogi ze swoich szkół do szkoły dziewcząt, by pod koniec lekcji czatować przy bramie. Abbas wykrzykiwał, usiłując ich rozgonić.

– Wy psi synowie! – wrzeszczał. – Zostawcie te dziewczęta w spokoju, spłoniecie w piekle!

Roya ignorowała chłopców, którzy szli za nimi do domu, ale Zari dbała, żeby ci przystojni widzieli, jak nawija na palec swoje gęste ciemne włosy, zwłaszcza gdy był między nimi Jusuf. W niektóre dni chłopcy pojawiali się na każdym rogu ulicy, za każdym zakrętem. Przebiegli, sprytni, bystrzy chłopcy, którzy puszczali oko i gwizdali. Przystojni, szykowni chłopcy o czarujących uśmiechach. Chłopcy cisi i nieśmiali, którzy od czasu do czasu rzucali im ukradkowe spojrzenia i czerwienili się, gdy zostali przyłapani. Roya przyzwyczała się do nich tak jak człowiek przyzwyczaja się do namolnych much, czyli wcale.

Ulubionym miejscem Royi w całym Teheranie był sklep papierniczy. Znajdował się na rogu Churchill Street i Hafez Avenue, naprzeciwko rosyjskiej ambasady, po drugiej stronie ulicy, przy której mieściła się jej szkoła.

Roya uwielbiała przebiegać palcami po gładkich kartkach notesów. Uwielbiała pudełka ołówków, które pachniały grafitem i obietnicą wiedzy. Mogła spędzić całe popołudnie na oglądaniu wiecznych piór i buteleczek atramentu lub kartkowaniu książek opowiadających o poezji, miłości i stracie. Sklep nazywał się po prostu „Sklep papierniczy” – nie miał żadnej wymyślnej nazwy – ale był też w równej mierze księgarnią. Kiedy tamtej zimy polityczne podziały wciąż się pogłębiały, a rozgorączkowane ludzie na wszystkich ulicach urządzali debaty i demonstracje, stanowił idealny azyl, pełen ciszy i wiedzy. Sanktuarium spokoju i milczenia, nigdy zbyt jasno oświetlone, nigdy hałaśliwe.

Pewnego wyjątkowo wietrznego dnia w styczniu Roya, chcąc uciec przed impetem rozpoczynającej się na ulicy demonstracji komunistycznej, weszła do sklepu. Chciała tylko poczytać trochę poezji.

– Dzisiaj Rumi? – zapytał zza lady pan Fakri. Był cichym, uprzejmym mężczyzną po pięćdziesiątce, z siwymi włosami, bujnym wąsem i okrągłymi okularami w drucianych oprawkach. Buty pana Fakri zawsze lśniły, świeżo wypastowane. Sklep należał do niego, odkąd tylko Roya sięgała pamięcią. Pan Fakri był ekspertem w dziedzinie książek. Zaopatrywał swoje półki w dzieła perskich klasyków, poezję i tłumaczenia literatury z całego świata.

– Tak, poproszę. – Roya przychodziła tu tak często, że pan Fakri doskonale już znał jej upodobania czytelnicze. Wiedział, że Roya uwielbia starożytną poezję perską, ale nie znosi niektórych współczesnych opowiadań. Wiedział, że potrafi wydać resztki kieszonkowego na nowiutki notes i że jej ulubione artykuły papiernicze pochodzą z Niemiec, ponieważ te są najbardziej kolorowe i nowoczesne.

Wiedział, że nie tylko czyta każde słowo starożytnych poetów, ale też wypisuje własne w notesach, które u niego kupuje. Pan Fakri wiedział o tym wszystkim i to jego bezstronny spokój przyciągał ją do sklepu na równi ze stertami nieskazitelnych książek, ołówkami i notatnikami.

– Proszę bardzo. – Tomik poezji Rumiego, który jej wręczył, został wydrukowany na lśniącym papierze i miał ciemnozieloną okładkę ze złotymi literami. – Między tymi okładkami jest kilka jego najlepszych. Tylko znajdź sobie spokojne miejsce i nie pozwól, żeby ktokolwiek ci przeszkadzał. On wymaga koncentracji, jeśli chcesz dotrzeć do jego prawdy.

Roya pokiwała głową i sięgnęła do portmonetki, kiedy zabrzączał dzwonek nad wejściem. Drzwi stanęły otworem, wpuszczając okrzyki z ulicy i silny podmuch wiatru. Kartki Rumiego zatrzepotały w jej dłoni. Do sklepu wszedł szybko chłopiec w jej wieku. Był ubrany w białą koszulę z kołnierzem i ciemne spodnie, gęste czarne włosy miał rozczochrane, a policzki czerwone od wiatru. Gwizdał melodię rzewną i pełną tęsknoty. Niepodobną do niczego, co Roya kiedykolwiek słyszała, i kompletnie niepasującą do tego jego kroku i pewności siebie.

Pan Fakri ożywił się i zaczął szybko poruszać. Dał nura za ladę, chwycił plik kartek przewiązany sznurkiem i podał chłopcu, jakby przez cały dzień czekał na tego wyjątkowego gościa. Chłopiec przestał gwizdać, sięgnął do kieszeni i zapłacił. To była szybka i niema transakcja. Był już prawie za drzwiami, kiedy się odwrócił. Myślała, że podziękuje panu Fakri, ale on spojrzał prosto na nią. Oczy miał pełne radości i nadziei.

– Mam szczęście, że cię spotkałem – powiedział. Po czym wyszedł ze sklepu na wiatr.

Pan Fakri i Roya stali w milczeniu, podczas gdy sklep wracał do normalności po energicznej obecności chłopca, jakby kończyli lot balonem, który właśnie lądował, wypuszczając powietrze.

– Kto to był? – zapytała Roya, czując się naelektryzowana, choć bez żadnego konkretnego powodu. Była zdezorientowana i zmieszana faktem, że po krótkiej wizycie chłopca przeszył ją aż taki dreszcz ekscytacji.

– To, moja droga dziewczyno – odpowiedział pan Fakri – był Bahman Aslan. – Na jego twarzy odmalowała się troska. – To był chłopiec, który chce zmienić świat.

Roya ostrożnie umieściła tomik Rumiego w torbie. Spojrzała na drzwi. Czuła się lekko otumaniona, jakby była świadkiem czegoś przytłaczającego i zaskakującego, ale jednocześnie głęboko osobistego, czegoś tętniącego nieuchronnym rytmem nadziei, życia i energii.

Pożegnała się z panem Fakri w oszołomieniu.

*

Całymi dniami wypatrywała go na ulicach. Zarozumiały Hossein chodził za nimi w tę i z powrotem, co strasznie ją irytowało. Bezczelny i hałaśliwy Cyrus upierał się, żeby otwierać drzwi przed nią i Zari. Jusuf rzucił Zari kilka ukradkowych spojrzeń, kiedy przechodziły przez ulicę, a potem udawał, że wpatruje się w latarnię. Wydawało się, że gdziekolwiek poszły, ulice były pełne uczniów szkół męskich. Grupy chłopców brały udział w różnych demonstracjach. Ale tego jednego, który wpadł do sklepu papierniczego i sprawił, że świat zaczął kręcić się trochę szybciej, nieco bardziej żwawo, z większym rozmachem – choćby tylko na kilka minut – nigdzie nie było widać.

Każdego dnia Roya chodziła z Zari do szkoły i wracała z niej, jadła *choresz* matki i słuchała, jak Baba opowiada im szczegółowo o planach premiera Mosadeka. On raz na zawsze uwolni ich kraj od obcych wpływów i już nikt nie będzie kradł ich ropy. Powiedzie ich w demokratyczną przyszłość!

Roya uczyła się geometrii, czasem pisała wiersze i uśmiechała się, kiedy Baba powtarzał, że zostanie następną Madame Curie, na Boga, na pewno, zapomnijmy o Helen Keller. Jednak nigdzie nie widziała chłopca o radosnym spojrzeniu – tego, któremu pan Fakri podał plik papierów z taką zwinnością i powagą, jakby dostarczał broń wojownikowi.

*

Następnego tygodnia w sklepie papierniczym Roya wzięła do ręki metalową temperówkę

i przesunęła kciukiem po maleńkich żłobieniach na bokach. Znów wiatr rozwiął strony leżących na stercie książek, kiedy drzwi stanęły otworem i wszedł on.

Tym razem przestał gwizdać, gdy tylko ją zobaczył. Wydawał się odrobinę mniej pewny siebie, trochę bardziej zawstydzony.

– Rumi – powiedział do pana Fakri, jednak mówiąc to, przelotnie zerknął na nią. Grzywę ciemnych włosów miał schludnie zaczesaną na jedną stronę. Biała koszula z kołnierzem została wyprasowana. Oczy mu lśniły, uśmiechnął się uprzejmie.

Równie szybko i z identyczną gorliwością pan Fakri wyjął egzemplarz tej samej książki, którą tydzień wcześniej dał Royi. Odchrząknął.

– Proszę, Bahman-dżan.

Tym razem Bahman podziękował panu Fakri, uklonił się lekko Royi, po czym wyszedł na ulicę.

– Dlaczego on się tak spieszy? Dokąd idzie? Co jest takie ważne? – zapytała, kiedy tylko doszła do siebie. Pokaże panu Fakri, że ten chłopiec nie odebrał jej mowy.

– Mówiłem ci, Roya-chanom. Ten chłopiec chce zmienić świat. To wymaga pośpiechu. – Pan Fakri wziął ścierkę i zaczął przecierać ladę. – Wymaga czujności. – Przestał wycierać blat. – I wymaga... – spojrział na nią znacząco – najwyższej ostrożności.

Roya pociągnęła nosem. Odłożyła temperówkę. Wyprostowała plecy.

– Nie wiem, jak on zamierza zmienić świat. Za szybko chodzi. Nie jest zbyt uprzejmy. I gwizdże bez powodu! Ledwo się do pana odezwał, kiedy był tutaj w zeszły wtorek. Zachowuje się, jakby był taki ważny. Ma śmieszne włosy. Nie jestem pewna, jak taki chłopiec miałby zmienić świat.

– Najwyższej – pan Fakri położył obie dłonie na ladzie i nachylił się do Royi – ostrożności.

*

Roya została ostrzeżona. Jeszcze kilka razy widziała w sklepie Bahmana – zawsze przychodził we wtorki tuż po szkole, jakby wiedział, że ona tam będzie. Za każdym razem udawała, że jest zajęta kartkowaniem książek lub oglądaniem nowych artykułów papierniczych, albo patrzyła wszędzie, byle nie na niego. Oczywiście za każdym razem nie mogła się powstrzymać, żeby na niego nie zerknąć, aż do piątego wtorku, kiedy już dłużej nie mogła znieść panującego między nimi milczenia.

Udała, że ma pytanie na temat poezji, i skierowała je do pana Fakri, który z jakiegoś powodu nie odpowiedział, więc odpowiedzi musiał udzielić chłopiec.

Chłopiec, który miał zmienić świat, wydukał „ogień”, odpowiadając na jej pytanie, jakie słowo następuje po strofie, którą właśnie wyrecytowała z jednego ze starożytnych poematów Saadięgo.

Jej twarz zapłonęła.

– Ogień – powtórzył chłopiec.

Oczywiście miał rację, to było następne słowo w strofach Saadięgo. Powiedział to z taką pewnością, że Roya na wpół miała nadzieję, że się myli, a na wpół chciała usiąść i rozmawiać z nim godzinami. Ale musiała iść, siostra na nią czekała.

Zari była wyjątkowo naburmuszona, gdy Roya dołączyła do niej po drugiej stronie ulicy. Ogłuchła od słuchania tych wszystkich politycznych demonstrantów, narzekała. Podczas gdy jej siostra marudziła nad ołówkami i książkami w tej zapadłej dziurze. Powiedziała, że musi iść do domu i położyć się z butelką gorącej wody, ponieważ nękały ją potworne bóle miesięczkowe i umierała z głodu, tak długo czekała, i może dla odmiany Roya nauczyłaby się szanować czas innych? Roya słuchała zrzędzenia Zari przez całą drogę do domu. Jednak nie przestawała się rozglądać, zastanawiając się, czy – jeśli w ogóle – zobaczy tego chłopca gdziekolwiek indziej niż w sklepie papierniczym.

2013

Roya oparła głowę o szybę w samochodzie i patrzyła na Nową Anglię, zastygłą pod warstwą lodu.

Pragnęła skupić się na Walterze i na tym, jak wielką przyjemność sprawi im wspólna kolacja. Przygotuje paluszki rybne, które tak uwielbiał. Chciała zapomnieć o tym chłopcu, o wizycie, którą przed chwilą złożyła w domu seniora. Ale słowa z jego listu nie chciały ucichnąć. Bezwiednie zapamiętała je sześćdziesiąt lat temu.

„Obiecuję Ci, moja miłości. Spotkajmy się na placu Sepah, na środku... W środę... O dwunastej w południe. Albo trochę później, jeśli nic nie będę mógł na to poradzić. Spotkajmy się tam i już na zawsze będziemy jednością. Ekscytacja na myśl o spotkaniu z Tobą pomoże mi przetrwać następnych kilka dni”.

– Och, Walter – powiedziała. Wsparła czoło o szybę i zaczęła szlochać.

1 *Farangi* (pers.) – przestarzałe słowo o znaczeniu „cudzoziemski” (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

2 *Choresz* – ogólny perski termin na potrawy duszone.

3 Tude – irańska partia komunistyczna.

ROZDZIAŁ TRZECI

1953

MIŁOŚĆ: JAK TO SIĘ PLECIE

Spójrz na miłość
Jak się plecie
Gdy jedno się zakocha

Spójrz na duszę
Jak wtapia się w ziemię
dając jej nowe życie.

W oczekiwaniu na przyście Bahmana Roya jeszcze raz przeczytała wiersz Rumiego. Nie opuścił jeszcze ani jednego wtorku w sklepie papierniczym od tamtego pierwszego razu, gdy wpadł do środka. Dzięki niemu zima stała się pełna oczekiwania, rozmów, ekscytacji. „Kiedy ty się zakochałaś, siostrze? Powiedz mi. Wyrecytował jedno słowo z wiersza i już?”.

Oczywiście, że nie, odpowiedziała Roya na pytanie Zari. To nie było jedno słowo, jedna chwila. Czy ona nie wie, że takie rzeczy zdarzają się tylko w amerykańskich filmach?

Roya pragnęła spokoju, szukała ciepła, ucieczki i pocieszenia. To wszystko dawał jej sklep papierniczy ze swoimi książkami. A potem swoją obecnością wypełnił go Bahman. Jednak gdyby miała wskazać dzień, w którym zakochała się bez pamięci, byłby to siódmy wtorek. Tamten dzień zapowiadał koniec zimy. Był to dzień, w którym chłód, mróz i zimowe przygnębienie ustępowały przed obietnicą kwiatów, zieleni i nowych początków. Dzień gotowy do przełomu. Cały kraj szykował się do świętowania pierwszego dnia wiosny: perskiego Nowego Roku.

Tamtego siódmego wtorku pan Fakri uwijał się po sklepie z wyjątkową gorliwością i nerwową energią, pomagał matkom w kupnie noworocznych prezentów dla dzieci i pakował zestawy długopisów, a podliczając zakupy, wołał do klientów wylewnie i serdecznie:

– Obyście zawsze czuli radość i żyli długo!

– Prezent dla mojego syna – powiedziała miękko kobieta. – Ma takie doskonałe świadectwo i uwielbia czytać. – Duma na jej twarzy wywołała u Bahmana uśmiech – Roya go przyłapała. Inny mężczyzna kupił kolorowe długopisy, które pan Fakri ułożył w bukiet jak kwiaty i przewiązał zieloną wstążką. Oczywiście najgorętszy towar stanowiły tomiki wierszy – jak zawsze głód perskiej poezji był nienasycony. Roya i Bahman trzymali się z dala od siebie, podczas gdy tłum w sklepie gęstniał po szkole. On skupiał się na politycznej rozprawie, wyłożonej w formie ulotki niedaleko lady, a ona trzymała się z tyłu, przy tłumaczeniach zagranicznych powieści.

I nagle tłum zniknął równie szybko, jak się zgromadził. Książki zostały kupione, prezenty wybrane, porady wysłuchane i klienci się rozpierzchli, a oni zostali, oboje, zatopieni we własnych lekturach, ale oczywiście świadomi siebie nawzajem, czujący jedynie swoją obecność. Pan Fakri z głośnym brzękiem zamknął kasę.

– O rety, ależ w obecnych czasach dużo się kupuje na Nouruz. Czy wszystkie dzieci w tym mieście dostały tak dobre świadectwa, by zasłużyć na tyle noworocznych prezentów?

Roya i Bahman milczeli w swoich bezpiecznych kątach.

– No dobrze! – Pan Fakri rozejrzał się, jakby przemawiał do licznej publiczności. – Sklepiarz

nie może narzekać na sprzedaż, ale powinienem zanieść tę gotówkę do banku.

Ani Roya, ani Bahman nie drgnęli.

– Miałem zamiar wyjść, więc chyba będę musiał zamknąć sklep.

– Ja tu będę – powiedział cicho Bahman.

– Słucham?

– Mogę tu zostać. Jeśli przyjdą klienci, powiem im, że zaraz pan wróci.

– Och. – Pan Fakri spojrział na Bahmana, a potem, zakłopotany, na Royę.

Dziewczynka wyczuła jego zażenowanie. Była przerażona na myśl, że miałyby zostać sama z Bahmanem. To oczywiste, że nie mogła zostać z nim sama.

– Muszę już iść do domu. Miłego dnia, panie Fakri!

– Cóż, skoro wychodzisz... tak, Roya-chanom, wspaniałego dnia! – Na twarzy pana Fakri odmalowała się ulga. Znów zerknął na zegarek. – Zaraz zamykają bank. Nie mam wiele czasu. Dziękuję, Bahman-dżan. Skorzystam z twojej propozycji. – Pan Fakri chwycił płaszcz i kapelusz i spojrział znacząco na Royę. – Do widzenia, Roya-chanom. Wracaj bezpiecznie do domu. Zanim zrobi się późno. – Nacisnął czarny kapelusz na głowę. – Zaraz wracam, Bahman-dżan. – Wybiegł, a Roya ruszyła za nim do wyjścia.

– Zostań. – Głos Bahmana był pewny, donośny.

– Do widzenia. – Przystanęła tuż przed drzwiami. Była zwrócona do niego plecami. Widziała, jak pan Fakri znika na ulicy.

– Proszę, zostań. – Teraz jego głos brzmiał mniej pewnie.

Odwróciła się, żeby mu powiedzieć, że absolutnie nie może zostać. Ale gdy na niego spojrzała, ledwo mogła złapać oddech. Twarz miał czerwoną, chociaż minę uprzejmą.

Wyjdzie. Musi wyjść. Maman i Zari potrzebowały pomocy w szykowaniu domu na Nowy Rok. Całe te wiosenne porządki. Mnóstwo odkurzania, niekończące się trzepanie dywanów, mycie okien octem. Nie było takiej możliwości, żeby mogła zostać tu sama z tym chłopcem.

Była z nim sama. Była z nim sama w tym sklepie i nagle sanktuarium nabrzmiało możliwością, że wszystko się diametralnie zmieni.

– Jaka jest twoja ulubiona książka? – zapytał szybko.

– Nie mam takiej.

– Och, po prostu... Założyłem, że lubisz czytać.

– Lubię. Chciałam powiedzieć, że nie mam jednej ulubionej. Jest ich zbyt dużo.

Uśmiechnął się i jego twarz, wciąż czerwona, nieco się rozjaśniła.

– Pan Fakri mówił mi, że chcesz zmienić świat. – Ruszyła w jego stronę, świadoma, że właśnie skacze ze skały, zaskoczona, że stawia jedną stopę przed drugą. Zatrzymała się na odległość ramienia od niego. Jego spodnie khaki, grzywa włosów, nieustępująca czerwień twarzy, to wszystko raziło ją w oczy.

– Och, nie jestem tego taki pewien. – Bahman wbił spojrzenie w podłogę.

– Ale jesteś *siasi*, zaangażowany politycznie, prawda?

Zaskoczony, uniósł wzrok.

– A ktokolwiek w tym kraju nie jest?

– Ja nie jestem – na wpół skłamała.

– Musisz być zaangażowana politycznie. Zwłaszcza teraz.

– Cóż, mnie się to nie podoba. Te wszystkie kłótnie. Demonstracje.

– To wszystko, co mamy. Musimy się angażować. Nie możemy im pozwolić usunąć premiera Mosadeka...

– Wierzysz w te plotki? Że zostanie obalony?

– Tak, martwię się tym. Zagraniczne siły mogłyby tego dokonać. Albo nasi rodacy, zdrajcy spośród nas, to rosnące... – Przerwał. – Nie będę cię tym zanudzał.

– Jestem do tego przyzwyczajona. Mój Baba mówi mniej więcej to samo.

Bahman się uśmiechnął.

– Naprawdę?

– O tak. Ile ja się nasłucham...

Nic nie powiedział. Patrzył jej prosto w oczy. Oboje stali, zwrócenii do siebie twarzami. Kiedy tak się w nią wpatrywał, czuła się jednocześnie wytrącona z równowagi i podekscytowana. Nie mogli się dotknąć. Nie wolno im było się dotknąć.

– Wiem, że uwielbiasz czytać. Lubisz poezję i powieści – powiedział miękko.

– Skąd wiesz?

– Widzę cię każdego wtorku. Uwielbiasz tę alejkę. – Wskazał głową przestrzeń, w której pan Fakri trzymał tłumaczenia zagranicznych powieści.

– Och, przychodzisz tu w każdy wtorek? Nie zauważyłam!

Roześmiał się. A kiedy to zrobił, jego twarz całkiem pojaśniała. Śmiech odbił się w jego oczach, pełnych takiej dobroci, że aż zaparło jej dech w piersiach.

– Przychodziłem też w inne dni. Nigdy cię tu nie było. Tylko we wtorki.

– To jedyny dzień, w jaki mogę wpaść – wyjaśniła.

– Co robisz przez resztę czasu?

– Uczę się.

– Naprawdę?

– Tak. – Wpatrywała się w niego ze spokojem. – Mój ojciec chce, żebym została naukowczynią. Albo pisarką... jak Helen Keller. – Ostatnie słowa wymamrotała.

– A ty?

– Słucham?

– Czego ty chcesz?

Co za absurdałne pytanie. Roya nie była pewna, czy kiedykolwiek ktokolwiek ją o to pytał. Czy nie wystarczyło, że miała tak wspierającego ojca, tak postępowego w kwestii nauki córek? Czy wspierający Mosadeka aktywista taki jak Bahman nie powinien być pod wrażeniem?

– Moi rodzice chcą, żebym skończyła szkołę, poszła na uniwersytet i została naukowczynią.

– A co ty byś zrobiła, gdybyś mogła robić to, co chcesz?

Zuchwałość tego pytania zbiła ją z tropu.

– Ja bym... posłuchała mojego ojca. Moja matka...

Podszedł bliżej. Czując mieszanekę piżma i zapachu wiatru, pomyślała, że zaraz chyba upadnie. A potem wyciągnął rękę i ujął jej dłoń. Nigdy wcześniej żaden chłopiec nie wziął jej za rękę. Oplótł palce wokół jej palców i serce Royi podskoczyło. Jego dotyk ją przestraszył, lecz jednocześnie był dziwnie kojący.

– Uwielbiasz powieści. Widziałem cię.

– I?

– Więc je czytaj. Tyle, ile chcesz.

Ile razy Maman jej mówiła, że popsuje sobie oczy tym bezustannym czytaniem? Jak często Zari rzuciła jej książki z łóżka, przysięgając, że nigdy nie spotkała nikogo, kto wiecznie siedziałby z nosem w książce, i że zrujnuje sobie postawę, Bóg jej świadkiem, że tak będzie? Ile razy Baba wychwalał wagę nauki w celu zdobycia poważnego zawodu na tym świecie, a jeśli ktoś nie mógł zostać naukowcem i zamiast tego wolał czytać książki, to już niech lepiej zajmie się ich produkcją jak ta Keller?

– Chyba że naprawdę chcesz zostać naukowczynią albo pisarką. Jeśli tak, to oczywiście tak zrób. Rób, co chcesz.

Niepokój, wieczne zmaganie, które przytłaczały ją w szkole i w domu, nieco zelżały. Chciała usłyszeć więcej, rozmawiać z nim, nie puszczać go.

Zadzwoił dzwonek i do środka wpadł pan Fakri, zdyszany, w przekrzywionym kapeluszu. Gdy ich zobaczył, zarumienił się. Odwrócił wzrok, odchrząknął, a oni opuścili dłonie, jak gdyby się sparzyli, jak gdyby trzymali razem kulę ognia. Roya poczuła się tak, jakby została przyłapana na kradzieży. Jednak chociaż opuściła dłoń wzdłuż boku, chociaż wbiła spojrzenie w buty, wymamrotała: „Muszę iść” i wybiegła, wiedziała, że już zawsze będzie wracać do tego sklepu, bez względu na to, co pan Fakri lub ktokolwiek inny mógł sobie myśleć. Kontakt został nawiązany nieodwracalnie, nie dało się już tego naprawić i ona wcale nie chciała go zrywać.

ROZDZIAŁ CZWARTY

1953

ŁAŃCUCH

Spotykali się nadal w zakurzonym chłodnym wnętrzu sklepu, pełnego książek, wiecznych piór i buteleczek z atramentem. Niechciani chłopcy pojawiali się na rogu każdej ulicy, ale jedyne, który wywoływał w Royi prawdziwe emocje, mogła spotkać tylko w sklepie papierniczym we wtorkowe popołudnia. Pytał ją na przykład, co myśli o wierszach z *Gulistan* Saadiego. Roya była zaskoczona własną konkretną odpowiedzią. Jej głos okazał się dużo bardziej zdecydowany i mocniejszy, niż się spodziewała. W niedługim czasie (ponieważ to nie trwało długo, skoro Roya miała siedemnaście lat, mieszkała w Iranie i śniła o większych rzeczach) nabrała przekonania, że Bahman jest najinteligentniejszym chłopcem, jakiego kiedykolwiek spotkała, i prawdopodobnie również najprzystojniejszym.

Był aktywistą. Powiedział jej, że rozprawdza wspierające Mosadeka artykuły na Uniwersytecie Teherańskim i w okolicznych liceach. Roznosił po całym mieście biuletyny i ulotki Frontu Narodowego. Skąd brał polityczne materiały? Od pana Fakri. Najwidoczniej w swym magazynku za ladą sklepikarz posiadał bogatą kolekcję niebezpiecznych druków. Kiedy Bahman jej o tym powiedział, Roya wpadła w panikę. Pamiętała ten dzień, kiedy policja przysłała po Dżale do szkoły, jak Dżale wyskoczyła w powietrze, by uniknąć brutalnej siły wody. Jak wylądowała w samym środku kałuży. Policja równie łatwo mogłaby namierzyć Bahmana i oskarżyć go o szerzenie propagandy wrogiej szachowi. Mogliby go aresztować. I tylko pomyśleć, że pan Fakri mu pomagał! Nigdy by się nie domyśliła, że mężczyzna mógłby brać udział w politycznej konspiracji. Nie doceniała cichego, spokojnego sklepikarza.

Bahman powiedział jej, żeby się nie martwiła.

Rozłamy między grupami politycznymi stawały się coraz głębsze. Przemoc podczas wieców rosła. Policjanci zastrzelili kilku protestujących, zagonili ich kulami w alejkę, gdzie ich otoczyli. Ale chociaż Roya lękała się o bezpieczeństwo Bahmana, niemożliwością było nie podziwiać jego sprawy. Z całego serca wierzył w politykę premiera, chyba z jeszcze większym zapalem niż Baba, o ile to było możliwe. Kraj się zmienia – tak powiedział. Iran miał przed sobą przyszłość, i to jasną, a premier zamierzał dać im wszystko, czego potrzebowali. Jednak istnieli tacy, którzy mogli powstrzymać Mosadeka, i Bahman był gotów na wszystko, żeby nie pozwolić im pokrzyżować planów premiera.

Kiedy Bahman opowiadał, Roya opierała się o półki pełne książek, w jej plecy wbijały się grzbiety poezji i polityki. Jeśli mówił zbyt długo o przedstawicielstwie, podatkach i handlu, po prostu skupiała się na jego oczach, zagubiona w najlepszy możliwy sposób. Pan Fakri wtapiał się w tło, coraz częściej obwieszczając potrzebę przebywania na zapleczu. Nie raz zostawali sami. Jednak zawsze istniało ryzyko, że wejdzie jakiś klient, co często się zdarzało – starsi mężczyźni w okularach z listami nowych artykułów papierniczych, jakich potrzebowali, lub młodzi studenci komuniści pytający o ulotki Marksa, albo wspierający Mosadeka demonstranci, poszukujący książek na temat filozofii i demokracji. Niektórzy ze zwolenników Mosadeka rozpoznawali Bahmana i w geście solidarności kiwali mu głową, posyłając spojrzenia mówiące, że doceniają wszystko, co robi dla sprawy.

Roya wtapiała się w grzbiety książek, podczas gdy on szeptał jej do ucha, jego ciało blisko jej ciała, jego dłoń ważąca się dotykać jej dłoni za każdym razem, gdy byli sami. Nie minęło wiele czasu i nie istniało dla niej żadne inne miejsce, w którym wołałaby być.

*

Roya przeglądała powieści w alejce tłumaczeń i czekała. Drzwi się otworzyły. Oto on. Biała koszula, spodnie khaki, czerwone policzki, włosy potargane wiatrem, bez tchu. Przeczesał wzrokiem sklep, a kiedy jego spojrzenie spoczęło na niej, jego twarz rozświetlił szeroki uśmiech.

– Witaj, Bahman-dżan – rzucił zza lady pan Fakri.

– Jak się pan miewa, panie Fakri? – Bahman nie odrywał oczu od Royi.

Pan Fakri zeszywniał, podczas gdy oni wpatrywali się w siebie. Przez chwilę Roya myślała, że ich zbeszta. Ale on tylko westchnął i powiedział, że musi sprawdzić inwentarz. Jego głos brzmiał dziwnie. Słyszała, jak maszeruje na zaplecze.

– *Czetouri*? Jak się masz? – zapytał Bahman, zwracając się do niej perskim słowem używanym w bardziej bezpośrednich relacjach.

Roya głośno przełknęła.

– W porządku. – Pochyliła się, by odłożyć *Annę Kareninę* z powrotem na półkę.

Kiedy się wyprostowała, on stał przy niej. Otoczył ją ramieniem w talii, a ona zamarła niczym posąg.

– Chodź – powiedział. Na dole pleców czuła jego silne, pewne ramię. – Jest pięknie. W taki dzień powinniśmy być na dworze!

Bąknęła coś w należytych proteście, ale pozwoliła mu wyprowadzić się na zalaną słońcem ulicę.

Miał rację. Dzień był piękny. Miasto zachłysnęło się wiosną i wszystko kwitło. Roya zamrugła na widok wspaniałości świata. Nie mogła uwierzyć, że pokazywali się razem publicznie. Nie byli zaręczeni ani po ślubie, a ona niewiele mówiła rodzicom o Bahmanie, tylko że poznała w sklepie papierniczym inteligentnego chłopca, który pochodzi z dobrej rodziny i jest bardzo oddany sprawie premiera. Wiedziała, że ta ostatnia informacja zrobi wrażenie na Babie. Jednak Zari zdradziła o wiele więcej, opisała ze szczegółami ich pierwsze spotkanie we wtorkowe popołudnie i powtórzyła słowo „ogień”, jakim odpowiedział, kiedy pierwszy raz do niego przemówiła, pytając, co było dalej w wierszu Saadiego. Zari była zaciekawiona, ale sceptyczna. Stwierdziła, że politycznie zaangażowani chłopcy są przereklamowani i nic jej nie obchodzi, jak bogata jest jego głupia rodzina – on wydaje się niemądrym idealistą z obsesją na punkcie premiera, jak gdyby kto inny poza szachem mógł zmienić politykę Iranu, na litość boską, i że Roya powinna wreszcie dorosnąć i zdać sobie sprawę z tego, że jeśli zamierzała usidlić mężczyznę, to przynajmniej mogła zarzucić sieć na kogoś lepszego. A mimo wszystko chciała wiedzieć dokładnie, jak Roya się w nim zadurzyła.

– Bahman, zwolnij! – Szedł tak szybko, że prawie musiała biec, by dotrzymać mu kroku.

Zatrzymał się.

– Przepraszam. Oczywiście. – Kiedy znowu ruszył, szedł znacznie wolniej i wkrótce ich kroki się zgrały.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Tak. To znaczy nie. To znaczy, co ja powiem mojej siostrze? Moim rodzicom!

Bahman wyglądał na rozbawionego.

– Powiesz im, każdemu, że poszłaś na spacer ze swoim fatygantem. – Ścisnął jej dłoń.

Czuła się tak, jakby zaraz miała pęknąć, a jej serce miało eksplodować. Uwielbiała trzymać jego dłoń w swojej. I te jego słowa. „Fatygant”.

Kiedy skręcili za róg i weszli na jeden z głównych placów miasta, powietrze wypełniły krzyki.

Kolejny wiec. Kolejna polityczna demonstracja, podczas której ludzie wrzeszczeli. Z przodu placu ustawiono barykady. Megafony ryczały, a demonstranci wykrzykiwali hasła wspierające Mosadeka. Dłoń Royi zwiotczała w ręce Bahmana, krew tętniła jej w uszach. W pierwszym odruchu chciała uciec, byle dalej od rozwrzeszczanego tłumu.

– Bahman, chodźmy stąd.

– Nie chcesz zobaczyć, co się dzieje?

– Nie. To niebezpieczne.

– Nic nam nie będzie.

– Zari mówiła, że policja śledzi protestujących. Mają poukrywanych w tłumie szpiegów...

– Nie bój się. – Mocniej ścisnął jej dłoń i poprowadził nie z dala od tłumu, lecz w sam środek

wydarzeń.

Na placu rozbrzmiewały okrzyki „*Ja marg, ja Mosadek!*”. „*Mosadek albo śmierć!*”. Jej ciało stężało. Czy zwolennicy Mosadeka naprawdę byli gotowi za niego umrzeć? Czy Bahman był?

– Tak właśnie – szepnął jej do ucha, gdy kakofonia tłumu stawała się coraz głośniejsza – to się dzieje. W ten sposób zdobywamy demokrację. Nie możemy po prostu siedzieć w domu, nic nie mówić i pozwalać, żeby król i obce przedsiębiorstwa zyskiwały coraz większą kontrolę. To tutaj możemy sprawić, że zostaniemy wysłuchani.

Pociągnął ją dalej i przeprowadził przez tłum pod samą barykadę. Kiedy się przepychali, Roya była zaskoczona, jak wielu ludzi rozpoznaje Bahmana. Schodzili mu z drogi. Jeden czy dwóch młodych demonstrantów poklepało go po plecach, starszy pan puścił do niego oko. Czy on rozdawał te przemówienia i ulotki wszędzie? Pomimo lęku czuła się dumna, że mu towarzyszy. Bez wątpienia inni darzyli go szacunkiem. Gdy dotarli na sam przód, Bahman ustawił ją pod barykadą, osłaniając przed tłumem, jak tylko mógł. Czuła na plecach jego silne ramię.

Powietrze buzowało od naelektryzowanej energii, poczucia wspólnoty, celu. Bez niego nigdy nie przyszłyby w takie miejsce. Za bardzo by się wstydziła i bała. Może Bahman miał rację. Może powinna przestać się martwić i pozwolić sobie słuchać i mówić. Czy to w ogóle było możliwe? Przy nim wydawało się, że tak.

On był tutaj w swoim żywiole. W pełni zaangażowany, rozpalony. Otworzył usta i spodziewała się, że powie coś w stylu: „Czyż to nie jest niesamowite?”. Proszę bardzo, teraz przewidywała, co on powie! Jak gdyby naprawdę tak dobrze go znała. Ale znała. Był ekscytujący i nieprzewidywalny, ale był też... sobą.

– Możemy mieć wszystko – powiedział Bahman.

– Ale komuniści są przeciwni Mosadekowi i mogą...

– Mówię o tobie. I o mnie. Do *nas* może należeć świat.

Stojąc tam razem z nim w tłumie, czuła, że przyszłość jest bardziej nieograniczona, niż kiedykolwiek odważyła się marzyć. Oparła się o barykadę i dołączyła do skandujących. Każdą część jej ciała przeszywał dreszcz, obietnica. Im stawała się bardziej pewna siebie, tym głośniej krzyczała. Słońce paliło ją w twarz, a warkocze uderzały w pierś, gdy wymachiwała pięścią w powietrzu. Pot spływał jej po plecach, aż w końcu przemoczył półokrągły kołnierzyk bluzki. Zbyt długo się ukrywała. Dlaczego? Bahman miał rację. Nikt z tych ludzi nie wyglądał na przerażonego. Wszyscy musieli walczyć, protestować, maszerować. Żeby Mosadek mógł zrealizować swój plan, a kraj zyskać prawdziwą wolność. Kiedy opierała się z Bahmanem o szorstkie drewno barykady, wszystko wydawało się możliwe. Stanowili jedność ze sobą i z całym falującym zjednoczonym tłumem. Będą walczyć. *Oboje* zmienią świat.

– Chyba ci się to podoba – zauważył Bahman.

Uśmiechnęła się i skandowała dalej.

– Nie musimy długo zostawać. Chciałem tylko, żebyś to zobaczyła. Żebyś poczuła, jak tutaj jest. Nie chcę, żebyś myślała, że powinnaś się tego bać. To tylko ludzie. Ludzie tacy jak my. To wszystko, co mamy. Wiesz?

Dźwięk przypominał świst miecza. Kiedy odgrywała go w głowie jeszcze raz, i jeszcze, przez nadchodzące tygodnie, miesiące i lata, pamiętała, że usłyszała też cichy brzęk, jak odgłos uszkodzonego dzwonka. Nagle Bahman zgiął się wpół. Rzeził. Pochyliła się nad nim, gdy walczył o oddech. Kiedy się rozejrzała, zobaczyła, że trzej mężczyźni za nimi uśmiechają się drwiąco. Wszyscy mieli na sobie czarne spodnie, białe koszule i ciemne meloniki. Mężczyzna w środku trzymał pałkę, przystrojoną wyszczerbionym łańcuchem. Bahman nadal z trudem chwycił powietrze. Duża rana na jego karku zaczęła krwawić. Czy ci trzej mężczyźni stali za ich plecami przez cały czas? Czy przepchnęli i przecisnęli się przez tłum, żeby dotrzeć do Bahmana? Krew kapiała z umocowanego na pałce łańcucha, a Bahman zakaszłał. Royi się wydawało, że przez całą wieczność masowała go po plecach i wykrzykiwała jego imię, aż w końcu, z ogromnym wysiłkiem, Bahman się wyprostował. Twarz miał wykrzywioną z bólu. Na jego kołnierzu i górze koszuli wykwitła różowo-czerwona plama.

– To tylko małe ostrzeżenie, panie Aslan – powiedział mężczyzna z pałką. – Proszę nie

rozpowszechniać tych wszystkich bzdur. To panu nie służy.

Roya chciała się na niego rzucić. Chciała znaleźć policję, wrzeszczeć, żeby aresztowali tych mężczyzn, zakuli ich w kajdanki i stąd wywlekli.

Mężczyzna stojący w środku wzruszył ramionami.

– Wy z Frontu Narodowego Mosadeka jesteście wszyscy tacy sami, jeśli chcecie znać moje zdanie. Wszyscy bez wyjątku jesteście nic nie warcie. Temu krajowi będzie lepiej bez was. – Mówił nieśpiesznie, wydawał się prawie znudzony.

Bahman dotknął karku. Spojrzał na zakrwawioną dłoń, jak gdyby należała do kogoś innego. Po czym ujął czystą ręką dłoń Royi. Bez słowa przepchnął się obok trzech mężczyzn i przez tłum. Chcieli wydostać się na ulicę, z dała od demonstracji, z dała od placu.

Gdy bezpiecznie znaleźli się w cichej bocznej uliczce, Bahman się zatrzymał.

– Nic ci nie jest, Roya-dżun? Wszystko w porządku?

– Potrzebujesz lekarza, Bahman.

– Tak mi przykro. W ogóle nie powinienem był cię tam zabierać. – Zaplamiona koszula kleiła mu się do ciała. Krew spływała po szyi.

– Pojadę z tobą do szpitala.

– Nie. Pozwól, że odprowadzę cię do domu.

– Oni cię zranili! Potrzebujesz szwów. Musimy powiedzieć policji.

Oczy Bahmana zaszczyły łzami.

– Oni są policją.

– Co?

– Pracują dla szacha.

W tym momencie podbiegł do nich wysoki chłopiec, mniej więcej w ich wieku, zupełnie bez tchu. Dysząc i sapiąc wykrztusił:

– Widziałem, co się stało, Bahman-dżan. Wszystko widziałem. Ci prostacy plebejusze. Tępa hołota. Nie mam pojęcia, jak ludzie władzy mogą wynajmować takich bandytów. Chociaż w sumie mam, i ty też. Witaj, chanom, wybacz mój brak manier. – Uniósł kapelusz przed Royą. – Nazywam się Dżahangir. Miło mi cię poznać.

Dżahangir miał na sobie wyglądającą na kosztowną modną zieloną kamizelkę i szarą koszulę. Polakierowane wąsy. Był ubrany na przyjęcie, nie na protest.

– Mam na imię Roya. Miło cię poznać – wymamrotała.

– *Enchanté*. – Dżahangir znów dotknął kapelusza. Roya nigdy nie słyszała tego słowa. – Roya-chanom, czy poradzisz sobie sama? Muszę zabrać tego chłopca do lekarza. Jestem pewien, że się ze mną zgodzisz. – Dżahangir dotknął ramienia Bahmana, omijając krew na jego koszuli. Skrzyżował nogi w kostkach, jakby pozował do fotografii.

– Ja też pojadę do szpitala – zaoferowała Roya.

– A kto tu mówi coś o szpitalu? Zabieram go do kliniki mojego taty.

– Och. Ale mogłabym...

– Nie musisz jechać, Roya-dżun. Już wystarczająco cię dzisiaj naraziłem – zaoferował Bahman.

– Tak, nic się nie martw. Zaopiekuję się nim troskliwie. Jak zawsze. – Dżahangir się uśmiechnął.

Miał zęby gwiazdora filmowego.

Roya nagle poczuła się obco i nie na miejscu, stojąc z – jak się wydawało – dwoma bardzo dobrymi, ufającymi sobie przyjaciółmi.

– Cóż, w takim razie... Chyba...

– Najpierw odprowadzimy cię do domu – zarządził Bahman.

– Trzeba odkazić ci ranę, mój przyjacielu! – zaprotestował z wymuszonym uśmiechem Dżahangir. – Krwawisz. Chodźmy, zanim wda się infekcja.

– Musimy odprowadzić Royę do domu – upierał się Bahman. – W ogóle nie powinienem był jej zabierać na tę demonstrację.

– Poradzę sobie. Tylko proszę, Bahman, uważaj na siebie – powiedziała Roya.

Dżahangir uchylił przed nią kapelusza, obolały Bahman skinął głową i Roya ruszyła w kierunku

domu rodziców.

Idąc, odgrywała w głowie na nowo scenę z demonstracji. Bahman miał prawo oddać cios, wziąć odwet. Nikt nie mógłby go winić, gdyby rzucił się na mężczyznę, który go zaatakował, gdyby go uderzył. Miał do tego pełne prawo. Ale oczywiście tego nie zrobił. Wiedział, że to tylko pogorszyłyby sytuację. I martwił się o nią. Chciał tylko ją stamtąd wyprowadzić i bezpiecznie odstawić do domu. Chłopiec, który zmieni świat, nie przestawał jej zaskakiwać dobrymi manierami.

Martwiła się jego raną. Niepokoiła się z powodu krwi, możliwego zakażenia. Martwiła się o kraj, w którym opłacane przez rząd zbiry mogą pobić w tłumie nastolatka.

ROZDZIAŁ PIĄTY

1953

KAWIARNIA GANADI

Na Nouruz, perski Nowy Rok, wysprzątali dom od piwnic aż po dach. Maman całymi tygodniami zarywała noce, szyjąc nowe suknie dla córek. Pierwszego dnia wiosny rodzina zgromadziła się wokół stołu *Haft Sin*, stało na nim siedem tradycyjnych przedmiotów, których nazwy zaczynały się na perską literę „s”. Dokładnie w chwili zrównania wiosennego, kiedy zima przechodziła w wiosnę, wszyscy podskoczyli, padli sobie w objęcia i ucałowali się. Potem Baba przeczytał werset z Koranu i kilka gazeli Hafeza. Nastął Nowy Rok.

Tradycja nakazywała, by przez trzynaście dni po Nowym Roku odwiedzać krewnych. Najpierw składali wizyty starszym, a potem kolejno coraz młodszym. Na czas świąt zamknięto wszystkie sklepy i restauracje. Dom wypełniał zapach pieczonych przez Maman ciastek z ciecierzycy i pistacji oraz ciasta z wody różanej i mąki ryżowej.

Dwa tygodnie później, w pierwszy wtorek po otwarciu sklepów, Roya niemal pobiegła do sklepu papieżniczego. Miasto rozkwitło barwnym kalejdoskopem kwiatów. Świeże pąki niemal eksplodowały, gdy pędziła bez tchu ulicami.

Kiedy otworzyła drzwi, dzwonek zagrał swoją znaną melodię. I on tam był, stał przy ladzie i rozmawiał z panem Fakri, który notował coś na kartce. Dźwięk jego głosu wywołał w niej przyjemne uczucie spadania.

– Roya-chanom, *sal-e Nou mobarak*. Szczęśliwego Nowego Roku. – Pan Fakri dostrzegł ją pierwszy i odłożył wieczne pióro.

– Szczęśliwego Nowego Roku. Wam obu.

Bahman podniósł wzrok i jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

– Witaj! Jak się masz? Jak twoja rodzina? Czy mieliście udany Nowy Rok?

Podeszła do niego bliżej i głośno łyknęła powietrze. Jego kark przecinały ślady przypominające rząd dużych czarnych mrówek. Szwy. Tamte zbiry.

– Nie martw się – powiedział. – Ojciec Dżahangira wylał na to tyle płynu odkażającego, że wystarczyłoby na sterylizację bagna. Nic mi nie jest.

Weszło dwóch klientów i pan Fakri ruszył w ich stronę.

Bahman sięgnął po coś leżącego na ladzie i podał jej paczkę owiniętą czerwonym papierem.

– Proszę – powiedział. – To dla ciebie. *Ejdi5* na Nowy Rok.

– Nie musiałeś mi nic przynosić!

– Ale chciałem.

Widziała, że to książka. Odwinęła papier tak delikatnie, jakby miała zatrzymać go na wieki. Gdy zdjęła już cały, z zaskoczeniem zobaczyła, że to notes.

– Żebyś miała gdzie zapisywać swoje wiersze – wyjaśnił nieśmiało.

Otworzyła notatnik. Na pierwszej stronie Bahman napisał: „Dla Royi-dżun, mojej miłości. Obyś zawsze była szczęśliwa i oby wszystkie Twe dni wypełniały piękne słowa”. Poniżej wykaligrafował własną ręką wersy Rumiego:

Gdy tylko usłyszałem swą pierwszą miłosną opowieść,
Zacząłem cię szukać, nie wiedząc, jaki byłem ślepy.
Kochankowie w końcu się nie spotykają,
Oni istnieją w sobie nawzajem przez cały czas.

– Mam nadzieję, że ci się podoba – powiedział niepewnie.

Chciała ująć jego twarz w dłonie i go pocałować, żeby pokazać mu dokładnie, jak bardzo jej się podoba, ale po drugiej stronie sklepu stał pan Fakri z klientami.

– Jest idealny. Dziękuję – odparła.

– Masz teraz czas? Żeby pójść ze mną? – spytał Bahman.

– Nasze ostatnie wyjście nie skończyło się zbyt dobrze.

Poczerwieniał.

– Przykro mi, że musiałaś na to patrzeć. Ale dzisiaj nie ma żadnych demonstracji. Wszyscy są nadal w nastroju Nouruz. Obiecuję, że zabiorę cię w bezpieczne miejsce. I słodkie.

Wyszli razem ze sklepu. Tego dnia ich kroki od razu się dopasowały. Świeżość Nowego Roku pomagała zapomnieć o politycznych nieszczęściach. Jeśli istniało jakieś święto, które radowało wszystkich, to było to Nouruz. Każdy wyglądał trochę bardziej zażywnie i radośnie po odpoczynku od pracy i szkoły.

Przeszli przez plac Ferdowski. Przy fontannie na środku stała starsza kobieta, cała ubrana na czerwono. Miała czerwoną sukienkę, nawet czerwone buty. Rozglądała się wokół, jakby na coś lub na kogoś czekała. Na jej twarzy malowało się wyczekiwanie, ale też rezygnacja.

– Podobno miała się tu spotkać ze swoim kochankiem – wyjaśnił Bahman, biorąc Royę za rękę.

– Już ją tutaj widziałam.

– Tak. Ale on nigdy się nie pojawił. To było wiele lat temu. Jeden chłopiec z mojej klasy nawet napisał wiersz o tej biedaczce.

– Jakie to smutne – zauważyła Roya.

– W niektóre dni nie mogę znieść jej widoku – wyznał Bahman, gdy szybko się oddalali.

Po przejściu kilku przecznic Bahman zatrzymał się przed witryną. Białe puchate litery na szybie układały się w napis „Kawiarnia Ganadi”. Roya mijając tę kawiarnię wiele razy, ale nigdy nie weszła do środka. Z jakiegoś powodu wydawała jej się zarezerwowana dla eleganckich dorosłych, dla ludzi, którzy pili kawę zamiast herbaty, dla dziewcząt, które miały narzeczonych, i szykownych par ubranych na wzór amerykańskich gwiazd filmowych.

Bahman wprowadził ją do środka.

Niekończące się rzędy ciastek w szklanych gablotach, małe okrągłe stoliki, krzesła ozdobione różowymi poduszkami, ściany w kolorze rumieńca, kwiaty w smukłych wazonach, bita śmietana wypływająca z eklerów i spływająca z małych ciastek – przez to wszystko zakręciło jej się w głowie.

Powietrze pachniało cukrem, kawą i cynamonem. Bahman poprowadził ją na tyły kawiarni. Trzymał ją za ramię, jakby byli parą, przyciskał ciało do jej ciała, kiedy przepychali się między stolikami. Pachniał piżmem i tym czymś, czego Roya nie potrafiła nazwać, ale co wyczuła już tamtego siódmego wtorku w sklepie papierniczym, kiedy pierwszy raz wzięła ją za rękę. Mogła porównać to jedynie do wiatru – gwałtowny, chłodny, podniecający powiew. Ścisnęła go za przedramię, jego mięśnie wydawały się jednocześnie krzepiące i dziwne. Może to przez zapach kawy i cynamonu, a może przez fakt, że była w tej eleganckiej kawiarni z tym przystojnym Bahmanem Aslanem, ale kiedy wysunął dla niej krzesło, a ona usiadła, była pewna, że całe to różowe słodkie miejsce wiruje wokół niej.

– Na co masz ochotę?

– Poproszę herbatę.

– Czy próbowałaś kiedyś *szir kahwe*?

– Przepraszam? – Ledwo go słyszała. Siedzące wokół pary rozmawiały. Szykowne młode damy na wyściełanych różowymi poduszkami krzesłach wyglądały jak zagraniczne aktorki, które Roya widywała tylko na okładkach magazynów, z włosami poukładanymi w idealne fale (fale, które tak usilnie

próbowała uzyskać Zari, co wieczór nawijając włosy na skrawki gazety). Owe damy gawędziły swobodnie z siedzącymi naprzeciwko nich młodymi mężczyznami. Surrealistyczny świat eleganckich par był równie oszałamiający jak ciastka w szklanej gablocie. Czy te pary były zaręczone? Co powiedzieliby Maman i Baba, gdyby zobaczyli ją siedzącą na filigranowym krześle z różową poduszką naprzeciwko chłopaka?

– Zaraz wracam. – Bahman zniknął we frontowej części cukierni.

Wrócił wiele minut później z tacą, na której stały parujące filiżanki kawy i talerz z dwoma ciastkami. Podał Royi jedną z filiżanek, postawił tacę na stole, usiadł i patrzył, jak pije pierwszy łyk. Kawa sparzyła Royi usta. Była gorąca, mocna i intensywna w smaku.

– Ucho dla ciebie, język dla mnie.

Roya o mało nie wypluła napoju.

– Słucham? – parsknęła.

– Ciastka. Ucho słonia dla ciebie. Język dla mnie. – Zamilkł i posłał jej szeroki uśmiech.

Roya spojrzała na talerz. Rzeczywiście, jedno ciastko miało kształt ucha słonia, a drugie, podłużne, języka.

– Smakuje ci *szir kahwe*?

Kawa miała intensywny smak, niepodobny do niczego, co Roya знаła.

– Jest... inna.

– Najlepsze włoskie espresso, jakie można znaleźć w Iranie! – Postukał palcem w stół. – Akurat tutaj. – Pochylił się i ujął jej dłoń. – Może to będzie nasze drugie ulubione miejsce spotkań? Hmm?

Roya zachichotała i pokiwała głową.

– Oczywiście nie myśl, że nie uwielbiam temperówek i tomików poezji Rumiego. I demonstracji. Ale sama wiesz...

Znowu zachichotała. Czowała się tak, jakby stała u progu wszystkiego. Była zaskoczona, że znowu wyprowadził ją ze sklepu papieżniczego w jasność świata, jak gdyby było im przeznaczone spacerować razem, być widzianymi razem, razem pić i jeść. Czy w przyszłości będą jadać ciastka, eklery i *szirini*⁶? Po prostu ugryzą kęs i się zatracą? Przycupną na krzesłach, popijając włoskie espresso? Roya była oszołomiona, ale nagle niedorzecznie pewna, że bycie z nim zostało jej przeznaczone, na ten rok i wszystkie następne.

*

– Mówienie, że za niego wyjdiesz, to jakiś absurd – parsknęła Zari, gdy wracały ze szkoły do domu kilka dni później. – Ile razy się z nim widziałas, sześć?

– Jeśli chcesz wiedzieć, widzujemy się od miesiący. Poza tym czas nie ma znaczenia.

– Och, siostró! – Zari zatrzymała się i spojrzała na Royę z politowaniem. – Czas to jedyne, co *ma* znaczenie. Nie możesz wiązać nadziei z tym chłopcem.

– Dlaczego nie?

– Ponieważ... – Zari przerwała. – Po prostu nie można mu ufać. Ci rozpolitykowany są zupełnie inni, niż myślisz.

– A skąd ty to możesz wiedzieć?

– Po prostu wiem. Uwierz mi.

Resztę drogi przebyły w niezręcznej ciszy. Roya powtarzała sobie, że Zari jest po prostu zazdrosna i jej słowa nie są prorocze. Zari musiała dramatyzować, jak zawsze. Zari po prostu nie lubiła *siasi*, to wszystko. Próbowała odgonić wątpliwości i lęk, jakie wywoływały w niej słowa siostry. Pomyślała o notatniku, który dał jej Bahman, i o wierszu, który tam wpisał. „Kochankowie w końcu się nie spotykają. Oni istnieją w sobie nawzajem przez cały czas”.

Zari musiała się mylić.

4 Gazel – liryczny utwór poetycki, znany głównie w literaturze perskiej.

5 *Ejdi* (pers.) – prezent.

6 *Szirini* (pers.) – słodycze.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

1953

POSINIACZONE NIEBO

Ponieważ prawie nastąpiło lato, ponieważ krzewy i drzewa już wybijały, ponieważ zapadał zmierzch, oni mieli po siedemnaście lat, a powietrze wypełniał zapach jaśminu, ich spacer bulwarem pozostawił ślad w sercu Royi na lata.

Wcześniej poszli do kina Metropol przy Lalehzar Street. Elegancki hol z owalną czerwoną kanapą, migoczące żyrandole, wszyscy ubrani w swoje najbardziej olśniewające kreacje, obramowane portrety Clarka Gable'a i Sophii Loren, tłące się papierosy, maleńkie filiżanki w dłoniach dam w kapeluszach – nieskończony romantyzm całej scenerii sprawił, że Roya czuła się tak, jakby sama grała w filmie. A potem wspinaczka po schodach na balkon, gdzie usiadła z Bahmanem na granatowych aksamitnych fotelach i oglądała włoski film w reżyserii Vittorio De Sica: *Złodzieje rowerów*.

– Uwielbiam jego filmy – szepnął Bahman, gdy rozpoczął się seans. – Jestem ciekaw twojego zdania.

Roya była zbyt rozkojarzona bliskością jego ust przy swoim uchu, by cokolwiek powiedzieć. Przełknęła głośno ślinę i skinęła. Razem z tym chłopcem w jej świecie pojawiło się tak wiele kuszących nowości.

Po filmie wyszli z przepychu holu kina Metropol prosto w letni zmierzch, tak piękny, że aż sprawiał Royi ból. Niebo przybrało kolor bakłażana, chmury barwę siniaków.

– Ta historia ma tak wiele wspólnego z tym, co obecnie dzieje się w Iranie – zauważyła, gdy szli bulwarem. – Biedni pragną lepszego życia. Ale utknęli. Nasi przywódcy muszą im pomóc. Jedyne, czego ten mężczyzna w filmie chciał, to odzyskać rower, żeby mógł pracować. To wszystko.

– Zgadza się. Nasi rodacy utknęli w ten sam sposób. Tkwią w pułapce swojej klasy, przeznaczenia – powiedział Bahman z pasją, biorąc ją za rękę. – Ale możemy to wszystko zmienić. Dzięki demokracji. Jesteśmy na właściwej drodze.

– Zari twierdzi, że to nierealne, abyśmy kiedykolwiek posiadali pełną kontrolę nad naszymi bogactwami naturalnymi. Uważa, że Brytyjczycy mają zbyt wiele do stracenia – odparła Roya.

– Jak na kogoś, kto nie lubi polityki, twoja siostra ma aktualne i bardzo zdecydowane poglądy – uznał Bahman.

Roya się roześmiała.

– Teraz muszę ją tylko przekonać, że nie jestem złym człowiekiem! – dodał Bahman.

– Nie zwracaj uwagi na Zari – poradziła. – Ona lubi dramatyzować, to wszystko.

Pod koniec roku szkolnego Roya zaczęła zapraszać Bahmana na regularne spotkania, które organizowały z Zari w domu dla przyjaciół. Nic specjalnego: krojone owoce, trochę śmiechu, rozmowy. Bahman nie był jedynym chłopcem. Przychodzili też inni – koledzy i kuzyni należący do ich *équipe*, jak lubiła określać Zari ich krąg rówieśników. Bahman został przedstawiony Maman i Babie. Niesamowite było, że mógł przebywać w ich domu, gawędzić z przyjaciółmi, należeć do ich grupy.

Bahman nagle zatrzymał się i zamilkł.

– Co się stało?

– Chciałbym wiedzieć... – Wyglądał na zdenerwowanego. – Już od dłuższego czasu. Chciałbym tylko zapytać, Roya... – Na jej imieniu jego głos się załamał jak u trzynastolatka. Delikatnie przepchnął ją ze środka chodnika na bok, pod krzak tak wybijały, że jego liście i kwiaty spływały w dół, tworząc wnękę. Nagle otoczył ich zniewalający zapach kwitnącego jaśminu, oszałamiający i intensywny.

Spojrzał na nią, a ona z zaskoczeniem zauważyła, jak bezbronny się wydawał, kiedy tak stał.

Nie pozwoliła mu wypowiedzieć tych słów, nie było takiej potrzeby; ona nie grała w gierki. W jaśminowej mgie pocałowała go. Czuła się tak, jakby wylądowała w miejscu, w którym od zawsze powinna być, w innym wymiarze, miękkim i niewiarygodnie kuszącym – w miejscu w pełni należącym do nich, którego nigdy nie odważyła się zwiedzić.

Jego smak, jego ramiona wokół niej, jego ciało tuż przy jej ciele, gdy nadal go całowała – to wszystko wydawało się nieskończone. Gdy w końcu się odsunęła, wydawał się upojony, do głębi poruszony.

– To chyba oznacza „tak”. – Wyglądał, jakby miał się przewrócić.

– Tak. Właśnie tak. – Jej świeżo odkryte poczucie sprawczości było oswabdzające i zaskakujące. Aż do tej chwili nie miała pojęcia, jaką ma nad nim władzę.

– Oczywiście pójdę do twoich rodziców.

Przypuszczała, że był już całowany. A zresztą może nie był. Ona na pewno nikogo wcześniej nie całowała i była zdumiona, jak naturalnie jej to przyszło, jakby robiła to od wieków.

– Jeśli twoi rodzice wyrażą zgodę, moglibyśmy się pobrać pod koniec lata. Po prostu chcę być bliżej ciebie. Niczego bardziej nie pragnę, niż żeby nasze światy stały się jednością.

To musiało być przeznaczenie, od początku wypisane niewidzialnym atramentem na ich czołach. Zgodziła się... na co? Na pocałunek? Na małżeństwo? Serce jej galopowało, a wtedy on pochylił się i ją pocałował. To, co za pierwszym razem było mocne i zaskakujące, przemieniło się w coś tak czułego, że nawet kwiaty na krzewie mogłyby nieść to na swych delikatnych pręcikach, ukryć wśród maleńkich półprzejrzystych płatków. To nie powinno mieć miejsca przed ślubem. Ale oni tam byli. Mój Boże, grzeczne dziewczynki tak nie robią. Ale Royi to nie obchodziło. Mogłaby go zjeść. Nawet gdyby robili to przez resztę życia, i tak nigdy nie miałyby dosyć.

*

– Spodobał ci się jego GŁOS? Zgodziłaś się wyjść za niego za mąż, ponieważ załamał mu się głos?

– Wszystko mi się w nim spodobało – odparła Roya. – Kochamy się.

Kiedy pogaszono już światła, Zari i Roya leżały w swoim pokoju i szeptały. Roya bez końca odgrywała w głowie każdą chwilę wieczoru. Jak głos Bahmana załamał się, gdy zadawał jej pytanie, pocałunek obok krzewu – wszystko. Podzieliła się kilkoma szczegółami z Zari, ale teraz tego żałowała.

– A zatem głos mu się załamał i to było tak urocze, że rozważasz wyjście za mąż za mężczyznę, który w każdej chwili może zostać aresztowany za swoją działalność? Którego rodziców ledwie znasz?

– Przestań we wszystkim doszukiwać się katastrofy, Zari. Zależy mi na przyszłości tego kraju i pomaga w słusznej sprawie. To godne podziwu.

– A jego matka? Mówiłaś, że podczas pierwszego spotkania była wobec ciebie nieuprzejma.

– Nie do końca nieuprzejma. Źle się czuła. Bahman mówił, że trochę niedomaga. Wyzdrowieje.

– Nie mogę uwierzyć, że się zgodziłaś!

– Posłuchaj, Zari, stan zakochania trudno jest wytłumaczyć. Kiedy wiesz, że to jest to, to po prostu wiesz. Nie można przed tym uciec. To tak, jakby... drzewo spadło ci na głowę.

– Brzmi cudownie.

– Chcę powiedzieć, że nie da się tego przegapić. Takie jest życie. Bahman jest moim przeznaczeniem. Razem będziemy... – Niemożliwe było uchwycić słowami tę delikatną sieć, w której Roya i Bahman unosili się tego wieczoru i za każdym razem, gdy się spotykali. Choćby próba opisanie tego siostrze wydawała się świętokradztwem.

– Dobranoc – westchnęła Zari.

Roya przytuliła się do niej, wdzięczna, że rozmowa dobiegła końca.

– Będę się za ciebie modlić! – dodała Zari i ścisnęła ją za rękę.

*

Kiedy Bahman przyszedł prosić jej rodziców o pozwolenie, wszyscy byli zdenerwowani.

Chociaż pod koniec wiosny i na początku lata odwiedzał ich kilka razy, zawsze byli obecni też inni znajomi. Tym razem przyszedł sam. Tradycja nakazywała, aby chłopiec proszący o rękę dziewczyny pojawił się w towarzystwie swoich rodziców, ale Bahman powiedział, że jego matka bardzo źle się czuje i ojciec musi zostać, by się nią opiekować, więc on będzie zmuszony przyjść sam.

Podczas spotkań w niewielkim gronie przyjaciół, kiedy Bahman opowiadał o swoim entuzjazmie dla polityki premiera, Baba sprawiał wrażenie, że w pełni go popiera. Zgadzała się w kwestiach politycznych, czym Bahman już wkupił się w łaski jej ojca i co stanowiło ogromny plus. Jednak prośba o oficjalną zgodę na poślubienie córki stanowiła zupełnie inną kwestię i wszyscy o tym wiedzieli.

Roya się niepokoiła; rozlała herbatę, którą serwowała Babie, Maman i Bahmanowi. Bahman siedział naprzeciwko jej rodziców w salonie, przygryzał wargę i szurał nogami. Roya mu współczuła, pragnęła mu pomóc. Cała sytuacja była wyjątkowo niekonwencjonalna. Fakt, że przyszedł bez swoich rodziców, jeszcze bardziej wszystko utrudniał. Oni powinni tu być! Zgodnie ze zwyczajem po podaniu herbaty Roya wyszła z pokoju, aby Bahman mógł bez niej porozmawiać z jej mamą i tatą. Jednak zostawiła drzwi leciutko uchylone i natychmiast dołączyła do Zari, czatującej pod salonem. Obie obserwowały przez szparę w drzwiach.

– Bahman-dżan, witaj w naszym domu – rozpoczął dosyć oficjalnie Baba.

– *Nokl* do herbaty? – Roya widziała przez szparę, jak Maman unosi srebrną miseczkę pełną migdałów w cukrze.

– Oby twe dłonie nie znały bólu, chanom Kajhani, dziękuję. – Bahman posłużył się popularnym perskim wyrażeniem *tarof*, używanym w przesadnie uprzejmej rozmowie, i posłusznie wziął *nokl*.

Wymieniono jeszcze kilka uprzejmości. Baba wspomniał o pogodzie, Maman rzuciła uwagę na temat owoców, czy miałby ochotę, proszę, weź ten talerz, ogórki są takie świeże. Bahman był zbyt mądry, by odmówić. W końcu zapadła cisza. Roya wstrzymała oddech, a Zari żuła kciuk.

Bahman odkaslnął.

– Aga i chanom Kajhani, jak wiecie, od siedmiu miesięcy, od zeszłej zimy, miałem zaszczyt poznawania waszej córki. Co czyni mnie niezmiernie szczęśliwym człowiekiem.

Zari stłumiła chichot.

Maman i Baba nie powiedzieli ani słowa. Bahman kontynuował:

– Chciałbym, abyście wiedzieli, że w szkole bardzo ciężko pracowałem i ukończę liceum, dzięki Bogu, jako *szagerd-e awwal*, najlepszy w klasie.

– Cóż, takie liceum jak twoje praktycznie zagwarantuje ci miejsce w klasie profesjonalistów! – powiedział Baba.

– Dziękuję. Tak. Ale... – Bahman odchrząknął. – Myślę, że powinniście również wiedzieć, że jesienią chciałbym zacząć pracę w postępowej gazecie, wspierającej Mosadeka.

Zari plasnęła się dłonią w czoło.

Zażenowana Maman zaczęła się wiercić. Roya wiedziała, że praca w politycznej gazecie nie była zajęciem, jakie wybrałaby dla przyszłego zięcia. Wstrzymała powietrze, jakby szum jej wydechu mógł wszystko zaprzepaścić.

– To byłaby praca tymczasowa. Tylko dopóki sytuacja w kraju się nie uspokoi. Musimy zrobić to, co możemy, żeby pomóc Frontowi Narodowemu. Mój przyjaciel pracuje w redakcji – ciągnął Bahman. – Miałbym ułatwiony start. Mam nadzieję, że wiecie, iż jestem w pełni oddany waszej córce i zrobię wszystko, co w mojej mocy, by zapewnić nam bezpieczne i szczęśliwe życie. Wszystko. Niczego nie będzie jej brakować. To byłby zaszczyt... byłbym szczęśliwy, gdybym mógł rozpocząć z nią wspólne życie. Moi rodzice nie mogli dzisiaj przyjść, wiem, że powinni tutaj być, ale na pewno ich przyprowadzę, jeśli... jeśli będziemy procedować. Gdybym mógł otrzymać szansę na zaszczyt uczynienia państwa córki...

– Czy teraz drzewo spada ci na głowę? – wyszeptwała Zari.

Roya chciała wbiec do salonu i usiąść obok Bahmana. Jak długo ćwiczył tę przemowę? Jak bardzo musiał się teraz denerwować? Wiedziała, że Maman nie spodoba się jego dalsza aktywność

polityczna. Ale trudno było nie ulec czarowi Bahmana, nie pragnąć oddychać tym samym powietrzem co on, nie życzyć sobie, aby połowa jego pogody ducha i optymizmu udzieliła się im wszystkim. Na pewno Maman i Baba się zgodzą.

– Próbuje powiedzieć, aga Kajhani, chanom Kajhani, że bardzo bym chciał, właśnie, bardzo doceniłbym zaszczyt... chciałbym poprosić o pozwolenie na ślub z państwa córką – wydusił wreszcie Bahman.

– Mój drogi chłopcze! Proszę! Mój chłopcze, mój chłopcze! – zawołał tubalnym głosem Baba. – *Albatte*! Tak, oczywiście!

Roya głęboko i przeciągle westchnęła.

Zari stała nieruchomo, w milczeniu.

Maman otarła oczy.

– Obyście żyli razem długo i szczęśliwie – powiedziała. Uśmiechnęła się, gdy Bahman stanowczo zbyt długo wymachiwał dłonią Baby w górę i w dół.

A Roya oparła się o drzwi, zalana falą ulgi i jeszcze bardziej zdenerwowana. Jej rodzice się zgodzili. Teraz tylko jego rodzice muszą przyjść i oficjalnie poznać się z jej rodziną.

*

Kilka dni później Roya piła z Bahmanem mocną kawę, siedząc na krześle z różową poduszką w kawiarni Ganadi.

Nagle ogarnęło ją dziwne uczucie, że jest obserwowana. Jej ciało stężało na myśl o zbirach, którzy znów wyruszyli na poszukiwanie politycznych dysydentów. Przeżrana, rozejrzała się po kawiarni. Ale nigdzie nie było mężczyzn z pałkami. Wtedy zauważyła wysoką młodą kobietę, siedzącą kilka stolików dalej, w dużym zielonym kapeluszu z piórami, ozdobionym sporą broszą. Kobieta patrzyła wprost na nią. Była piękna, miała oliwkową skórę, duże ciemne oczy, wydęte wargi pociągnięte szminką w kolorze głębokiego szkarłatu i włosy, które idealnymi falami spływały spod kapelusza. Roya dostrzegała nawet ciemny pieprzyk nad jej górną wargą, jak u gwiazdy filmowej. Kobieta nie przestawała wpatrywać się w Royę z wyrazem twarzy bliskim obrzydzeniu.

– Bahman – wyszeptała Roya. – Nie patrz teraz, ale kobieta przy tamtym stoliku cały czas nas obserwuje.

– Kto? – Bahman odwrócił się gwałtownie.

– Nie patrz teraz – mruknęła pod nosem Roya.

Ale było za późno. Bahman zobaczył kobietę. Odwrócił się z powrotem do Royi. Twarz i uszy miał czerwone.

– Cały czas się patrzy, prawda?

– Och, to tylko... – wymamrotał Bahman. – Nie przejmuj się.

– Znasz ją?

– To Szahla.

– Kto?

Westchnął.

– Moja matka uważa, że jest mi przeznaczona.

Royę zamurowało.

Bahman pochylił się nad stolikiem i wziął ją za rękę.

– Ważne jest to, co ja myślę. Co *my* myślimy – dodał szybko. – Nie popieram tej staromodnej bzdury z aranżowaniem małżeństwa. Wiesz o tym.

Royi zaczęło dudnić w głowie.

– Ani razu o niej nie wspomniałeś. Nie powiedziałaś mi, że ktoś już został dla ciebie wybrany.

– Posłuchaj, moja matka, jak większość mam, ma – poprawka, *miała* – wymarzoną dla mnie dziewczynę. Wybrała Szahlę już jakiś czas temu. Uwierz mi, ja tego absolutnie nie chcę. I to się nie stanie.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? Powinieneś był to zrobić. Chciałabym o tym wiedzieć!

– Cóż, bo nie. Posłuchaj, Roya, moja matka ma pewne... problemy. Czasami nie najlepiej się czuje. Emocjonalnie. Psychicznie. Pewnie to zauważyłaś.

Roya poznała rodziców Bahmana jeszcze wiosną, na etapie zalotów, kiedy z grupą przyjaciół poszli po szkole do jego domu. Ojciec Bahmana był uprzejmy i cichy, ale jego matka ją onieśmiała. Podczas pierwszego spotkania z panią Aslan (i przy każdym następnym) czuła się tak, jakby była oceniana od stóp do głów. Kiedy odzywała się w obecności pani Aslan, czuła się niezręcznie i dziecinnie. Było jasne, że matka Bahmana jej nie lubi. Była przeciwna ich zaręczynom. Jednak koniec końców ostatnie słowo należało do ojca Bahmana, cichego i nierzucającego się w oczy, ponieważ był mężczyzną.

– Powinieneś był mi powiedzieć. – Roya odsunęła filiżankę z kawą i wstała. – Nic dziwnego, że twoja matka mnie nie cierpi. Wybrała dla ciebie inną. Jak mogłeś mi nie powiedzieć o czymś tak ważnym? Myślałeś, że się nie dowiem? W tym mieście? Gdzie wszyscy uczniowie się znają, gdzie chłopcy z twojej szkoły umawiają się z dziewczętami z mojej, naprawdę sądziłeś, że się nie dowiem?

– Proszę, Roya. Nic do niej nie czuję. Mniej niż nic. Moja matka ma własne pomysły na wszystko. Ona... ona usiłuje przetrwać.

Roya znów usiadła, ponieważ nie chciała dawać dziewczynie w kapeluszu satysfakcji z widoku jej kłótni z Bahmanem. Chciała wyjść, ale nie mogła. Chociaż była na Bahmana wściekła, już starała się go tłumaczyć, aby mógł zachować twarz. Tak właśnie wyglądała społeczna sieć uprzejmości, etykiety i oczekiwanego od kobiet odpowiedniego zachowania, która często ją dusiła. Jednak nie miała innego wyjścia, niż się dostosować, próbować nawigować w jej ramach. Tyle wiedziała.

– Nie martw się, moja matka zmieni zdanie. Daj jej trochę czasu, żeby lepiej cię poznała. Jak mogłaby nie dostrzec w tobie tego całego dobra, jakie widzi reszta świata?

– Proszę. Ona myśli, że stać cię na kogoś lepszego.

– To akurat byłoby niemożliwe, więc się myli. Posłuchaj, to przez jej nerwy. Matka nie do końca kontroluje swoje emocje. Miewa trudne dni. Ale zmieni zdanie, zobaczysz.

Oczywiście, musiały istnieć inne konkurentki; pani Aslan na pewno wybrała inne dziewczęta dla Bahmana. W sklepie pana Fakri, między regałami z książkami i w ciemnych zatęchłych zakamarkach, wydawało się, że Bahman należy tylko i wyłącznie do niej. Chłopiec w białej koszuli i spodniach khaki prawie nigdy nie przychodził tam z przyjaciółmi. Ich rozmowy, wspólne żarty, wycieczki do kawiarni Ganadi wydawały się zamknięte w innej sferze. Na początku Roya założyła, że ponieważ był aktywny politycznie, jego krąg znajomych składał się z kujonów nacjonalistów z obsesją na punkcie premiera Mosadeka. Kiedy myślała o życiu towarzyskim Bahmana, wyobrażała sobie dyskusje polityczne nad filiżanką espresso, toczone w kawiarniach z młodymi, inteligentnymi mężczyznami. Jednak jego bliskim przyjacielem był Dżahangir, który – jak sama widziała – obracał się w bardzo elitarnym towarzystwie. Był znany z urzędowania najlepszych przyjęć. Roya zaczęła zdawać sobie sprawę, że Bahman był częścią tego wszystkiego. Oczywiście, że istniały inne kobiety, które były dla niego wybrane i go pragnęły.

Bahman pochylił się i pocałował ją w policzek. Jego usta pachniały paloną kawą. Ta cała Szahla nie mogła tego nie zauważyć. Publicznie, w kawiarni, Bahman pocałował ją, jak gdyby byli sami na świecie, jakby nie mieli nic do ukrycia.

Roya powinna była odepchnąć jego twarz, ale zamiast tego pozwoliła się pocałować. Na litość boską, przecież byli zaręczeni. Ich los został przypieczętowany. I żadne snute od dawna plany matki nie mogły pokrzyżować im szyków.

Kątem oka widziała, jak dziewczyna o imieniu Szahla wstaje i objając się o stoliki, wybiega na zewnątrz.

7 Albatte (pers.) – oczywiście.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

1953

PANI ASLAN

Wbrew własnej woli pani Aslan musiała zaakceptować zaręczyny, ponieważ – jak często mawiała – jeśli tylko ludzie zechcieli jej słuchać, w tym piekielnym świecie jedyne, czego było trzeba, to zgoda mężczyzny. Jakie miała znaczenie opinia kobiety? Jak widać, jej niezdarne małżeństwo musiało tylko zaakceptować wybrankę – i proszę! Zrobione, przybite prawowitą pieczęcią. Zupełnie jakby to nie ona, matka, wypchnęła tego chłopca ze swego rozedrganego, wątłego ciała, jakby to nie ona miesiąc po miesiącu trzymała go przy piersi, gdy wysysał ją do cna, jakby to nie ona, trzymając go za rękę, spacerowała z nim po całym mieście, żeby pokazać mu świat, nie ona siedziała z nim wieczór w wieczór, zachęcając, by toczył w zeszytach zmagania z poezją i zadaniami matematycznymi. Jak gdyby nie zrobiła wszystkiego, co w jej mocy, żeby jej syn mógł osiągnąć więcej, wspiąć się w życiu wyżej! Od samego początku widziała w tym dziecku potencjał do osiągnięcia wielkości. On zrzuci jarzmo przynależności do klasy i stagnacji; w tym nowym, nowoczesnym Iranie może dostać się do wyższych kręgów społecznych. Czyż kraj się nie zmieniał? Czy wszyscy o tym nie mówili? Czy jej samej się nie udało, dzięki wielkiej determinacji i woli Boga, uciec przed fatum biedy? Była małą dziewczynką w podartych kapciach, z nędzną chustą na głowie, dziewczynką, która nie powinna być nikim więcej niż córką nędzarza, wieśniaczka, może służącą. Dziewczynką, która poniosła niewyobrażalne straty. Jednak teraz miała Bahmana.

Wyszła za pana Aslana (nie było żadnego pożytku z rozpamiętywania krzywd złamanego serca; cokolwiek się wydarzyło, stało się i już) i tym małżeństwem wyrwała się z klasowej pułapki. Wyszła za inżyniera! Wychowała ich chłopca; czy ktokolwiek w całym mieście wątpił w energię, inteligencję i nieograniczone talenty jej syna? Czyż nie był on słońcem i gwiazdami? Chciała, żeby ta cała Roya zniknęła z jego życia. A zamiast tego musiała znosić tę dziewczynę, chichoczącą na jej kanapie w salonie. (Tak, mieli kanapę. To było *to*, mieli kanapę, zachodnie meble. W małym pokoju z jej dzieciństwa nie było krzeseł, stołu ani luksusowych kanap. Siedzieli na podłodze. Jadali posiłki po turecku, z naczyń ustawionych na *sofre* obrusie, leżącym na podłodze). A teraz ta dziewczyna siedziała na *jej* kanapie. To doprowadzało ją do furii. Sprawiało, że jej choroba, potwór, który i tak był już wystarczająco nieprzewidywalny i bezlitosny, napierał jeszcze mocniej. Czasami tsunami tej potwornej choroby nerwowej zatapiało ją bez żadnego ostrzeżenia. Zanurzała się w odmęty, gdzie nikt nie mógł jej dosięgnąć, a kiedy to się działo, nawet jej chłopiec nie potrafił wydobyć jej z tych nastrojów. Chociaż naprawdę się starał.

Akurat podczas wyjątkowo silnego nawrotu choroby Bahman zuchwale obwieścił swój zamiar zaręczyn z Royą – i jej mąż, słaby i nieudolny jak zawsze, uległ! Pani Aslan, kiedy była w gorszym nastroju, miała niewiele sił; z trudem udawało jej się przebrnąć przez dzień, a nawet przez godzinę, czy oni o tym nie wiedzieli? Jak mogli ciskać w nią takimi nowinami? Może właśnie *dlatego* w nią ciskali, psie syny. Weźmie udział w tym okropnym przyjęciu zaręczynowym tylko dlatego, że jak zawsze koniec końców kobieta musiała podporządkować się woli męża. Nawet tak słabego, żalostnego jak jej własny. Chciała zapobiec tej małżeńskiej katastrofie. Jej wspaniały syn, który miał tak wiele do zaoferowania, który mógł zrobić ze swoim życiem coś fantastycznego! Miał się ożenić z jakimś mołem książkowym, z przeciętną dziewczyną, która uważała, że warto tracić czas na czytanie powieści tłumaczonych z rosyjskiego lub angielskiego, która była ładna, ale nie olśniewająca, której ojciec z trudem utrzymywał się na nudnej biurowej posadce. Której ojciec, co gorsza, przejawiał tę samą obsesję na punkcie

nacjonalizmu i premiera, jaka ostatnio zainfekowała jej syna. Ona chciała, żeby Bahman odniósł sukces. Rozpoczął pracę w branży naftowej, zarabiał pieniądze – tak wiele ich można było zarobić – tyle możliwości dla tych młodych ludzi!

– Jak się pani czuje, pani Aslan? – miała czelność zapytać ta cała Roya, siedząc na jej własnej kanapie. – Bahman mówił, że wieczorami miewa pani kłopoty z zaśnięciem. Czy czuje się pani lepiej?

Słaba, arogancka i nieuprzejma – oto jaka była ta dziewczyna.

– A jak miałabym się poczuć lepiej? – odpowiedziała pani Aslan. – Tylko poczekaj, moje dziecko. Ciebie życie też przygniecie. Zepchnie cię w dół w najmniej spodziewanym momencie. Sama zobaczysz. Nie ma sprawiedliwości na tym świecie. Wiesz, że dzieci umierają?

Dziewczyna wyglądała na zaskoczoną, kompletnie skołowaną i wstrząśniętą. Nawet nie mogła wydusić słowa.

– To prawda. Czy ktokolwiek ci o tym powiedział, kiedy uwodziłaś mojego syna? Kiedy go zwabiłaś do tej zatęchłej księgarni? – Jej serce się ścisnęło, gdy mówiła, przewracało się jej w żołądku. Nagle jej ciało zapłonęło gorączką; chciała zerwać z siebie ubranie, stanąć nago przy oknie i poczuć wiatr na skórze, poczuć cokolwiek, tylko nie to duszące staczanie się w poczuciu straty.

– Matko, proszę. Proszę. – Głos Bahmana brzmiał, jakby dobiegał ze szczytu odległej góry. Złana potem, poddała się atakowi paniki.

– Skarbie – zaczął dźwięcznie pan Aslan. – Jak mówi nasz poeta Omar Chajjam, miłość jest...

– Dosyć! – krzyknęła pani Aslan. – Zamknij się! – Nie mogła tego znieść. Jej mąż zawsze udawał, że wszystko jest w porządku. Był mięczakiem, tchórzem, głupcem. Nawet nie chciał rozmawiać o stratach.

Wstała i wyszła z pokoju, żeby uciec od banałów poetów i tej gówniary Royi.

*

Drzwi zatrzasnęły się z hukiem.

Roya, siedząc na kanapie, wbiła wzrok w swoje dłonie. Całe jej ciało drżało. Bahman ją ostrzegął, opowiedział jej o chorobie matki – jak wpadała we wściekłość, jak nie potrafiła kontrolować swoich nastrojów. Przez następne dziesięciolecia będzie musiała próbować przypodobać się tej teściowej, ale już wydawało się, że w oczach pani Aslan niczego nie robiła dobrze. Pan Aslan zaś wyglądał, jakby kopnął go koń. Przez chwilę udawali, że są normalni, popijają herbatę podczas tradycyjnej wizyty. Jednak pani Aslan nawet nie usiłowała stwarzać pozorów, że lubi Royę, a teraz wybiegła, w panice i złości. Co to była za choroba, ten „humorzasty potwór, który przejmuje nad nią władzę”, jak kiedyś opisał to Bahman? Pan Aslan bezustannie starał się rekompensować grubiaństwa żony. Teraz proponował Royi kolejną szklankę herbaty, kolejny kawałek bakławy. Gdy Roya powiedziała: „Nie, dziękuję”, pan Aslan zamknął oczy i oparł się, przyjmując pozę, jaką wybierało wielu Irańczyków, gdy mieli recytować starożytnych perskich poetów.

Pan Aslan pozostał w tej pozycji przez chwilę, głęboko oddychając. Po czym także wstał.

– Przepraszam – powiedział z lekkim ukłonem. W jego oczach zalśniły łzy. – Zaraz wrócę.

Roya patrzyła, jak powłócząc nogami, wychodzi z pokoju. Nadal siedziała na kanapie obok Bahmana, obok syna tych rodziców, którzy byli tak inni od jakiegokolwiek pary, jaką знаła. Wydawali się tak odlegli i samotni.

Kiedy jego matka zachowywała się w ten sposób, kiedy wściekłość brała górę i pani Aslan porzucała uprzejmości narzucane przez etykietę, Bahman się zmieniał. Stawał się cichy, przygnębiony.

Szloch pani Aslan odbijały się niczym pociski od zamkniętych drzwi sypialni.

Roya ścisnęła jego dłoń.

– Nie jest mi przykro – skłamała. – Nic na to nie można poradzić.

Usłyszeli stłumiony głos pana Aslana, który pocieszał i uspokajał żonę.

Bahman nic nie powiedział. Patrzył prosto przed siebie. Po kilku minutach, które wydawały się nie mieć końca, bez słowa złożył głowę na ramieniu Royi. Czowała dotyk jego policzka przez cieniutkie nitki na szwie bluzki, uszytej przez Maman. Ukrył twarz w jej ramieniu. Jak gdyby pragnął zniknąć.

Roya pocałowała go w głowę, pogłaskała po włosach. Ona go przed tym ocali.

Kiedy pan Aslan w końcu wrócił, wyglądał na wykończonego.

– No dobrze! – powiedział sztucznie radosnym tonem. – Kto jeszcze ma ochotę na herbatę?
„Dzieci umierają” – rozbrzmiało w uszach Royi.

Bahman wstał i poszedł do kuchni, żeby przynieść więcej herbaty. To wszystko działo się ze względu na nią, cała ta gra pozorów, że wszystko jest pod kontrolą. Zamknięte drzwi pokoju pani Aslan, udawanie, że nie słyhać jej szlochów. Bahman wrócił ze świeżą herbatą z samowara i szklankami na srebrnej tacy. Był do tego przyzwyczajony, do podawania herbaty, nawigowania po kuchni, serwowania, prawdopodobnie nawet do gotowania. Kobięce zajęcia. On i jego ojciec robili więcej niż jakikolwiek mężczyzna, jakiego Roya znała. Kobieta w ich domu była chora. Ojciec i syn sklejali to, co zostało, nadrabiali za nią. Dbali, by dom funkcjonował. Bahman powiedział jej, że matka zwalniała każdą służbę zatrudnianą do pomocy – nie mogła znieść ich tupetu, ich obecności. Byli skrytą rodziną; lepiej, żeby inni nie byli narażeni na jej humory. Kiedy stał teraz z tacą z herbatą, widać było wyraźnie, że wolałby uchronić Royę przed tym żenującym wybuchem emocji, przed utratą kontroli.

Bahman ostrożnie postawił tacę na stole.

Ale było warto. Ona zaakceptuje jego matkę, zrobi, co w jej mocy, żeby się z nią pogodzić. Dla tego chłopca zrobiłaby wszystko.

ROZDZIAŁ ÓSMY

1953

PRZYJĘCIE ZARĘCZYNOWE

Ich przyjęcie zaręczynowe odbyło się w letni lipcowy wieczór, kilka tygodni po tym, jak Roya i Bahman ukończyli liceum. Maman i Baba zaprosili do domu rodzinę i bliskich przyjaciół. Maman z dziewczętami godzinami pracowały w kuchni, gotując i szykując poczęstunek. W dniu przyjęcia Kazeb, kobieta, którą czasami zatrudniali do pomocy w pracach domowych, przyszła, żeby pójść z Zari na ostatnie zakupy, a Roya i Maman zabrały się do głównego, popisowego dania: ryżu wysadzanego klejnotami.

Z brązowymi włosami upiętymi w kok, z miłą okrągłą twarzą, wilgotną z wysiłku, z podwiniętymi rękawami, tak że odsłaniały pulchne ramiona, Maman czyściła przy kuchennym zlewie *zereszki*. Te małe suszone jagody berberysu zostaną włożone do ryżu basmati, kiedy danie będzie gotowe. Roya stała obok matki i wdychała jej znajomy cytrynowy zapach. Pomagała wybierać z jagód drobinki ziemi i maleńkie kamyki, a potem patrzyła, jak matka wkłada suszone jagody do małego sitka i płucze.

– Maman, myślisz, że to się zmieni? – zapytała.

Kobieta odstawiła sitko do miski zimnej wody, żeby jagody nasiąkły.

– Co?

– My. Ty i ja. – Chociaż Roya bardzo pragnęła nowego życia z Bahmanem, dziwnie było myśleć o czekających ją zmianach. Czy ten dom z białymi koronkowymi firankami i tak skrupulatnie zorganizowaną kuchnią nadal będzie jej domem? Czy wszystko się zmieni? Czy wciąż będzie potrafiła żartować z Zari i być jednym z członków rodziny jak wcześniej?

Maman westchnęła.

– Tak to się dzieje, Roya-dżun. Dziewczeta dorastają. Wychodzą za mąż i się wyprowadzają. – Wyjęła sitko z berberysem z miski z wodą i potrząsnęła nim kilka razy nad zlewem. – Czy chciałabym, żebyś mieszkała ze mną w tym domu aż do dnia mojej śmierci? Nie mogę kłamać. Miewam samolubne momenty, kiedy myśl o dzieciach obecnych zawsze przy moim boku całkiem mi się podoba! Ale oczywiście musisz iść własną drogą. Masz swoją przyszłość. Obyście razem z Bahmanem wiedli długie i szczęśliwe życie, *inszallah*, jeśli Bóg pozwoli.

Długie i szczęśliwe życie razem. Ziemia zatrząśnie się na tak wiele ekscytujących i przerażających sposobów, kiedy ona i Bahman pobiorą się z końcem lata. Maman podała sitko Royi, a ona rozłożyła berberys na ścierce kuchennej, osuszyła i rozsypała na dużym talerzu – wykonywała ruchy, w których przez lata pod okiem matki doszła do perfekcji. Jednak tym razem była dotkliwie świadoma, że chociaż gotowała z Maman jak zawsze, robiła to z okazji wydarzenia, które ją od matki oddali.

– Nadal będziemy blisko. Będziesz mieszkała tylko czterdzieści minut stąd, Roya-dżun! – Maman się roześmiała, jakby potrafiła czytać jej w myślach. – Możemy spotykać się codziennie, jeśli nie będziesz miała dosyć swojej Maman.

Roya i Bahman postanowili wynająć kilka pokoi w domu, położonym niedaleko jego rodziców. W ten sposób Bahman będzie mógł nadal mieć oko na matkę w jej niestabilnym stanie. Mieszkanie znajdowało się dość daleko od redakcji, w której Bahman miał zacząć pracę jesienią, ale mógł dojeżdżać do niej autobusem. Oczywiście kiedyś kupią większe mieszkanie, ale to był właściwy pierwszy krok. Roya poczuła ogromną ulgę, kiedy Bahman odmówił zamieszkania w domu swoich rodziców; było powszechnym zwyczajem, że nowożeńcy rozpoczynali małżeńskie życie w rodzinnym domu pana młodego. Jednak Bahman upierał się, że nie chce, aby Roya czuła się jak opiekunka jego matki, i że on

razem z ojcem poradzą sobie, o ile zamieszkają niedaleko.

Maman otarła czoło wierzchem dłoni.

– Na tym nowym etapie życia, oczywiście z błogosławieństwem twojego męża, będziesz mogła zdecydować, jakie poczynić dalsze kroki. Wielu oczekiwałoby, że zostaniesz w domu i będziesz rodzić dzieci, i to również jest właściwa droga. Albo, jeśli zechcesz, możesz spróbować przynajmniej przez jakiś czas poświęcić się tym studiom naukowym, które tak ceni twój ojciec. – Maman rozcięła torebkę ryżu i wsypała ziarenka do dużej miski. Zadzwończyła o ścianki naczynia, tworząc kopczyk na środku.

Baba i jego wykłady. „Madame Curie!” Roya wzięła ryż i napełniła miskę wodą, żeby wypłukać nadmiar skrobi.

– Wiem, jaki był podekscytowany i dumny, że w ogóle mamy szansę podjąć studia naukowe. Ale ja nigdy...

– Nie chciałaś się temu poświęcić? – dokończyła zdanie za nią Maman. Włosy kobiety lśniły w promieniach słońca, wpadających przez kuchenne okno. W świetle zamigotało kilka siwych kosmyków. – Moja córka, która kocha powieści. Która uwielbia czytać. Wszystko sobie poukładasz, Roya-dżun. Wiesz, jak bardzo Baba się cieszy. Uwielbia Bahmana. – Poglaskała Royę po policzku. – Zawsze będziesz moją córeczką. Czterdzieści minut to drobiazg.

Roya skończyła płukać ryż i odstawiła miskę. Razem delikatnie podsmażają berberys na patelni. Wezmą kawałki kurczaka i oprószą je solą, pieprzem i kurkumą, po czym upieką na złotobrazowo. Ugotują ryż, odcedzą i wrzucą z powrotem do garnka, ze ścierką pod pokrywką, która wchłonie parę. Razem, ona i Maman, skropią pieczone kawałki kurczaka sokiem z limonki i rozpuszczonym szafranem, po czym ułożą je na półmiskach. Posiekają nożem pistacje i płatki migdałowe i dodadzą je do ugotowanego ryżu. Dołożą też kilka poskręcanych skórek pomarańczowych, które Maman wysuszyła na słońcu. Podadzą na przyjęciu zaręczynowym danie godne wesela. To był czas radości. Nowych początków. Maman miała rację. Roya w każdej chwili będzie mogła tu wpaść, przywitać się, poprosić o radę, usiąść z nią w kuchni i wypić herbatę.

Weszły Zari i Kazeb. Głośno rozmawiały, niosąc duże różowe pudełka pełne ciastek.

– Są takie ciężkie, moje plecy nieprędko dojdą do siebie! – Zari postawiła pudełka na kuchennym stole i spojrzała na Royę. – Co się z tobą dzieje? Czemu masz taką poważną minę? Nie jesteś podekscytowana? – Jej ton był lekko wyzywający, ale też pełen troski.

– Oczywiście, że jestem. Dlaczego miałabym nie być?

– Nie denerwujesz się?

– Trochę. Ale matka nadal będzie... – Roya chciała powiedzieć Zari, że pozostaną blisko.

To wystarczyło, żeby Zari przejęła pałeczkę i rzuciła się do biegu.

– To przez jego matkę się martwisz, tak? Ona uważa, że nie jesteśmy wystarczająco dobrzy, wiem o tym! Myśli, że jego syna stać na więcej. To jedna z tych chciwych kobiet, które chcą się wspinać po drabinie społecznej. Pragnie jeszcze większych pieniędzy, wyższej pozycji. Prawda? Uważa, że praca Baby w urzędzie jest niegodna ich rodziny. Ona patrzy na nas z góry!

– Zari, wystarczy – rzuciła Maman.

– Nie no, naprawdę. Jak ty ją zniesiesz? – spytała Royę Zari.

– Kocham go.

– Była przeciwna waszym zaręczynom! Czy to ci czegoś nie mówi? Czy naprawdę tego chcesz?

Wyjść za mężczyznę, którego matka cię nie cierpi?

– Wystarczy tej melodramy, Zari. Proszę – wtrąciła Maman.

Zari ściągnęła wargi, ale ciągnęła:

– Czasami jesteś taka naiwna, siostró! Jedyne, co robi jego matka, to kopie pod tobą dołki. Synowie są niczym ciasto w rękach swoich matek. A ten syn jeszcze bardziej niż inni. „Och, co mogę ci podać, matko? Och, czy chcesz jeszcze herbaty, matko? Och, pozwól, że ci przyniosę, matko!”

– Tak się zachowują dobrzy synowie! – odparowała Maman.

– Do tego stopnia?

– Tak! – potwierdziła Roya. – I przecież w końcu się zgodziła, prawda? Więc nie jest już przeciwna naszemu małżeństwu.

– Po prostu bądź ostrożna, *basze*, dobrze?

– Zari... – Roya ściszyła głos, jak gdyby miała zdradzić trudną tajemnicę. – Ona źle się czuje.

Dopiero po kilku spotkaniach z panią Aslan Roya zdała sobie sprawę, że Bahman rekompensuje kruchy stan matki, próbując stać się wszystkim dla niej i dla rodziny. Jak gdyby jego kompetencja, uprzejmość i hojność stanowiły bezpośrednią odpowiedź na brak owych cech u jego matki. Przyjmował jej nerwowe wybuchy ze spokojem. Kiedy ona była nieprzyjemna i obcesowa, on był wspaniałomyślny i łagodny. Kruchość jego matki wydawała się budzić w nim potrzebę wyssania z życia wszystkiego co się dało i bycia silnym. Czy to dlatego pan Fakri nazwał go chłopcem, który zmieni świat? Roya zawsze myślała, że to ze względu na jego działalność na rzecz premiera Mosadeka. Ale może dlatego, że patrzenie na matkę, więzioną kaprysami choroby, przez większość czasu zamkniętą w domu, niebędącą w stanie komunikować się z innymi ani radzić sobie w sytuacjach towarzyskich, budziło w Bahmanie jeszcze silniejszą potrzebę, by zostawić w życiu jakiś ślad. Sterować własnym okrętem, naprawić krzywdy, „zmienić świat”, jak ujął to pan Fakri.

– Posłuchaj, Zari. Nie wiesz o pani Aslan wszystkim. Więc może mogłabyś być odrobinę bardziej wyrozumiała? Po prostu nie mieszaj się w to. Nie znasz całej historii – wyszeptła Roya w kuchni.

– Ale widziałam jej zwariowane nastroje. Kto nie widział! To żadna tajemnica!

Roya, pokonana, odłożyła szpatułkę.

*

Roya, Maman i Baba stali w rzędzie przy wejściu i z uśmiechem witali każdego gościa. Ciotki i wujowie, bliscy przyjaciele i krewni przybywali z kwiatami i ciastkami, gratulowali Royi i jej rodzicom i szli do salonu. Po jednej stronie siedziały kobiety, gawędziły i popijały herbatę, po drugiej stali mężczyźni ze szklankami herbaty w dłoniach. Roya była pewna, że Bahman i jego rodzice zjawią się pierwsi, ale się spóźniali. Gdzie on się podziewał?

W końcu drzwi się otworzyły i wszedł, prowadząc matkę pod rękę. Wyglądał na wyczerpanego. Przybity ojciec włókł się za nimi.

– Przepraszam za spóźnienie. – Bahman przywitał się z Maman i Babą, po czym pocałował Royę w policzek.

Roya była zaszokowana jego zachowaniem. Owszem, byli zaręczeni, ale wciąż wydawało się zbyt bezpośrednio i zuchwałe. Okazywanie w ten sposób uczuć w obecności starszych było oznaką braku szacunku. Jednak pocałunek sprawił, że jej ciało zalała fala ciepła i złagodniała.

– Czy wszystko w porządku? – wyszeptła.

– Mieliliśmy pewne... kłopoty – wymamrotał.

„Kłopoty” oznaczały jego matkę. Pani Aslan musiała być w jednym ze swoich nastrojów. „Rozchwiana i zaciekła”, jak kiedyś opisał ją Bahman.

Roya zeszytywniała, kiedy podeszła do niej przyszła teściowa w czarnej bluzce, czarnej spódnicy i grubych czarnych rajstopach. W piękny letni wieczór! Większość kobiet wybrała jasne kolory: Maman błyszczała w eleganckiej turkusowej sukni. Zari włożyła róż, jak gwiazdy Hollywood, które tak uwielbiała. Roya ubrała się w zieloną sukienkę, którą Maman uszyła dla niej specjalnie na tę okazję. Jednak pani Aslan wyglądała, jakby przyszła na pogrzeb. Nawet przykryła ramiona ciemnym szalem robionym na drutach. Na jej policzkach widniały dwa kółka różu. Pachniała mdłymi kwiatowymi perfumami.

Maman nie pochwałała makijażu. Szydliła z kobiet, które potrzebowały „barw wojennych”, by udowodnić, że są ładne. Kiedy Zari męczyła się przed lustrem, upychając kawałki gazet we włosach, by uzyskać idealne fale, Maman upominała ją, mówiąc:

– Piękno powinno przemawiać samo w sobie. Nie ma potrzeby poprawiać dzieła Boga.

– Niektóre z nas muszą poprawiać – odparowywała Zari. – I mu pomóc.

– Ojej, pani Aslan, czy nie jest pani gorąco w tym szalu? – zapytała Maman ostrożnie i trąciła lekko Royę. – Roya-dżun, zabierz szal od pani Aslan.

Zanim jednak Roya zdążyła go wziąć, pani Aslan nadstawiła do pocałunku najpierw jeden,

a potem drugi uróżowany policzek.

Klajstrowaty róż przyszej teściowej miał smak zwiędłych kwiatów. Roya odsunęła twarz i sięgnęła po szal. Jednak wtedy na jej dłoń spadł beznamiętny i delikatny klaps.

– Nie! – warknęła pani Aslan.

– Och, bardzo przepraszam. – Twarz Royi zapłonęła.

Bahman szybko złapał matkę za ramię.

– Znajdźmy ci miejsce do siedzenia, matko. Musisz odsapnąć. – Bahman poprowadził panią Aslan w odległy kąt pokoju i postawił krzesło przy ścianie, z dala od pozostałych gości.

– Ale dziwactwo! – wyszeptała Zari, podkradająca się chyłkiem do Royi z tacą pełną orzechów, którymi częstowała gości. – Na zewnątrz można się ugotować! Kto wkłada coś takiego?

– Ona pewnie tylko... nieważne. Po prostu rozdawaj orzechy!

Zari uniosła brwi, potrząsnęła głową i podreptała dalej.

– Nie martw się, moje dziecko. Pani Aslan miała pewne trudności z przygotowaniami przed dzisiejszą uroczystością, to wszystko – powiedział pan Aslan, podchodząc do niej. – Niektóre dni są lepsze niż inne. Musisz jej wybaczyć. Widok was, młodych, napełnia serce radością. To najwspanialsze.

Wyglądał, jakby rzeczywiście tak uważał. Pan Aslan uśmiechnął się do niej łagodnie. Oboje spojrzeli w odległy kąt pokoju, gdzie Bahman usadowił matkę.

Pochylał się nad nią, w jednej ręce trzymał torebkę, a drugą poprawiał krzesło. Pani Aslan mówiła bez przerwy. Bahman stanowczo pokręcił głową w odpowiedzi na jej słowa. Ale pani Aslan nie przestawała, wyglądała, jakby błagała. Bahman w milczeniu wbił wzrok w podłogę. Jego matka z gniewną miną wskazała na swoją torebkę. W końcu Bahman otworzył ją i wyjął coś ze środka. Roya otworzyła szeroko oczy. To była prostokątna flaga na bambusowym kijku, taka, jakich używa się do podsycania ognia przy grillowaniu kebaba. Bahman przykucnął i zaczął powoli wachlować flagą twarz matki. Pani Aslan przestała mówić, zamknęła oczy i rozparła się na krześle.

Roya odwróciła wzrok.

– Gdyby tylko – powiedział pan Aslan głosem, w którym pobrzmiwały smutne nuty – zdjęła szal. Ona nie chce słuchać, Roya-chanom. Nie chce ustąpić. Proszę, wybac. To po prostu nie jest zależne od niej.

*

Na kuchennych blatach tłoczyły się różowe pudełka z kawiarni Ganadi. Kazeb i Zari wyjmowały z nich ciastka w kształcie ucha słonia i języka, które wcześniej kupiły, a Maman układała je ostrożnie na półmiskach, tak aby nie drgnął ani jeden okruszek. Podniosła wzrok, twarz miała zarumienioną od pracy w rozgrzanej kuchni.

– A co ty tu robisz, Roya-dżun? Wracaj do salonu zabawiać gości. Z każdym powinnaś porozmawiać. No dalej!

– Chcę pomóc.

– Nie, jesteś przyszlą panną młodą! Proszę, idź porozmawiać z gośćmi. Zwłaszcza z panią Aslan. Nie możesz być teraz niegrzeczna. Jeśli chcesz, aby twoje małżeństwo było szczęśliwe, musisz zadowolić teściową. Każda kobieta wie, że to niepodważalna święta prawda!

– Chanom, dlatego jeśli kiedykolwiek zdecyduję się na ślub, mam nadzieję znaleźć przyzwoitego sierotę na męża – wtrąciła Kazeb.

Zari wybuchnęła aprobującym śmiechem.

– Dobry plan!

Mama potrząsnęła głową.

– Roya-dżun, musisz okazać szacunek. Idź i porozmawiaj z panią Aslan, nie możesz jej ignorować.

Roya chciała zostać w znajomej przytulnej kuchni razem z matką, siostrą i Kazeb, otulona zapachem ryżu basmati i szafranu układać na talerzach ciastka w kształcie ucha słonia i języka i dyskutować o chrupkości podpalanego na dnie garnka ryżu *tadig*⁹. Dziwnie się czuła w roli przyszej panny młodej. Kiedy jej matka układała ciastka, Roya zastanawiała się, jakim cudem to wszystko

potoczyło się tak szybko. Razem z Bahmanem wyszli tanecznym krokiem ze sklepu papierniczego do kawiarni Ganadi, po czym poznali nawzajem swoje rodziny i zaręczyli się, zupełnie jakby ktoś przewinął taśmę do przodu, jak w starych filmach z Charliem Chaplinem, granych na okrągło w kinie.

– No, zmykaj! – Maman przegoniła ją z kuchni.

Roya niechętnie wróciła do salonu.

Bahman już nie wachlował matki. Stał teraz z grupką mężczyzn, między innymi z Babą, i z werwą coś opowiadał. Dobrze było widzieć, że wrócił do zuchwałej wersji siebie. Służący chłopiec wachlujący twarz matki stanowił przykry widok. Ponad gwar głosów wybił się śmiech Baby. Ewidentnie był oczarowany przyszłym zięciem. Roya poczuła przypływ wdzięczności dla Bahmana: za jego energię, uprzejmość, umiejętność rozbawiania słuchaczy. Oczywiście, że ona mogła porozmawiać z jego matką.

Zaczęła przeciskać się między grupkami gości w stronę odległego kąta, gdzie siedziała pani Aslan. Będzie uprzejma, nie będzie się spierać, tylko posłusznie wysłucha narzekań pani Aslan, jak gorąco jest w pokoju, chociaż ta wciąż siedziała w zimowym szalu.

Podchodząc do krzesła pani Aslan, Roya z zaskoczeniem zauważyła, że nad przyszłą teściową pochyla się jakiś mężczyzna. Nie potrafiła rozpoznać, kto to był, widziała tylko jego plecy. Miał na sobie wyprasowany lniany garnitur. Czy to jakiś krewny? Bahman powiedział jej, że jego matka miewała tak trudne chwile między innymi dlatego, że była sama. Wszyscy jej krewni mieszkali na południu i rzadko się z nimi widywała. Pani Aslan była osamotniona w Teheranie, mogła liczyć jedynie na kilku sąsiadów i znajomości, które ze względu na nieśmiałość pana Aslana i jej własny, trudny charakter, były nieliczne.

Roya podeszła bliżej do przyszłej teściowej i niezidentyfikowanego mężczyzny. Tym razem wyglądało na to, że skargi pani Aslan dotyczyły czegoś znacznie bardziej poważnego niż temperatura w pokoju. Przemawiała do mężczyzny gwałtownie, przyciskając szal jedną ręką, a drugą gestykulując. Gdy dostrzegła Royę, przerwała, wydeła wargi i dała znak mężczyźnie. Odwrócił się.

– A czyż to nie panna młoda?

Roya najpierw rozpoznała głos, potem dopiero twarz.

– Pan Fakri?

Nigdy nie widziała go w takim stroju. W swoim sklepie zwykle nosił prostą koszulę i wygodne spodnie, co nadawało mu akademicki wygląd, jednak teraz naprawdę się wystroił. Świetnie wyglądał.

– Och, dziewczyno, nie rób takiej zaskoczonej miny! – Pani Aslan wydawała się zirytowana.

Roya się zarumieniła. Przyjęcie zaręczynowe wyprawiano dla rodziny i bliskich przyjaciół. To nie było nic wielkiego, spotykali się w ich domu, żeby w kręgu najbliższych częstować się ciastkami i herbatą. Jednak Maman, jak to ona, nie mogła nie przygotować uczyty. Do tradycyjnego menu, złożonego z ciastek i herbaty, dodała swoje słynne *dżudże* kebab z kurczakiem. Oczywiście wtedy musiała przygotować też ryż, a on sam by nie wystarczył, orzekła, nie mogła nie zrobić ryżu ozdobionego berberyssem, płatkami migdałowymi, pistacjami i skórka pomarańczową.

– Manidże-dżun, to nie wesele, tylko przyjęcie zaręczynowe! – protestował Baba.

– Zrobię tylko małą przekąskę – obiecywała Maman, krzątając się po kuchni.

– Nie chcemy przesadzić, żeby nie zapeszyć – zaapelował do przesadności Maman Baba.

– Nie martw się – powiedziała Maman, a Baba potarł twarz jak zawsze, gdy się martwił.

Roya wiedziała, że podlicza koszty. Zawsze myślał, jak domknąć budżet, żeby na wszystko starczyło: zapłacić Kazeb, kupić kurczaka i mięso, nabyć materiał na ich sukienki, które nie będą ustępowały sukniom innych dziewcząt. „Ona uważa, że nie jesteśmy wystarczająco dobrzy, wiem o tym! Myśli, że jego syna stać na więcej. To jedna z tych chciwych kobiet, które chcą się wspinać po drabinie społecznej. Prag-nie jeszcze większych pieniędzy, wyższej pozycji”.

– Daj spokój, dziewczyno, zbladłaś jak ściana! – mówiła poirytowanym tonem osoby zwracającej się do kogoś gorszego od siebie pani Aslan.

– Ja tylko... – zająknęła się Roya i zwróciła się do pana Fakri: – Po prostu jestem zaskoczona, że pana widzę.

– *Ja* go zaprosiłam. W końcu to przyjęcie zaręczynowe mojego syna. A może nie mam prawa zapraszać starych przyjaciół?

– To państwo się znacie?

Pan Fakri roześmiał się nerwowo.

– Moja droga, to w moim sklepie, pod moim okiem, wśród moich półek, w otoczeniu moich stron, rozpoczął się wasz romans. Wiesz o tym. Tylko tyle pani Aslan miała na myśli.

Roya przypomniała sobie, jak pan Fakri zalecał jej „najwyższą ostrożność”, kiedy Bahman drugi raz przyszedł do sklepu. Czy miał na myśli matkę Bahmana? Tę trudną kobietę, przez którą czuła się niechciana i gorsza? Czy pan Fakri wiedział, że dla Bahmana została zaplanowana Szahla? Skąd on w ogóle znał matkę Bahmana?

– W rzeczy samej, ależ ci wyszło arcydzieło. Połączyłeś mojego syna i tę dziewczynę, czyż nie, panie Fakri? Brawo! Prawdziwy z pana cudotwórca – parsknęła pani Aslan.

Na czole pana Fakri pojawiły się kropelki potu.

– Pani Aslan, przypisuje mi pani zbyt duże zasługi – powiedział cicho. – Nie posiadam cudotwórczych mocy, o których pani wspomina.

– Och, ależ pan jest skromny. Idealny dżentelmen! Człowiek, który nie skrzywdziłby nikogo, ani jednej istoty. Ani... jednego... dziecka – dodała pani Aslan powoli.

Z kuchni wydobył się zapach szafranu. Wkrótce będą jedli. Goście w końcu wyjdą. Przyjęcie zaręczynowe dobiegnie końca. Roya i Bahman pobiorą się pod koniec lata. Pani Aslan się z tym pogodzi. Wydobrzeje. Musi wydobrzeć.

– Wyrazy uznania! – rzuciła pani Aslan piskliwie. – Wyrazy uznania, panie Fakri. Patrz, co zrobiłeś! – Zatoczyła ramieniem ogromne koło nad głową. – Połączyłeś dwoje młodych kochanków! Dokonałeś prawdziwej magii!

Roya poczuła się słabo, zrobiło się jej niedobrze. Ze wstydem patrzyła na zażenowanego pana Fakri, który przyjął postawę obronną. A sarkastyczny ton pani Aslan był odpychający i drażnił nerwy.

Wtedy poczuła delikatny powiew, jakby podmuch świeżego wiatru. Cząsteczki powietrza wokół niej drgnęły. Bahman stał obok. Podszedł do nich szybko, jak kapitan rozpoznający ostrzegawcze oznaki tonącego okrętu. Objął ją w tali ramieniem i nagle Roya stała na bezpiecznym gruncie. Przyciągnął ją do siebie, na oczach pana Fakri i własnej matki. Czuła zapach mydła na jego skórze, szorstką świeżość jego koszuli na ramieniu.

– Czy wszystko w porządku? – zapytał znacząco Bahman. – Matko? Czy wszystko dobrze?

To było zarówno ostrzeżenie, jak i pytanie. Roya wiedziała, że Bahman nie chciał, by jego matka wszystko popsuła. Jego klatka piersiowa dotknęła jej, kiedy stali jako jedność przed panią Aslan i panem Fakri, chroniąc się i jednocześnie rzucając wyzwanie.

Pani Aslan opadła na krzesło. Róż na jej policzkach wyglądał jeszcze bardziej absurdalnie na tle bladej skóry.

– Właśnie gratulowałam panu Fakri, Bahman-dżan. Zmienił bieg twojego życia, bez wątpienia! Mogłeś wybierać spośród wielu pięknych, bogatych, młodych kobiet. Wiesz, że od dawna jedną miałam na oku szczególnie, jest dla ciebie doskonałą partią! Ale pan Fakri wraz ze swoimi książkami i papierami pospieszył na ratunek i zadbał o *miłość*. Jak uroczo! Wy dwoje niczym bohaterowie z tych książek, które czytacie, z powieści z Zachodu. Fikcyjne romanse...

– Matko, czy mogę coś ci podać? – przerwał jej Bahman. Głos miał pełen napięcia. – Matko, czy mogę cię prosić, abys przestała?

– Ja tylko dziękuję panu Fakri – ciągnęła pani Aslan – za jego usługi. Tak dobrze wychodzi mu łączenie w pary zakochanych. Dla niego miłość jest najważniejsza. Pan Fakri zrobiłby dla niej wszystko. Ma *takie* czyste serce.

Pan Fakri wpatrywał się w swoje buty. Nie odezwał się ani słowem.

– Ciężko mi jest... – pani Aslan zmilknęła na chwilę – to wszystko tolerować. Nie mogę tolerować... – Wbiła wzrok w dal. – Jedyne, co robiłam, to tolerowałam. – Jej głos się załamał.

Ramię Bahmana zsunęło się z talii Royi. Znów coś w fakturze powietrza się zmieniło. Bahman odsunął się od niej i uklęknął przy matce. Kiedy przemówił, głos miał łagodny:

– Może przyniosę ci jeszcze herbaty. Pozwól, że przyniosę ci jeszcze herbaty.

Pani Aslan przekrzywiła głowę i uniosła czarny robiony na drutach szal do twarzy. Szlochała.

– Matko. – Bahman wziął ją za rękę. – Och, matko.

Większość pozostałych gości była pogrążona w rozmowie. Pokój wypełniały ich śmiechy. Roya zazdrościła im, że nie są świadomi sceny rozgrywającej się w kącie. Nie musieli znosić złości pani Aslan, dramatyzmu wywoływanego jej obecnością. Na tym tonącym okręcie ona, Bahman i pan Fakri przebywali sami.

Bahman uklęknął przed matką i przyciągnął jej głowę do swojej piersi. Roya i pan Fakri stali jak wmurowani, widzowie boleśnie intymnej chwili, gdy matka szlochała na piersi syna.

Kiedy Bahman wstał, na białej koszuli miał szkarłatne plamy. Róż z policzków matki splamił okolice jego serca.

Roya chciała wziąć koszulę Bahmana i wyszorować ją do czysta, wywabić matczyne plamy, ale była sparaliżowana, ogłuszona.

– Przyniosę jeszcze herbaty – powiedział w końcu pan Fakri.

– Nie zapomnij, co ci powiedziałam – szepnęła pani Aslan.

– Nie zapomnę – odpowiedział cicho pan Fakri. – Lubisz mocną herbatę.

Odszedł małymi, nerwowymi kroczkami.

Pani Aslan otuliła szczelniej ramiona szalem i spojrzała na Bahmana.

– Ten pokój jest zbyt zimny i wszystkie światła są nie takie jak trzeba.

– Przykro mi, matko – powiedział Bahman miękko. – Tak bardzo mi przykro.

*

Goście rozeszli się do domów i przyjęcie zaręczynowe dobiegło końca. Po wszystkim Maman zapaliła kadzidło, by pozbyć się złej energii. Okadzała głowę Royi i mamrotała, by zawistne oko oślepiło.

– Och, nie pozwól, żeby cię *czaszm*, Roya-dżun, rzucili na ciebie urok – powiedziała Zari, chociaż od samego początku nie ukrywała, że nie podoba jej się pomysł, by Roya była z Bahmanem. – Nie ma nic gorszego od uroku rzuconego spojrzeniem. Zawistni głupcy widzą, że jesteś z tym chłopcem szczęśliwa i że ci się powodzi, i *pstryk!* rzucają klątwę. Strzeż się!

8 *Basze* (pers.) – dobrze?

9 *Tadig* – ryż podpalony, cienka skórka zarumienionego ryżu na dnie garnka.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

1953

SPLĄTANE TANGO KŁOPOTÓW

Życie Royi coraz bardziej nabierało kolorów, stawało się delirycznie emocjonujące. Akurat kiedy myślała, że dotarła na jakiś szczyt (na przykład gdy przeczytała wszystkie tłumaczenia rosyjskich powieści, które pan Fakri trzymał w sklepie), pojawiały się kolejne wyzwania. Sztuka w kraju budziła się dzięki nowej klasie inteligencji. Miasto rozkwitało wydawnictwami, kinami, teatrami, literaturą i sztuką.

Teraz, kiedy byli zaręczeni, mogli z Bahmanem spotykać się bez przyzwoitek i jawnie wychodzić razem, nawet wieczorami.

Przyjaciel Bahmana, Dżahangir, miał prawdziwy gramofon. Posiadał też płyty ze Wschodu i z Zachodu. Zaczęli uczestniczyć w organizowanych przez niego spotkaniach towarzyskich jako para. Podczas przyjęć u niego Roya usłyszała piosenki w obcym języku tak seksownym, że aż złowróbnym. Tak łagodnym, że koił ból.

Wieczorki taneczne u Dżahangira odbywały się we czwartki, przed piątkowym świętem. Jego rodzice mieli dostęp do wszystkich najnowszych gadżetów. Bahman powiedział, że kiedy jego matka dowiedziała się, iż rodzina Dżahangira opływa w bogactwa, zachłannie zachęcała syna do tej przyjaźni. Roya się skrzywiła. Pani Aslan bez wątpienia była podekscytowana na myśl o goszczących w domu Dżahangira wyrafinowanych, bogatych młodych damach jak Szahla, które mogły stanowić dla Bahmana jakąś perspektywę.

– *Ba ba*, wchodźcie, wchodźcie. – Dżahangir uściskał Royę i Bahmana przy drzwiach. – Patrzcie! – krzyknął do pozostałych gości. – Nasza idealna para! Czy znamy dwoje ładniejszych ludzi? Tylko na nich spójrzcie! *Tabrik!* Gratulacje!

Zaręczyny Royi i Bahmana były czymś lśniącym i świeżym, ich bycie razem – powodem do świętowania. I wniosując z min kilku kobiet z grupy, niewątpliwie przyczyną zazdrości.

– Co dzisiaj mamy w menu? – spytał Bahman.

– Tango, mój przyjacielu!

Royi nawet nie udało się dotrzeć do stołu, zastawionego kielichami pełnymi miazdzonego melona z lodem. Ona i Bahman zostali otoczeni. Bahman emanował swoim zwykłym czarem, a wszyscy przepychali się wokół niego. Chociaż to Dżahangir miał gramofon, muzykę i umiał tańczyć, wszyscy chcieli Bahmana. Z nim ćwiczyli pierwsze kroki. Dla niego flirtowali. Bahman zapamiętywał słowa w języku, którego nie znał, piosenek Sinatry i ballad Rosemary Clooney. Z poprzednich spotkań, w których uczestniczyli razem, odkąd się zaręczyli, Roya wiedziała, że jeśli w którejś części pokoju zapadała cisza, jeżeli przez chwilę rozmowa się nie kleiła, to obecność Bahmana znów wszystko ożywiała. Trudno było oderwać wzrok od jego ruchów, kiedy tańczył. Roya miała pełną świadomość, że nie tylko ona jest nim zauroczona. Przy nim dziewczęta śmiały się wysokim staccato, omdlewały, słuchając jego żartów.

– Chodź ze mną. – Bahman wziął Royę za rękę i przepchnął się między gośćmi. Poprowadził ją na środek salonu. Właśnie zaczął się walc. To potrafiła – był to jeden z pierwszych tańców, jakiego nauczył ją Bahman, i ćwiczyła go z Zari całymi tygodniami. Zari ciągała Royę w tył i w przód po sypialni, łajając ją, gdy popełniła jakiś błąd. „Roya, pamiętaj, to nie jest nasz perski taniec z wirującymi dłońmi i rozkołysanymi biodrami. To jest poważne. Skoncentruj się!”. Tydzień po tygodniu, z instrukcjami Bahmana i przymusowymi ćwiczeniami Zari, pewność siebie Royi rosła. Teraz sunęła

z Bahmanem w poprzek salonu, wdychając jego znajomy zapach.

– Muszę się napić – powiedziała, kiedy skończyli.

Puścił ją.

Ze stolika z napojami Roya wzięła kielich miazdzonego melona z lodem i łyżkę. Napełniła słodkim melonowym miodem spierzchnięte usta. Nagle ktoś gwałtownie postukał ją w ramię.

Spodziewała się, że zobaczy Bahmana, ale zamiast niego patrzyła na nią z góry wysoka kobieta, z włosami ułożonymi w fale, oliwkową skórą i pieprzykiem gwiazdy z Hollywood nad górną wargą (prawdziwym czy narysowanym? Zari by wiedziała). Szahla, dziewczyna z kawiarni.

– Spragniona? – zapytała. Głos miała zachrypnięty, szorstki.

– Tak. – Żadna inna odpowiedź nie przysłała Royi do głowy. Żadnego powitania, przedstawienia się, żadnych uprzejmości.

– No proszę, zarzuciłaś sieć i schwytałaś go. Hura! Zawsze łatwo się wyślizgiwał. Jednak jakimś cudem – dziewczyna obrzuciła wzrokiem włosy Royi, jej zieloną sukienkę – jakimś cudem *ty* tego dokonałaś. To niepojęte.

Melon z lodem pozostał pod policzkiem Royi, zmrożony.

– Pomyśleć tylko, że Dżahangir nie chciał, żebym dzisiaj przysłała, ponieważ się martwił, że to zdenerwuje Bahmana albo... *ciebie*. Dżahangir i ja przyjaźnimy się niemal przez całe życie. Dlaczego miałabym nie pojawić się na jego przyjęciu? Poza tym musiałam zobaczyć na własne oczy z bliska, co zrobiło z Bahmana takiego kochasia. A teraz – znów zmierzyła Royę od stóp do głów – widzę, o co to całe zamieszanie. – Szahla spojrzała na buty Royi. To nie były pantofelki wymagane do licealnego mundurka. Roya włożyła kryte klapki, należące do Maman: zielony zamsz z małymi mosiężnymi klamerkami na bokach. – Dobry Boże, tylko spójrz! – Szahla potrząsnęła głową, parsknęła, po czym odeszła.

– Wszystko w porządku? – Bahman podszedł do Royi z twarzą zarumienioną od tańca. Roya nawet nie zauważyła, z kim tańczył po ich walcu. Nie mogła powstrzymać ludzi, których do niego ciągnęło. Mężczyźni i kobiety zawsze będą się do niego garnać.

– Hej, co się stało? – zapytał.

Roya gwałtownie zgryzła lód.

– Nic.

Bahman spojrział w kierunku falistowłosej imitacji gwiazdy filmowej, która przemknęła chyłkiem na drugą stronę pokoju.

– Proszę. Nie przejmuj się nią. Widziałem, że z tobą rozmawiała. Nie mogę uwierzyć, że miała czelność dzisiaj tu przyjść. Co mówiła?

Roya nie mogła wydusić słowa.

Wyjął puchar z jej dłoni i odstawił na stół. Przyciągnął ją do siebie i dotknął jej szyi.

– Hej, Roya, daj spokój. Ona nic dla mnie nie znaczy. – Pocałował ją w czoło, dokładnie tam, gdzie, jak twierdziła Maman, zostało wypisane niewidzialnym atramentem jej przeznaczenie. Szahla, falistowłosa i wydymająca wargi po drugiej stronie pokoju, nie mogła nie dostrzec tego pocałunku.

– Ona cię widzi. Przestań. Wszyscy cię widzą.

– I dobrze. Niech patrzą. Chcę – pocałował ją znowu – całować cię na oczach całego cholernego świata.

– *Base*, wystarczy – zaprotestowała Roya. Ale po czwartym pocałunku, gdy on był tak blisko, że czuła pot na jego koszuli, prawie zapomniała o Szahli.

Wieczorki i tańce, muzyka i kobiety wymieszane z mężczyznami, piosenki z Ameryki i płąsy, miazdżony melon w lodowato zimnych pucharach, czasami pryskany czymś, co – była pewna – musiało być alkoholem, to wszystko stanowiło dla niej zaskakującą, tajemniczą scenerię. Kto by przypuszczał, że chłopiec, który miał zmienić świat, w ogóle potrafi tańczyć? Że posiadał taką grupę przyjaciół? Że jest blisko z wyjątkowo popularnym, zamożnym playboyem Dżahangirem?

– Mam nadzieję, że wszyscy wiją się z zazdrości – powiedział Bahman i zanurzył twarz w zagłębieniu jej szyi.

– Myślę, że to ty masz ochotę się wic. – Roya zachichotała.

– Z tobą? Zawsze. Ile jeszcze czasu zostało do naszego ślubu? – Delikatnie pocałował ją w szyję.

– Proszę pana, proszę się zachowywać. Jestem cnotliwą dziewczyną – droczyła się z nim. Ale pozwoliła mu wodzić ustami po swojej szyi.

Podniósł na nią wzrok, oczy mu lśniły – te oczy, które tamtego pierwszego dnia w sklepie papierniczym uderzyły ją jako tak pełne radości.

– Odliczam dni do chwili, gdy będziemy mogli być razem. Roya, tak bardzo cię kocham.

Stali tak, twarzą w twarz. Jego oddech był ciepły. Jej serce waliło w piersi.

– No cóż, jesteś na mnie skazany! – powiedziała w końcu.

– Tak bardzo chcę być skazany – jęknął i się roześmiał.

Zdjęła mu nitkę z kołnierza.

– No dobrze. Czy jako chłopiec, który zmieni świat, możesz, proszę, zachowywać się jak wzór do naśladowania dla tych wszystkich ludzi?

– *Baczeha!* Dzieciaki! – Dżahangir uniósł ramiona i zakołysał biodrami. – Przyszła pora na taaango!

Włączył nową płytę i pokój wypełniły zmysłowe dźwięki gitary.

– Bahman, chodź tutaj! – Dżahangir machnął ręką z drugiej strony pokoju. – Chciałbym je z tobą zademonstrować.

Bahman podszedł do niego i stanęli twarzą w twarz, policzek przy policzku, ramię Dżahangira wokół talii Bahmana, drugie ramię wyprostowane z dłonią zaciśniętą na rękę Bahmana. Dżahangir przyciągnął go do siebie i powoli zaczęli się poruszać. Piosenka była zmysłowa, niemal zatrważająca. Wywołała w Royi tęsknotę za czymś, czego nie potrafiła nawet określić, za czymś zakazanym i kuszącym. Patrząc na Dżahangira i Bahmana, czuła się tak, jakby obserwowała dwóch obcych mężczyzn. Jakby patrzyła na coś, o czym nigdy nie wiedziała, że tego pragnęła.

Po tańcu pokazowym, po chichotach i żartach dziewcząt, gdy piosenka się skończyła, Bahman puścił dłoń Dżahangira i zaprowadził Royę na środek pokoju. Dołączyło do nich kilka dzielnych par, na tyle odważnych, by spróbować. Na początku w ogóle im nie szło, chybotali się i Roya o mało nie upadła. Zarost Bahmana drapał ją w policzek. Przebywanie blisko niego wzbudziło w niej pożądanie tak silne, że musiała się zmuszać do skoncentrowania na krokach. Poruszała się niezdarnie, ale to nie miało żadnego znaczenia. Jej ciało rozkwitało tuż przy jego ciele, ramię wyciągnięte razem z jego ramieniem jak jedno, jej dłoń w jego dłoni. Bahman nie wypadł z roli, naśladując poważną i seksowną minę Dżahangira z tańca pokazowego. Widząc to, Roya się uśmiechnęła, a on zmarszczył brwi, jakby ją beształ, więc szybko też przybrała przesadnie poważną minę. Próbowali i próbowali, aż udało im się przetańczyć przez pokój, nie wyglądając przy tym, jakby mieli zaraz upaść.

Gdyby wierzyła w fatum, wiedziałyby, że to było im przeznaczone, że tak się zakochają, że będą pragnęli jedynie być razem. Jej ciało tak idealnie pasowało do jego, że czuła się, jakby odnalazła dom. Było jej przeznaczone znajdować się w tym Sklepie Papierniczym, kiedy on wszedł, pogwizdując; było jej przeznaczone dzielić się z nim wierszami Rumiego, czuć z nim tę więź. To wszystko miało się zdarzyć – niemożliwością było wyobrazić sobie teraz życie bez niego. Ona była jego. To takie proste. To coś więcej niż przeznaczenie. To rzeczywistość, niemal kwestia praktyczna. To nie był sen. Tylko fakt.

– Hej, o czym myślisz? – zapytał Bahman, gdy sunęli po parkiecie.

– Słucham?

– Nigdy nie widziałem, żeby ktoś tak intensywnie myślał podczas tańca. Świetnie ci idzie, nie bój się.

– Och – rzekła Roya. – Dzięki.

Zmysłowe dźwięki gitary niemal w nich wibrowały. Miał rację. Po co się martwić? Nic nie miało znaczenia. Byli razem i tylko to się liczyło – i zawsze będzie.

– Gdzie jesteś? Przebywasz tak daleko stąd. – Pocałował ją w szyję.

– Czy mogłabym być bliżej ciebie? Jesteśmy praktycznie ze sobą sklejeni! Twoje marzenie się spełniło!

– Nie narzekam. – Uśmiechnął się. – Ale twoje myśli. Wyglądasz, jakbyś próbowała zrozumieć

działanie świata.

- Wiem, że lepiej tego nie próbować.
- Wyglądałaś na tak samo głęboko skoncentrowaną, kiedy cię pierwszy raz ujrzałem.
- Gwizdałaś jak głupek. Nawet na mnie nie spojrzełaś.

Myślała, że taniec dobiegł końca, ale piosenka po prostu przeszła w następną. Bahman najwyraźniej nie miał zamiaru jej puścić. Sunęli dalej. Nie wiedziała, czy inne pary przestały tańczyć. Jej twarz znajdowała się tak blisko jego, że musiał czuć zapach melona w jej oddechu.

- Ostatnia zima. Polityka, wiece. Uratowałaś mnie – powiedział.
- Nie wydaje mi się.
- Naprawdę, nawet nie masz pojęcia.

Zastanawiała się, co miał na myśli. Ocaliła go przed jeszcze większym zaangażowaniem w politykę? Przed małżeństwem z Szahłą? Przed naciskami jego matki? Chciała zapytać, ale chyba nie miała ochoty się w to zagłębiać. Tamta zima, zelektryzowana polityką, rozpuściła się w wiosnę tak łagodną, tak słodką, która na zawsze pozostanie wyryta w pamięci Royi smakiem *szirini*, maślanych ciastek i gorzkiej, mocnej, śmietanowej kawy.

- Teraz mniej zajmujesz się polityką – przyznała.
- Już nie ma dla mnie tak wielkiego znaczenia. Ale się martwię.
- O nas?
- Chcą odsunąć od władzy Mosadeka.

Na dźwięk nazwiska premiera ręka jej obwiśla.

- Oczywiście. Myślałam, że to wszystko teraz mniej dla ciebie znaczy, sam powiedziałaś...

– Nie ma dla nas czegoś takiego jak brak polityki, Roya-dżun. Polityka kieruje absolutnie wszystkim w tym kraju, bez względu na to, czy nam się to podoba, czy nie. To, co nas otacza: tańce, gramofon, te dziewczęta, ubrane, jakby grały w amerykańskim filmie, myślisz, że cokolwiek z tego byłoby możliwe bez wysiłków tych, którzy zajmują się polityką?

Miała ochotę na kolejny napój z melonem i lodem. Chciała usiąść. Tkwili razem w uścisku, który był seksowny, ale też nagle stał się duszący. Gdyby w środku tego tańca choć spróbowała oderwać swoje ciało od jego, to zapewne okazałoby się to niemożliwe, wbrew prawom natury, wbrew przeznaczeniu.

- Martwisz się – westchnęła. – O premiera. Rozumiem.
- Krążą plotki, że chcą go obalić.
- Kto?
- Siły szacha. Anglicy. Amerykanie. Wszyscy razem. Słyszałem, że...

– On za tobą szaleje! – Niespodziewanie Dżahangir przetańczył obok nich z Szahłą. Szahla, sztywna w jego ramionach, wbijała wzrok w sufit, wpatrując się ze stoickim spokojem w żyrandol. – Słyszę tylko „Roya, Roya, ROYA!” – zawołał śpiewnie Dżahangir.

Bahman pochylił się ku Royi i szepnął:

- Wiesz, że rodzina Szahli pracuje dla szacha? Jej ojciec ma układy z policją.
- O Boże. Proszę, nie mów mi, że uważasz ją za szpiega szacha.
- Tylko mówię. Uważam, że wszyscy są zdolni do wszystkiego. – Jego pasek wbił się w jej

brzuch.

– Czy ona wie, że rozprawiasz po całym mieście przemówienia Mosadeka? Czy ona... chciałaby się zemścić za to, że nie dotrzymałaś umowy twojej matki w kwestii małżeństwa?

Bahman przycisnął policzek do jej policzka i milczał. Już więcej nie rozmawiali o premierze, tylko tańczyli, tuląc się do siebie mocno, jakby mogli stracić siebie nawzajem tam, na środku salonu Dżahangira. Idealna para!

– Czy Szahla i reszta tych eleganckich przyjaciół *czasem* nas, rzucą na nas urok? – zapytała Roya, gdy przetańczyli przez pokój. – Czasami ich zazdrość jest prawie namacalna. Jakby można było jej dotknąć.

– Och, daj spokój! Nie wierz w to gadanie o urokach. To przesądne brednie. Chciałbym, aby nasza kultura się z tego otrząsnęła. To, co nas łączy? Nikt nie może tego dotknąć. To po prostu było nam sądzone.

– Myślałam, że nie wierzysz w przesady.

– Nie wierzę.

– A czy „było sądzone” nie jest innym określeniem na „przeznaczenie”?

Uśmiechnął się.

– Nic nie może stanąć pomiędzy nami. Nie można rzucić na nas uroku. Nikt nie może.

– Twoja matka – odważyła się szepnąć.

Nie odpowiedział.

Zawstydzona, spojrzała na ich stopy.

– Przepraszam.

– Posłuchaj. – Nagle spowaźniał. – Ona się z tym pogodzi. Zobaczysz. – Muzyka przeszła w crescendo, dramatyczne nuty osiągały apogeum. Bahman przechylił ją bez ostrzeżenia. Krew napłynęła Royi do głowy, pokój zaczął się kołysać, wszystko było do góry nogami.

– Nie możesz się mnie pozbyć – powiedział, podnosząc ją. – Nigdzie się nie wybieram. Nigdy.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

1953

LISTY W KSIĄŻKACH

W następnny wtorek Bahman zniknął. Gdy dzwoniła do jego domu, nikt nie podnosił słuchawki. Kiedy pukała do drzwi, nikt nie otwierał. Na progu nie pojawiała się zmęczona, blada pani Aslan z różem na policzkach. Ani miły, wielkoduszny pan Aslan, pytający, czy ma ochotę na herbatę. Nikt. Sąsiedzi wzruszali ramionami. Jeden z nich zasugerował, że może pojechali na północ? Nad morze? Żeby uciec przed upałem. Tak musiało być. Same aluzje, tylko domysły, nic pewnego.

Po trzech dniach bez wieści od Bahmana Roya słabła ze zmartwienia. W końcu poddała się i poszła do miejsca, gdzie to wszystko się zaczęło: do sklepu papierniczego. Bała się tego, co mogła tam usłyszeć, co pan Fakri mógł wiedzieć o aresztowaniach politycznych. Początkowo nie chciała tam iść, ale teraz po prostu musiała poznać prawdę.

– Moja droga, nie zdajesz sobie sprawy? Premier Mosadek ma wielu wrogów. Chce pchnąć nasz kraj naprzód, ale obce siły i nasi własni, dwulicowi zdrajcy próbują go obalić. Bez względu na koszty.

– Panie Fakri, proszę. Gdzie on jest?

– W tej chwili nie może z tobą być.

– Jesteśmy *zaręczeni*. Proszę posłuchać, panie Fakri, pana dobroć nie uszła naszej uwadze, zawsze będziemy wdzięczni za to, jak pan nam pomógł, jak pozwolił nam pan... się spotkać. Ale sytuacja była inna, kiedy wcześniej przychodziliśmy tu w tajemnicy. Teraz się pobieramy. Pod koniec lata! Proszę, niech pan mi powie, co pan wie. Jeden z sąsiadów zasugerował, że on mógł pojechać na północ, nad morze. Ale dlaczego miałby mnie o tym nie uprzedzić? Powiedziałby mi, prawda?

Czuła się zażenowana, że jest tak otwarta i zdesperowana wobec pana Fakri. To było skrajnie niestosowne. Zari dostałaby zawału, gdyby wiedziała, że Roya praktycznie błaga o informacje. Roya w końcu poinformowała rodzinę, że Bahman zaginął. Baba, przekonany, że to zbiry szacha go aresztowały, nie mógł spać. Maman modliła się o jego bezpieczeństwo, ściskając modlitewne koraliki *tasbih*, i mamrotała wersety z Koranu, przesuwając jeden koralik za drugim.

– Po prostu to zostaw, moje dziecko – poradził pan Fakri.

– Osaczają go z lewej i z prawej, wiem. Proszę, niech pan mi powie, co pan słyszał.

– Nie zamartwiaj się, moja droga. To wszystko jest dosyć skomplikowane. Musisz odpocząć.

Musisz...

– Odpocząć? On zaginął! Proszę mi powiedzieć, jak w takim mieście jak to, gdzie każdy wsadza nos w sprawy innych, może nie być żadnych wieści o nim ani nawet o jego ojcu czy matce...

Pan Fakri zeszywniał.

– Jego matce?

– Nikt, z kim rozmawiam, nic nie wie! Jak może nikt nic nie wiedzieć? – Młoda kobieta nie powinna zachowywać się ten sposób wobec starszego mężczyzny, podnosić głosu i stawiać żądań. Jednak na myśl o Bahmanie w więzieniu robiło się jej niedobrze.

– Jego... rodzina. – Pan Fakri zbladł. Szybko odchrząknął. – Czy nic im nie jest? Słyszałaś coś?

– Nic! Dlatego pytam pana! – Roya poczuła nagłą ochotę, by cisnąć w niego najbliższą leżącą książką. Dlaczego on ją zwodził, dlaczego zachowywał się tak, jakby nie miał pojęcia, o czym ona mówi? Znów się odezwała, powoli i z rozmysłem:

– Panie Fakri, wiem, że przychodzi tu wielu politycznych aktywistów. Wszyscy wiemy, że pana sklep to bezpieczna przystań dla zwolenników Mosadeka. Że rozprowadza pan stąd informacje dla

Frontu Narodowego, a nawet dla niektórych komunistycznych grup *Tude*. Proszę, niech pan mi powie, co pan wie. Zniosę to. Umieć być dyskretna.

– No dobrze, młoda damo. – Pan Fakri milczał przez chwilę. Trudno było cokolwiek wyczytać z jego twarzy. – W porządku. A wiesz, że policja rządowa też tu przychodzi? Że nie wszystko można tak łatwo powiedzieć? – Uniósł brwi. – Mówię ci, że nie powinnaś się martwić. Po prostu... zaufaj Bogu. Bóg jest wielki.

Oczywiście. Strach o Bahmana tak bardzo ją zaślepił, że zupełnie nie pomyślała o bezpieczeństwie pana Fakri. Obejrzała się za siebie, by się upewnić, że rozmowa odbywa się bez świadków. Szpiegdy mogli być wszędzie. Czy pan Fakri też znalazł się na liście obserwowanych? Czy był przesłuchiwany?

Pan Fakri się pochylił, jakby miał do powiedzenia coś bardzo ważnego. Roya przypomniała sobie drugie spotkanie z Bahmanem, jak pan Fakri nachylił się do niej i nakazał jej „najwyższą ostrożność”. Zmusiła się do zachowania spokoju. Nie mogła stracić jego zaufania.

– Moje drogie dziecko – wyszeptał pan Fakri – Bahman jest... zajęty. To wszystko. I nie może teraz publicznie romansować.

– Jestem jego narzeczoną – wycodziła przez zaciśnięte zęby.

Pan Fakri pociągnął nosem.

– Mimo wszystko. Jestem pewien, że to rozumiesz.

– Nie, właśnie nie rozumiem.

Coś w jego postawie się zmieniło, nie wydawał się już tak surowy. Pan Fakri rozejrzał się trwożliwie po sklepie. W końcu westchnął.

– Bahman powiedział mi, że wszystko, co chciałabyś mu przekazać, może zostać zapisane w listach.

– Tak powiedział? – Serce Royi przyspieszyło.

– Tak.

Jej myśli galopowały, próbowała wyliczyć wszystkie sytuacje, które wymagały wymiany listów. Dlaczego nie mogli porozmawiać? Na pewno się ukrywał, żeby uniknąć aresztowania.

– Oczywiście. W takim razie do niego napiszę.

Pan Fakri poprawił okulary, ale nic nie powiedział.

– Panie Fakri? Czy mogę poprosić o jego adres?

– Jego adres?

– Musi pan wiedzieć, gdzie go znaleźć. – Stąpiła po grząskim gruncie, nie chciała za bardzo naciskać. Jeśli on zechce wycofać swoją ofertę...

– Przynoś listy do mnie. Ja zadbam, żeby dotarły do niego.

– Słucham?

– Proszę, młoda damo.

– Ale jak?

– Tak samo, jak robię to dla innych. Mam swoje sposoby.

Nie potrafiła się powstrzymać, by nie zapytać:

– Jakie sposoby?

– Roya-chanom, a jak według ciebie w tym mieście przesyłają do siebie wiadomości młodzi ludzie, którzy nie mogą do siebie zadzwonić ani się spotkać?

– Telegramem?

– Moja młoda damo. W książkach. Dają mi listy, a ja umieszczam je między stronami książek. I gdy następna osoba przychodzi „kupić” książkę, otrzymuje egzemplarz z wiadomością w środku.

Roya rozejrzała się po sklepie, po półkach pełnych tomów, które tak bardzo kochała. Nie miała pojęcia, że te książki pełnią funkcję kanału komunikacyjnego. Że ludzie wkładają w nie wiadomości, wykorzystując pana Fakri jako pośrednika. Sklep, który kochała, w którym spędziła tak wiele popołudni na studiowaniu, czczeniu, nagle wydał jej się lekko złowrogi. A zatem to było nie tylko miejsce, w którym tajnie rozprowadzano materiały polityczne, ale też punkt wymiany korespondencji?

Nie chcąc stracić jedynej potencjalnej drogi komunikacji z Bahmanem, wzięła głęboki oddech.

– Oczywiście. Doceniam to. Jutro przyniosę panu list.

Kiedy wyszła na ostre słońce, miasto śmierdziało upałem i niepokojem. Od pewnego czasu krążyły pogłoski o zamachu stanu; coraz więcej osób podzielało obawy Bahmana, że wojska szacha sprzymierzą się z zagranicznymi siłami i obalą premiera. Bez względu na to, gdzie przebywał, Bahman musiał być zaangażowany w działania aktywistów próbujących udaremnić zamach. Może to oznaczało, że nie został aresztowany, może tylko się ukrywał. Przecież pan Fakri nie mógłby przekazywać mu listów, gdyby Bahman rzeczywiście siedział w więzieniu. Oczywiście pan Fakri wiedział więcej, niż jej zdradził. To było zupełnie jasne. Jednak z jakiegoś powodu zachował to dla siebie. I dobrze. Przynajmniej mogła do niego napisać. Miała chociaż to.

*

Napisała list na kartkach z notesu, który kupiła w sklepie pana Fakri, niebieski atrament pióra wypełniał strony wyrazami tęsknoty. Miała niezliczoną ilość pytań. Czasami nie potrafiła nic poradzić na to, że pisała w pewnym rytmie, kadencji, którą ktoś życzliwy (nie jak nauczycielka literatury w ostatniej klasie, pani Daszti) mógłby nazwać poezją.

Następnego dnia dała list w zaklejonej kopercie panu Fakri, który obiecał, że korespondencja trafi w ręce Bahmana. Powiedział te słowa, ciężko wzdychając, jakby robił to wszystko wbrew własnej woli.

– On mi odpisze, tak? – Nie mogła powstrzymać się przed zadaniem tego pytania.

Pan Fakri potrząsnął głową i wymamrotał coś o świeżej miłości i o „skandalicznych aktach wiary”. Jednak wziął jej kopertę.

Kiedy kilka dni później wróciła do sklepu, w środku kręciło się kilku mężczyzn w melonikach i czarnych spodniach. Obawiała się, że mogą być tajnymi zwiadowcami szacha. Pan Fakri z oficjalnym uśmiechem podał jej egzemplarz poezji Rumiego. Wzięła go, podekscytowana, i czując, że jej serce zaraz wybuchnie, minęła kilka przecznic; dopiero wtedy odważyła się otworzyć książkę.

Między stronami, mocno wciśnięta, spoczywała koperta. Roya schwyciła ją tak kurczowo, że aż rozboleły ją kłykcie, po czym schowała kopertę z powrotem do książki, nie mając odwagi otworzyć jej na ulicy i przeczytać listu publicznie, jakby było to w jakiś sposób nielegalne. Będzie musiała poczekać, aż zostanie sama.

Przez całą drogę do domu przyciskała książkę do serca. Jednak oczywiście gdy tylko weszła Zari, zaczęła narzekać, że od obierania tych wszystkich bakłazanów bolą ją palce, podczas gdy Roya szwenda się po ulicach. Że Roya nigdy nie wykonuje swojej części pracy. Kazeb, pomoc domowa, łypała na Royę podejrzliwie, chustkę na głowie miała przekrzywioną, a twarz spoconą od obierania bakłazanów, co najwyraźniej było zadaniem na to popołudnie. Maman wskazała Royi, by usiadła w kuchni na odwróconym wiadrze i razem obierały bakłazany, kroiły, soliły, płukały, suszyły i smażyły. Baba uwielbiał to danie i wieczorem przy kolacji zachwycał się, jakimi były wszystkie kucharkami. Im więcej mówił o bakłazanach, i tylko bakłazanach, tym bardziej Roya była pewna, że martwił się o Bahmana i próbował zamaskować niepokój. A ona nie mogła się doczekać, kiedy kolacja dobiegnie końca i będzie mogła pójść do pokoju, który dzieliła z Zari, poczekać, aż siostra zaśnie, i w końcu otworzyć i przeczytać list od Bahmana.

Gdy były w koszulach nocnych, po tym, jak już Zari nawinęła pasma włosów na paski z gazety, Roya pragnęła tylko, żeby siostra poszła spać. Jednak Zari była w gadatliwym nastroju.

– To całe obieranie bakłazanów niszczy mi dłonie. Spójrz na moją skórę, Roya. Tylko popatrz. Cała poobcierana i już robi się szorstka. Nie mogę tego znieść.

– Twoje dłonie są w porządku – wymamrotała Roya. Modliła się, żeby Zari już poszła spać i żeby ona mogła przeczytać list.

– Nie dzięki tobie, Roya! A tak w ogóle to gdzie byłaś dziś po południu? Razem z Kazeb musiałyśmy prawie wszystko obrać same. To niesprawiedliwe. Tylko dlatego, że wychodzisz za męża...

– Zari się powstrzymała. – Przepraszam. Wiem, że się o niego martwisz. Przy kolacji byłaś taka cicha. Wiem, że nie robisz nic innego, tylko myślisz o Bahmanie. Ale musisz przyznać... po prostu musisz się zgodzić, że...

– Że co, Zari? – spytała cicho Roya.

– Może to przeznaczenie, że Bahman wziął nogi za pas. Może po prostu nie można oczekiwać niczego więcej od kogoś z taką obsesją na punkcie premiera. Prawdopodobnie knuje w ukryciu jakąś polityczną intrygę. Kto wie? Być może wszyscy byliśmy głupi, wierząc, że sprzeciwi się matce i z tobą ożeni. – Zari skrzyżowała ramiona. – Może być tak, że on po prostu nie mógł tego zrobić, Roya. Przykro mi, że tak mówię. Ale tak może być. Roya?

Roya niewiele mówiła, słuchała tylko, jak jej siostra nawija dalej. Kiedy Zari zaczynała jedną ze swoich tyrad, najlepiej było ją ignorować. Nie chciała przedłużać tej rozmowy. Pragnęła tylko przeczytać list. Zari nie wiedziała, że Bahman do niej napisał!

– Zmieni świat, akurat! Bezdenną głupotą było sądzić, że on tak po prostu sprzeciwi się swojej matce. Ale nie martw się, siostró! Przynajmniej pani Aslan nie będzie przez resztę życia kasać twojej duszy. Prawda?

– Dobranoc, Zari.

W końcu, gdy oddech siostry się wyrównał i Roya była pewna, że Zari zasnęła, wstała z łóżka i usiadła przy oknie, żeby w świetle księżycy przeczytać list od Bahmana. Bardzo ostrożnie otworzyła kopertę, jakby słowa w środku mogły się potłuc lub wypaść w nieładzie, gdyby nie obchodziła się z listem, jak należy.

Najdroższa Royu,

myślałem, że umrę ze szczęścia, kiedy dostałem Twój list. Boże, tak bardzo za Tobą tęsknię. Nie mogę myśleć, prawie nie mogę jeść. Przez tych kilka ostatnich dni miałem ochotę wyjść z siebie. Mam wrażenie, jakbym nie widział Cię całymi latami. Przepraszam, że musiałem tak nagle wyjechać. Chciałbym móc powiedzieć Ci dlaczego – i pewnego dnia powiem. Na razie wiedz, proszę, że nic mi nie jest, nie musisz się martwić. Wróć, jak tylko będę mógł. W tej chwili sytuacja jest skomplikowana i muszę to wszystko przemyśleć, znaleźć jakieś wyjście. Nie mogę się doczekać, żeby znów wziąć Cię w ramiona.

Poczułem taką ulgę, kiedy dostałem Twój list! Powiedz swoim rodzicom, aby się o mnie nie martwili. Nic mi nie jest, daję słowo. Mam nadzieję, że Zari za bardzo cię nie nęka.

Jesteś we wszystkim, co widzę. Jesteś ze mną w każdej chwili, Roya-dżun.

Pełen nadziei, że znów Cię zobaczę – im szybciej tym lepiej.

Jesteś moją miłością.

Bahman

Przesunęła palcem po kartce, pragnąc, by z papieru uniósł się jego zapach, by przez opuszki palców część niego wniknęła w nią. Wcześniej tylko raz widziała jego pismo, w dedykacji wypisanej w notesie, który podarował jej na Nowy Rok. Patrząc znów na jego litery, czuła się tak, jakby trzymała kawałek niego. Czuła go w każdym zaokrągleniu i pochyleniu znaków na stronie. A gdy czytała list jeszcze raz, i jeszcze, i jeszcze, słyszała jego głos.

Oczywiście jej odpowiedź była wylewna i przepełniona tęsknotą. Zwykle bywała bardziej oszczędna w słowach, nawet kiedy zostawali sami. Jednak z jakiegoś powodu na papier mogła przelać to, co trudno było jej wypowiedzieć na głos. Mogła być równie czuła. Ale mogła też być bezpośrednia, mogła zadawać mu trudne pytania. „Gdzie jesteś?”, napisała. „Dlaczego nie mogę cię zobaczyć?”.

Kiedy następnego dnia podała list panu Fakri, poczuła się naga. Ale koperta była zaklejona. Poza tym na pewno pan Fakri miał ciekawsze zajęcia niż czytanie czułych słówek dwojga nastolatków. Pomyślała o swoich słowach, umieszczonych między stronami tomiku perskiej poezji, otulonych wersami starożytnych. Ich miłość była tam bezpieczna. W pewien sposób tam przynależała. Próbowała wyobrazić sobie, jak jeden z przyjaciół Bahmana albo jakiś towarzysz aktywista przychodzi do sklepu,

odbiera książkę, po czym dostarcza ją do adresata, gdziekolwiek on był.

Do nadejścia następnego listu była niespokojna, roztargniona i zamyślona. Wchodziła w ściany, wpatrywała się w przestrzeń; nic nie mogło jej wyrwać z rozmyślań o nim. Uspokoila się na chwilę dopiero, kiedy otrzymała odpowiedź. Czytać jego słowa, widzieć jego zamaszyste pismo, sposób, w jaki czynił perskie „n” tak pewnym i zdecydowanym, jak jego linijki wędrowały na końcach lekko ku górze... Trzymając ten cienki arkusik w dłoni, czuła się tak, jakby go słuchała.

Rządowa policja coraz częściej odwiedzała sklep papierniczy. Nie była to już bezpieczna przystań. Policjant lub dwóch kręciło się przy stertach książek – na początku sporadycznie, potem, jak się wydawało, nieustannie. Obserwowali, kto przynosił czyje przemówienia. Zapisywali dane klientów, którzy pytali o wydawnictwa popierające premiera, i zwracali szczególną uwagę, kiedy ktoś szukał czegokolwiek, co miało związek z marksizmem. Pan Fakri wyglądał na osaczonego i zmęczonego. Jak wszyscy obserwowani przez agentów rządowych, miał ostrożne ruchy i sztuczny głos. Nadał wybierał dla Royi książki najlepszych autorów i dbał, by otrzymywała swoją cotygodniową dawkę poezji, jednak teraz był roztargniony i zatroskany. Roya już nie zwlekała w sklepie. Brała swoją książkę od pana Fakri, tak naturalnie, jak to tylko było możliwe, starając się nie pokazać, że wie, iż książka zawiera nie tylko słowa autora, ale również Bahmana. Potem wybiegała na zewnątrz i czekała, aż zostanie zupełnie sama, by je przeczytać.

Moja najdroższa Royu,

myślę o Tobie przez cały czas – każdego dnia, każdej nocy. Prawda jest taka, że nie ma chwili, abyś nie gościła w moich myślach, i nie chciałbym, aby było inaczej. Pewnego dnia spojrzymy wstecz na tę rozłąkę i będziemy się śmiać. Nie mogę się doczekać, kiedy to wszystko będzie za nami. Wszędzie widzę Twoją piękną twarz. Jeśli się o mnie martwisz, wiedz, proszę, że jestem bezpieczny, zdrowy, brakuje mi jedynie Ciebie, co oznacza, oczywiście, że brakuje mi wszystkiego. Odliczam dni, Royadżun. Po prostu sytuacja jest w tej chwili trochę skomplikowana. Premier, jego rząd, wszystko jest w niebezpieczeństwie, ale to my na ten okres w historii spojrzymy z dumą. Budujemy naszą demokratyczną przyszłość. I znowu zaczynam, wiem, że nie lubisz, kiedy zbyt dużo mówię o polityce. No dobrze, pozwól mi powiedzieć, że nie mogę się doczekać, kiedy się ożenię.

Ważę się marzyć o naszych dzieciach.

Wszystko mam zaplanowane. Powinienem wrócić za kilka tygodni.

Pełen nadziei, że znów Cię zobaczę – im szybciej, tym lepiej.

Jesteś moją miłością.

Bahman

ROZDZIAŁ JEDENASTY

1953

KWAŚNE ŚLIWKI

Siostró, na Boga, odłóż te bzdury i chodź spać!

Roya nadal siedziała w nogach łóżka.

– Czytałaś je? Powiedz mi, że ich nie czytałaś.

– Naprawdę, wołałabym obrać z Kazeb dziesięć kilo bakłażanów niż czytać przesłodzone wynurzenia twojego kochanka aktywisty.

– To skąd wiesz?

– Daj spokój, Roya. Nie mamy przed sobą tajemnic. Siostry muszą sobie ufać, prawda? Wracaj do łóżka. Czytasz te listy co noc. Myślisz, że nie słyszę, jak wyciągasz pudełko spod łóżka, szeleścisz kartkami i dramatycznie pociągasz nosem? Trochę to głupie, jeśli chcesz znać moje zdanie. – Zari zamilkła na chwilę, po czym zapytała: – Dlaczego wyjechał? Gdzie on jest?

Roya czuła się zażenowana, że przez cały ten czas jej siostra wiedziała o listach, i upokorzona, że po tylu wiadomościach od Bahmana nadal nie potrafiła odpowiedzieć na pytanie, gdzie on jest i dlaczego wyjechał.

– To nie ma znaczenia – wymamrotała.

– Został aresztowany? Jest w więzieniu? – Zari usiadła gwałtownie w ciemności. Chociaż w blasku księżycy trudno było odczytać wyraz jej twarzy, Roya wyczuła, że siostra jest podekscytowana na myśl o Bahmanie w więzieniu.

– Idź spać, Zari. I tak nie się spodziewam, że to zrozumiesz.

– Dlaczego?

– Tobie trudno byłoby opisać potęgę tego uczucia. Nie obraż się, ale nie masz pojęcia, jak to jest się zakochać.

Pożałowała swoich słów, gdy tylko je wypowiedziała. Od strony łóżka dobiegł cichy dźwięk. Zduszony pisk. Czy to był tłumiony szloch? Ale oczywiście Zari prawdopodobnie się z niej śmiała – to był najpewniej stłumiony chichot z Bahmana. Roya schowała listy z powrotem do pudełka, które wsunęła na miejsce. Położyła się do współdzielonego z siostrą łóżka.

– Dobranoc, Zari. – Odwróciła się do niej plecami.

– Myślisz o nim, prawda? – Zari nawet nie brzmiała, jakby była śpiąca.

– Słucham?

– Myślisz o nim przez cały czas. Prawda? Jest pierwszą osobą, o której myślisz po przebudzeniu. Pojawia się w twoich snach. Wołałabyś nie myśleć o nim bez przerwy, ale nic na to nie możesz poradzić. Tego nie można powstrzymać. Jakby był cały czas z tobą. Czy nie tak?

– Też czytałaś zagraniczne powieści? – Roya uniosła się na łokciu i obróciła do siostry. Skąd Zari tak dokładnie wiedziała, jakie to uczucie? Jej skoncentrowana na sobie siostra nie mogła przecież się zakochać. Czy jednak mogła?

Zari zwinęła się w ciasny kłębek pod miękkim bawełnianym prześcieradłem. Milczała.

– Dobranoc, siostró.

Roya znów się obróciła i leżały plecami do siebie, każda zwinęta w pozycji embrionalnej, dotykały się tylko pupami. Spały tak, odkąd Zari była na tyle duża, by opuścić sypialnię Maman i Baby.

– Dobranoc, Zari.

*

Frazy z listów Bahmana stały się Royi tak dobrze znane jak wersy słynnych poetów lub słowa popularnych piosenek. Zachowała je w pamięci na zawsze. Recytowała je w myślach tamtego lata, czekając na jego powrót. „Myślę o Tobie przez cały czas – każdego dnia, każdej nocy... Wszędzie widzę Twoją piękną twarz”. Przypominała sobie wers z jednego z jego listów, kiedy pomagała Maman w kuchni, gdy przyszywała z Zari małe kwiatki do bluzki, kiedy piła melona z lodem, by się ochłodzić. Pamiętała jego słowa, gdy na zewnątrz mnożyły się wiece, a rozłamy polityczne pogłębiały.

Do przechowywania listów Bahmana wybrała blaszaną puszkę, małą, bo przecież on lada dzień wróci, i nie sądziła, by jeszcze długo je wymieniali. Jednak ku jej zaskoczeniu plik w puszcze rósł. On nie wrócił tak szybko, jak miała nadzieję. Pod jego nieobecność czuła się mniejsza. Bez niego była zagubiona. Każdy list, jaki otrzymywała, podnosił ją na duchu, dawał powód, by iść do przodu. Jednak lęk nie malał. Czuła się chora od wątpliwości, chora z samotności i chora z tęsknoty.

Czy to możliwe, że przez listy jej miłość do niego wzras-ła? Tak było. Nabierała siły, utwierdzała się. Im częściej czytała jego słowa i śledziła jego pismo na kartce, tym bliższa niego się czuła. Od jego wyjazdu jedzenie nie smakowało tak samo; słońce było przygaszone; wszystko okrywał kir. Jednak jego listy krzepiły ją i łagodziły poczucie pustki, przynajmniej na chwilę. Jego głos rozbrzmiewał w każdej sylabie – przekonywała samą siebie, że jego piżmowy zapach wniknął w fakturę papieru, na którym do niej pisał.

„Gdybym tylko nie musiał być teraz daleko. Chciałbym być z Tobą. Mamy przed sobą resztę życia razem, wynagrodzę Ci to, Roya-dżun. Wkrótce sama zobaczysz i zrozumiesz”.

Chociaż desperacko pragnęła wiedzieć, dlaczego musiał wyjechać, ufała mu. Niemożliwe było doczytać jego list do końca bez przekonania, że żaden człowiek nigdy nie kochał nikogo tak mocno jak Bahman kochał ją. Musiał mieć swoje powody, później je wyjaśni; wierzyła mu. Gdy tylko nachodziły ją wątpliwości, kiedy tylko czuła się zbyt zagubiona, wyciągała puszkę listów spod łóżka i jego słowa stanowiły antidotum. Listy były ekscytujące i pokrzepiające jednocześnie. Przekonywały ją, że nigdy nie istniał czulszy, bardziej romantyczny mężczyzna.

„Niczego bardziej nie pragnę, niż się do Ciebie zbliżyć, Roya-dżun. Niczego innego nie pragnę”.

*

Bahman zawsze odpisywał. Nigdy nie kazał jej czekać. Przedostatni list znajdował się między stronami poematu miłosnego Rumiego, który czytała tamtego wiosennego dnia, kiedy pan Fakri popędził do banku, a oni z Bahmanem po raz pierwszy zostali sami. Royę bardzo poruszył ten gest. Czy pan Fakri widział, że ona czytała ten wiersz? Czy zwrócił aż taką uwagę i teraz specjalnie włożył tam dla niej kopertę? Jak zawsze powąchała papier w poszukiwaniu zapachu Bahmana. Jego list zaczynał się od tego, jak bardzo za nią tęskni. Jednak potem przechodził w opisy lęku przed obaleniem premiera Mosadeka i niebezpieczeństw wynikających z obcych wpływów. Posiadanie ropy było ich przekleństwem, pisał – „wyobraź sobie, jak odmiennie wyglądałaby sytuacja, gdyby inni nie byli tak zachłanni na naszą ropę”. Opisywał rywalizację Brytyjczyków i Rosjan o wpływy w ich kraju. „Groźba zamachu stanu, inwazji i wojny – to wszystko prawda, Roya-dżun. Ale my będziemy walczyć!”.

Podpisał list słowami: „*Ja marg ja Mosadek!*”. Mosadek albo śmierć!

Późno w nocy Roya siedziała w nogach łóżkach w ciemności, z listem na kolanach, aż Zari w końcu wrzasnęła:

– Na Boga, kładź się spać, ty usychająca z miłości idiotko!

*

Wiosna, pełna rozkosznych wycieczek do cukierni i wspólnych spacerów, oraz wczesne lato, z zaręczynami i wieczorkami tanecznymi, przeszły w pełnię lata, przetykaną jedynie ukrywanymi w książkach listami. Jednak ostatni list Bahmana był w tej samej mierze mową polityczną co miłosną odą. Podczas gdy Teheran buzował od demonstracji i napięcia politycznego, Roya czuła się coraz bardziej samotna. W całej tej zawierusze bardziej niż kiedykolwiek martwiła się o jego bezpieczeństwo. Czy brał udział w tajnych działaniach przeciw szachowi? Czy rzeczywiście siedział w więzieniu? W swoim ostatnim liście wyraził oddanie jej i premierowi niemal w tym samym zdaniu.

Aby uciec przed upałem, Roya i Zari często chadzały wieczorami i w nocy na dach domu. Maman ułożyła na jego płaskiej powierzchni chodniki i czasem nawet tam spały. Pewnego popołudnia, po długiej drzemce, kiedy reszta domowników, w tym również Kazeb, krzątała się w obejściu, siostry poszły na dach, chociaż upał jeszcze nie zelżał. Usiadły na chodniku i postawiły między sobą miskę cierpkich zielonych śliwek. Słońce prażyło, a uliczni handlarze zachwalali krzykliwie swoje towary.

– Siostro, musisz się rozchmurzyć. Daj spokój. Minęły tygodnie, odkąd on wyjechał, a ty cały czas jesteś smutna. Masz jego listy, prawda? Myślałam, że dzięki nim czujesz się lepiej.

Roya nie wiedziała, jak bardzo może zwierzyć się Zari, ale siostra była jedyną osobą, jaką miała.

– Jego ostatni list był trochę dziwny – przyznała w końcu.

– Och? – Zari wzięła zieloną śliwkę i wgryzła się w nią.

– Pisał tylko o tym, jak bardzo się martwi, że premier Mosadek zostanie obalony na skutek zamachu stanu.

– Jakże romantycznie.

Roya położyła się na chodniku i podłożyła ręce pod głowę. Słońce przyjemnie grzało ją w policzki, chociaż Maman byłaby wściekła, że wystawia twarz na promienie. Słońce było przekleństwem Maman: martwiła się piegami i opalenizną. Sądziła, że jej córki powinny mieć tak jasną karnację, jak to tylko możliwe. Royę doprowadzało do szału, że Irańczycy są uważani za piękniejszych, jeśli mają jaśniejszą skórę. Do jej oczu napłynęły łzy. Chciała być z Bahmanem. Bez względu na to, czy odpowiadała za to biologia, głupota czy młodość, nic nie mogło ukoić tego wszechobecnego pragnienia.

Nagle przesiąknięte śliwkowym sokiem palce Zari zaczęły głaskać ją po policzku, ocierając łzy.

– Daj spokój. Wystarczy. Jestem pewna, że nic mu nie jest. Prawdopodobnie wyjechał... z dobrego powodu. Założę się, że są na północy, nad morzem, to wszystko. Bóg świadkiem, że jego matka nie mogła przestać się chwalić ich *villa*, kłuchała ją nas w oczy. Daj spokój, siostro. Jestem pewna, że nic mu nie jest.

– Powiedziałyby mi – odparła Roya, podczas gdy klejące śliwkowe palce Zari nadal gładziły jej twarz. – Pewnie został aresztowany. Albo ukrywa się ze złego powodu. Gdyby po prostu jechał na północ do willi, toby mi powiedział.

Okrzyki sprzedawcy melonów, pchającego swój wózek po ulicy poniżej, brzmiały niemal jak pieśń żałobna, przypominały wezwanie na modlitwę. W palącym, bezlitosnym słońcu były jak zwiastun nieszczęścia.

– Wstawaj, siostro. Pozbieraj się. Idź do sklepu. Założę się, że czeka tam na ciebie list.

*

Kiedy Roya przyszła do sklepu papierniczego, pan Fakri zajmował się klientami. Czekwała cierpliwie, aż sfinalizuje transakcję, obserwując ich czujnie. Już nikt nie wiedział, kto może być szpiegiem, tropiącym zwolenników premiera.

– Wybacz mi, Roya-chanom, ale muszę przygotować zamówienia. I zrobić inwentaryzację. Muszę dokonać obliczeń – powiedział pan Fakri, kiedy klienci wyszli.

– Oczywiście. – Była zaskoczona jego bezpośredniością, ale może po prostu miał dużo pracy. – Zastanawiałam się tylko, czy może ma pan... coś dla mnie?

Zadzwoił dzwonek i oboje spojrzeli na drzwi. Przybyła kobieta szybko odwróciła się do nich plecami. Roya nie zdążyła dostrzec jej twarzy.

Pan Fakri wyglądał na osłupiałego.

– Daj mi chwilę – rzucił w roztargnieniu do Royi.

Zniknął na zapleczu na dłużej niż zwykle i wrócił z kopertą. Roya poczuła strach, widząc, że nie wetknął jej między kartki książki. W dłoni pana Fakri koperta wydawała się pozbawiona ochrony i niebezpieczna. Wolałaby, żeby ją ukrył.

Jakby czytając jej w myślach, wyjaśnił:

– Oczywiście, że mogę ci dać list, kiedy nikogo nie ma. W tej chwili nie ma potrzeby, by go chować.

Roya się rozejrzała. Kobiety nigdzie nie było widać.

– Och – powiedziała. – Po prostu wydawało mi się... no dobrze, nieważne. Dziękuję.

Sięgnęła po kopertę, ale pan Fakri jej nie puszczał. Przez chwilę wydawało się, że zmienił zdanie, i Roya pomyślała, że może policjant lub kobieta, którą widziała kilka sekund wcześniej, wróciła do sklepu, chociaż ona nie słyszała dzwonka, albo spomiędzy półek nagle wyłonił się ktoś podejrzany.

– Panie Fakri?

Spojrzał na nią, bardzo zaniepokojony. A potem rozluźnił chwyt na kopercie.

– Proszę, młoda damo. Proszę. Tylko... – Wciągnął powietrze. – Proszę, bądź ostrożna.

– Oczywiście – obiecała Roya, zdezorientowana jego tonem.

*

List był krótki, ale mówił wszystko:

Dłużej już tego nie zniosę. Wracam. Wszystko wyjaśnię. Proszę, wybac mi, Roya-dżun. Wiem, że nie było Ci łatwo. Nie chcę, żebyśmy jeszcze kiedykolwiek musieli znosić taką rozłąkę. Nie mogę się doczekać, żeby z Tobą być, żeby być z Tobą naprawdę. Wiem, że ślub został zaplanowany na koniec lata; wiem, że Twoja matka czyni przygotowania. Ale mam pomysł. Czy pójdziesz ze mną do Urzędu Ślubów i Rozwodów? Możemy tam wziąć udział w krótkiej, oficjalnej ceremonii, możemy legalnie się pobrać. Nawet nie wiesz, ile by to dla mnie znaczyło. Jeśli się zgadzasz, odpisz, proszę, i daj list panu F. Najszybciej, jak to możliwe. Spotkajmy się na placu Sepah, na środku, dwudziestego ósmego Mordad¹⁰, w południe. Albo trochę później, jeśli nic nie będę mógł na to poradzić. Spotkajmy się tam i już na zawsze bądźmy jednością. Ekscytacja na myśl o spotkaniu z Tobą pomoże mi przetrwać następnych kilka dni.

Pełen nadziei, że znów Cię zobaczę – już wkrótce!

Jesteś moją miłością.

Bahman

10 *Mordad* – piąty miesiąc oficjalnego kalendarza Iranu.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

19 SIERPNI 1953

ZAMACH STANU

W nocy piętnastego sierpnia tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego trzeciego roku pułkownik Nassiri wraz ze swoimi ludźmi udał się do domu premiera Mosadeka z dekretem od szacha, nakazującym premierowi ustąpienie ze stanowiska. Jednak, jak później dowiedziała się Roya, do Mosadeka dotarły słuchy o planowanym zamachu stanu i był gotowy na pojawienie się sił pułkownika Nassiriego. Pułkownik Nassiri został aresztowany i ogłoszony zdrajcą. Następnego ranka Baba, który zawsze włączał Radio Teheran dokładnie o szóstej rano, klepał raz za razem w zadziwiająco milczący odbiornik. W końcu, około godziny później, w domu gruchnęła wojskowa muzyka. Baba musiał wcześniej maksymalnie zgłośnić radio w nadziei, że usłyszy jakieś wiadomości. Spiker poinformował cały kraj o zdradzieckiej próbie usunięcia premiera. Mosadek przemówił na antenie; szach wraz z zagranicznymi siłami próbował dokonać zamachu stanu, wyjaśnił, który został udaremiony. Wszystko było w porządku. Baba przez dobry kwadrans nie mógł się ruszyć.

– Wszystko w porządku, Baba. Ponieśli klęskę – zapewniła go Roya.

– Nie mogę uwierzyć, że naprawdę próbowali – odpowiedział Baba. Z jego twarzy odpłynęła cała krew.

– Ale im się nie udało. Mosadek jest bezpieczny. Wszystko wróci do normalności. – powiedziała. Chciała dodać otuchy tak samo jemu, jak i sobie. Już za kilka dni miała spotkać się z Bahmanem i nic nie mogło stanąć im na przeszkodzie.

Usłyszeli w wiadomościach, że szach zabrał żonę i trochę dobytku i w środku nocy uciekł samolotem do Bagdadu.

Baba był wściekły.

– Co za wstyd – stwierdził. – Próbować usunąć dobrego premiera, a kiedy się nie udaje, uciekać! Tak właśnie się dzieje, kiedy poddajesz się wpływom chciwych krajów imperialistycznych. Zapamiętajcie moje słowa, za tym wszystkim stoją Brytyjczycy. I pewnie też Amerykanie.

– Amerykanie? Oni nigdy nie zrobiliby czegoś takiego. Nie są na tyle przebiegli – odparła Maman.

Roya czuła jednocześnie ulgę i strach. Bahman miał rację: ludzie knuli przeciw Mosadekowi, a dekret szacha wyznaczał nawet na stanowisko premiera generała Zahediego. Jednak dzięki Bogu Mosadek ich powstrzymał. Przez następnych kilka dni, gdy aresztowano coraz więcej związanych z zamachem konspiratorów, Roya odliczała godziny. Już nie mogła doczekać się środy. Bardziej niż cegokolwiek pragnęła znów zobaczyć Bahmana. Czy nadal był bezpieczny? Czy miał z tym wszystkim coś wspólnego? A jeśli nie i po prostu się ukrywał, to co myślał o tych szalonych zdarzeniach?

W dniu po próbie zamachu Roya i Zari wyszły na zewnątrz, ale nie odważyły się pójść daleko. Wszędzie stały dodatkowe patrole policji. Ulice zaścieniały kopie dekretu szacha nakazującego, by premiera Mosadeka zastąpił generał Zahedi.

– Jak oni w ogóle tak szybko robią tyle kopii jednej kartki? – zapytała Zari.

Roya wzruszyła ramionami.

– Maszyny w Ameryce mogą robić takie kopie.

– Też wierzysz w teorię spiskową? – dopytywała Zari.

– Dżale Tabataj powiedziała...

– Dżale Tabataj jest zakochaną w Rosjanach komunistką i dobrze o tym wiesz. Ameryka nie ma

z tym nic wspólnego.

Roya chciała, by siostra miała rację. Z filmów wyświetlanych w kinie Metropol, z tłumaczonych powieści ze sklepu pana Fakri i z piosenek Sintary na gramofonie Dżahangira знаła Amerykę roziskrzoną, pełną olśniewających ludzi, którzy ciągle się całują. I takiej Ameryki pragnęła, a nie tej, która knuje, jak obalić rząd w jej kraju.

Kiedy w poniedziałek Baba wrócił z pracy, powiedział, że demonstranci przeszli z południa miasta na plac Baharestan i obalili pomnik szacha Rezy. Plądrowali budynki i przetrząsali biura, nawet podkładali ogień.

– Dlaczego zwolennicy Mosadeka stali się tak agresywni? – zapytała Maman. – Ich Front Narodowy wygrał. Po co prowokować bez powodu?

Baba potarł twarz.

– Nawet nie wiem, czy to byli prawdziwi zwolennicy Mosadeka. Mogli zostać opłaceni.

– A kto by im zapłacił? Szach wyjechał z kraju, jego poplecznicy są zniechęceni. Kto by im zapłacił, żeby niszczyli i wywoływali zamieszki? – Ton Maman był sceptyczny.

Baba nie odpowiedział. Roya wiedziała, że jego zdaniem za tym wszystkim stały obce siły. Wiedziała, że myślał o Ameryce. Ale musiał się mylić. Chciała wierzyć w Amerykę z romantycznych filmów, nie z horrorów Baby.

Pod koniec trzeciego dnia demonstracji, zakłócających spokój po próbie zamachu, premier Mosadek nakazał swoim zwolennikom pozostać w domach. „Już wystarczy”, powiedział. „Koniec okupowania ulic. Żadnych więcej demonstracji”.

Kiedy we środę rano Roya szła do lokalnych *hammam*, łaźni, ulice były o wiele spokojniejsze niż przez ostatnich kilka dni. Dzięki Bogu. Ludzie posłuchali Mosadeka i zostali w domach. Nawet w *hammam* było niemal pusto. Pięć godzin. Już za pięć godzin znów ujrzy Bahmana. Dotknie go, wtuli się w niego, porozmawia z nim. Przez ostatnich kilka tygodni każdy dzień jego nieobecności był męczarnią. Bez niego czuła się przytłoczona i nieważka jednocześnie. Funkcjonowała jedynie dzięki wersom z jego listów. Jego słowa kazały jej stawiać jedną stopę przed drugą, nawet teraz, w tej wielkiej łaźni.

Zdjęła ubranie w szatni. W zaparowanej, nakrytej kopułą sali głównej zanurzyła się w jednej z ciepłych wani. Podczas gdy kobieta w średnim wieku myła jej włosy i powoli masowała głowę, Roya zamknęła oczy i wzięła głęboki wdech. Po kilku błogo cichych chwilach pracownica wyrzuciła z siebie:

– Panienko, muszę to panience powiedzieć. Gdyby tylko premier Mosadek nie rozwiązał kilka tygodni temu parlamentu, to w ogóle nie wpadłby w tarapaty. Prawda? Próbował zagarnąć zbyt wiele władzy, ot co. Mosadek odsuwał monarchę na bok. Ale mamy za sobą tysiące lat władzy szachów, czyż nie? Jesteśmy krajem królów. Mosadek nie powinien tego ignorować.

– Myśli pani, że mogłybyśmy po prostu...

– Z całym należnym szacunkiem, chanom, szach zrobił dla tego kraju tak wiele dobrego, że premier powinien dziękować swoim szczęśliwym gwiazdom, że w ogóle mamy takiego szacha. Niewdzięczność wobec szacha będzie końcem tego kraju, mówię panience.

Roya mocno zacisnęła powieki i nic nie powiedziała.

Przy następnym stanowisku młoda dziewczyna, która wyglądała, jakby była mniej więcej w wieku Royi, złuszczała jej skórę szorstką, materiałową *kise*. Martwy naskórek odklejał się od ciała Royi niczym ścierki z gumki kupionej w sklepie pana Fakri. Miło było pozbyć się niechcianych toksyn i napięcia poprzednich kilku tygodni. Roya czuła się lżejsza, jakby ktoś zdjął z niej część ciężaru. Jednak wtedy dziewczyna powiedziała, że Rosja jest naszym przyjacielem i że Iranowi najlepiej by zrobiło, gdyby poszedł jej śladem, wprowadzając ustrój polityczny, który kładł kres różnicom klasowym, niekończącemu się niewolnictwu mas i resztkom feudalnego systemu tych zatrutych ludzi. Mosadek powinien wprowadzić w Iranie komunizm, czyż nie? Dziewczyna nie przestawała mocno trzeć i wiedziała, że może to wszystko Royi powiedzieć i nie wpadnie w kłopoty, ponieważ Roya nie wyglądała na donoszącego, dwulicowego szpiega szacha. Kiedy skończyła, skóra Royi była obtarta i różowa. Roya nie odwzajemniła się żadną ripostą, jaką zapewne rzuciłby Baba, że Mosadek nie chciał komunizmu, lecz demokracji.

Przy ostatnim stanowisku w łaźni starsza kobieta pokryła każdy centymetr ciała Royi mydłem, które następnie splukała gorącą, parującą wodą. Ta pracownica, dzięki Bogu, milczała. Po myciu Roya położyła się, a kobieta wtarła olejek o zapachu jaśminu w jej nogi, brzuch i ramiona. Z każdym mocnym pociągnięciem dłoni kobiety Roya stawała się coraz bardziej ożywiona, pobudzona. Jeszcze dwie i pół godziny. Za dwie i pół godziny zobaczy Bahmana. Każda część niej budziła się do życia. Nie mogła się doczekać.

*

– *Waj!* Dlaczego wracałaś z mokrymi włosami? – krzyknęła Maman, kiedy Roya weszła do domu. – Chcesz się przeziębic?

– Jest gorąco, jak miałabym się przeziębic w środku lata? – Włosy Royi przemoczyły górę bluzki, tworząc plamę na ramionach. Co przynajmniej dało jej trochę ochłody w upale.

Maman wyglądała na zaniepokojoną.

– Mam nadzieję, że na ulicach jest bezpiecznie.

Po długim namyśle Roya postanowiła powiedzieć rodzinie, że Bahman wraca i że umówili się na placu. Baba całymi tygodniami martwił się o jego bezpieczeństwo. Maman co wieczór przesuwiała koraliki *tasbih*, modląc się o jego powrót. Wpadało im powiedzieć, że nic mu nie jest i że już wraca.

– Właśnie tam byłam, Maman. Na ulicach panuje spokój. Ludzie posłuchali. Zostali w domach. Dzisiaj prawdopodobnie jest bezpieczniej niż dotychczas.

Maman jednak nie wyglądała na przekonaną.

– Muszę się przygotować. – Roya wyszła, zanim Maman zdążyła coś dodać.

W sypialni Roya podpięła włosy spinkami, żeby uwidocznic fale. Przestała zaplatać warkocze kilka tygodni temu i teraz już nie czuła się w nowej fryzurze dziwnie, tylko swobodnie. W nadgarstki i szyję wtarła trochę wody różanej. Włożyła różową spódnicę, którą wybrała po długim namyśle, i wsunęła bluzkę do środka. Przesuwając palcami po wypukłych kwiatach wyszytych na kołnierzu, przypomniała sobie, jak razem z Zari, z pochylonymi głowami, całymi dniami haftowały maleńkie płatki. W końcu wzięła białe skarpetki do kostek. Zwycięstwo! Przeszukała wszystkie luksusowe sklepy w północnej części miasta, aż wreszcie znalazła upragnione krótkie skarpetki na bazarze.

– Z Amriki! – zachwalała pomarszczona straganiarka z bezzębnym uśmiechem. – Panienko! Z Amriki!

Skarpetki, miękkie i białe jak śnieg, pasowały na dziś idealnie. Włożyła je.

– Proszę, przynajmniej coś zjedz, zanim wyjdiesz! – zawołała Maman z salonu.

– Nie jestem głodna! – Roya była zbyt podekscytowana i zdenerwowana, żeby jeść.

Kiedy weszła do salonu, Baba, Maman i Zari siedzieli w rządku, jakby chcieli poddać ją inspekcji. Albo zatrzymać.

– Jesteś pewna, że nie chcesz nic zjeść? – Maman wyglądała na bardziej zaniepokojoną niż kiedykolwiek.

– Tak ni z tego, ni z owego wrócił do miasta? – spytała podejrzliwie Zari.

– Naprawdę nie jestem głodna, Maman-dżun – zapewniła Roya.

– Dlaczego nie umówił się z tobą tutaj? Albo w waszym ukochanym sklepie papierniczym? – dociekała Zari.

A co by się działo, gdyby powiedziała im wszystko! Że w ostatnim liście Bahman nie tylko napisał, żeby spotkali się na placu Sepah, ale aby potem poszli do Urzędu Ślubów i Rozwodów po akt małżeństwa. Maman może spokojnie przygotowywać wesele na początek września, a krewni i przyjaciele mogą wtedy przyjść i świętować. Ale przez kilka cudownych tygodni małżeństwo jej i Bahmana pozostanie w słodkiej tajemnicy. Tajemnicy tak niezaprzeczalnie rozkosznej i niebezpiecznej, że ledwo sama mogła w to uwierzyć. Pewnie wybrał plac Sepah dlatego, że był blisko Urzędu Ślubów i Rozwodów, i jeśli spotkają się w południe, będą mogli szybko tam dotrzeć, jeszcze przed przerwą na lunch. Bahman nigdy nie naraziłby jej na niebezpieczeństwo. Chociaż pisał ten list jeszcze przed próbą zamachu stanu. Ale nie wiadomo, czy ktoś go nie śledzi. Może nie chciał narażać jej rodziny, przychodząc do ich domu. Może publiczny plac był bezpieczniejszy. Prawda była taka, że w tej

chwili przeszłaby przez ogień, żeby się z nim spotkać.

Baba wstał, podszedł do wieszaka na płaszcze i sięgnął po kapelusz.

– Odprowadzę cię na plac. Nie powinnaś iść sama. Znowu mogą być jakieś demonstracje.

– Nie, Baba-dżan! Dziękuję, ale to naprawdę nie jest konieczne. Dzisiaj jest spokojnie jak nigdy.

Nic mi nie będzie.

Baba spojrział na kapelusz. Potarł kilka razy twarz, jakby próbował rozwiązać trudne zadanie matematyczne.

– Pozdrowię go od was! – Roya pocałowała Babę, Maman i Zari w policzki, po czym wybiegła.

Ale Zari poszła za nią z *andarun* przez zewnętrzne pokoje, do ogrodu.

– Posłuchaj, siostrze. *Ja* z tobą pójdę.

– Nie bądź niemądra.

– To szaleństwo iść tam dzisiaj, kiedy tyle się dzieje. Akurat w tym tygodniu! Trzy dni temu próbowali dokonać zamachu stanu. Muszę przyznać, że naprawdę macie wycucie czasu!

– Zamach udaremnilo. Premiera nie można wyeliminować. Nadal jest przy władzy, wszystko jest w porządku! – krzyknęła Roya.

– Mówisz dokładnie tak jak *on* – rzuciła Zari.

Roya pomachała siostrze i wybiegła przez furtkę.

Kiedy wyszła na boczną uliczkę, serce biło jej tak szybko, że obawiała się, czy wytrzyma, zanim w ogóle dotrze do placu. Nie mogła się doczekać spotkania z Bahmanem. Oczywiście, że nic jej nie będzie! Jej rodzina ciągle tylko się zamartwia! A tak w ogóle to co jej młodsza siostra mogła wiedzieć o prawdziwej miłości? Nie potrafiła zrozumieć, że Roya czuła w sobie moc, że była pełna siły i determinacji na samą myśl o ponownym spotkaniu z Bahmanem. Że przeszłaby przez płonące domy, żeby do niego dotrzeć.

Na ulicach było więcej przechodniów niż rano. Ależ to oczywiste. W końcu ludzie musieli pozałatwiać swoje sprawy w mieście. Oby tylko nie demonstrowali.

Zaczęło się od skandowania, brzęku łańcuchów i tupotu. Ni z tego, ni z owego ziemia pod jej stopami zadrżała. Roya odwróciła się i ujrzała grupę złożoną chyba z kilku setek mężczyzn – maszerowali od podnóża pochyłej ulicy i wznosili okrzyki. Gdy podeszli bliżej, rozpoznała, że wykrzykują wersety z sali gimnastycznej *zurhane*, gdzie wyznawcy oddawali się tradycyjnym ćwiczeniom i praktykowali rytuały treningowe. Baba czasami naśladował żartobliwie ich okrzyki, kiedy podnosił coś ciężkiego lub się rozciągał. Tłum składał się z setek ciężarowców i lekkoatletów w obcisłych sportowych strojach. Kilku z nich dźwigało nad głowami drewniane bloki w kształcie stożka i sztangi. Wąsaty mężczyzna z natłuszczonymi włosami żonglował pałkami. W końcu dziwaczny tłum przejął kontrolę nad ulicą. Samochody musiały zjeżdżać mu z drogi.

Ku zdumieniu Royi mniejsze grupki mężczyzn i kobiet dołączały do tej niemal komicznej zbieraniny atletów, ciężarowców i żonglerów. Przez to maszerujący tłum rósł, a okrzyki stawały się coraz bardziej polityczne.

– *Zende bad szah!* Niech żyje szach!

Roya z bijącym sercem ruszyła na północ, w tym samym kierunku co tłum, ponieważ musiała dotrzeć na plac Sepah. Kto zapłacił tym chuliganom, żeby wyszli dzisiaj na ulice? – słyszała w głowie pytanie Baby. Co to był za szalony nowy żart? Może Bahman wiedział o jakichś wariackich próbach, zrodzonych z desperacji. Nie mogła się doczekać, żeby opowiedzieć mu o tym przedstawieniu. Będą się z tego śmiali, kiedy znów się spotkają. Na pewno.

Szła na obrzeżach tłumu, trzymając się blisko grupki kobiet, które nie dołączyły do gawiedzi.

– *Fakat ino kam dasztim.* Jeszcze tylko tego nam brakowało – rzuciła sarkastycznie jedna z nich, a pozostałe się roześmiały. Dogadywanie kobiet podziało na Royę uspokajająco.

Jednak gdy szli w stronę centrum, nerwowa energia stłumiła nawet niefrasobliwe komentarze kobiet. Może to tylko niecierpliwość Royi karmiła jej lęki. Coraz więcej mężczyzn dołączało do tłumu, niektórzy trzymali się pod rękę.

– *Marg bar Mosadek!*

Roya gwałtownie stanęła. Nie krzyczeli: „Mosadek albo śmierć!”; krzyczeli: „Śmierć

Mosadekowi!”. Grupy przeciwników Mosadeka napływały i dołączały do początkowo błażeńskiej zbieraniny atletów i żonglerów, wypełniając ulice i chodniki tak szczelnie, że niemożliwością było iść, nie będąc częścią tłumu.

Przez sekundę zastanawiała się, czy nie zawrócić. Nie, nic jej nie będzie, przekonywała samą siebie. Bahman czekał. Stawiała jedną stopę przed drugą, jak zawsze, gdy nie wiedziała, co robić. Nie mogła się poddawać, jeśli chciała dotrzeć na plac.

Kiedy w końcu dojrzała do placu Sepah, roił się tam jeszcze większy tłum demonstrantów, przy którym grupa atletów wydawała się mała. Roya nie mogła iść, nie przepychając się między ludźmi. Z trudem parła do punktu na środku, gdzie umówiła się z Bahmanem. Było gorąco, ale powiew wiatru przyklejał jej różową spódnicę do ud. Trzech mężczyzn obrzuciło ją lubieżnym spojrzeniem, jeden z nich gwizdnął. Roya przypominała sobie zbirów, którzy pobili Bahmana pałką z łańcuchem. Poczwała żar na policzkach i obciągnęła spódnicę.

Grupa przeciwników premiera wrzeszczała coraz głośniej. Nie chciała znajdować się obok nich. Pragnęła jedynie, żeby przyszedł Bahman, żeby mogli się objąć i stąd uciec. Starła się skupić na tym, jakie to będzie uczucie znów go zobaczyć, znaleźć się blisko niego.

Dwadzieścia minut później tłum niemal się podwoił. Okrzyki stały się głośniejsze i agresywniejsze. Pot przemoczył jej pachy. Wyciągała szyję, żeby znaleźć Bahmana. Nie było go tam – ależ oczywiście, jak mógłby być; przecież sam też musiał przepchnąć się przez ten tłum, przedrzeć między protestującymi, by się do niej dostać, to w pełni rozumiała, że się spóźniła. Nikt nie mógł przewidzieć takiego zamieszania. „Akurat w tym tygodniu! Trzy dni temu próbowali dokonać zamachu stanu. Muszę przyznać, że naprawdę macie wycucie czasu!” – słowa Zari wwiercały się Royi w mózg. Ale jeśli premier z powodzeniem udaremnił próbę zamachu zaledwie kilka dni temu, to przecież nikt nie byłby na tyle głupi, by tak szybko znów czegoś próbować.

– *Marg bar Tude!* Śmierć komunistom!

– *Marg bar Mosadek!*

Coraz więcej ludzi wlewało się na plac i już wkrótce można było się udusić od ostrej woni potu i złości. Tłum miał misję; ludzie nie zebrali się tak po prostu, próbowali się poruszyć, dokądś maszerować i na pewno ich ostatecznym celem nie był plac. Walcząc z falami mdłości, Roya zdała sobie sprawę, że dążą w stronę domu premiera. Ich okrzyki domagające się jego zgonu nie ustawały. Bahman będzie załamany na widok takiej liczby rozsierdzonych przeciwników Mosadeka. Gdzie on był?

Czas płynął, a ona wciąż nigdzie go nie widziała. Była spragniona i słaba, kręciło się jej w głowie. Bluzka przykleiła się jej do piersi. Teraz już ledwo mogła się ruszyć, tyle ludzi tłoczyło się wokół niej i na całym placu. Została uwięziona.

W końcu pojawili się uzbrojeni policjanci i Royę zalała fala ulgi. Dzięki Bogu. Jednak ku jej zaskoczeniu nawet nie próbowali rozgnać tłumu. Po prostu do niego dołączyli. Opuściły ją ostatnie siły, gdy zdała sobie sprawę, że policja też bierze w tym udział. Wszystko, czego lękał się Bahman, stawało się rzeczywistością. Policja spiskowała z przeciwnikami Mosadeka, by przeprowadzić kolejny zamach stanu, żeby w końcu usunąć premiera. Premiera, którego uwielbiali Bahman, Baba i tak wielu innych. Premiera, którego uważali za swojego demokratycznego przywódcę, który miał odwagę sprzeciwić się zagranicznym siłom, pragnącym ich ropy, którego ludzie wybrali w nadziei na wprowadzenie demokracji. Bahmanowi zrobi się niedobrze na widok tej sceny. Gdzie on się podziewał? Prosiła Boga, żeby tylko był bezpieczny.

Mijały kolejne minuty. Ani śladu Bahmana. Musiała opuścić swój punkt na środku, nie mogła tak stać otoczona przez tłum. Może mogłaby odejść na bok, gdzie było odrobinę mniej ludzi. Może Bahman właśnie dotarł na plac i utknął na obrzeżach, nie jest w stanie się do niej przepchnąć. Chciała się wydostać, jednak sznur ludzi trzymał ją w pułapce. Przepychała się i rozpychała, ale przesuwiała się jedynie o kilka centymetrów, nie robiąc żadnych znaczących postępów. Zaczęła w niej wzbierać panika. Miała ochotę wrzeszczeć, uciekać.

Nagle ktoś schwycił ją za ramię.

– Roya!

Odwróciła się żeby sprawdzić, kto zawołał ją po imieniu. Włosy miał spocone i przyklejone do

głowy. Dyszał, był blady ze strachu. Wzrok zamglili jej się na chwilę, ale zaraz zdała sobie sprawę, że to pan Fakri. Czy miał pełne takiej rozpaczy, jakiej Roya jeszcze nigdy nie widziała.

– Och, dzięki Bogu! Pan Fakri! Czy widział pan...

– Roya-chanom, proszę, posłuchaj mnie... – Chwycił ją za ramiona obiema rękami tak zapalczywie, że się przestraszyła. Nigdy nie widziała go poza jego chłodnym, czystym sklepem, nie licząc przyjęcia zaręczynowego, kiedy oboje byli świadkami smutnego załamania pani Aslan. Tutaj, pod palącym słońcem, pośrodku tłumu, wydawał się niemal dziki, oszalała wersja cichego mężczyzny, podającego jej tomiki poezji i przekazującego korespondencję jej kochankowi, którego w tej chwili tak rozpaczliwie pragnęła zobaczyć.

– Muszę znaleźć Bahmana! – wrzasnęła, przekrzykując hałas.

– Roya-chanom, proszę, musisz coś wiedzieć... – Jego głos utonął w wystrzałach. Powietrze wypełniły krzyki. Smród siarki podrażnił jej nos. Kątem oka dostrzegła na obrzeżach placu dwa czołgi. To niemożliwe. Strząsnęła dłonie pana Fakri i obróciła się, by lepiej widzieć. Sukinsyny. Na czołgach stali żołnierze, celując ze strzelb. Stało też z nimi kilkoro ludzi, wymachiwali kawałkami papieru wyglądającymi jak pieniądze.

Czy jej ciało obróciło się powoli? Czy szybko? Czy wpatrywała się w żołnierzy tylko o jedną sekundę za długo? Co jej kazało zrzucić jego dłonie i obrócić się, żeby spojrzeć na młodych mundurowych na czołgach, otoczonych przez mężczyzn i kobiety, którzy wymachiwali pieniędzmi? Dlaczego wyrwała się z uścisku pana Fakri? Dlaczego się obróciła? Dlaczego go puściła?

Dlaczego się odsunęła?

Poczuła, jak coś obok niej się unosi, wiotczeje i opada na ziemię.

– Panie Fakri! – Leżał, wijąc się. Na jego piersi rozlewała się plama krwi. Ukucnęła, chwyciła go za ramiona i zaczęła wrzeszczeć: – On został postrzelony, został postrzelony!

Kilkoro ludzi uformowało krąg wokół niej i pana Fakri. Roya obserwowała dziewczynę, która klęczała w tłumie przy postrzelonym mężczyźnie. To przydarzyło się komuś innemu. To nie mogło spotkać ich.

Krzyki, ostrzeżenia i hałas. Z oczu pana Fakri popłynęły dwa strumyki krwi i spłynęły po twarzy. Dotknęła jego przesiąkniętej koszuli, jego zakrwawionej piersi.

Nagle została odepchnięta na bok. Mężczyzna usiadł okrakiem na ciele pana Fakri i zaczął uciskać jego serce obiema dłońmi, podczas gdy inni mężczyźni i kobiety pochylali się nad nimi, krzatali i starali się pomóc. W ogólnym zgiełku – tak głośnym, że połknął cały hałas i przeszedł w swego rodzaju ciszę – usłyszała tylko jeden dźwięk, głośno, wyraźnie. Rozdarcie materiału. Fragment czyjejś odzieży koloru melona został zawiązany wokół piersi pana Fakri, wokół jego serca. Wkrótce on też przesiąknął czerwienią.

Tylko oczy pana Fakri się poruszały. Patrzył, chociaż płynęła z nich krew. Nie na nią, nie na mężczyznę, który pochylony nad nim próbował uratować mu życie, nie na grupę ludzi, którzy go wspierali, wznosząc za niego modlitwy. Oczy pana Fakri patrzyły na lewą część placu, w stronę ambasad, w stronę ulicy, przy której stał jego sklep.

Spojrzenie Royi podążyło za jego wzrokiem. Może to przez proch strzelniczy, a może jej spojrzenie mąciły łzy, ale miała wrażenie, że dostrzegła unoszący się z tamtego kierunku kłęb dymu. Zanim zdążyła się upewnić, mężczyzna, który uciskał pierś pana Fakri, opadł na niego bezwładnie.

– Umarł! – zawołał.

Jakiś starszy człowiek obok nich kiwał się w przód i w tył na piętach, śpiewając modlitwy.

Po kilka minutach paru mężczyzn w milczeniu dźwignęło pana Fakri – unieśli go w powietrze i ponieśli nad swoimi głowami.

W ten sposób Roya i mała grupa niosąca pana Fakri, z sercem owiniętym szmatką w kolorze melona, opuścili tłum. W szoku i ciszy ludzie ustępowali im z drogi. W innych częściach placu tłum rozstępował się przed kolejnymi niesionymi w ten sam sposób. Coś, co zaczęło się trochę jak żart, gra, żywiołowe przedstawienie, pokaz z żonglerami, tak się właśnie skończyło: demonstracją, zamieszkami. Wywabiło policję i żołnierzy. I zabiło sprzedawcę artykułów papierniczych.

– Zabierzcie go do szpitala! – wrzeszczała jakaś kobieta, kiedy Roya wraz z niewielką procesją

opuszczała tłum. – Każda jedna z tych niesprawiedliwych śmierci musi zostać zapisana.

Zostać zapisana. Ołówkiem w notesie. Albo na czystej kartce papieru.

Starła się nie wymiotować.

Zawyły syreny i przez tłum zaczęła się przepychać policja. Pomimo chaosu jądro zgromadzenia ruszyło w stronę północy.

Kiedy ich mała grupa opuściła plac i skręciła w prawo, w stronę szpitala, Roya się zatrzymała. Już podała nazwisko i zawód pana Fakri mężczyźnie, który próbował uratować mu życie. Pozostali nalegali, żeby wróciła do domu. Powiedzieli jej, że to nie jest miejsce dla młodej dziewczyny.

– Dziękujemy za informację. Dopilnujemy, żeby wszystko zostało właściwie zapisane. Rodzina zostanie powiadomiona. Zadbamy o to. A ty, dziewczyno, wracaj już do domu. To nie jest miejsce dla młodej damy. Dosyć już widziałaś.

Kiedy szła na róg Churchill Street i Hafez Avenue, na ulicy płonęły śmietniki. Powybijane szyby w biurach, odłamki szkła na ziemi układały się w upiorny kalejdoskop. Roya, czując mdłości, zmusiła się, by ruszyć w kierunku, w którym podążył wzrok pana Fakri w ostatnich minutach jego życia.

Gdy dotarła do ulicy, przy której stał sklep papierniczy, zobaczyła, że okna niewielkiego sklepiku w pobliżu – blisko miejsca, gdzie sprzedawca buraków czasami rozkładał w południe swój dywanik i się modlił – zamieniły się w czarne dziury. Dach kiosku z gazetami niedaleko sklepu spowijał dym. A budynek, w którym mieścił się sklep, tańczył w płomieniach tak wysokich, że wyglądały, jakby mogły połączyć niebo.

Roya stała przed sklepem, odrętwiała na widok ognia. Liżące płomienie płały i wzbijały się w górę. Była niezdolna do ruchu, opuściła ją cała energia, wszelkie uczucia. Nic nie mogli zrobić. Z oddali usłyszała wycie syren straży pożarnej. Przyjadą. Będą próbować.

Jednak płomienie pochłaniały już ściany, okna, dach, belki wsporne. Z płomieni wyfruwały poczerńiałe, pomarszczone strony książek. Szybowały w powietrzu, zatrzymując się na chwilę, po czym w zderzeniu z ziemią zamieniały się w czarny popiół.

Pewnego dnia zapomni o bezradności, którą czuła, gdy tak stała, a słowa płonęły. Pewnego dnia może znajdzie się daleko od tej trwogi. Ale woń nadpalonego papieru już zawsze będzie stanowiła część niej, wtopiona w jej skórę. Stojąc przed płonącym sklepem, przypomniała sobie tradycyjne ogniska, rozpalane przed perskim Nowym Rokiem, jak razem z Zari skakały, piszcząc, przez płomienie, z twarzami zarumienionymi od żaru i lekkimi sercami.

Wkrótce nic nie zostanie.

Słowa, które kochała, tomiki poezji, w których wymieniała listy, notatniki, buteleczki atramentu, wieczne pióra i temperówki, wszystko spłonie na popiół. Polityczne ulotki, ukryte na zapleczu, kolorowe ołówki, związane wstążką w bukiety, azyl ze swoimi sekretami – życie pana Fakri, skwiercząc, zamieniało się w nicość.

Zastanowiła się przez chwilę, czy dzwonek znad drzwi przetrwa pożar. Czy gdyby go znalazła, uniosła i potrząsnęła, nadal by dzwonił?

*

Przeszła przez furtkę do ogrodu, obok stawu dla koi, i weszła do chłodnego sanktuarium swojego domu.

Jej rodzina była pogrążona w popołudniowym śnie. Duża miska Maman tkwiła w zlewku, ta, w której zawsze podawała *choresh* z kurczaka z suszonymi śliwkami. Zari leżała w swoim łóżku, owinięta w *shamad*, bawełniane prześcieradło. W pokoju obok chrapał Baba, Maman leżała obok niego. Jej kapcie stały równo na podłodze. Wszyscy byli na miejscu, bezpieczni. Nie mieli pojęcia o tym, co działo się na placach Teheranu, o sile prącej na północ, o groźbach tłumy. Nie znali losu pana Fakri, nie wachali dymu ze sklepu papierniczego. Zjedli gulasz z kurczaka z suszonymi śliwkami i udali się na popołudniową drzemkę, jak w każdy zwyczajny dzień. A Bahmana nigdzie nie było. Czy ona naprawdę poszła na plac, spodziewając się, że go zobaczy, z różą w dłoni, w białej wyprasowanej koszuli, gotowego ją porwać, żeby mogli zdobyć akt małżeństwa? Wcześniejsze oczekiwania wydały jej się teraz odrobinę zabawne.

Kiedy jej rodzina się obudzi i włączy radio, dowie się, że tłum dotarł aż do domu premiera Mosadeka. Ludzie wspięli się na mury i wdarli do środka. Mosadekowi udało się uciec przez okno i za pomocą drabiny dostać do sąsiada. Kiedy jej bliscy obudzą się z popołudniowej drzemki, gdy Zari otworzy oczy i się przeciągnie, kiedy Maman pójdzie do kuchni, by zaparzyć herbatę w samowarze, gdy o drugiej Baba włączy radio, dowiedzą się, że zamachowcy przejęli stację radiową na Shemiran Avenue i że tłum przypuścił szturm na dom premiera, splądrował go, część przedmiotów spalił i uciekł z resztą. Zniszczył.

Tym razem zamach stanu się powiódł. Tym razem świat zmienił się na zawsze.

Jednak najpierw, kiedy jej rodzina jeszcze spała, Roya człapała po domu w skarpetkach do kostek. W samotności szlochała nad panem Fakri, nad Bahmanem, nad swoim nowym krajem. Nawet nie zauważyła – co i tak by jej nie obeszło – że białe skarpetki do kostek, te, które kupiła na ponowne spotkanie z Bahmanem, żeby mogli otrzymać dokumenty ślubne i stać się mężem i żoną, były teraz poplamione czerwienią i poczerniałe od dymu – splamione krwią mężczyzny, który zmarł u jej stóp, kiedy próbowała odnaleźć mężczyznę, którego kochała.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

1953

SEN O PRZEZNACZENIU

Zari przyniosła jej gorącą herbatę z *nabat*¹¹, krystalizowanym cukrem, który podobno leczył większość dolegliwości: rozstrój żołądka, grypę, bóle menstruacyjne, prawdopodobnie złamane serce, nigdy żalobę. Usiadła na brzegu łóżka i wcisnęła Royi szklankę w rękę.

– Pij.

Roya uniosła podbródek, by odmówić. Nie chciała herbaty, nie potrzebowała Zari. Jednak nawet najlżejszy ruch wywoływał taki ból, jakby jej głowa miała zaraz eksplodować.

– No dalej. Usiądź. Cały dzień przeleżałaś w łóżku. Posłuchaj, wczoraj był najgorszy moment w historii świata, żeby spotykać się na placu w środku Teheranu. Na pewno coś mu stanęło na przeszkodzie. A pan Fakri... – Zari przerwała na chwilę, po czym wyszeptwała: – Niech Bóg ma w opiece jego duszę. Znalazł się... w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiednim czasie.

Siedziały w ciszy, jak się Royi wydawało, całymi godzinami. Straciła już poczucie czasu.

– A teraz pij – rozkazała w końcu Zari.

Roya niechętnie wzięła szklankę i upiła mały łyk. Nad jej prawym okiem zaczął pulsować jakiś nerw. Czy Bahman w ogóle wiedział, że pan Fakri nie żyje? Czy był zaangażowany w próby powstrzymania zamachu? Czy teraz razem z grupą zwolenników Mosadeka siedzi w więzieniu?

– Bahman prawdopodobnie został aresztowany. Może też go zabili – powiedziała Roya.

– Nie masz pojęcia, czy to prawda.

Roya dzwoniła i dzwoniła – znowu – ale nadal nikt w jego domu nie odbierał.

– Nie chcę być wredna, siostrze, ale on pewnie wcale nie zamierzał się z tobą spotkać. No bo gdzie, u diabła, się podziewał przez kilka ostatnich tygodni? I kto pisze list, w którym wyznacza spotkanie w centrum miasta przy całym tym absurdalnym politycznym zamieszaniu? Wiedziałam, że to był zły pomysł, mówiłam ci.

– Kiedy pisał list, nie mógł wiedzieć, że nastąpi kolejna próba zamachu. Po prostu chciał się ze mną zobaczyć. – Tylko tyle udało się wydukać Royi.

– Na litość boską, jeśli jest takim aktywistą, takim opiekuńczym dżentelmenem, to powinien mieć wystarczająco dużo rozumu, by nie prosić siedemnastoletniej dziewczyny, żeby w takich czasach stała na środku placu. Na którym strzelają do ludzi! Nie mogę uwierzyć, że Baba w ogóle pozwolił ci iść! – Zari spojrzała na swoje dłonie. – Czasami za bardzo się stara być nowoczesny i postępowy, jeśli chcesz znać moje zdanie. Kobiety niekiedy potrzebują ochrony.

Nawet w tym rozdygotanym stanie Roya rozumiała, że przez Zari przemawiają lęk i żaloba po panu Fakri, których nawet nie potrafiła wyrazić. Pozwoliła siostrze się irytować, dawać upust złości na Bahmana i mówić, że najgorsza rzecz na świecie to zakochać się w kimś, kto kocha politykę.

*

Roya czekała przez cały dzień, aż Bahman się odezwie. Godziny mijały i nadal nic. Wszyscy, których pytała, byli w głębokim szoku po zamachu stanu. Gdy skontaktowała się z przyjaciółmi Bahmana, każdy mówił co innego. Jego dawni koledzy z klasy powiedzieli, że nie mieli od niego żadnych wieści, ale upierali się, że Bahman nie zaangażowałby się w zamieszki na ulicach. Inny kolega zasugerował, że może Bahman poszedł na plac podczas zamachu, został aresztowany i że powinni skontaktować się z każdym więzieniem, żeby go znaleźć. Zapytany Dżahangir tylko zaklął i stwierdził,

że szlachetniejszy człowiek niż pan Fakri nigdy nie istniał, na litość boską, i jak żołnierze mogli na oślep strzelać w tłum, oraz wyraził nadzieję, że Bahman walczy każdego dnia, by premier Mosadeka mógł wrócić do władzy. Jednak kiedy Dżahangir ciskał gromy na szacha, w Royi zakiełkowało ziarno wątpliwości. Czy Dżahangir mógł ją prowokować, żeby powiedziała coś przeciwko szachowi? Może był szpiegiem. Budziła w niej odrazę myśl, że zaczęła wszystkich podejrzewać. Nawet nie mogła w pełni ufać Dżahangirowi.

Plotki o obcych agentach, zaangażowanych w usunięcie premiera, były już przekazywane na bazarowych straganach, w kawiarniach nad espresso i w domowych salonach. Zari kwitowała wszystkie teorie spiskowe, mówiąc: „No dobrze, a nawet jeśli zapłacili im obcymi pieniędzmi? Co z naszymi własnymi ludźmi? Mamy pozbawionych kręgosłupa zbirów, którzy z radością wyjdą na ulicę i będą powtarzać jakiegokolwiek hasło jest popularne danego dnia. I wezmą pieniądze od Amerykanów za wykonywanie ich poleceń!”.

Roya nie mogła spać. A kiedy już zasnęła, budziła się co chwilę, nękana wyrazistymi, pełnymi szczegółów snami.

We śnie, który prześladował ją najczęściej, wchodziła do sklepu pana Fakri, dzwonek nad drzwiami rozbrzmiewał jak zawsze. W środku pachniało atramentem i książkami; otulał ją znajomy kojący chłód. Na początku nie widziała pana Fakri, ale nagle się pojawiał, za ladą, pisał w książce inwentarzowej, wieczne pióro ślizgało się po kartce. Znow wyglądał tak jak zawsze: schludny i wyciszony, z okularami na nosie. Nie było śladu po dzikim wyglądzie, jaki pamiętała z tamtego feralnego dnia na placu.

Podniósł wzrok i na sekundę na jego twarzy odbiła się panika. Jednak zaraz zastąpił ją jego zwykły uśmiech. Uprzejmym tonem, do którego Roya była przyzwyczajona, zapytał ją, jak się miewają jej rodzice, jak czuje się jej siostra Zari-chanom, jak miewa się cała dalsza rodzina, czy w sąsiedztwie dzieje się dobrze, oby wszyscy pozostali w zdrowiu i długo żyli. Dodawał kolejne warstwy do perskiego *tarof* – oficjalnych uprzejmości, wymaganych we wszelkich kontaktach społecznych.

– Czy Bahman się do pana odzywał?

– Roya-chanom, nie.

– Zupełnie nic?

– Ani jednego słowa.

– Ale jeszcze kilka dni temu dostarczał panu listy, prawda?

Pan Fakri westchnął i uniósł wzrok na sufit.

– Radziłbym ci, młoda damo, żebyś o nim zapomniała. Żyj dalej swoim życiem. Wyjdź za męża. Miej dzieci. Bądź szczęśliwa.

– Słucham? – Serce Royi tłukło się w piersi. – Właśnie zamierzam wyjść za męża. Jestem z nim zaręczona.

– Tak, cóż, czasami z zaręczyn nic nie wychodzi. Wiedziałaś o tym? – wypowiedział te słowa delikatnie, jakby mogły ją złamać, gdyby rzucił je beztrąsko.

– Chcę wiedzieć, czy nic mu nie jest. Z nikim się nie kontaktował. Myślałam, że może z panem, skoro...

Pan Fakri uniósł dłoń.

– Roya-chanom, nie zawsze dostajemy to, czego chcemy. Życie nie zawsze toczy się tak, jak planowaliśmy. Młodzi mają skłonność do przekonania, że tragedie, nieszczęścia i pociski jakimś cudem ich ominą. Że uda im się utrzymać na powierzchni dzięki naiwnej nadziei i energii. Uważają, błędnie, że jakimś cudem młodość, pożądanie czy nawet miłość potrafią prześcignąć dłoń losu. – Zacerpnęła tchu.

– A prawda jest taka, moja młoda damo, że na samym początku los wypisał na twoim czole scenariusz twojego przeznaczenia. My go nie widzimy. Ale on tam jest. I młodzi, którzy kochają tak namiętnie, nie mają pojęcia, jak paskudny jest świat. – Oparł obie dłonie na ladzie. – Ten świat pozbawiony jest współczucia.

Roya poczuła się tak, jakby nagle zanurzyła się w lodzie.

– Dobrze zrobisz, jeśli to zapamiętasz – dodał pan Fakri. Spomiędzy jego zębów wydobył się niski, chrapliwy gwizd. Zdjął okulary, potarł oczy i w końcu powiedział: – Wydaje mi się, że on cię

nigdy nie kochał. Dla niego to była tylko gra.

Wtedy Roya budziła się gwałtownie, zlaną zimnym potem.

Nawet po obudzeniu *czuła* pana Fakri w Sklepie Papierniczym. Tak jak kiedyś, robił inwentaryzację swojego magazynu, porządkował tłumaczenia autorów z całego świata. Widziała, jak odkurza stół, mieszczący tomy poezji, w tym również te, w których ona i Bahman przekazywali sobie listy. Otworzył przed nią świat nowych możliwości, oferując miejsce, gdzie jej marzenia nabrały realnych kształtów, a także do którego uciekała przed zgiełkiem polityki i w którym znalazła schronienie. Gdzie się zakochała.

Wciąż czuła wbijające się w plecy półki, o które się opierała, kiedy Bahman się do niej zbliżył, szepcząc jej do ucha.

Jednak w jej śnie pan Fakri zawsze mówił, że Bahman nigdy jej nie kochał. Radził jej rozpocząć nowy rozdział w życiu. Nawet jeśli w tym tak wiele pytań pozostało bez odpowiedzi.

Był ich sprzymierzeńcem, wspierającym opiekunem. Mężczyzna w średnim wieku, który odkurzał książki i układał przybory szkolne w sklepie, rozmawiał z młodymi, pomagał im w tajemnicy zyskać dostęp do materiałów politycznych i wymieniać listy miłosne.

Odszedł. Odszedł, ale na miłość boską, to mogła być ona. Całkiem prawdopodobne, że to powinna być ona. To było coś, co zawsze już będzie nosić jak bliznę, jak okrutną prawdę, jak skwierczące zgliszczą sklepu, które wniknęły w jej skórę, jak niewidzialne ciało pana Fakri, już na zawsze zawieszona nad jej uniesionymi ramionami.

Teraz, kiedy pan Fakri umarł, myślała o nim więcej niż kiedykolwiek. Nie miała pojęcia, jaki nosił w sobie ból.

11 *Nabat* – cukier irański z szafranem.

CZĘŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

1916

CÓRKA SPRZEDAWCY MELONÓW

Młody mężczyzna kluczy krętymi alejkami miejskiego bazaru. Tuż po jego narodzinach zostało zaaranżowane jego małżeństwo z kuzynką drugiego stopnia, Atie. Atie znaczy „przyszłość”, ale on nie takiej przyszłości pragnie. Zakochał się w młodej dziewczynie, która pracuje na bazarze, każdego ranka układa na skrzyniach sterty melonów i stoi arogancko obok swego ojca, kiedy ten targuje się z klientami. Ali nie może przestać myśleć o tej biednej dziewczynie. Chodzi na bazar tylko po to, żeby zobaczyć, jak ona wydrąży pestki z melonów, i żeby na nią zerknąć.

Obserwuje ją w kakofonii i chaosie straganów. Dziewczyna zawsze nosi na głowie małą chustkę. Ma nędzne ubranie, ale twarz jak księżyc. Jest młoda, być może zbyt młoda, ale oszałamiająca. Nożem, który wygląda jak miecz, jej ojciec magicznie wycina miękki miąższ owocu, sprzedaje plastry i kawałki spragnionym klientom. Niektórzy z kupujących biorą całego melona i wrzucają do swoich koszyków; inni pragną natychmiastowej słodczy, chłodnej ulgi krojonego melona z lodem. Lód jest tak samo wyjątkowy jak owoc i sprzedawca melonów przychodzi każdego ranka na bazar, niosąc pożądany blok. Dziewczyna strzeże lodu czujnie, stojąc obok z rękami na biodrach.

Matka Aliego planuje, co znajdzie się na jego ślubnym *sofre*.

– Czyż nie okazałam cierpliwości, czekając, aż ona dorośnie? – mawia. – Teraz twoja kuzynka ma szesnaście lat, jest dojrzała i gotowa na ciebie. Wy dwoje jesteście sobie przeznaczeni od urodzenia. Wszyscy o tym wiedzieliśmy.

Jego matka chichocze, jakby zyskiwała coś wyjątkowo cennego. Każe służącym się upewnić, że mają dość cynamonu, by udekorować deser *szole zard*¹² na wesele.

– Pod koniec lata, Ali-dżan. Czy mógłbyś wyobrazić sobie lepszy prezent na osiemnaste urodziny?

Ali uważa, że Atie wygląda jak rozwodniony jogurt; podejrzewa, że sama jest równie nijaka i bez smaku. W jego snach nędznie ubrana dziewczyna z bazaru karmi go kawałkami melona, a sok spływa mu z kącików ust.

Jednego piątku idzie jak zwykle do centrum, by ją szpiegować. Stoi na wpół ukryty za słupem straganu z przyprawami, podczas gdy dziewczyna układa melony w piramidy. Obserwuje ją, jak kroi owoce na nierówne kawałki.

– Badri, *bia*, chodź! – Jej ojciec nie ma zębów, a jego twarz jest zniszczona od zbyt wielu godzin na bezlitosnym słońcu.

Badri. Badri. Badri. Ali powtarza imię pod nosem, jak gdyby kiedykolwiek mógł je zapomnieć. Jak gdyby przez lata miało nie wywoływać w nim bólu za każdym razem, gdy je usłyszy.

Kupujący przepychają się i potracają, kobiety w czadorach dźwigają koszyki pełne zieleniny i bakłażanów, niemowlęta płaczą, a handlarze jękliwie zachwalają swoje towary. *Badri, Badri, Badri.* Ali, jako syn jednego z najbardziej szanowanych uczonych w Teheranie, wkrótce zostanie posłany do Kom, by studiować religię i filologię klasyczną. Ta dziewczyna nie powinna zaprzętać mu myśli. Pracuje z ojcem na bazarze. Jest *dahati*, wieśniaczką. Dziewczyna bez niczego, z tej samej klasy co służąca, która pierze Aliemu ubrania.

Gdy w alejkach bazaru rozbrzmiewa wezwanie na południową modlitwę, sprzedawcy opuszczają stragany i biorą dywaniki modlitewne. Targowisko metodycznie pustoszeje, kupujący i sprzedający się rozpraszają. Mężczyźni jeden po drugim opuszczają swoje stanowiska i odchodzą. Na dziedzińcu

meczetu na końcu bazaru dokonają południowych ablucji. Zmoczą łokcie i nadgarstki w wodzie z betonowych kadzi. Aby się modlić, uklękną, dotkną czołami ziemi i zatracą się w medytacji. Będą wstawać i się pochylać, jakby byli jednym.

Czy Badri będzie się modlić? Ali czuje lekkie rozczarowanie, kiedy dziewczyna odchodzi od straganu. Oczywiście nie będzie mógł za nią pójść do kobiecej części meczetu. Co najwyżej zobaczy, jak ona zdejmuje buty przed wejściem (tak naprawdę to kapcie, zrobione z materiału, podarte i postrzępione). Potem połknie ją wejście dla kobiet, do którego on nie miał wstępu.

Po jej odejściu Ali snuje się samotnie po bazarze. Nagle czuje się odsłonięty na swoim stanowisku przy straganie z przyprawami. Po odpłynięciu tłumu rzuca się w oczy, czuje się bezbronny i zakłopotany bez ludzkiej zasłony, okrywającej jego punkt obserwacyjny.

Odgłos kroków. Powolne szuranie kapci po ziemi. Podnosi wzrok i ledwo może uwierzyć. Ona wróciła. Patrzy, mając nadzieję, że sam jest niewidziany, jak Badri przekłada kilka rzeczy na straganie z melonami. Unosi duże blaszane wiadro. Przez chwilę zмага się z jego ciężarem, po czym opiera je na biodrze. Wkrótce wiadro zyskuje idealny balans, jakby stanowiło część jej anatomii, jakby spoczywało tam od zawsze.

Opuszcza stragan i Ali po upewnieniu się, że nie zostanie zauważony, rusza za nią. Jest w niej coś dziwnie kuszącego; pomimo że jest młoda i biedna, emanuje pewnością siebie, ma rozkołysany krok. Zamiast skręcić w prawo do meczetu, Badri kieruje się w lewo. Ali idzie za nią wąską ścieżką na tyły bazaru, gdzie kwadratowy plac otoczony drzewami służy do wyładowywania towarów i jako śmietnisko. To na pewno tutaj co rano rozładowuje się towary z grzbietów osłów i mężczyźni rozpakowują swoje pełne dóbr skrzynie. Na placu stoją rzędem wielkie kubły, do których wrzucane są sterty śmieci z całego dnia. Nad pojemnikami roją się muchy. Dziewczyna spokojnie meandruje między cuchnącymi, przepelnionymi śmietnikami, aż znajduje taki, z którego się nie wysypuje. Kiedy idzie, wiadro nadal balansuje na jej biodrze. Ali podziwia sposób, w jaki dźwiga ciężki kubeł, jakby robiła to przez całe życie. „Zresztą”, myśli, „prawdopodobnie ona *robi* to przez całe życie”. Czy nie tak właśnie wygląda los takich ludzi? Pracują. „Fizyczna praca przez cały czas”, Ali pociąga cicho nosem, „nawet kobiety na polach i straganach, od najmłodszych lat. Są odporne, są twarde”. Ali myśli o Atie i jej białej jak papier skórze. Myśli o długich palcach Atie, jej ustach, które wydają się przezroczyste (kiedy się pobiorą, ich podekscytowani krewni będą udawać radość na myśl, że on skala ideał, jakim jest Atie). Widział ją bez zasłony, kiedy byli dziećmi, kazano im się razem bawić. Teraz twarz Atie jest zawsze osłonięta przed słońcem, aby jej skóra nie ściemniała, aby została blada i czysta.

Badri staje na palcach obok śmietnika, dźwiga wiadro wyżej na biodrze, po czym jednym szybkim ruchem, zgrabnie i z wprawą, obraca kubeł do góry dnem i opróżnia z zawartości. Skóry z melonów i śliskie nasiona opadają łukiem, a powietrze wypełnia słodki zapach owoców. Woń dociera aż do gardła Aliego. Niemal czuje słodki smak w ustach, niemal czuje chłodny miąższ między palcami. Badri potrząsa wiadrem kilka razy, żeby usunąć resztki. Po czym obraca się gwałtownie.

– Dlaczego mnie śledzisz?

Jej głos jest o wiele doroślejszy i bardziej władczy, niż się spodziewał. Zwraca się do niego na „ty” zamiast formalnego „pan”, którego powinna użyć wieśniaczka w stosunku do młodego mężczyzny z wyraźnie wyższej klasy. Czy jest aż tak niewykształcona, że o tym nie wie? Coś w jej hardej minie każe Aliemu w to wątpić. Dziewczyna wygląda tak, jakby dokładnie wiedziała, co robi.

– Potrafisz mówić, prawda? Czy jesteś niemową? – Opiera puste wiadro z powrotem na biodrze, a na drugim kładzie rękę. Stoi na szeroko rozstawionych nogach, w pozycji, jakiej Atie i dziewczęta z jej klasy nigdy nie odważyłyby się przyjąć w towarzystwie obcego mężczyzny.

– Hej! – woła. – Pytałam, dlaczego mnie śledzisz!

– Nie śledzę. – Jego głos zamienia się w szept. Stoi przed nim córka sprzedawcy melonów, właściwie jeszcze dziecko, a z jakiegoś powodu pod Alim uginają się kolana. To przez jej okrągłą twarz, oczy, które ważą się patrzeć prosto w jego, i przypominające pączek róży usta.

– Powiem babie, żeby poderznął ci gardło! Nie zbliżaj się do mnie. Nie obchodzi mnie, czy jesteś napuszonym elegancikiem, czy kim tam. Wiem, co tobie podobni myślą o dziewczynach takich jak ja. Ale jak do mnie podejdziesz, zacznę wrzeszczeć tak głośno, że popękają ci uszy. Kopnę cię! Mocno! –

Obiema rękami unosi wiadro wysoko nad głowę. – Rozwałę ci tym wiadrem łeb. Mam dosyć takich mężczyzn jak ty. Myślicie, że tylko dlatego, że jestem biedna, możecie coś uszczknąć. No cóż, nie możecie. Jeśli się do mnie zbliżysz, mój baba poderżnie ci swoim nożem gardło. Rozumiesz?

Ali oniemiaje. Nikt nigdy nie zwracał się do niego w ten sposób. W domu matka mu ustępuje, on jest księciem w rodzinie. Służące w ogóle nie mają śmiałości się do niego zwracać, słudzy odzywają się tylko, aby powiedzieć to, co on chce usłyszeć. Ojciec to jedyna osoba, która jest wobec niego szczerą i bezpośrednią. Żadna dziewczyna nigdy tak do niego nie mówiła. Jest jednocześnie rozbawiony i przerażony jej śmiałością. On musi wyglądać jak zboczeniec. Jak uprzywilejowany drań, czający się na większą dziewczynę.

– Nie, nie, zapewniam cię, że się mylisz. Nie jestem tutaj z żadnych niestosownych powodów. Proszę, nie chciałem cię przestraszyć.

Powietrze przenika fala żaru, zupełnie jakby ktoś spryskał każdą cząsteczkę kurzu duszącą wonią melona. Wbrew sobie Ali podchodzi do dziewczyny bliżej. Musi ją uspokoić. Chce jej udowodnić, że się myli, czuje dziwną potrzebę pokazania jej, że absolutnie nie szuka tego rodzaju wrażeń. Im bardziej się do niej zbliża, tym więcej słodkiego zapachu wypełnia mu płuca. Każdy strzępek materiału na jej ciele, każdy kosmyk włosów wystający spod chustki, nawet frędzle na jej podartych kapciach muszą być przesiąknięte wonią melona. Gdy podchodzi bliżej, widzi, że jej twarz jest opalona i wyjątkowo zdrowa, jak gdyby otrzymała porcję witamin niedostępną dla dziewcząt, które on zna, tych, które matki ostrzegały, by unikały słońca, które są uczone wyszywania, czytania i pisanie – bogatych młodych kobiet, szkolonych w nienagannym układaniu róż w kryształowych wazonach. Kiedy się zbliża, Badri patrzy na niego spoode łba, a wiadro nadal wisi nad jej głową.

– Odłóż to wiadro. – Ali odzyskuje głos, pewny i spokojny, przyzwyczajony do zwracania się do służby, przyzwyczajony do wydawania rozkazów i bycia słuchanym.

– Nożem do melonów! – Gdy on się zbliża, jej ton staje się wyższy i mniej pewny siebie. – Potnie cię nim! – Teraz brzmi jak młoda dziewczyna, jaką jest, bezbronna, chociaż tak bardzo się stara być twarda. Aliego pociąga jeszcze bardziej niż kiedykolwiek, jej postawa, jej grubiańska przemowa, różane usta, okrągła jak księżyc twarz z drżącym uniesionym podbródkiem. I słodki zapach melonów, który już zawsze będzie mu się z nią kojarzył.

– Odłóż wiadro – powtarza jeszcze spokojniej Ali.

Ona upuszcza wiadro, które odbija się kilka razy od ziemi ze stłumionym, niemal zabawnym dźwiękiem. Powinno było wylądować z głośnym brzękiem, powinno narobić hałasu, ale wiadro podskakuje miękko, zatrzymuje się kilkadziesiąt centymetrów od nich i spokojnie leży na boku. Nikt nie mógł słyszeć, jak upada. Właściwie, zdaje sobie sprawę Ali, dziewczyna ma powody do strachu. Plac jest osłonięty drzewami; nikt ich nie widzi, nikt nie wie, że tu są. Wszyscy modlą się w meczecie, trzymając dłonie przed twarzami i szepcząc wersety wiary.

Powtórzy jej jeszcze raz, że nie przyszedł tu, by ją skrzywdzić. Zapewni ją, że on tylko... co tylko dokładnie robi? Śledzi ją. Oczywiście nic na to nie poradzi, że ona mu się podoba, ale wyjaśni jej i ją uspokoi. Ona musi zdać sobie sprawę, że on jest dżentelmenem. Chociaż jest zażenowany i zły, że ta dziewczyna go peszy. Ona jest niczym. Jest poniżej niego. Poinformuje ją, że on po ślubie będzie studiował religię i filologię klasyczną w Kom...

Zanim zdecyduje, jak najlepiej to wszystko ubrać w słowa, otula go słodki smak melona. W południowym słońcu Ali na chwilę ślepie, musi mieć halucynacje. Na jego policzku wylądowało coś klejącego i miękkiego i przez chwilę nie potrafi tego zidentyfikować. Wtedy zdaje sobie sprawę, że dziewczyna jest tuż obok niego, podeszła blisko i go pocałowała. Teraz tam stoi, balansując na palcach, i przez chwilę wydaje się oddzielona od wszystkiego innego. Przez kilka sekund – sekund, które pozostaną wryte w pamięci Aliego aż do dnia jego śmierci – przez chwilę zamkniętą w kuli, odgranicozoną od reszty jego życia, jej usta są ciepłe i lepkie na jego twarzy. Ona jest niczym wybuch ognia.

Kiedy ona łąduje z powrotem na piętach, o mało się przy tym nie przewracając, kiedy jej usta już nie dotykają jego twarzy, Ali nie może się ruszyć. Jest porażony. Przemieniony. Tupet tej dziewczyny. Jej ciepły eksplodujący dotyk. Jej pocałunek uczynił go niemym, zamroził.

– Proszę! – Teraz jej głos jest miękki. – Masz to, czego chciałeś.

Nie ma odwagi na nią spojrzeć.

– Prawda?

Dotyka odcisku melonowego pocałunku na swoim policzku i bez zastanowienia unosi palce do nosa. Wdycha ją. Nigdy nie zapomni tego smaku – ani kiedy ożeni się z Atie, ani kiedy zostanie ojcem czworga dzieci, ani kiedy będzie prezentował wspaniałe dzieła klasyków i zagranicznych autorów młodym ludziom, częstym bywalcom sklepu papierniczego, którego kiedyś stanie się właścicielem. Jakże rozczarowany będzie jego ojciec decyzją syna, by nie dążyć do czegoś bardziej prestiżowego. „Masz środki, by stać się uczonym teologiem”, będzie błagał. „Chcesz posiadać *sklep*? Jak *baazari*? Jak kupiec?”.

– No dobrze – mówi Badri, stojąc w słońcu. Nie może się ruszyć w obawie przed jego reakcją na jej pocałunek, widoczną w sposobie, w jaki on oddycha. – Mówiłam ci, że jeśli mój ojciec kiedykolwiek się dowie, że próbowałeś mnie pocałować, odetnie ci swoim nożem głowę. Ludzie myślą, że to nóż, ale tak naprawdę to szabla. Szabla jego dziadka. Jego dziadek był bandytą. Zabijał ludzi, którzy mu przeszkadzali. – Przerzywa i wbija spojrzenie w oczy Aliego. – Tą szablą.

Ali stoi w słońcu i zmusza się, by odwrócić od niej wzrok.

– Po prostu ich zabijał. Gdyby baba wiedział, że siedłeś za mną na tyły bazaru, żeby skraść pocałunek...

– Ale ja nie... – wchodzi jej w słowo Ali, znów na nią patrząc.

– Odciałby ci głowę. Dobrze sobie radzi z tym swoim nożem. Widziałeś go, jak kroi melony, prawda? Nie myśl, że nie widzę, jak stoisz tam dzień po dniu, szpiegując mnie na bazarze. Czy ktoś tak zarozumiał jak ty nie chodzi do jakiejś szkoły czy gdzieś?

– Jest lato – mamrocze Ali.

– Oczywiście! Wiem, że latem szkoły są zamknięte! – Przez jej twarz przemyka cień zawstydzenia. – Myślisz, że jestem niewykształcona i łatwa, prawda? Tylko dlatego, że mój ojciec sprzedaje melony na bazarze, a twój ojciec... co? Rządzi krajem? Zabiera nasze pieniądze? Pali cygara? Nie wiem. Ale mówię ci, jeśli mój baba się o tym dowie, poderżnie ci gardło.

Ali kiwa głową.

– No więc jeśli chcesz... – podchodzi do leżącego na ziemi wiadra, podnosi je i opiera z powrotem na biodrze – wiesz, gdzie mnie znaleźć. Regularnie opróżniam to wiadro. Kiedy Baba idzie się modlić w południe.

– Przepraszam? – szepcze Ali.

– Wszyscy idą się modlić, prawda? Wtedy jest tu tak cicho. – Patrzy w niebo i uśmiecha się. – Miło, cicho i spokojnie. Tylko my i muchy.

– W południe?

– Tak.

Ali wciska czubek wypolerowanego buta w ziemię, serce bije mu szybko. Patrzy, jak ona odchodzi, z wiadrem podskakującym na biodrze.

*

To, co działo się w pozostałe dni przy śmietnikach, w promieniach letniego słońca, nie powinno było się zdarzyć między wykształconym, bogatym, młodym mężczyzną i dziewczyną, której ojciec kroił melony na bazarze. Jej melonowa słodycz wnikała w jego spodnie, w jego gardło; była z nim wszędzie i na nim całym.

Atie chodziła na przymiarki sukni. Ślubny welon został obszyty maleńkimi klejnotami. Ali upajał się Badri przy śmietnikach w południe, smakował więcej niej, niż powinien; wracał do domu oszołomiony i wycieńczony.

W którym momencie pożądanie zamieniło się w miłość? Czy wtedy, kiedy Badri szeptała mu do ucha, podczas gdy on bardzo starał się nie wybuchnąć (choć wybuchnął, za każdym razem)? Czy wtedy, gdy w jego myślach przed snem niepodzielnie panował jej obraz? Wtedy, kiedy sama możliwość, że z nią nie będzie, sprawiała, iż czuł się pusty, wręcz chory? W którym momencie Ali przestał wchłaniać

zapachy i dźwięki czternastoletniej wieśniaczki i zaczął pragnąć, żeby ta dziewczyna była jego? Jego zgodnie z prawem, absurdalnie jego, niemożliwie jego. Takie rzeczy nie powinny się zdarzać. Nigdy nie powinny się zdarzać, nie kiedy planowane jest życie, kiedy matki poczyniły przygotowania, kiedy losy zostały przesądzone i kiedy to idealna partia. Przyszłość została zorganizowana, dokładnie przemyślana, starannie zaplanowana. Jego przyszłością była Atie. Badri była jego melonową dziewczyną spod śmietników.

Badri była jego sercem. Badri wniknęła w jego skórę; chodził po świecie, pachnąc nią, smakując jak ona, prag-nąc jej. Pragnąc jej. I chociaż ona cudem, niedorzecznie, niebezpiecznie, nieostrożnie pozwalała mu się brać – to nie wystarczało. Gdy już posmakował, chciał więcej. I ona dała mu więcej. Kiedy miał więcej, chciał częściej. I ona pojawiała się częściej. Kiedy miał częściej, chciał stale. I ona zaczęła oddawać się mu każdego dnia. Gdy miał już każdego dnia, chciał na zawsze. Jego pożądanie było nienasycone. Do tego stopnia, że już nie miało znaczenia, czy to żądza, czy miłość. Linia graniczna zniknęła. I nie chciał sobie nawet wyobrażać czasu lub przyszłości bez niej.

Plany układa się z określonych powodów. Finansowych, logicznych, społecznych. Jego rodzice sterowali ich życiem z rozsądkiem, mocą i troską. Atie była odpowiednia dla Aliego. Obie rodziny od zawsze pragnęły tego ślubu. Ludzie z jego klasy podążali optymalnymi ścieżkami, pomnażając bogactwo i kierując się zdrowym rozsądkiem. Ludzie z jego klasy nie usychali z tęsknoty za niechlujnymi dziewczynami pracującymi na bazarze – a nawet jeśli tak, brali, co im się należało, kradli swoje pocałunki, obłapiali i pieścili, a potem ruszali dalej. Nic złego się nie działo.

*

Jednak Ali nie chce upudrowanej, nieskalanej panny młodej, którą matka wybrała mu przy jego narodzinach. Jego dom jest pełen książek; podłogę w jego salonie zaścielają najlepsze perskie dywany. W oczach jego rodziny *dahati*, wieśniaczka, będzie uchodziła za żart. Kiedy Ali wchodzi do gabinetu ojca i waży się powiedzieć, że nie chce się żenić z Atie, ojciec pyta po prostu: „Dlaczego?” – w sposób dający do zrozumienia, że oświadczenie Aliego to utrapienie. Gdy Ali, przy akompaniamencie licznych odchrząknięć, wiercenia się i dukania, wspomina o dziewczynie, która jest słodka, która jest piękna, taka cudowna, ma twarz jak księżyc, ojciec pyta niecierpliwie: „No dobrze, kim ona jest?”. Kiedy słyszy, że owa dziewczyna jest córką sprzedawcy melonów, jego twarz na chwilę nieruchomieje, po czym ojciec zgina się w pół z gardłowym, głośnym, kaszlącym śmiechem, który – jak z podpełzającym obrzydzeniem zdaje sobie sprawę Ali – jest najszczerzym śmiechem ojca, jaki kiedykolwiek słyszał. Ali wychodzi z pokoju, podczas gdy ojciec nadal odkrztusza śmiechem flegmę.

Pobierają się z Atie pod koniec lata. Ali myśli o dziewczynie z bazaru: o jej urodzie, przebojowości, niczego z niej nie zapomina. Gramoli się na Atie, dziewczynę, z którą się ożenił, z melonowym zapachem Badri w głowie. Następnego roku rodzi się ich syn. Uroczystości odbywają się w ich społeczności, w ich części miasta, w ich zamożnych kręgach. Atie jest zauroczona swoim dzieckiem. Troje następnych dzieci pojawia się jedno za drugim i żadne z nich nie umiera. Każdy się zachwyca, jak bardzo są z Atie błogosławieni. Wszystkie dzieci zdrowe. Atie odnajduje się w macierzyństwie i życiu domowym. Haftuje na płótnie i robi na drutach swetry o idealnie równych wzorach. Nie krytykuje powściągliwości Aliego ani jego ucieczki w książki, tylko co wieczór przynosi mu herbatę do gabinetu. Nie narzeka, kiedy on wkłada całą energię w otwarcie sklepu, nie okazuje wstydu ani rozczarowania, gdy on staje się zwykłym kupcem zamiast uczonym, którym miał być. Pięknie się starzeje. Jej skóra pozostaje niezniszczona przez słońce.

W jego snach melonowa dziewczyna jest zawsze zadziorna i przebojowa; całuje go przy śmietnikach na tyłach bazaru, pachnie słodko i oszałamiająco. Przez te wszystkie lata Ali, kiedy jest w centrum, czasami szuka córki sprzedawcy melonów. Na pewno wyszła za jakiegoś *dahati*, wiejskiego chłopca, i ma teraz dwanaścioro dzieci. Czasem na obrzeżach miasta widuje biedne kobiety, trzymające kwieciste czadory zębami, z koszami wypełnionymi zwiędłymi warzywami i najgorszymi okrawkami mięsa (o ile mają szczęście). Wypatruje między nimi córki sprzedawcy melonów, już dorosłej, ale jej nie znajduje.

Kiedy otwiera sklep papierniczy na rogu Hafez Avenue, jest jednym z pierwszych, który

sprowadza zagraniczne książki. W obecnych czasach młodzi studenci mają bzika na punkcie czytania. Obsesję na punkcie obcych powieści i opowiadań, ale też całej antycznej i współczesnej literatury perskiej.

Pewnego dnia, gdy Ali Fakri przebywa w swoim sklepie, wyjmując ze skrzyni świeżo wydrukowane perskie tłumaczenia Dostojewskiego i Dickensa i ustawia je równo grzbietami, rozbrzmiewa dzwonek nad drzwiami i ktoś wchodzi do środka. Pomieszczenie wypełnia intensywna woń perfum.

Jest wysoka i elegancka, ubrana jak gwiazda zachodniego kina. Widać, że przyjęła z radością reformy Rezy Szaha dotyczące stroju. Niektóre kobiety stawiały opór, zdjęcie zasłon z twarzy stanowiło dla nich traumatyczne przeżycie. Kiedy policja Rezy Szaha zrywała kobietom zasłony z głów, żeby zmusić je do nowoczesności, religijne kobiety protestowały. Ale inne chętnie zaakceptowały nowy, zachodni styl. Ta kobieta ewidentnie należy do tych, które nie tęsknią za zasłoną. Ma nawet róż na policzkach, a jej twarz jest jak księżyc. Olśniewający, okrągły, piękny księżyc.

Przez chwilę Ali jest dezorientowany. Wie, że to niemożliwe, by wpatrywał się w córkę sprzedawcy melonów. Stojąca przed nim kobieta nie może być tą biedną dziewczyną, która wyrzucała do śmietnika skóry z melonów ojca.

– Dzień dobry, Ali-aga. – Głos ma pewny siebie i donośny. – Jaki śliczny masz sklep.

Ali za ladą ani drgnie.

– Nie sądziłeś, że cię odnajdę? To nie takie trudne. Nie rób takiej przerażonej miny. Myślałeś, że znajdziesz mnie na poboczu drogi, jak ledwo wiązę koniec z końcem, prawda? Teraz jestem żoną inżyniera, nie wiedziałeś o tym? Mój mąż nauczył mnie czytać i pisać. Poświęcił na to czas. I oto jestem. W tym ślicznym sklepie pełnym książek!

Zanim Ali zdąży odpowiedzieć, dzwonek rozbrzmiewa znowu i wchodzi chłopiec, mniej więcej piętnastoletni, z czerwonymi policzkami, gęstą grzywą ciemnych włosów i oczami pełnymi radości i nadziei.

– To mój syn – obwieszcza kobieta. – Pomyślałam, że chciałbyś go poznać. Uwielbia czytać. Przeprowadziłam go tu, ponieważ słyszałam, że masz najnowsze książki, najlepsze. Mówią, że prawdziwy z ciebie księgarz.

Ali odchrząkuje i próbuje coś powiedzieć.

– Dzień dobry. – Chłopiec podchodzi do nich, kiwa Aliemu głową i się uśmiecha. Ali jest zaskoczony jego pewnością siebie. – Matka dużo mi o panu opowiadała. Mówi, że ma pan nawet Amerykanów, na przykład Henry’ego Davida Thoreau? Bardzo bym chciał przeczytać podobne książki.

Na te słowa jego matka przewraca oczami.

– Zawsze o polityce i filozofii! Powtarzam mu, że przyszłość tego kraju leży w ropie. Ucz się pilnie. Naucz się ekonomii. Zgłębiaj finanse. Mówię mu, żeby zrobił coś użytecznego! Ale co *możesz* zrobić? – Mierzwii chłopcu włosy z mieszaniną frustracji i dumy. Delikatnie odpycha jego głowę, a chłopiec się krzywi. – Zawsze o polityce! Ta dzisiejsza młodzież! On chce wyszukanych książek, Ali-aga. – Jej sposób mówienia jest lekko fałszywy, wysiłony ton biedaczki, która stała się bogata. Na chwilę jej spojrzenie spotyka się ze wzrokiem księgarza i Ali Fakri czuje słabość w ciele. Jest ojcem czworga zdrowych dzieci. Ludzie mówią, że jego żona, Atie, jest cudowną kobietą, aniołem. Otworzył sklep z książkami i artykułami papierniczymi, znany w całym mieście jako przystań dla inteligencji. Wskazywał uczniom ich intelektualnych partnerów na półkach. Sprowadzał dzieła i produkty z całego świata; jest podziwiany i odnosi sukcesy, nawet jeśli jego ojciec nigdy nie pozbył się rozczarowania, że jego syn nie został teologiem. Córka sprzedawcy melonów, wieśniaczka, nie zasługuje na jego uwagę, myśl, energię. Może i lata temu, na bazarze, była wobec niego bezpośrednia i arogancka. Dzisiaj on jest mężczyzną ponad tym.

A mimo wszystko, kiedy ona tak stoi przed nim, trudno jest Aliemu nie wspominać słodkich, lepkich wspólnych chwil, które wykradali w ukryciu. Trudno nie pamiętać każdego szczegółu. Należała tylko i wyłącznie do niego. Pamięta jej niewiarygodnie gładką skórę, jej pewny siebie śmiech. Obiecał, że się pobiorą. Badri szlochała, jakby jej serce miało pęknąć, kiedy opowiedział jej o reakcji ojca, że tak naprawdę to będzie niemożliwe, zupełnie niewyobrażalne.

Przez wszystkie te lata nosił ją ze sobą. Teraz, gdy ona się w niego wpatruje, Ali czuje, że wszystkie strony ze wszystkich książek w jego troskliwie pielęgnowanym sklepie, w jego azylu, mogłyby wyfrunąć przez okno i ulecieć niczym strzępki papieru ku niebu, a jego by to nie obeszło. Gdy ona stoi przed nim, jego znów ogarnia pożądanie. Po raz kolejny traci dla niej głowę. Jej głos się nie zmienił. Zawsze był zbyt dorosły, zbyt pewny siebie jak na dziewczynę. Nareszcie jej głos pasuje do jej sylwetki.

Za bazarowymi śmietnikami Ali robił rzeczy, których nie odważyłby się robić z dziewczyną ze swojej klasy; nie zhańbiłby dziewczyny z szanowanej rodziny. Jednak przy niej jego nastoletnie żądze brały górę. A ona się nie opierała. Zaskakiwała go. Powiedział jej, że się z nią ożeni. Nawet miał taki zamiar. W głębi duszy żywił nadzieję, że to się może zdarzyć, chociaż oczywiście wiedział, że to niemożliwe. Nie chciał Atie, chciał *jej*, czy istniała możliwość, że wybór rodziców podlega negocjacji? Dziewczyna, która pomagała ojcu sprzedawać melony na bazarze, nie była materiałem na żonę. Nigdy nie mógłby mieć z nią dzieci.

– Mój mąż – mówi teraz z naciskiem Badri – jest inżynierem. Jego rodzina, Aslanowie z Isfahan, może o nich słyszałeś? Najwyższa klasa. Potomkowie rodziny królewskiej. Jesteśmy małżeństwem – ciągnie – od ponad dwudziestu pięciu lat. Och, jakież my mieliśmy ślub! A to mój syn. Uwielbia czytać, jak już mówiłam. Wiesz, jak to jest z tymi bystrymi uczniami. Wszyscy się interesują współczesną filozofią. W naszej części miasta... – Rzuca nazwę ulicy, przy której mieszka. Niedaleko na północ, gdzie wprowadziła się nowa burżuazja, budując wielkie domy i wypełniając je fikuśnymi, nowomodnymi meblami, koronkowymi zasłonami i zastawą o pozłacanych brzegach. Rzuca mu swój adres w twarz, kłuje informacjami o mężu inżynierze, wpycha mu pod nos przystojnego, uprzejmego, młodego syna. On notuje nazwę ulicy w pamięci. Wie, że nie będzie mógł się oprzeć przed pójściem tam, by poszukać jej domu, jej okna, jej sylwetki. – Pokaż mojemu synowi odważnych filozofów. On chce się uczyć od tych, którzy mają odwagę, od mężczyzn będących kowalami własnego losu. Widzisz, to są prawdziwi mężczyźni. Nie tacy, którzy stosują się do przestarzałych zasad dotyczących klasy i małżeństwa. Zgodzisz się? – Jej słowa przeszywają go niczym strzały. Kiedy kończy mówić, patrzy mu w oczy jeszcze przez dodatkową minutę, nie mrugając.

Tak, ustąpił. Poddał się żądaniom rodziców. To byłby absurd, żart – ożenić się z dziewczyną *dahati*. Ludzie z jego klasy tak nie postępowali. To było awykonalne. Pielęgnowanie goryczy z tego powodu było z jej strony niedorzeczne.

Ali Fakri zaprowadzi chłopca do półki z filozofią. Pokaże mu najnowsze wydanie *Waldena* Henry'ego Davida Thoreau, które dopiero co przyszło. Świeżo tłumaczone na perski. Przeprowadzi chłopca przez gigantów na swoich półkach, pomoże jego młodemu umysłowi odkrywać i wzrastać. Jak wielu uczniom pomógł w swoim sklepie? Jest miejską encyklopedią, de facto udzielającym referencji bibliotekarzem, ekspertem w dziedzinie literatury, filozofii i poezji. Tym właśnie się zajmuje. W tym jest dobry. Weźmie chłopca za rękę i mu pomoże. To będzie rekompensata dla jego matki. Poprowadzi chłopca w nadziei, że Badri mu wybaczy.

Zrobi wszystko, aby Badri mu wybaczyła.

Ona stoi nieruchomo, rzucając mu wyzwanie, prowokując go w swojej obcisłej sukience, z dłonią na biodrze, różem na policzkach. Jak ona śmie? Czyż nie jest nikim więcej niż córką sprzedawcy melonów, której w magiczny sposób trafił się mąż inżynier, prezentującą wszystko, czego Ali nienawidzi w nowobogackich?

– Znam dobrze tę ulicę – mówi, nawiązując do jej adresu. – Często tam bywam.

– Mieszkamy w domu na samym końcu ulicy. Z wielkim platanem na froncie. Jakże piękny mamy widok na szczyty Elbursu! No dobrze, Bahman! – Odwraca się do syna i popycha go w stronę pana Fakri. – Bahman-dżan, idź sprawdzić, co uda ci się znaleźć w tych książkach.

Ali Fakri prowadzi młodego Bahmana w kąt sklepu, gdzie stoją książki filozoficzne, i pokazuje mu swoją kolekcję, podczas gdy Badri poprawia włosy. Nauczy tego chłopca wszystkiego, co wie. Pokaże mu, czego sam się nauczył. Pomoże mu w tej drodze, czegokolwiek pragnie jego serce, jakiegokolwiek jest jego przeznaczenie. Przynajmniej tyle może zrobić.

12 *Szole zard* – tradycyjny irański deser z ryżu, szafranu i bakalii.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

1953

PRZEZNACZENIE NA CZOLE

Zari weszła do domu z kopertą w dłoni.

– To przyszło w dzisiejszej poczcie – powiedziała.

Serce Royi podskoczyło. Schwyciła kopertę. To było jego pismo! Czy w końcu się dowie, dlaczego nie przyszedł na plac, czy nic mu nie jest, gdzie był przez cały ten czas? Od tak dawna tkwiła pogrążona w rozpacz. Jedyne, czego pragnęła, to wiadomości od niego, chciała tylko wiedzieć, czy jest bezpieczny. Ścisnęła kopertę ze wszystkich sił i na sam widok jego pisma czuła, jak ogarnia ją gorączka.

Wyjęła przypominający łuski cebuli papier listowy, który tak dobrze знаła. I zaczęła czytać, jakby od tego zależało jej życie.

Roya-chanom,

mam nadzieję, że Ty i twoja rodzina macie się dobrze i pozostajecie w zdrowiu. Przepraszam za zmartwienia i smutek, których Ci przysporzyłem. Wiem, że rozmawialiśmy o małżeństwie i tak dalej, ale musisz wiedzieć, że teraz moim priorytetem jest pomoc temu narodowi. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by to się ziściło. Przepraszam, jeśli zwiódłem Cię wyznaniem miłości. Jeśli przeze mnie myślałaś, że mamy szansę na wspólną przyszłość, myliłem się – teraz to widzę. Zakochaliśmy się w sobie, ponieważ mieliśmy nadzieję na wspólne, udane życie. Ale byliśmy naiwni. Ja byłem naiwny. Nie jestem gotowy. Za bardzo się pośpieszyliśmy. Byliśmy zbyt impulsywni. Potrzebuję czasu. Potrzebuję przestrzeni. Proszę, nie kontaktuj się ze mną. Tak naprawdę to byłoby niebezpieczne, postawiłabyś mnie na zagrożonej pozycji. Muszę poświęcić się sprawie w tajemnicy. Muszę pomóc Frontowi Narodowemu. Tego lata porwała mnie nastoletnia miłość. Teraz mam większe zmartwienia, musisz mi wierzyć. Jesteś mądrą, piękną, młodą kobietą i przekonasz się, jak wielu mężczyzn będzie pukało do Twoich drzwi. Życzę Ci pomyślnej przyszłości. Życzę Ci radości i dobrego zdrowia.

Z poważaniem

Bahman

Jej palce drżały. List został napisany ręką Bahmana. Na takim samym papierze, na jakim pisał wszystkie poprzednie listy. Ale słowa to bzdury. Bahman nigdy by tego nie napisał.

Roya odłożyła list. Co za *czart-o-part*, co za skończone brednie. Nie potrafiła dostrzec w tym żadnego sensu.

– Gdzie to znalazłaś, Zari?

– Mówiłam ci. Przyszło pocztą.

– Ale on nigdy nie wysyłał do mnie listów pocztą. Wszystkie dotarły do mnie przez sklep papierniczy.

Zari skrzyżowała ramiona i wbiła w nią wzrok.

– A jak miałby je dostarczyć teraz?

– Ale ten list nie ma absolutnie żadnego sensu. Żeby przyszedł dzisiaj, musiałby zostać wysłany

kilka dni temu, przed zamachem stanu, przed pożarem sklepu...

– Siostrzo, czy którykolwiek z jego listów miał sens? Jeśli się nad tym zastanowić?

– Czytałaś je?

Zari poczerwieniała.

– Oczywiście, że nie – odpowiedziała wyjątkowo wysokim głosem. – No to oświeć mnie, siostrzo.

Co on ma do powiedzenia na swoją obronę?

Roya tylko potrząsnęła głową.

– W ogóle nie pisze, dlaczego nie przyszedł na plac. Ani jednego słowa.

– No cóż, żeby ten list dotarł do nas dzisiaj, musiałby zostać wysłany przed dniem waszego spotkania, prawda? Więc jak miałyby do tego nawiązać?

Roya wiedziała, że Zari ma rację, chociaż robiło jej się niedobrze na myśl, że ten potworny list nie mógł jej nawet powiedzieć, gdzie on był w chwili, gdy mieli się spotkać na placu. Roya skapitulowała i pokazała siostrze wiadomość od Bahmana. Pragnęła potwierdzenia, że to musi być jakiś żart, kawał.

Zari przeczytała szybko. Wciągnęła powietrze i podsumowała:

– Co za wąż. Mówiłam ci, że to wąż. Polityczny osioł!

– On nigdy by czegoś takiego nie napisał.

– Siostrzo, on jest *siasi*, te polityczne typy są szurnięte. Pisze ci czystym perskim, kim jest.

Dlaczego nie możesz po prostu tego przyjąć?

Tamtej nocy Roya znów przewracała się z boku na bok. List został napisany pod przymusem. Musiało tak być. Kiedy w końcu zasnęła, śniło się jej, że Bahman jest gdzieś przetrzymywany, strażnicy dyszą mu w kark i chwytając go za włosy, zmuszają do napisania tych nedorzecznych, bezdusznych słów.

*

– Roya, to do ciebie!

Gdy Roya weszła do salonu, Maman podała jej słuchawkę, szepcząc z troską:

– Matka Bahmana.

Roya była tak wstrząśnięta, że z trudem uniosła ciężką czarną słuchawkę do ucha.

– *Salaam*, Aslan-chanom.

– Roya?

Miała nadzieję, że przez telefon nie słyhać, jak wali jej serce. Z przyzwyczajenia, z szacunku dla starszych, zgodnie z towarzyską etykietą, powiedziała:

– Jak się pani miewa, Aslan-chanom? Tak się cieszę, że panią słyszę.

Pani Aslan mówiła szybko, bez przerw na nabranie powietrza.

– *Aziz-am*, moja droga, chciałabym ci powiedzieć jedną rzecz... to trudne. A tak przy okazji, Bahman wrócił. Wszyscy byliśmy na północy...

– Czy nic mu nie jest? – Royi kręciło się w głowie.

– Absolutnie nic. W każdym razie darujmy sobie szczegóły. Nie chcę cię martwić ani zwodzić. Prawda jest taka, Roya-dżan, że Bahman miał się świetnie przez cały ten czas. Mamy tam willę, jak wiesz, jak wielu ludzi. No cóż, wy nie, ale wiesz, że uwielbiamy nasz dom przy plaży. On był tam z nami i cóż, już wrócił. Prawda jest taka, Roya-dżan, prawda jest taka, że dzwonię do ciebie, ponieważ... Nie bardzo wiem, jak to powiedzieć. Ślub jest za dwa miesiące. Bahman się żeni.

Roya nie była pewna, czy dobrze usłyszała.

– Moja droga, wiem, jakie to dla ciebie trudne. Oczywiście, że tak. Mój Boże, nie miałam serca powiedzieć o tym twojej matce, wybac mi! Twoja biedna matka, która zawsze była taka miła. Jesteście dobrymi ludźmi. Nie odbierz tego źle. Jesteście dobrymi ludźmi, a twój ojciec jest przyzwoitym mężczyzną i jego stanowisko w rządowym urzędzie nie ma z tym nic wspólnego. Bahman rozumie, że twój ojciec musi nadal pracować dla szacha bez względu na wszystko, co się wydarzyło.

– Przepraszam?

– Tak czy inaczej, moja droga, to są trudne sprawy, nie zrozum mnie źle. Wszyscy błędziliśmy w tunelach młodościowej miłości i mogę zaświadczyć osobiście, że dobrze znam ich meandry i zakręty,

ich kaprysy. – Przerwała na chwilę, po czym dodała: – Straty. Dlatego przepraszam cię za te złe nowiny, ale on jest teraz szczęśliwy, Roya-dżan, sama rozumiesz. A ty jesteś młoda. Takie jest życie. Nasze przeznaczenie nie leży w naszych rękach. Nie możemy go zmienić. Z boską pomocą tobie też się powiedzie.

Roya nie potrafiła sformułować żadnego zdania. Jej dłoń zrobiła się śliska od potu i dziewczyna obawiała się, że słuchawka wysunie się spomiędzy jej palców.

– Muszę już kończyć, tyle jeszcze trzeba zaplanować! Jestem pewna, że rozumiesz, dlaczego zaproszenie na wesele nie zostanie wysłane do ciebie ani do twojej rodziny. On jest teraz szczęśliwy i zdrowy i obyś ty była również, moje dziecko. Niech Bóg ma cię w opiece.

Przez długi czas po tej rozmowie Roya siedziała na podłodze i wpatrywała się w ścianę. Przyszła jej matka, martwiła się i wypowiadała słowa, których Roya nie słyszała. Musiał minąć dłuższy czas, ponieważ Baba wrócił z pracy i przemawiał do niej, Roya widziała jego poruszające się usta, ale nie miała pojęcia, co mówił. W końcu przez jej otumanienie przedarł się przesywający głos Zari. „Mówiłam ci”, usłyszała słowa siostry i jeszcze „psi syn” oraz „kłamliwy szaleniec”. Zari zaciągnęła Royę do łóżka i położyła jej na czole zimny kompres. Roya słyszała sporadyczne komentarze jak: „mięczak, nie mężczyzna” czy „zwariowana matka”. Ale była pod wodą. Wszystko działo się wokół niej, jakby w ogóle się nie wydarzyło. Bezustannie słyszała słowa pani Aslan, wypowiedane przez telefon. Rzeczowy, zuchwały ton. Przez cały ten czas był w letniej willi? Ogłaszający, że Bahman się żeni. Jak gdyby dyskutowały o cenie ogórków. Albo nadchodzącym deszczu. Lub zwykłym przeznaczeniu.

Tamtego wieczoru Zari nie nawinęła włosów na skrawki gazety. Powtarzała, jak bardzo nienawidzi tego kłamliwego psa, Bahmana Aslana, i jego oportunistycznej, zwariowanej matki z obsesją na punkcie pieniędzy.

I Roya, ze wstydem i rozszarpanym sercem, powiedziała tylko:

– Siostro, miałaś rację.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

1953–1954

PIONIERKI

Zostaniecie przyjęte, *inszallah* – powiedział przy śniadaniu Baba. – Jak długo ojciec może patrzeć na złamane serce swojego dziecka? Nie możesz tylko tu siedzieć, Roya-dżun. Ty też, Zari. Obie. W kraju, który stracił swoją młodość i nadzieję... Wy nie możecie stracić swojej przyszłości. Ja na to nie pozwolę. Bóg dał nam dwie piękne i inteligentne córki, pełne obietnic, czyż nie, Manidże-dżun? Bóg dał nam tylko tych dwoje dzieci, posiadanie ich więcej nie było naszym przeznaczeniem. Nie pozwolił naszemu krajowi na demokrację, dlaczego? Jedyne, czego pragnęliśmy, to prawa głosu. Żeby ludzie mogli się wypowiedzieć. Prawda, Manidże-dżun?

Maman skrzyżowała ramiona i wyjrzała przez okno.

– Widzicie, pomimo złamanego serca, usunięcia Mosadeka i utraty życia musimy iść naprzód, czyż nie?

Baba nalegał, żeby Roya zaczęła uczyć się angielskiego, by mogła rozważyć aplikowanie na amerykański uniwersytet. Nawet zasugerował, żeby Zari również się zapisała i zaczęła uczyć się tego języka. Po początkowym oporze Roya się zgodziła. Lektje stały się jej jedyną odskocznią od złamanego serca i rozpaczy.

– To okazja bez precedensu – ciągnął Baba.

– Tego sobie nawet nie można wyobrazić. Żeby dziewczęta wyjeżdżały za granicę? Na studia? Słyszałam o chłopcach. Bogatych chłopcach. Z zamożnych rodzin. My jesteśmy... jesteśmy pośrodku. Co my w ogóle robimy dla siebie? – Maman wyglądała, jakby zaraz miała się rozplakać.

– Ale żyjemy w nowoczesnych czasach. Kobiety mogą jechać na studia za granicę, tak samo jak mężczyźni. Europejczycy tak robią. Amerykanie tak robią. A my co, jesteśmy zacofani? Nie jesteśmy. I dlaczego miałyby wyjeżdżać tylko bogate panny? Teraz jest specjalny program. Mój szef chce nam pomóc. Już tyle dla nas zrobił. Jego syn skorzystał z tego programu. Byłybyście pionierkami, dziewczęta! Pomyślcie, co to by oznaczało. Jaka to szansa. Okazja bez precedensu. Kiedy wasza matka i ja byliśmy w waszym wieku i ktoś by nam powiedział, że młode irańskie kobiety mogą studiować na amerykańskich uniwersytetach, wiecie, co byśmy powiedzieli?

– Że jest kompletnie stuknięty – wymamrotała Maman.

– Tak! To znaczy, nie. Bylibyśmy oszołomieni. Myślę, że dumni.

Zari westchnęła. Przyszła Kazeb i zabrała kilka talerzy. Roya siedziała bez ruchu.

– Mówcie o szachu, co chcecie, ale dzięki niemu takie rzeczy naprawdę stały się możliwe. Tak bardzo pomaga kobietom, akurat to muszę mu przyznać. Wiecie, kim będziecie, jeśli pojedziecie do Ameryki? – zapytał Baba.

– Wariatkami – odpowiedziała Maman.

– Nie, nie wariatkami! Już mówiłem: pionierkami! Wasze pokolenie jest pierwszym, które w ogóle daje irańskim kobietom taką możliwość. To niewyobrażalne. – Baba potarł twarz. – Krewni mówią o mnie różne rzeczy. Że posyłanie córek zagranicę to dyshonor. „Jak możesz choćby rozważyć posyłanie niezamężnych córek do obcego kraju?”, mówią...

„Niezamężnych”. Roya skrzywiła się na to słowo. W jej głowie pojawił się niepożądany obraz Bahmana biorącego ślub z Szahłą, w ogrodzie w północnym Teheranie. Bahman był żonaty już od dwóch miesięcy. Dżahangir mówił, że ślub był naprawdę wspaniały. Szahła wyglądała jak gwiazda kina. Pani Aslan przeszła samą siebie.

– Chcę tylko powiedzieć, że musimy coś zrobić! Siedząc tutaj i rozpaczając, torujecie sobie drogę jedynie do stania się kiszonymi starymi pannami. Zmarnujecie się. Albo możecie wyjechać na studia na amerykański uniwersytet. Tylko pomyślcie. Wsiąść w samolot i wzbić się w niebo?

– Nie jesteśmy bogaci – zauważyła Maman.

– Bogatsi niż wielu innych. To się da zrobić.

Roya powiedziała rodzicom, że nigdy nie wyjdzie za mąż ani nie zbliży się do żadnego chłopca. Przez cztery miesiące, które upłynęły od chwili, gdy stała na tamtym placu, czekając na Bahmana, kiedy była świadkiem śmierci pana Fakri, większość czasu spędzała w domu. Płakała w swoim pokoju za zamkniętymi drzwiami, prawie nie jadła, czuła się pusta. Liceum i tak już skończyła, a po nim planowała rozpoczęcie nowego życia z Bahmanem – i bez tego tak naprawdę nie miała nic.

W końcu odważyła się wyjść z Zari i czasami szła z nią do sklepu spożywczego. Zawsze ogarniało ją przerażenie na myśl, że mogłaby spotkać w mieście Bahmana lub któregośkolwiek z jego przyjaciół. Czuła wstyd, wstyd i żal z powodu własnego braku rozsądku, własnej głupoty i naiwności. Tańce u Dżahangira wydawały się teraz równie odległe i obce jak zagraniczne filmy, które oglądała w kinie Metropol. Czy ona w ogóle chadzała na tańce? Czy kiedykolwiek tańczyła tango w ramionach Bahmana? Czy cokolwiek z tego naprawdę się wydarzyło? Teraz jedyne, co mogła robić, to uczyć się angielskiego i pomagać Zari w ćwiczeniu nowych słówek. Roya znajdowała pewną pociechę we wspólnej nauce. Jak zawsze wysiłek umysłu okazał się zbawienny.

Myślała o dniach, które spędzała w sklepie papierniczym pana Fakri. Teraz konsekwentnie unikała tej ulicy. Nie dałaby rady się do niej zbliżyć, zbyt wiele wiązało się z nią wspomnień. Nie po tym, jak widziała ją w płomieniach. Wciąż nawiedzał ją sen, w którym wchodziła do sklepu i znów spotykała pana Fakri. Kim była ta dziewczyna, która wbiegała do księgarni tak pełna nadziei, pragnąc zostawić lub odebrać list? Jakże tamta dziewczyna była głupia.

– ...i dlatego chcę je ocalić – perorował Baba. Roya przestała śledzić jego wywód i nie wiedziała, czy mówił o swoich córkach, czy o kiszonkach. – Nawet jeśli to oznacza, że moje córki muszą mnie opuścić, by zdobyć edukację uniwersytecką po drugiej stronie świata. Nie patrz tak na mnie, Manidże-dżun. Poświęcamy się dla dzieci.

„Dla dzieci”. Roya wiedziała, że nauka zawsze przychodziła Zari z trudem. Czy nadal czuła coś do Jusufa? Teraz studiował medycynę na uniwersytecie. Wydawało się, że Zari łączyło z Jusufem coś więcej niż przelotny flirt. Czy naprawdę chciałyby wyjechać z Iranu?

– Czy ty wiesz, jak ciężko było się dowiedzieć, jak aplikować na uniwersytet w Ameryce? Musiałem odsunąć na bok własne wątpliwości. Moje serce jest nadal pełne soli! Mówię ci, to naprawdę zszargało mi nerwy.

Maman poruszyła się na krześle.

– Nie wiem, jak bym sobie poradził, gdyby mój szef nie zaproponował mi pomocy przy zgłoszeniach i informacjach o stypendium.

– Pozwól Zari zostać – poprosiła Maman. – Dlaczego ona musi jechać? Pozwól Zari zostać.

– Manidże-dżun, razem będą bezpieczniejsze.

– Bezpieczniejsze? Jak, na litość, mają być bezpieczne? Wysyłasz nasze córki do Ameryki, gdzie nikogo nie znają. Nowoczesność ma swoje granice. Czy to nowa mieszczańska tradycja posyłać nasze dzieci na obczyznę?

– Siostra szacha chodziła do...

– Nie jesteśmy siostrą szacha!

Chociaż siedzieli przy stole we czwórkę, a Kazeb pojawiała się i znikwała ze świeżą dostawą masła i herbaty, dyskusja stanowiła prywatną bitwę między Maman i Babą, o czym Roya i Zari doskonale wiedziały.

– Manidże-dżun, musiałem nieźle się nagimnastykować! Już samo nakłonienie dziewcząt, by w ogóle się nad tym zastanowiły, było wystarczająco trudne. Przemyślenie całego procesu też nie było łatwe. Nie wiesz, że musiałem wykorzystać wszystkie koneksje, jakie mam, praktycznie błagać, by się dowiedzieć, jak to wszystko zrobić?

– Kto tak postępuje? – Maman była bliska łez. – Są takie młode.

– Musimy zacząć myśleć nowocześnie. Jeśli mój szef jest gotowy pomóc, jeśli mają taką szansę, to dlaczego nie spróbować? Wróć. Otrzymają wykształcenie lepsze, niż kiedykolwiek moglibyśmy sobie wymarzyć. A potem do nas wróć. – Baba wskazał na Royę. – Ona od miesiący nie robi nic, tylko płacze. Wpada tutaj w depresję i zgorzknienie.

Roya poczuła, że się kurczy. Przypadła jej rola porzuconej kochanki, obiektu litości i wzruszania ramion. To było bardziej niż upokarzające.

– I sama widziałas, co się działo podczas zamachu – ciągnął Baba. – Sklepiarz nie żyje! Tak wielu zginęło. Iran nie jest w tej chwili stabilny. Ja bym chciał, żeby był, ty byś chciała i to się prawie spełniło. Może demokracja po prostu nie jest temu krajowi pisana. Bóg wie, że próbowaliśmy. Mój ojciec walczył w rewolucji konstytucyjnej w tysiąc dziewięćset szóstym roku. Był w tym samym wieku co nasze dziewczęta. Jego pokolenie dało nam perski parlament. A my gdzie teraz jesteśmy? Ten kraj zawsze robi dwa kroki do przodu i trzy w tył. Jak już mamy przyzwoitego premiera, to się go obala. Teraz szach zacisnął pięść. On nie jest nikim więcej jak tylko sługusem Zachodu. Jego marionetką.

– I dlatego dziewczęta powinny wyjechać na Zachód? To nie ma sensu!

– Tutaj nie możemy liczyć na demokrację. To marzenie zostało pogrzebane. Przynajmniej na Zachodzie nie będą musiały martwić się zamachami stanu ani dyktaturą! To polisa ubezpieczeniowa, Manidże-dżun. W tej chwili musimy być rozważni. Zastosowali sankcje dyscyplinarne wobec tak wielu ludzi Mosadeka. Może my jesteśmy następni. Roya też była na ulicach. Mogła zostać zastrzelona!

Na te słowa Maman ukryła twarz w dłoniach. Milczała.

– Ja pojadę – obwieściła niespodziewanie Zari. Usiadła prosto. – Tak, Baba-dżan. Zgłoszy się, spróbujemy. Ja pojadę. Z Royą. A potem wrócimy. Wrócimy i będziemy przy tobie i Maman przez resztę naszego życia, ale z amerykańskim wykształceniem, którego nikt nam nie będzie mógł odebrać.

Baba wyglądał, jakby miał zemdleć.

– Zari! – wykrzyknął. – Tak, tak. O tym właśnie mówię. Nikt nie będzie mógł odebrać wam wykształcenia, jak już je zdobędziecie. Wiecie o tym? Możecie wziąć dyplom uczelni, schować go do kieszeni i on pozostanie tam do końca waszego życia. Tylko o tym mówię.

W smudze słońca padającej z okna unosiły się drobinki kurzu. Dźwięki wydawane w kuchni przez Kazeby były kojące, znane. Obwoźny handlarz na ulicy jękliwie zachwalał swoje buraki. Roya chciała zostawić za sobą upokorzenie, ale nie chciała zostawiać tego wszystkiego: miękkiej obecności Maman, swojego miasta, swojego domu. Nie chciała żegnać się z ojcem.

– Mogą studiować tutaj. Mogą aplikować tutaj. Otrzymać ten dyplom tutaj – upierała się Maman.

Baba tylko pokręcił głową. Nie musiał mówić nic więcej. Wszyscy wiedzieli, że „tutaj” oznacza miasto zamachu. Miasto, w którym bez powodu strzelano do ludzi. A także miasto, w którym Roya została zdradzona przez narzeczonego. Wciąż trudno jej było poruszać się po ulicach w obawie, że wpadnie na Bahmana. Albo na Szahlę. Albo, co gorsza, na nich oboje razem.

Zari upiła łyk herbaty, a Roya chciała jej powiedzieć: „Nie musisz ze mną jechać. Ty masz tutaj swoje życie. Myślę, że zakochałaś się w Jusufie. Oczywiście, że tak. Zostań. Nie musimy obie zmieniać kursu tylko dlatego, że życie jednej z nas wypadło z torów. Zostań tutaj z Maman i Babą. Żyj życiem, jakie zostało ci przeznaczone. Moja przyszłość jest niepewna, twoja nie musi taka być”.

Wiedziała, że powinna to wszystko jej powiedzieć. Tak postąpiłaby dobra starsza siostra. Jednak bez względu na to, jak nowoczesna była ich rodzina, Roya nie miała mocy, by zlekceważyć Babę. A może nie chciała jechać bez Zari i w głębi duszy czuła ulgę z powodu transakcji wiązanej, jaką wymarzył sobie ojciec.

W innej dzielnicy, w tym samym mieście, Bahman siedział ze swoją nową żoną. Dżahangir mówił, że on porzucił zamiar objęcia posady dziennikarza w postępowej gazecie, żeby popracować przez jakiś czas w przemyśle naftowym. Dokładnie tak, jak chciała jego matka. Chłopiec, który miał zmienić świat, po prostu posłuchał matki. Roya wyobrażała sobie, jak on budzi się obok Szahli, ubiera się na jej oczach, idzie do pracy, by się uczyć, jak zmaksymalizować zyski z ropy. Takie wybrał życie. Życie, jakie wybrała dla niego jego matka. A on się na to wszystko zgodził. Premier Mosadek i tak już odszedł. Bahman i Szahla rozpoczęli wspólną egzystencję.

Od tamtego ostatniego listu nie odezwał się do niej ani słowem. Nie zadzwonił, nie napisał.

Musiała dowiadywać się, co u niego, od Dżahangira. Sama była o wiele zbyt dumna, by się z nim skontaktować. I dlaczego miałyby to robić po tym, jak ją potraktował? Po tym, jak wyraźnie napisał w ostatnim liście, że nie chce, aby się do niego odzywała? Nie była zdesperowana. Nie zamierzała się płaszczyć. Za kogo on się w ogóle uważał? Jak bardzo się co do niego myliła. Jaka była głupia. Jaka młoda. I pomyśleć, że on naprawdę ożenił się z Szahlą! Roya nienawidziła współczujących spojrzeń, jakie podążały za nią po całym mieście: „Biedactwo! Stanowili taką idealną parę! A teraz spójrz na nią. Co za przeznaczenie! Wiedziałaś, że odepchnęła tego sklepikarza od siebie w ostatniej chwili? On umarł! Biedny sklepikarz...”.

Niemożliwe było żyć w tym mieście tak jak wcześniej. Może Baba miał rację. Powinna wyjechać z Teheranu.

– Oczywiście, pojedziemy. Pojedziemy razem, Baba-dżan – obiecała Roya. Jej ciało utraciło postać, unosiła się nad stołem ze śniadaniem niczym duch.

Chociaż czuła się tak, jakby wybierała się na Księżyc, wyjazd stanowił gwarancję, że uda jej się unikać Bahmana, przynajmniej jeszcze przez kilka następnych lat. Zdąży odzyskać zdrowy rozsądek. Znajdzie się daleko od miejsca, w którym upadł pan Fakri, i od osmalonych ruin sklepu, który – jak ktoś powiedział – zostanie odbudowany jako oddział banku. Będzie studiować, a potem wróci jako jedna z niewielu kobiet w kraju z dyplomem uniwersyteckim, z Ameryki, ni mniej, ni więcej. Naprawdę zasili szeregi świeżo wykształconej, nowoczesnej klasy. Będzie pionierką. Dlaczego nie ona? Co innego miała tutaj do roboty? A jeśli chodziło o Zari, Roya zaopiekuje się młodszą siostrą. Zrobią to. Inni przed nimi dokonywali już czynów, które na początku wydawały się niedorzeczne. Kraj się zmieniał. Dlaczego by nie stanąć na linii frontu edukacji? Wróć, kiedy skończą studia, i do diabła ze wszystkimi, którzy posyłali jej te współczujące spojrzenia, którzy ją osądzali.

Baba pokiwał głową i obiecał, że poprosi swojego szefa o dokumenty aplikacyjne. Powiedział to cicho, jakby jednocześnie był zdumiony i lekko zawstydzony. Maman spojrzała najpierw na Royę, potem na Zari i wybuchnęła płaczem.

*

– Posłuchaj, nie musisz tego robić – powiedziała Roya do siostry tamtego wieczoru, gdy szykowały się do snu.

– Baba nie pozwoli ci jechać samej.

– Coś cię łączy z Jusufem, tak? Ostatnio w ogóle o nim nie wspominasz. Co się między wami dzieje? Nie zagłębiasz się w żadne szczegóły, to do ciebie niepodobne. Dlaczego jesteś taka dyskretna? Słuchaj, wiem, że nic nie mówisz, ponieważ obawiasz się mojej reakcji. Ale nie przejmuj się! Jeżeli jesteś szczęśliwa, ja cieszę się razem z tobą. Nie musisz mnie chronić. Jeśli się zakochałaś, to powinnaś zostać w Teheranie.

Zari wyjęła spinki z włosów. Odkąd zadzwoniła pani Aslan, żeby poinformować Royę o matrymonialnych planach Bahmana, przestała nawijać włosy na skrawki gazety, by uzyskać fale. W ciągu dnia przypinała pukle po bokach spinkami. Taka fryzura pasowała uczennicy ostatniej klasy liceum, uczącej się dodatkowo angielskiego. Roya dziwiła się, o ile dojrzej zaczęła wyglądać jej młodszą siostrą w przeciągu ostatnich sześciu miesięcy. Zupełnie jakby zerwanie Royi i Bahmana i śmierć pana Fakri zmusiły też Zari, by szybciej dorosła.

– Nie przejmuj się tym, siostró. – Dłoń Zari znieruchomiała na jej karku. Wyglądała jak posąg opisywany przez starożytnych poetów.

– Chcesz zostawić wszystko za sobą?

– Jeśli ty jedziesz, to ja też. Razem zaczniemy od nowa. Przecież to i tak tylko na kilka lat, prawda? Może ja też powinnam spróbować coś osiągnąć. To nowy świat. A my jesteśmy pionierkami nowego pokolenia wyzwolonych irańskich kobiet! – powiedziała, doskonale naśladowując Babę.

Zdumiona, ale z poczuciem skrywanej ulgi z powodu gotowości siostry do towarzyszenia jej w tej wyprawie, Roya położyła się spać z wrażeniem, że zamierza zaraz skoczyć ze skały prosto w lodowate wzburzone wody.

*

Listy przysły pocztą na początku lata. Baba zabrał je do swojego szefa, który je dla niego przetłumaczył. Tak, zapewnił go szef, listy mówią, że tak. Zarówno Roya, jak i Zari zostały przyjęte do małego żeńskiego college'u w Kalifornii, który szef Baby polecał, ponieważ realizował specjalny program stypendialny dla studentów z zagranicy. Tak, każda z nich dostała miejsce. Zaczną w jednej grupie, ponieważ Roya odczekała rok po skończeniu liceum i tak, tak, tak, naprawdę zostały przyjęte. Nie, nie będą tam jedynymi irańskimi kobietami, w tym roku dostało się jeszcze kilka innych! Prawdopodobnie krewne szacha, zauważyła Maman z niepokojem. Ale siedziała po nocach, szyjąc dla dziewcząt nowe ubrania, szyjąc dla każdej walizkę pełną bluzek, spódnic i swetrów. Jej córki nie pojedą do Amriki bez najpiękniejszych ubrań, jakie potrafiła uszyć. Przygotowała dla każdej suknię (jasnozieloną dla Royi i pastelowy błękit dla Zari) z najwspanialszej, najmiększej bawełny, jaką udało jej się kupić na bazarze, i tańczyła igłą wokół kołnierzy, dodając swój wyjątkowy haft z małych kwiatków. Cięża batyst i pracowała do późna w nocy, szyjąc dla każdej z nich bluzki w czterech różnych kolorach: kremową, białą, jasnoróżową i jasnożółtą. W sklepach na północy miasta kupiła blezery i plisowane spódnice, które starannie wyprasowała. Na dnię każdej walizki pieczołowicie poukładała kupione na bazarze bieliznę i pończochy. Roya i Zari z niedowierzaniem pomagały Maman w pakowaniu. Wszystkie pozostałe oszczędności, jakie miał Baba, zostały wydane na zakup biletów lotniczych i tę część chesnego, której nie pokrywało stypendium. Baba sprzedał kolekcję złotych monet *sekeh*, które podarował mu ojciec z okazji ślubu. Pracował do późna, by więcej zarobić. Poprosił nawet Maman, by wzięła niewielki spadek, jaki otrzymała po śmierci rodziców, i posłała go do Ameryki razem z dziewczętami.

W dniu wyjazdu Maman uniosła Koran nad ich głowami. Roya i Zari przeszły pod nim trzy razy, po czym pocałowały księgę na szczęście w podróży. Był to krótki rytuał mający zapewnić bezpieczeństwo we wszelkich wyprawach. Roya i Zari, kiedy dorastały, wykonywały te nakazywane przez przesady czynności za każdym razem, gdy rodzina wybierała się na wakacje do Jazdu, Isfahanu czy Szirazu. Unosiły księgę nad głowami krewnych, którzy wracali do wiosek na północy po złożeniu im wizyty w Teheranie. Jednak Roya nigdy się nie spodziewała, że będzie przechodzić pod Koranem przed drogą, która zaprowadzi ją do Ameryki.

Na początku ból spowodowany przez Bahmana i śmierć pana Fakri był przeszywający, Roya czuła się tak, jakby ktoś zdarł z niej skórę. Jednak z czasem rana pokryła się blizną. Kiedy dziewczyna wsiadała do samolotu, była świadoma swojej skóry i kości, oczu i członków, ale jej serce pozostawało zamknięte. Większość tego, w co kiedyś wierzyła, zostało unicestwione. Obiecała sobie, że jej serce już nigdy się nie otworzy. Włosy miała starannie ułożone, rączka walizki wbijała się jej w dłoń i jakimś cudem jej stopy się poruszały, jedna stawiała przed drugą. Widziała, że Zari wygląda na zaniepokojoną, ale też lekko podekscytowaną. Słyszała płacz Maman, patrzyła, jak Baba liczy pieniądze – pełną garść nieznanym zielonych banknotów, które wypłacił z banku – i im wręcza. Rejestrowała to wszystko jakby we śnie.

Gdy jechali na lotnisko, niebo miało kolor stali, chmury były tak napęczniałe, że wydawało się, że zaraz zaczną padać. Ale szare kłęby tylko wisiały, niskie i ciężkie. Przejeżdżali obok znajomych budynków i ulic, sklepów, które mijały niezliczoną ilość razy. Kawiarnia Ganadi, ich dawna szkoła, rodzinny dom Maman przy Soraya Street. Baba wybrał dłuższą drogę, by po raz ostatni mogły spojrzeć na to miasto, które wkrótce stanie się dla nich niewidzialne – przynajmniej na jakiś czas. Celowo ominął plac Sepah i miejsce po sklepie papierniczym. Roya poczuła przyływ miłości do swojego domu, rodziców i wszystkiego, co zostawiała za sobą.

– Na pewno spodoba nam się kampus, prawda, Roya? – Zari ścisnęła jej dłoń.

Roya pokiwała głową.

– I tak już nie warto zostawać w tym kraju. – Baba starał się mówić tak, jakby w to wierzył. – Obalili naszego prawdziwie demokratycznego przywódcę. Teraz zagraniczne siły i ich pachołki mogą robić z nami, co im się żywnie podoba. Na razie nie warto. Jedźcie. Jedźcie i bądźcie wolne. Nauczcie się wszystkiego, czego zdołacie. To lepsze niż siedzenie tutaj, z łapą dyktatora na gardle i rządem, który strzela według własnego widzimisię.

Roya czekała, aż Maman mu przerwie i powie: „Mehdi, skończ z tymi bzdurami. Już wystarczy tej twojej antyrządowej retoryki”.

Ale ona tylko tłumiła szloch i nie odezwała się w samochodzie ani słowem.

Dziewczęta wsiadły do samolotu. Kiedy zakręcały nad miastem, trzymały się za ręce, nie mając pewności, czy zaraz nie umrą. Jakim cudem ten kolos utrzymywał się w powietrzu? Kiedy maszyna przyspieszyła i magicznie wzbijała się w niebo, Roya miała wrażenie, że mogłaby prawie, choć niezupełnie, dotknąć chmur, niosących strumienie deszczu. Gdy wlatywali wyżej i wyżej, pragnęła, aby wzdęte chmury, wiszące nisko nad Teheranem, w końcu uwolniły potop, aby się rozpękły, poddały i zalały całe miasto tsunami łez. Jednak może szare kłęby nad Teheranem trzymały wszystko w środku i nie miały zamiaru uwolnić ani jednej kropli. Szybowała dalej i dalej i nagle oszołomiła ją myśl, że będzie w jej rodzinnym mieście tak wiele rzeczy, o których ona nigdy się nie dowie...

CZĘŚĆ TRZECIA

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

1956

KAWIARNIA KALIFORNIA

Kalifornia była nowa i lśniąca. Wszystko tutaj wyglądało jak dopiero co kupiona, przed chwilą otwarta zabawka. Zalane słońcem budynki, rozmigotane ulice, błyszczące sklepy, ciasne koszulki na ciałach mężczyzn i olśniewające stroje kobiet wyglądały jak żywcem wyjęte z filmu w kinie Metropol. Pomimo oszałamiającej jasności nowego kraju Roya nękała chroniczna tęsknota za domem. Zari była jedynym elementem, który łączył ją z poprzednim życiem.

Siostry wspierały się nawzajem, by przetrwać. Nauczyły się, jak żyć na stacji i jak poruszać się po kampusie Mills College w Bay Area. Razem uczyły się używać nowego języka. Na początku Roya czuła się jak mim, ruchami i przesadnym wzruszaniem ramion nadrabiała niedobory angielskich słów. Brakowało jej tylko namalowanych łez.

Życie w nowym kraju przypominało przebywanie w zaciemnionym pokoju. Najpierw niczego nie można było rozróżnić, wszystko w najlepszym wypadku przypominało rozmazane plamy. Jednak w końcu jej oczy się przyzwyczyły. Kształty, wcześniej niespójne, powoli, mozolnie, nabierały ostrości. Roya i Zari prowadziły się nawzajem, chociaż często ślepa wiodła niewidomą. Uśmiechały się uprzejmie do swojej gospodyni, pani Kishpaugh, w której domu zamieszkały razem z kilkoma innymi studentkami.

Roya, pomimo całego bólu, złamanego serca i zamieszek politycznych, nie chciała wyjeżdżać z Teheranu. Jednak nie miała innego wyjścia, niż uszyć sobie nowe życie, szew po szwie. Musiała iść naprzód. A Zari ją zaskoczyła. W Teheranie Roya często uważała młodszą siostrę za próżną i skupioną na sobie, jednak w tym nowym rozdziale ich życia Zari chłoneła amerykańską kulturę, jakby wdychała powietrze, które miało ocalić ją przed utonięciem. Podczas drugiego roku studiów w żeńskim college'u zarówno Roya, jak i Zari dobrze radziły sobie z nauką i miały małą grupkę przyjaciół, z którymi chodziły do kina, jadały kolacje i czasem wyskakiwały na truskawkowy koktajl. Pomimo tęsknoty za domem.

Opanowanie języka i materiału z zakresu biologii i chemii stanowiło wystarczające wyzwanie. Roya stroniła od mężczyzn. Ale Zari, nawet rzucając się żarłocznie na Amerykę, pozostała otwarta, rozchichotana i beztraska. Wkrótce zaczął z nią spędzać coraz więcej czasu młody mężczyzna, Jack Bishop, którego poznała w domu koleżanki z roku. Wyglądało na to, że Jusuf nie dorastał owemu Jackowi do pięt, nie wspominając o wszystkich Hassanach, Hosseinach i Cyrusach. Jack wyglądał jak drwal: miał szerokie ramiona, przysadzistą sylwetkę i włosy w kolorze ciemnego blondu, które wymagały strzyżenia. Nieustannie palił, szczyrzył zęby w uśmiechu i odrzucał te włosy z oczu. Jego ojciec był domokrażcą, ale Jack pragnął zrzucić jarzmo kapitalizmu i poznać lepiej dzieła Walta Whitmana. Zwalił Zari z jej szczupłych nóg. Roya obserwowała, jak jej siostra przemienia się z ciekawskiej irańskiej dziewczyny, która chciała chodzić na przyjęcia i wyjść za bogacza, w istotę, która niczego bardziej nie pragnie, niż zrozumieć, dlaczego Jack Bishop tak bardzo kocha poezję. Roya nie po raz pierwszy zdała sobie sprawę z kaprysów i nieprzewidywalności miłości młodych. W obecności Jacka Zari lewitowała. Tak po prostu zakochała się bez pamięci.

*

Przy okrągłym stole w kawiarni przy Telegraph Avenue w Berkeley, ukryta za stertą książek, Roya pisała w notatniku laboratoryjnym, próbując zrozumieć cokolwiek z zagadnień chemicznych, które ją prześladowały, unikając kontaktu wzrokowego z innymi i niczego nie pragnąc bardziej, niż wrócić do pokoju w domu pani Kishpaugh i położyć się spać. Było późne popołudnie, zgiełk panujący w kawiarni

nie pomagał w ukojeniu jej nerwów, chociaż przysłała tu specjalnie w nadziei, że hałas w tle jakimś sposobem uczyni naukę mniej żmudną. We wtorek o dziewiątej rano – za trzy krótkie dni – będzie zdawała końcowy egzamin z chemii. Próbując zrozumieć słowa, symbole i numery w zeszytce ćwiczeń, czuła się kompletnie zagubiona i nieprzygotowana. Powinna była zacząć się uczyć o wiele wcześniej, stanowczo zbyt dużo zostawiła na tych ostatnich kilka dni. Teraz tonęła w materiale i miała mnóstwo do nadrobienia. Baba często przysyłał pełne pochwał listy z Iranu – był taki dumny ze swoich uczonych córek, studiujących nowatorskie kierunki, które zapewnią im miejsce w świecie! I obie tak szybko uczyły się angielskiego, chociaż był to bardzo trudny język! Roya nigdy tak naprawdę nie chciała zostać naukowczynią. Jednak po horrorze zamachu, zdradzie Bahmana i złamanym sercu stało się jasne, że to, czego ona pragnie, ma niewielkie znaczenie. Musiała przetrwać. Na co jej się zdały tomiki poezji i zagraniczne powieści? W Mills College zaciekle zgłębiała przedmioty ściśle nie tylko po to, by sprawić przyjemność Babie, ale też dlatego, że może dyplom z chemii będzie stanowił szczepionkę przynajmniej na niektóre niepewności życia.

Jednak od pierwiastków i molekuł w książce kręciło się jej w głowie. Całe jej ciało zaciskało się w supeł na myśl o wtorku dziewiątej rano. Jakim cudem ma się stawić na ten egzamin przygotowana? Wypiła solidny łyk mocnej kawy, odstawiła filiżankę i nerwowo zamieszała w niej łyżeczką. Nie mogła nie zdać. Musiała dostać dobre stopnie i odebrać ten dyplom z honorami. Baba i Maman tak wiele poświęcili, żeby ona tu była.

Wszedł ubrany w niebieski sweter i szare spodnie. Jego włosy przypominały piaskową wydnię na czubku głowy; blond wersja Tintina z francuskich komiksów. Złote guziki przy swetrze lśniły, kiedy przesunął się swobodnie w koleje i złożył zamówienie.

Roya starała się w niego nie wpatrywać. Jako dziecko uwielbiała komiksy z Tintinem, a pan Fakri nawet sprowadził kilka do sklepu papierniczego. Jednak ten młody mężczyzna był o wiele przystojniejszy niż bohater komiksów. Czuła się niewytłumaczalnie porażona jego urodą. Tak bardzo, że łyżeczka wysunęła się z jej palców i upadła na podłogę. O Boże. Pochyliła się, podniosła ją i podeszła do lady, by wziąć nową z koszyka, stojącego obok dzbanków z mlekiem oraz śmietanką i cukierkiem. Sięgając po łyżeczkę, zrzuciła łokciem filiżankę kawy. Filiżanka odbiła się od podłogi, ciemny płyn rozlał się na kafelki i rozchlapał dookoła. Roya wydała wysoki okrzyk, taki perski, *Vaaaay* wywołane zawstydzeniem i zdumieniem. Chwyciła kilka serwetek, ukucnęła i zaczęła sprzątać bałagan, który zrobiła, ale to tylko pogorszyło sprawę. Serwetki się rozpadały, kiedy próbowała osuszyć swój błąd.

– Hej, nic się nie stało. Ja się tym zajmę.

Podniosła wzrok i zobaczyła, że Tintin klęczy naprzeciwko niej. Miał oczy błękitne jak Sinatra.

– Nie przejmuj się tym – powiedział łagodnie.

Spodnie miał z wełny, dostrzegła to teraz, kiedy klęczeli tak blisko siebie. Kto nosił wełnę w Kalifornii? Roya nie widziała wełny od wyjazdu z Teheranu.

– Tak mi przykro – wymamrotała. Och, jak musiała wyglądać, kucając jak nad starodawną irańską toaletą i wycierając upokarzającą kałużę. Proszę, niech do kawiarni wrócą zwykły hałas i zgiełk. Proszę, niech uwaga skupi się na czymkolwiek innym.

– Naprawdę nic się nie stało. Wiesz co? I tak chciałem inną kawę. – Niebieskooki mężczyzna się uśmiechnął.

Roya poczuła ulgę, kiedy wokół nich znów zapanował gwar. Personel kawiarni tylko zerknął w ich stronę i wrócił do odbierania zamówień, pozostawiając bałagan im dwojgu. Razem wytarli serwetkami rozlaną kawę. On pachniał szamponem, takim, jaki sprzedawali w amerykańskich supermarketach i jaki zamieniał się w ogromne bańki i pienię między palcami.

– Powiem ci coś. Zamierzam zamówić drugą filiżankę kawy. A ty przestaniesz mieć wyrzuty sumienia. Czy to brzmi jak dobry plan?

Dla Royi to w ogóle nie brzmiało jak plan, ale była oczarowana jego prostym ujęciem sprawy. Skinęła i uśmiechnęła się, uświadamiając sobie, że kiwa głową jak obcokrajowiec, jak mawiała Zari. Wróciła do swojego stolika, opadła na krzesło i znów przycisnęła długopis do kartki, rysując heksagonalne kształty molekuł. W kawiarni dominowali studenci UC Berkeley, ale było też całkiem sporo uczniów Mills College. Powietrze pachniało ostro kofeiną i stresem. Wszyscy zakuwali przed

egzaminami. Przerwa świąteczna mającyla niczym miraż za makabrycznymi przeszkodami – tyle pracy, przez którą trzeba się było przedrzeć przed jakże upragnioną przerwą.

Nagle kształty w zeszycie przysłonił cień. Podniosła wzrok, obok jej stołu stał mężczyzna w niebieskim swetrze.

– Czy mógłbym? – Znowu ten uśmiech.

Nie była pewna, co powiedzieć.

– Ten bar kawowy jest dzisiaj bardziej zatłoczony niż zwykle, nie sądzisz?

„Bar kawowy”. To określenie wydało się jej na wskroś amerykańskie, jak małe miasteczka na środkowym zachodzie, w których nigdy nie była, ale widziała na filmach. „Bar kawowy”. Kto mówił w ten sposób? „Kawiarnia, kawiarnia, kawiarnia”, zawsze tak mówiły z Zari. A tutaj stał ten blond Tintin, z uśmiechem z baru kawowego, w swetrze żywcem wyjętym z filmu z Robertem Mitchumem i w wełnianych spodniach, które pasowały do Londynu, nie do Berkeley w Kalifornii.

– Proszę. – Roya poskładała książki na równą stertę, by zrobić miejsce na stole. Czowała się tak, jakby rozdzielala morze. Nie miała pewności, czy nie była zbyt bezpośrednia. Ale czy mówiąc „nie”, nie zachowałyby się nieuprzejmie? Chciałaby znać zasady panujące w tym kraju. Chociaż czasami wydawało się, że tu nie ma żadnych zasad. O wiele łatwiej było w Iranie, gdzie tradycja, *tarof* i to, kim był twój dziadek, często dyktowały, jak się zachować.

– Walter. Jestem z Bostonu. – Wyciągnął dłoń.

Czy powinna ją uściskać? Tutaj tak robili. Amerykanie lubili ścisnąć sobie dłonie, jakby byli partnerami biznesowymi, ubijającymi interes, przypieczętowującymi umowę. Wsunęła dłoń w jego rękę i zaskoczył ją jego miękki uścisk. Była pewna, że się rumieni. Minęło trochę czasu, odkąd czuła męską dłoń na swojej. Kiedy usiadł naprzeciwko niej, była odrobinę zaniepokojona jego zuchwałością, ale tutaj tak było, wszystko szło łatwo – żadnych surowych zasad, których złamanie przyniosłoby wstyd twojej rodzinie, żadnych wariackich konwencji jak w domu.

Spodziewała się, że on wyjmie własne książki, skuli się za nimi jak większość studentów, będzie wzdychał i narzekał na zbliżające się egzaminy. Jednak tylko zamieszał świeżą kawę i popijał ją, jakby znajdował się na *piazza* w Italii z widokiem na góry, jakby miał cały czas na świecie i nic pilnego do załatwienia. Wszystko w nim było czyste i zadbane. Szybko się okazało, że nie da rady uczyć się w jego obecności. Dlaczego pozwoliła mu się przysiąść? Gdy zapytał, na którym roku ona studiuje, Roya wyobraziła sobie mydlane bańki unoszące się z jego ust. Ten mężczyzna dopiero co brał prysznic, nie wyobrażała sobie, by kiedykolwiek się pocił. Ale to nie wyglądał jak z obrazka zrobił na niej największe wrażenie, lecz jego sposób bycia. Popijał kawę, spokojny, zrelaksowany, bez pośpiechu. Wydawał się... bezpieczny.

Znała kiedyś chłopca, który się śpieszył – porwały ją jego żar, zapal i nieprzewidywalność. Drugi raz nie popełni tego błędu. Ekscytacja była przereklamowana. Tak naprawdę po Bahmanie i jego zdradzie Roya przysięgła sobie, że już nigdy nie zwiąże się z żadnym mężczyzną. W Ameryce będzie pilnie studiowała, potem wróci do Iranu, znajdzie dobrą pracę, stanie się niezależna finansowo i będzie wiodła życie starej panny, wypełnione równaniami, eksperymentami i czystą nauką. Będzie obstawała przy swoim z rezerwą i żelazną konsekwencją, co zniechęci nawet najbardziej zdeterminowanych konkurentów, którzy odejdą na poszukiwanie łatwiejszych, mniej kolczastych zdobyczy.

Jednak ten mężczyzna w błękitnym swetrze, ten chłopiec z baru kawowego był po prostu słodki, a ona pozwoliła mu przysiąść się do stolika. Uśmiechał się i prowadził uprzejmą rozmowę, zadziwiająco w swej niewinności. Żadnych insynuacji, prawie żadnego flirtowania. Okazywał jej szacunek. Po prostu zadawał pytania, na które ona odpowiadała. Wzdrygnęła się na myśl, że mogłaby poczuć do kogoś pociąg. Już nigdy nie mogła się stać tą uległą, miękką jak wosk dziewczyną z objęć Bahmana.

– A czy chemia daje ci satysfakcję? – Walter spojrzał na nią z powagą.

– Słucham?

– Chodzisz na zaawansowany kurs chemii, prawda? – Wskazał na jej książkę. – Czy tego właśnie się spodziewałaś? Ponieważ mój kolega z roku, Omar Said, który pochodzi z Libanu, mówił mi, że studia w Bejrucie były bardziej dogłębne niż to, co my tu oferujemy. Dlatego zastanawiałem się...

– Ja nie studiowałam na uniwersytecie w Iranie. Chodziłam tam tylko do liceum. Dlatego tak, to

jest całkiem... głębokie. To znaczy satysfakcjonujące. Chemia. Kurs. – Dlaczego była speszona podczas rozmowy z tym chłopcem? Na litość boską.

Wpatrywał się w nią przez chwilę, po czym pochylił się i wyszeptał:

– Ja też niezbyt dobrze orientuję się w tej kalifornijskiej kulturze.

Oczywiście, poznał jej obcość po akcencie, ciemnych włosach i oczach. Ale czy wszystko w niej zdradzało, że pochodzi z innego kraju? Wyobraziła sobie, że wszędzie, dokąd idzie, unosi się nad nią chmura wody różanej i szafranu. Jednak on nadal prowadził z nią swobodną rozmowę, jakby nie było w niej nic dziwnego. Powiedział, że przeprowadził się na Zachodnie Wybrzeże na studia, ale nadal czuje się w Kalifornii obco. Opowiadał o Nowej Anglii, zimach spędzanych na sankach i latach na Cape, gdzie jadł roladę z homarem i kibicował drużynie o nazwie Red Socks¹³. Red Socks? Co za absurdalna nazwa dla drużyny. Opisywane przez Waltera dzieciństwo w Nowej Anglii przypominało Royi sceny z amerykańskiego filmu, który oglądała z Bahmanem w kinie Metropol.

Skupiła się na słowach Waltera. Jego obecność przynosiła jej zaskakująco dużą ulgę. Przypominał bohatera familijnego serialu telewizyjnego. Nie wyjechał z kraju, którego premiera obalono zamachem stanu. Nie widział zastrzelonych ludzi u swoich stóp. Zjeżdżał na sankach i popijał gorącą czekoladę. Pod tym niebieskim swetrem Roya dostrzegła niewinność, za którą większość ludzi dałaby wszystko. Zazdrościła mu tej prostoty, braku komplikacji.

Kiedy tak siedzieli razem, Roya głównie słuchała, niewiele mówiąc o sobie. Wciąż łamaną angielszczyzną odpowiadała na jego pytania o pochodzenie, stancję, na której mieszkała, siostrę Zari. Tak, chciałyby zostać naukowczynią.

Walter wypił kawę, wstał i wrócił z dwiema następnymi. Kiedy podawał jej filiżankę, przypomniała sobie o innym mężczyźnie, który stał w kawiarni i podawał jej kawę, pytając, czy jej smakuje. Szybko wzięła napój od Waltera i wypła łyk, chociaż był zbyt gorący. Dalej rozmawiali. Gdy tak siedziała naprzeciwko niego i go słuchała, coś się w niej otworzyło. Napięcie, w którym trwała tak długo, nieco zelżało. Od bardzo dawna nie czuła się tak rozluźniona. Minęła godzina, podczas której na kartce pojawiło się bardzo niewiele sześciokątnych molekuł. Walter spytał, czy mógłby ją ewentualnie zaprosić do Powerhouse Gallery po egzaminach, zanim wróci do Bostonu na święta.

– Czy to brzmi jak dobry plan?

Jego błękitne oczy napotkały jej wzrok.

To brzmiało dokładnie tak, jak plan brzmieć powinien.

¹³ *Red Socks* (ang.) – dosł. czerwone skarpety.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

1957

PLAN ALTERNATYWNY

Na ogół wracam z pracy do domu przez plac Baharestan. Kobieta w czerwieni nadal stoi przy fontannie. Oczy ma wymalowane proszkiem antymonowym, włosy potargane i przesuszone. Powiadają, że nie zmieniała sukni, odkąd te wszystkie lata temu wystawił ją kochanek. I chodzi tam codziennie – biedna zagubiona dusza.

Nie powinienem chodzić przez ten plac, mogę wybrać inną drogę do domu. Ale nie mogę się powstrzymać. Znowu wypełniają mnie tęsknota i żal. Bezustanne pragnienie, by cofnąć czas.

Pamiętam wyraz Twoich oczu w sklepie papierniczym tamtego dnia, gdy się poznaliśmy. Pamiętam twoje buty. Pamiętam, jak bycie z tobą czyniło mnie szczęśliwszym, niż kiedykolwiek byłem.

Wahania nastrojów matki zelżały. Jest spokojniejsza, niemal zbyt spokojna. Napady furii i wściekłe ataki prawie się skończyły. Zamiast tego popadła w lekki, ale chroniczny smutek. Teraz pielęgnuje wewnętrzne rany w ciszy. Śmierć pana Fakri bardzo nią wstrząsnęła.

Roya-dżun, tak bardzo żałuję, że zmieniłaś zdanie. Tak bardzo bym chciał, abyś mogła zaakceptować jej stan psychiczny. Jednak dokonałaś wyboru, a ja nie zamierzałem wpychać się na siłę do Twojego życia.

Gozaszt, to przeszłość.

A zatem Mosadek odszedł. Szach ma teraz kontrolę. Młodsza wersja mnie byłaby wściekła i rwała się do walki. Ale już skończyłem z walką. Od zamachu stanu minęły cztery lata. Ludzie opłakują utratę przywódcy, ale ja czuję jedynie, że straciłem Ciebie.

Nie wiem, czy Dżahangir Ci powiedział, że mniej więcej rok temu zmarł mój ojciec. Tak się cieszę, że dzwonicie do siebie z Dżahangirem od czasu do czasu, to moje jedyne źródło informacji o Tobie. Urządziliśmy dla ojca skromny pogrzeb. Matka wypisała ozdobne zaproszenia i posłała rodzinie, która unikała nas przez te wszystkie lata. Ona nauczyła się czytać i pisać od mojego ojca. Jej rodzina była biedna, niepiśmienna. Jego wykształcona. Pobierając się, przekroczyli dzielące klasy granice, to była hańba dla rodziny ojca. Za tę decyzję został wykluczony z rodziny. Ale on ją kochał! Wiem, że ją kochał. Kochał ją, kiedy była młoda, kochał ją, gdy doświadczyli nieopisywalnej straty, i kochał ją, kiedy wpadła w depresję.

To bezwarunkowa miłość, którą ja również starałem się ją obdarzyć, chociaż czasami nie było mi łatwo. Myślałem, że z czasem Ty także ją pokochasz. Pomimo wszystko.

Inni postrzegali mojego ojca jako słabego, ale ja już tak go nie widzę. Był inteligentny, oddany. Bardzo się starał być sprawiedliwy. Pod wieloma względami nie pasował do patriarchalnego systemu naszego społeczeństwa. Szanował moją matkę. Próbował wspomóc ją w jej troskach i humorach. Nie oceniał jej surowo, jak nasza kultura ocenia tych, którzy zmagają się ze swoją psychiką.

Ponieważ oboje wybrali sobie małżonka spoza własnej klasy, zawsze myślałem, aczkolwiek niemądrze, że moja matka uszanuje miłość. Ślub z miłości. Wiem, że niektórzy postrzegają to jako romantyczne bzdury. Nasi własni poeci tyle napisali o miłości, a amerykańskie filmy mają na jej punkcie obsesję. Ale oczywiście nadal świetnie się miewa tradycja małżeństwa jako kontraktu, zawieranego dla uzyskania lub utrzymania statusu społecznego.

Kiedy Cię spotkałem, wpadłem po uszy – zatonałem w Tobie. Nie widziałem nic oprócz Ciebie. Odważyłem się wyobrazić sobie naszą wspólną przyszłość. Gdy nasze plany nabierały kształtów, moje nadzieje szybowały coraz wyżej. Nie mogłem myśleć o nikim poza Tobą. Jednak moja matka nadal

upierała się przy Szahli.

Więc powiedziałem jej, że zakochałem się w Tobie.

Kaligrafowała, gdy jej to obwieściłem – nigdy tego nie zapomnę. Kopiowanie liter ją uspokajało i lekarz zalecił jej to na nerwy. Przez krótką chwilę na jej twarzy pojawił się wyraz czułości. Jednak potem zeszywniała i powiedziała: „*Basse*”.

„Wystarczy”, powiedziała. „Dosyć tych bzdur”.

Nasza sytuacja finansowa nie była stabilna, chociaż moja matka uwielbiała się chełpić naszą „willą” nad morzem. Wiedziałem, że jej przechwałki doprowadzały cię do szału. O mało nie spałem się ze wstydu, kiedy opowiadała przy Tobie te wszystkie historie o naszym „bogactwie”. Nawet teraz mam ochotę zniknąć na myśl o niektórych rzeczach, które do Ciebie mówiła. Jednak prawda jest taka, że mój ojciec był pomijany przy awansach. Utknął na swoim stanowisku inżyniera. Chociaż pochodził z zamożnej rodziny, jego krewni odrzucili go, gdy ożenił się z moją matką, i nigdy nie mógłby prosić ich o żadną pomoc, zwłaszcza finansową. Z biegiem lat psychiczny stan mojej matki zaczął stanowić kolejny powód, by unikać krewnych, ponieważ te kilka razy, gdy spotkaliśmy się z siostrami ojca, one dały jasno do zrozumienia, że jej choroba tylko potwierdza fakt, iż od samego początku nie była dla niego odpowiednią partią.

Rodzina Szahli jest bogata, dzięki szachowi i mocnej pozycji jej ojca, i moja matka postrzegała małżeństwo z nią jako pomocne, niemal niezbędne. Powiedziała, że kupują suknie i perły w Paryżu. Jak gdyby w ogóle mnie to obchodziło. Martwiłem się o nasz kraj. Wspierałem Mosadeka, ponieważ obiecał postęp, demokrację i autonomię. Nie mogłem znieść szacha, który kulił się przed obcokrajowcami, jego braku kręgosłupa. Podziwiałem niezależną siłę Mosadeka. Ale odchodzę od tematu. Wystarczy powiedzieć, że Szahla w ogóle nie pasowała do mojej wizji przyszłości.

Ty tak.

Kiedy dostałem Twój ostatni list, gdy napisałaś, że jednak nie chcesz spędzić ze mną reszty życia, że stan mojej matki to dla ciebie zbyt duże wyzwanie, że nie możesz wejść do rodziny, w której występuje taki brak równowagi psychicznej – co mogłem zrobić? Nie zamierzałem wciskać Ci na siłę mojej rodziny. Nie mogłem zmienić jej stanu, bez względu na to, jak bardzo bym chciał. Czuję się taki zraniony, Roya-dżun, tym, że ją odrzuciłaś, że odepchnęłaś mnie. Co jednak mogłem na to powiedzieć? Ona jest moją matką i nie istniał żaden sposób, aby nie była obecna w naszym życiu. Nie chciałem udaremniać Twoich marzeń. Musiałem pozwolić Ci odejść. Nie chciałaś się ze mną widzieć i uszanowałem to.

Żałuję, że o Ciebie nie walczyłem. Mogłem Ci pokazać, że to nie jest jej wina. Mogłem opowiedzieć Ci o jej przeszłości i wyjaśnić, dlaczego taka jest. Ale byłem zbyt zawstydzony. I zraniony.

Tamtego dnia, gdy Dżahangir powiedział mi o Twoim wyjeździe, poczułem się tak, jakby ktoś zdarł ze mnie skórę. Nawet nie potrafię sobie wyobrazić Kalifornii. Ale jakie to niesamowite, Roya-dżun, że Ty tam jesteś, w kraju Cary’ego Granta, Lauren Bacall, Humphreya Bogarta, Ernesta Hemingwaya i prezydenta Eisenhowera. Kończą mi się Amerykanie, których mógłbym wymienić. Nie wspomnę o CIA. Będę grzeczny. Chociaż wciąż krew się we mnie gotuje na myśl, że maczali palce w naszym zamachu stanu. Chcę, żebyś była szczęśliwa tam, w Ameryce. Ale to, co rząd Twojego nowego kraju nam zrobił... Pewnego dnia to zostanie udowodnione. Pewnego dnia świat się dowie, że tamtejszy rząd obalił nasz. I w imię czego? Stracone istnienia, przysporzone cierpienie – czy było warto?

Nigdy nie zrozumieję obrotu, jaki przybrały dla nas sprawy w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim. Mam na myśli Ciebie i mnie, nie wspominając już o całym piekielnym kraju. Nie pojmem tego, nawet jeśli dożyję setki.

Moim zdaniem w tym kraju stoimy na straconej pozycji.

Czego nasze pokolenie nauczyło się tamtego lata? Że nawet jeśli zrobimy wszystko, co trzeba, żeby dokonać politycznej zmiany, to w jeden dzień, w jedno popołudnie zagraniczne siły i skorumpowani Irańczycy mogą to wszystko zniszczyć.

Bez końca przeżywałem na nowo wypadki z dwudziestego ósmego *Mordad* (albo dziewiętnastego sierpnia, według Twojego zachodniego kalendarza). Nawet teraz chcę zobaczyć Cię na tym placu, poczuć Cię tuż obok siebie, przytulić Cię. Poszlibyśmy do Urzędu Ślubów i Rozwodów.

Zaplanowałem wszystko aż do chwili naszego przybycia do biura. Urzędnik, z którym byłem umówiony, obiecał, że będzie miał wszystkie dokumenty gotowe.

Dżahangir na pewno Ci powiedział, że teraz pracuję dla przedsiębiorstwa naftowego. Jestem kolejnym trybikiem w kołach kapitalizmu. Nie zawsze spełniamy własne oczekiwania dotyczące tego, kim chcieliśmy zostać, gdy byliśmy młodszy, to pewne. Pan Fakri, niech Bóg ma w opiece jego duszę, nazywał mnie „chłopcem, który zmieni świat”. Myślę o pełnym ideałów młodym człowieku, jakim kiedyś byłem, i jestem nie tylko zawstydzony, ale przede wszystkim osierocony.

Chciałbym móc oczyścić życie ze smutku, kryjącego się we wszystkich jego szczelinach. Chcę zaakceptować fakt, że dokonałaś takiego, a nie innego wyboru, ponieważ miałaś ku temu powód. W końcu zostaniesz kobietą naukowcem. Mam nadzieję, że jesteś zdrowa i szczęśliwa. Naprawdę.

I Roya-dżun, możesz wierzyć lub nie, ale zimą zostanę ojcem. Myślałem, że matka będzie zachwycona tą nowiną, ale ona pozostała zaskakująco cicha i wycofana.

Kiedy dziecko, z pomocą Bożą, się urodzi, minie dokładnie cztery i pół roku od chwili, gdy czekałem na Ciebie na placu.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

1957

LEKCJE GOTOWANIA

Roya nigdy nie nauczyła się jeść jak Amerykanie.

Wychowywała się w Teheranie, spędziła dzieciństwo na ulicach tego miasta, uczyła się w tamtejszych szkołach i dokładnie tam, na jednym z głównych placów, zostało złamane jej serce. Próbowwała zapomnieć o czasach, gdy była zakochana w Bahmanie.

Jednak okazało się, że dużo trudniej przyzwyczać się do amerykańskiego jedzenia, niż się spodziewała: kurczak był gumowy, mięso raczej nie różowe, a ziemniaki zgniatano na purée. Na stacji z uprzejmości zjadały posiłki przygotowywane przez panią Kishpaugh; jak mogłyby zaprotestować? Nie mogły zachowywać się arogancko i niewdzięcznie. Jednak Roya każdego dnia tęskniła za perską kuchnią.

Kilka miesięcy po ich pierwszym spotkaniu w barze kawowym Roya i Walter wybrali się na podwójną randkę z Zari i Jackiem. Jack odmówił jedzenia w „pretensjonalnej knajpie”, jak to określił, więc poszli do jadalni, gdzie serwowano burgery, frytki i mleczne koktajle. Roya ostrożnie przekroiła swojego hamburgera, używając noża i widelca, a Jack rozparł się na kanapie, palił i potrząsając głową, powtarzał:

– O niech mnie.

Roya wzięła gwałtowny wdech na widok różowego płynu wypływającego z wnętrza jej hamburgera.

– A co wy jadłyście w Iranie? Kotlety cielęce? – Jack zaciągnął się papierosem.

– Niemądry Jack! – zachichotała Zari.

Szafa grająca odtwarzała piosenki Rosemary Clooney. Jadalnia była zbyt jasno oświetlona, a pękaty plastikowy boks sprawiał, że Roya czuła się tak, jakby siedziała na lepkim balonie.

– Właściwie się nie mylisz. – Chociaż zrobiła postępy, formułowanie angielskich zdań nadal czasami przyprawiało ją o ból głowy. – Mamy kebab z mieloną jagnięciną. Chociaż nie podaje się go w chlebie, jak tutaj. – Uniosła przesiąkniętą bułkę. – Nasze kebaby są dłuższe. Cieńsze. Przypominają walec.

– Doprawdy? – Jack wypuścił dym kącikiem ust i uśmiechnął się krzywo.

– Wydaje mi się, że starożytna kultura Persji była znana z wyszukanej i wonnej kuchni – wtrącił Walter.

– Serio, koleś? To wymień chociaż jedną rzecz z tej wyszukanej i wonnej kuchni.

– No cóż. Wydaje mi się...

– Mają kebaby! – Jack pochylił się nad stołem. – Oto co mają.

Zari i Roya wymieniły spojrzenia. O rety, nie. Nie, nie. Roya żałowała, że jej niedoskonały angielski nie pozwala jej uraczyć Jacka listą wszystkiego, co tej chwili miała ochotę zjeść: kurczak marynowany w soku z limonki z szafranem, umoszczony w ryżu basmati, posypany płatkami migdałowymi i berberysiem (danie, którym w innym życiu zachwycali się goście na jej przyjęciu zaręczynowym). *Choresz* z granatem i orzechami włoskimi. Smażone bakłazany z pomidorami, małymi kwaśnymi winogronami i mięsem, podawane z ryżem. Gęsta zupa *asz* z kluskami, warzywami i fasolą. Gulasz *korme sabzi* jej matki. *Dolme* z mieloną wołowiną i ziołami, ręcznie owijane w liście winogron i gotowane na wolnym ogniu z kardamonem.

Roya ścisnęła bułkę w dłoni, a ta rozpadła się na kawałki.

– Przyjdziecie do nas na stację. Poprosimy o pozwolenie naszą gospodynię, panią Kishpaugh. Ugotujemy dla was.

– Nie. – Zari pokręciła głową. – Nie powinnyśmy tam gotować.

– Ugotujemy dla was – powtórzyła Roya, piorunując siostrę wzrokiem.

– Och, ale byczo! Rety, bardzo chętnie przyjdę!

– Na pewno, koleś. – Jack przerzucił rękę przez ramiona Zari. – Ale ja sobie daruję kulinarne demonstracje, jeśli pozwolicie. Mam swoją wonną kuchnię tuż obok. – Zacieśnił uścisk wokół dziewczyny.

Policzki Zari poczerwieniały i na chwilę zeszytywniały. Jednak potem wtopiła się w jego objęcia.

Walter skoncentrował się na swoim talerzu i odchrząknął.

– W takim razie ty przyjdź, Walter. Będę gotować dla ciebie – powiedziała Roya.

*

Ich pierwsza lekcja odbyła się w sobotni wieczór. Pani Kishpaugh gotowała posiłki dla swoich lokatorek w tygodniu i w niedziele, ale w soboty każda radziła sobie sama. Większość dziewcząt i tak wychodziła wtedy na randki. A pani Kishpaugh lubiła jeździć w soboty do swojej córki, od której wracała z długimi i szczegółowymi anegdotami na temat wybryków wnuków. Roya poprosiła o pozwolenie skorzystania z kuchni i pani Kishpaugh się zgodziła – „o ile wszystko wysprzątasz, ani jednej plamki, kuchnia ma wyglądać tak, jakby nic się tam nie działo”.

Tego wieczoru Zari umówiła się z Jackiem do kina, żeby zobaczyć Jamesa Deana w *Buntowniku bez powodu*. Gdy Zari wymieniła tytuł filmu, Roya parsknęła śmiechem i powiedziała, że pasuje do nich obojga. Starannie się do tego wieczoru przygotowała. Na początku tygodnia odbyła pielgrzymkę do turecko-armeńskiego sklepu spożywczego w San Francisco. Od przyjazdu do Kalifornii prawie nie miała styczności z irańskimi przyprawami. Na początku semestru w laboratorium chemicznym poznała dziewczynę, Sedę Kebabijan. (Fakt, że Seda miała słowo „kebab” w nazwisku, sprawił, iż Roya natychmiast poczuła do niej sympatię). Zostały przyjaciółkami. Pewnego dnia stały w laboratorium, myjąc zlewki, i Seda powiedziała Royi, że jej wuj otworzył w dzielnicy Richmond w San Francisco delikatesy, w których sprzedawał przyprawy, herbaty i dżemy ze starego kraju. Zlewka Royi się przepełniła, kiedy dziewczyna stała jak w transie, słuchając.

– Zabierz mnie tam – wyszeptwała.

Gdy razem z Sedą dotarli do małych delikatesów w centrum, Roya weszła do środka, zamknęła oczy i wciągnęła w płuca znajomą mieszankę zapachów. Potem otworzyła oczy. Natychmiast miała ochotę ogołocić cały sklep. Chciała zgarnąć wszystko z półek w spódnicę i uciec ze słoiczkami każdej przyprawy, za którą tak bardzo tęskniła. Jakaś część niej wróciła do rodzinnego domu.

Kupiła żółty groch łuskany. Kardamon. Kumin. Cynamon (ze wszystkiego, co dotychczas znalazła w Ameryce, zapach tutejszego był najbardziej zbliżony do tego, jak cynamon powinien pachnieć.). Kruszone płatki róż. Wodę różaną. Wodę z kwiatów pomarańczy. I (czy ona śniła?) w sklepie mieli prawdziwe suszone perskie limonki i nitki szafranu! Łapczywie chwytiała wszystkie składniki. Baba sumiennie przysyłał pieniądze do Ameryki, kiedy tylko mógł. Teraz ona wyda wszystkie jego ciężko zarobione *toman* podczas jednej wycieczki.

*

Kiedy w sobotni wieczór Walter przyszedł na pokaz kulinarny, pachniał płynem po goleniu i mydłem. Był ubrany w swoje wełniane spodnie, niebieski sweter i kapelusz z szerokim rondem. Gdy zdjął kapelusz, okazało się, że na tę okazję umył i starannie uczesał włosy.

Roya zaprowadziła go do kuchni i nie powiedziała ani słowa, kiedy nie zdjął butów. Na stacji pani Kishpaugh i tak nie miało to sensu. W tym kraju nikt nie zdejmował butów w domu, co było zaskakujące – i lekko obrzydliwe, ale Roya się przystosowała.

Poprosiła Waltera, by usiadł, i zapytała, czego chciałby się napić.

– Och, poproszę coca-colę, jeśli to nie jest wielki kłopot, dzięki.

Gdyby był Irańczykiem, powiedziałby: „Och, nie, dziękuję, nie chciałbym sprawiać ci kłopotu,

nic mi nie trzeba”. Ona zapytałaby jeszcze raz, a on znów by odmówił i powiedział, że nie, dzięki, nic mu nie trzeba. Ona podała by herbatę, którą wcześniej zaparzyła. Przygotowała by wielką miskę orzechów i nasion, półmisek owoców oraz tacę pełną ciastek z ciecierzycą i innych słodkości. Gdyby był Irańczykiem, ułożyłaby na talerzu stertę owoców, obrała ogórka, naląła mu herbaty do *estekan* i zaproponowała kostki cukru, które włożyłby między zęby, by popijać przez nie gorący napar. Na początku chciała robić te wszystkie rzeczy dla każdego, kto ją odwiedzał w domu pani Kishpaugh – dla koleżanek z roku, przychodzących na wspólną naukę, nawet dla Jacka Zari. Jednak miała ograniczony zakres ruchów w domu, który nie należał do niej, w kuchni, gdzie nie było samowara, w kraju, w którym ludzie nie uważali ogórka za owoc i nie sądzili, że góry owoców powinny być jedzone przed kolacją. Kiedy przyszła Seda Kebabijan, żeby przejrzeć notatki laboratoryjne z chemii, i Roya przeprosiła, że nie może zaproponować jej nic więcej, Seda uniosła dłoń i powiedziała:

– Prześnię! Tutaj nie jest tak jak w naszych domach. Nie musisz przez cały czas proponować i namawiać, goście powiedzą „tak”, kiedy ich zapytasz, i nie musisz się tak bardzo martwić, czy jesteś idealną gospodynią.

Dlatego wypowiedziane przez Waltera: „Och, poproszę coca-colę, jeśli to nie jest wielki kłopot, dzięki” nie zaszokowało jej. Mieszkała w tym kraju od ponad roku. Poznała dosyć dobrze amerykańskie zwyczaje. Wiedziała, że to nie afront ze strony Waltera, iż na początku uprzejmie nie odmówił. Wiedziała, że perski *tarof* – rytuał nieustannego ponawiania propozycji, często okraszony kwiecistym językiem i przesadnymi pochlebstwami – tutaj nie obowiązuje.

Wróciła z coca-colą. Wszystkie współlokatorki i pani Kishpaugh wyszły. Ona i Walter mieli kuchnię i cały dom dla siebie. Dziwnie się czuła, będąc z nim sam na sam w tym wielkim budynku. W Iranie nigdy by na coś takiego nie pozwolono. Ale to był Walter. Tak dobrze wychowany. Nie mógłby się jej narzucać. Nakazała sobie przestać myśleć o głupotach.

– Chodź, czas na gotowanie, nie?

Poszedł za nią do kuchni. Przed przyjściem Waltera Roya przygotowała wszystkie składniki. Pokazała mu je teraz i opowiedziała trochę o daniu, które zamierzała przyrządzić.

– To się nazywa *choresz-e bademdżan*. Zwykle robimy go z wołowiną.

Pokiwał głową.

Krew napłynęła jej do twarzy.

– Ale nie mogłam dostać wołowiny. Dlatego dzisiaj zrobimy z kurczakiem.

– Brzmi jak dobry plan! – Walter się uśmiechnął.

Pokroiła cebulę na cienkie plastry, posiekała, po czym podsmażała w wielkim rondlu, dopóki nie zrobiła się szklista. W moździerzu, który pani Kishpaugh trzymała na górnej półce, roztarła tłuczkiem cenne nitki szafranu na delikatny puder.

Walter siedział przy kuchennym stole i obserwował ją z rozanielonym wyrazem twarzy.

– Powinnaś zobaczyć moją mamę w niedzielę, jak przygotowuje pieczeń – rzucił. – Ona też lubi gotować.

– Tak? Widzisz, to jest szafran. Widzisz, jak się... rozgniata? – Przycisnęła nitki szafranu tłuczkiem do ścianki moździerza. – Widzisz?

– Oczywiście, widzę, jak się rozgniata. Elegancko.

Im dłużej gotowała, tym mniej czuła się skrępowana. Tak jak wtedy, gdy była z nim w kawiarni czy podczas tych kilku kolacji, które jedli z Zari i Jackiem, naprawdę poczuła się swobodnie. Nigdy nie miała zamiaru spędzać czasu w Ameryce z kimś tak radosnym. Zbyt dobry humor wydawał jej się uciążliwy, trącił fałszem. Jakim cudem Amerykanie byli w tak dobrych nastrojach dzień w dzień, przez okrągły rok? To na pewno przez lśniąca nowością świeżość ich kraju. Przez całą tę wolność. Nie mieli za sobą tysięcy lat ogłupiających zasad, których musieli przestrzegać. Tylko swobodne płynięcie z nurtem. Ale ona przyzwyczała się do dobrego humoru. Lubiła Waltera, a jego pozytywne nastawienie poprawiało jej nastrój.

Nagle przypomniała sobie o Bahmanie, jednak odepchnęła to wspomnienie z ukłuciem w sercu. Byłoby niedorzeczne poczuć znów coś tak niebezpiecznego.

Dodała do szafranu kilka łyżeczek wrzątku i zamieszała. Waltera na pewno nie interesował jej

przepis tak bardzo, jak to okazywał, ale kiwał głową razem z nią, jakby obserwował ważne wydarzenie.

– Czy chciałabyś, abym pokroił kurczaka? – zapytał delikatnie.

Nie spodziewała się jego pomocy. Baba ani razu niczego nie ugotował. Irańscy mężczyźni uwielbiali jeść, ale znała bardzo niewielu, którzy lubili gotować. Właściwie nie znała żadnego, dopóki... Oczywiście była zaskoczona, kiedy pan Aslan i Bahman wpadali i wypadali z kuchni w ich domu. Nie mieli wyboru, skoro pani Aslan tak źle się czuła, sparaliżowana przez swoje nastroje. Roya oplukała nóż. Tutaj był Walter, czekał, by jej pomóc. Tutaj był Walter i czekał. Miała lepsze rzeczy do roboty niż rozmyślanie o kimkolwiek innym. Wręczyła mu nóż i opisała najlepiej, jak potrafiła, jak powinien pokroić kurczaka.

Postępował ściśle według jej instrukcji, dbając, by brudny nóż nie dotykał niczego innego. Kiedy skończył, umył ręce wodą z mydłem. Roya była pod wrażeniem jego pracowitości i sumienności. Tego, że naprawdę troszczył się o rozmiar kawałków kurczaka, ponieważ wiedział, że to dla niej ważne. Nic nie mogła poradzić na to, że jakaś część niej była poruszona tą troską.

Kiedy skończył, wrzuciła kawałki mięsa do rondla z zeszkloną cebulą. Kurczak zaczął skwierczeć. Stali obok siebie, ale się nie dotykali. Nie dotknęła Waltera ani razu poza uściskiem dłoni tamtego pierwszego dnia w „barze kawowym”. Podczas wszystkich randek zachowywał się jak idealny dżentelmen.

– Teraz dodajemy sól i pieprz. I tajemny składnik – powiedziała. Przy kuchence robiło się gorąco. Musiała się skupić.

– A cóż to takiego?

– To... kurkuma. – Nie była pewna, jak wymówić „kurkuma”. Oczy Waltera zaślniły, ale nie potrafiła powiedzieć, czy wymówiła słowo niepoprawnie, czy też po prostu nie miał pojęcia, czym jest kurkuma. Obficie posypała żółtą przyprawą smażącego się kurczaka.

– Bez wątplenia to danie nie będzie przypominało niczego, czego kiedykolwiek próbowałem – zauważył Walter.

– Teraz do kurczaka i cebuli dolewamy wodę, tak żeby je przykryła.

– Zanotowałem.

– Nie widzę, żebyś pisał.

– Wszystko mam tutaj. – Popukał się w głowę.

– Czekasz, aż woda się zagotuje, potem zmniejszasz gaz, żeby kurczak się, yyy... jak to się mówi? Gotował... delikatnie.

– Na wolnym ogniu?

– Tak. Na wolnym ogniu. – To było ważne wyrażenie, nie dlatego, że składało się z kilku słów, ale ponieważ dzięki takim zwrotom czuła się, jakby mówiła w ojczystym języku. Ile irańskich kobiet, które przebywały w tym kraju krócej niż dwa lata, chodziło po świecie, używając zwrotu „gotować na wolnym ogniu”? Kurkuma, gotowanie na wolnym ogniu – stawiała się profesjonalistką.

– Podczas gdy kurczak gotuje się na wolnym ogniu – Roya zadbała, by użyć czasownika w odpowiedniej osobie – obieramy i kroimy bakłażany. Potem dodajemy do bakłażanów sól, płuczemy je, osuszamy i smażymy. Tak?

– Och tak.

Razem obrali bakłażany. On podawał jej gotowe i patrzył, jak Roya kroić. Uniósł ostrożnie nóż, jak gdyby pytał, czy też może kroić. Roya, będąc pod wrażeniem, pozwoliła. Siekał starannie, stosując się do jej instrukcji, ale wiedziała, że trwałoby zbyt długo, gdyby posolili bakłażany, tak jak robiły to Maman i Kazeb w ich kuchni w Teheranie, a potem czekali, aż wypłynie z nich gorycz. Dlatego brała od Waltera każdy plaster i wrzucała do drugiego rondla, pełnego podgrzanego oleju. Pracowali zgodnie w ciszy. Walter obierał i kroił, Roya wrzucała i smażyła. W tym czasie kurczak gotował się na wolnym ogniu.

– Do kurczaka dodajemy też wodę z cynamonem, kardamonem i szafranem – wyjaśniła. – I kawałki pomidorów.

Podeszła do lewego palnika kuchenki, dbając, by nie otrzeć się o Waltera.

Kiedy uniosła pokrywkę, z rondla buchnęła para, która osiadła na jej twarzy i szyi. Wiedziała, że

on ją obserwuje, i poczuła się skrępowana, zrobiło się jej gorąco.

– Szafran z wodą przypomina płynne złoto, prawda? My nazywamy to płynnym złotem.

Wyglądał na zmieszanego.

– Ponieważ szafran jest taki drogi, wiesz?

– Rozumiem.

– Czy to wszystko nadal tam jest? – Roześmiała się i popukała w głowę, tak jak przed chwilą zrobił to Walter.

– Tak. – Wpatrywał się w nią przez chwilę, po czym położył dłoń na piersi. – I tutaj. Wszystko jest tutaj.

Para z rondla osiadła na twarzy Royi kroplami. Czuła, jak spływają jej po policzkach, po szyi. To musi się skończyć. Nie mogła znów zakochać się w mężczyźnie, nawet jeśli ten Walter tak bardzo się różnił od chłopca, który ją zdradził. Chwyciła perską limonkę, stanowczym ruchem położyła na blacie i mocno dźgnęła ją nożem. Długie poszarpane cięcie rozerwało skórkę.

– Rany! – Walter cofnął się o krok od kuchenki. I od niej.

– Czasami musisz ciąć gwałtownie – rzuciła ostro Roya – żeby wydobyć smak. – Odwróciła się do niego plecami. – A teraz przygotujemy ryż.

*

Siedzieli w salonie, gdy zapadał zmierzch.

– No dalej – zachęciła Roya, podając Walterowi talerz z *choresz* z kurczakiem i bakłazanami, które razem przyrządzili. – Spróbuj. Proszę.

To było danie, które nauczyła się gotować u boki matki w Iranie. Kazeb zawsze wybierała na bazarze świeże warzywa; czasami zarzynała kurczaka w ogrodzie z tyłu domu, limonki schły na słońcu tuż obok konewki, matka, kucając na piętach, mieszała przyprawy *adwie*. W zimowe wieczory siadywali razem – ona, Baba, Maman i Zari – z nogami pod *korsi*¹⁴ i jedząc, opowiadali sobie, jak im minął dzień.

Walter uniósł pełną łyżkę *choresz*, jej przeszłości. Odpowiednio zrobione powinno stanowić mieszankę słodczy i cierpkości, wonne, subtelne połączenie smaków.

Czekała, aż skosztuje.

– Rety – powiedział i wziął kolejny kęs. – Mój Boże.

Z każdą porcją, którą wkładał do ust w jadalni stancji pani Kishpaugh, z twardej skorupy Royi odpadała kolejna warstwa.

¹⁴ *Korsi* – niski stół z grzejnikiem pod spodem, przykryty kocami.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

1957–1959

SPRAWY DO ZAŁATWIENIA

Obecność przy stole w jadalni Waltera, który próbował jej dań, stała się nieodłącznym elementem sobotnich wieczorów Royi. Gdy Zari usłyszała o tym rytuale, pacnęła się w bok ust.

– *Ahaaaaj!* Jak słodko! Ty dla niego gotujesz, a on to pożera.

– Mniej więcej – wymamrotała Roya.

Obecność sobowtóra Tintina, który wszedł nieśpiesznie do tamtej kalifornijskiej kawiarni, który powiedział do niej: „dobry plan?”, którego wspomnienia homarowego lata i zimy na sankach wydawały się żywcem wyjęte z amerykańskiego filmu w kinie Metropol, przynosiła jej ukojenie. Ich zaloty w ogóle nie powinny mieć miejsca; zostały oparte na uprzejmości, skupione na poczuciu bezpieczeństwa – to miały być lekcje gotowania w kuchni pani Kishpaugh. Ona nie powinna powściągliwie łaknąć jego spokoju.

Kiedy poprosił ją o rękę, nad wyjątkowo chrupkim ryżem *tadig*, serwowanym z *korme sabzi* w sobotni wieczór, mniej więcej rok po pierwszej lekcji kulinarnej, Roya znów poczuła tę dezintegrację, jak gdyby unosiła się nad rozgrywającą się sceną, oglądając dziewczynę w filmie, która odgrywa swoją rolę. Nie mogła oddychać. Pozwoliła, by oświadczyzny Waltera zawisły w powietrzu razem z zapachem stopionego masła, szafranu i ryżu w jego oddechu.

To wszystko – ich subtelne zaloty, pogłębiające się wzajemne uczucie, obietnica nowego życia w Nowej Anglii – stanowiło scenariusz życia kogoś innego. Kogoś lepiej przygotowanego do związku, kogoś mniej złamanego i obcego. W jakiś sposób Roya odgrywała kopię tego, co przydarzało się Amerykanom.

– Czy ty, Roya-dżun... – Nauczyła go tego czulego słowa po persku, a on tamtego wieczoru przy stole w jadalni wypowiedział je wprost perfekcyjnie – ...wyjdiesz za mnie?

Jej policzki i uszy zapłonęły. Stała się czujna, nawet zaniepokojona. Takie słowa mówiono w filmach. Podobne do słów wypowiedzianych do niej w innym języku całe życie temu.

– Pomyśl o tym: Roya Archer – wyartykułował imię i nazwisko powoli, metodycznie, jak gdyby ćwiczył wypowiadanie jednego po drugim. – Moglibyśmy przeprowadzić się z powrotem na Wschód. Zostałem przyjęty do UB.

– Ubee?

– Uniwersytet Bostoński. Ja studiowałbym prawo, a ty mogłabyś pracować w laboratorium. Tam jest tyle szpitali i uniwersytetów. Mogłabyś znaleźć pracę, jakiej pragniesz, Roya. Chcę z tobą spędzić resztę życia. Jeśli potrzebujesz czasu... posłuchaj, może jestem...

– Tak.

Szybko, w sekundę.

Później będzie odgrywała tę scenę w głowie. On ją poprosił o rękę, a ona się zgodziła. I pomyśleć, że winiła Bahmana za to, że wskoczył tak szybko w życie, które wyreżyserowała dla niego matka. Może oboje po prostu wypełniali przeznaczenie, wypisane niewidzialnym atramentem na ich czołach.

Oddech Waltera na jej szyi był ciepły, Walterowy. Jakiż był podekscytowany, gdy się zgodziła! Roztrzęsiony, zarumieniony. Niemal potknął się o próg, kiedy się odwrócił na jeszcze jeden uścisk. Tamtego wieczoru, kiedy odjechał, Roya siedziała bez ruchu w salonie pani Kishpaugh przy wyłączonym świetle. Pozostałe lokatorki, w tym również Zari, nadal bawiły się na swoich sobotnich

randkach. Pani Kishpaugh jeszcze nie wróciła od córki i wnuków.

– Jaki piękny księżyc! – zawołała Zari, kiedy w końcu wróciła do domu. Wkroczyła do salonu, głos miała drżący po randce z Jackiem. Roya zawsze wyczuwała tę po-Jackową aurę wokół niej.

– Powinnaś była usłyszeć dziś Jacka, siostrze! – Szminka Zari lśniła rubinową czerwienią w cienkiej łunie księżycy, sączącej się przez okno. – Dlaczego siedzisz po ciemku? Och, jak w tym domu cudownie pachnie! Robiłaś swoje *korme sabzi*?

Roya pokiwała głową, choć nie była nawet pewna, czy siostra to widzi.

– Te lakierki mnie dobijają. – Usłyszała, jak Zari zdejmuje kopniakiem jeden but, a potem drugi. – Wiesz, że Jack napisał wiersz, w którym każda linijka zaczyna się od „p”? Każda linijka poza trzecią od końca, która zaczyna się od „z”? Ale zdolny, co?

– Geniusz.

– Jak minął wieczór z Walterem? Nauczyłaś go gotować *korme sabzi*?

– Wychodzę za niego za męż. – Aby się zakotwiczyć i nie ulotnić od zawrotów głowy, które spowodował ogrom tego, na co się zgodziła, Roya zacisnęła pachnące cebulą dłonie na kolanach. Natknęła się na rolę narzeczonej Waltera, jak gdyby błądziła po studiach Hollywood, została pomyłona z główną aktorką i poproszono ją, aby wypowiedziała kwestie, napisane przez kogoś innego.

– Co?

– Słyszałaś. Dobrze słyszałaś.

– *Vaaaay!* Kiedy?

Roya wzruszyła ramionami.

Zari podpląsała do niej w samych pończochach. Kiedy nachyliła się do uścisku, pachniała wodą kolońską Jacka. Oczywiście chciała poznać wszystkie szczegóły. Zari najbardziej na świecie pragnęłaby, żeby obie rozmawiały przez pół nocy, rozpatrując każdy detal wieczoru: jak Walter się oświadczył, co powiedział, żeby analizowały wszystko słowo po słowie. Ale co tu było do opowiadania? On poprosił, a Roya się zgodziła. Tak po prostu.

– Dobranoc, Zari. – Roya niezręcznie poklepała ją po plecach. Nie była gotowa na potok słów Zari. Czowała się wykończona.

– Och mój Boże, siostrze! Za męż! Możesz to sobie wyobrazić? Musimy powiedzieć Maman i Babie! Rozmawiałaś z nimi? Zapytałaś ich o pozwolenie? Wrócisz do Iranu, żeby wziąć ślub? Jak oni tu przyjadą? Co my zrobimy? Kiedy to będzie? Mogę ci pomóc. Chcesz wziąć ślub tutaj, w Kalifornii? Czy powinniśmy powiedzieć pani Kishpaugh? Czy jak skończysz studia, przeprowadzisz się z nim do Bostonu? Siostrze, co ja bez ciebie zrobię? Po raz pierwszy w życiu zamieszkamy osobno. Wiesz, że ja tu zostaję, prawda? Pani Kishpaugh powiedziała, że mogę zostać nawet po dyplomie. To znaczy nie wiem, co będzie z Jackiem. On chce pisać poezję, mówi, że San Francisco jest zbyt drogie. Siostrze, będzie ci potrzebna suknia! Będziesz musiała porozmawiać z Babą. Och mój Boże! Walter! Amerykanin! Powinnaś sporządzić listę wszystkich rzeczy do zrobienia. Musisz mieć listę. Ja ci ją spiszę...

– *Jawasz, jawasz*, powoli, powoli – powstrzymała ją Roya. W głowie jej się kręciło. Zari za dużo mówiła. Wszystko działało się dosyć szybko. Oddech Waltera pachniał szafranem i masłem. Tego wieczoru ryż *tadig* wyszedł złoty i chrupiący. Idealne uzupełnienie gulaszu *korme sabzi*. Była zaskoczona. Martwiła się, że w starym garnku pani Kishpaugh ryż przypalił się i przykleił do dna, ale z łatwością go wysypała. Nie myślała o sukni. Ani o liście rzeczy do zrobienia. Miała ochotę oprzeć głowę o zagłówek fotela pani Kishpaugh i szlochać. Była zmęczona. Zari mówiła coś o przyjęciu zaręczynowym, czy Roya będzie chciała je urządzać, a jeśli tak, to może mogłyby zaprosić koleżanki z zajęć z chemii i tak dalej, i tak dalej. Roya nie potrzebowała przyjęcia zaręczynowego. Przez okna wpadała pojedyncza, wąska wstążka księżycowego światła. Reszta pokoju tonęła w ciemności.

– Siostrze, jest już późno, w końcu wszystko jakoś poukładamy – obiecała Roya.

Zari powiedziała jeszcze kilka zdań na temat kwiatów, telefonów, halek i Jacka, po czym wstała, w ciemności podeszła do drzwi i po omacku odszukała najpierw jeden, potem drugi but. Dyndały jej na palcach, gdy wychodziła. Zanim opuściła pokój, zawołała jeszcze:

– Wiesz, co to oznacza? Skończyliśmy z tamtym chłopakiem na dobre!

Po wyjściu Zari cienie drżały na podłodze salonu niczym koronki. Roya nie mogła przestać myśleć o liście rzeczy do zrobienia. Ile kartonów będzie potrzebowała, żeby spakować się na wyjazd do Nowej Anglii? Oczywiście będzie musiała kupić gruby płaszcz. Musi zadzwonić do rodziców i powiedzieć im, że szykuje się ślub. Baba będzie chciał poznać Waltera – powinien najpierw wyrazić aprobatę, zrobili wszystko zupełnie nie po kolei, ona powiedziała „tak”, zanim udzielili zgody jej rodzice. Ale w tym kraju wszystko stało na głowie, poza tym jaki miała wybór, skoro Baba i Maman byli tak daleko? Może poczują ulgę na wieść, że się zaręczyła. Przecież martwili się, że po zerwaniu z Bahmanem już nigdy nie wyjdzie za mąż. Nie została uznana za aż tak wybrakowaną, jak gdyby była rozwódką, Boże broń, jednak mimo wszystko. Wykreślili małżeństwo z jej planów – w każdym razie ona tak zrobiła. Zerwane zaręczyny stały się sprawą publiczną. W ich kręgach towarzyskich dyskutowano o tym przez jakiś czas. Ale Walter był Amerykaninem, mieszkał tutaj, w tym kraju. Tutaj było inaczej. Może to wszystko zostało zapisane w scenariuszu. W wypisanym na czole przeznaczeniu.

Oczywiście będzie potrzebowała sukni, Zari miała rację. Dodała ten punkt do swojej listy.

Słodki, kochany Walter. Był taki dobry, prawda? On by jej nigdy nie zdradził. Lubiła jego matkę – Roya poznała ją podczas zjazdu absolwentów – zachowywała się z rezerwą, ale uprzejmie. Cały czas powtarzała, jak bardzo ojciec Waltera chciałby tam być. Jego siostra Patricia była chłodna w obejściu, ale Walter tylko wzruszył ramionami i szepnął, wyjaśniając jej zachowanie: „Nowa Anglia”. Roya zmusiła się, by skupić myśli jedynie na Walterze i liście rzeczy do zrobienia. Jednak gula w gardle nie chciała zniknąć.

„Skończyliśmy z tamtym chłopakiem na dobre”.

Przejmie roladowo-homarowy tryb życia Waltera. Po stokroć.

„Skończyliśmy z tamtym chłopakiem na dobre”.

Roya ścisnęła cebulowymi dłońmi brzegi fotela pani Kishpaugh i czekała, aż gula w gardle zniknie i pozwoli jej przełknąć ślinę. Z czasem. Z czasem zniknie.

*

Kremowe róże pokrywały balustrady i stoły w hotelu na Cape Cod. Był środek lata i niebo w Nowej Anglii emanowało cudownym błękitem. Roya o mało nie zemdląła w drodze do ołtarza. Zari pomogła jej znaleźć suknię w sklepie w San Francisco. Była długa, z wielką falbaniastą spódnicą, w której Roya czuła się jak lalka. Gorset zrobiono z koronki, spódnicę z kremowej satyny. Maman i Baba przylecieli do Ameryki. W ich ramionach odnalazła ciche schronienie, rozpuściła się w ich objęciach na lotnisku. Przez cały ten czas za nimi tęskniła – bardziej, niż mogła przyznać. Listy z Iranu na papeterii z poczty lotniczej, pokrzykiwania rodziców podczas telefonicznych połączeń międzynarodowych, zmuszenie jej do obietnicy, że będą z Zari dbały o siebie nawzajem – to wszystko nie mogło zastąpić trzymania rodziców w objęciach i wdychania cytrynowego zapachu Maman. Baba stracił prawie wszystkie włosy i wydawał się o wiele mniejszy, zgarbiony. Maman wciąż trzymała się prosto, ale była zdecydowanie bardziej siwa, niż Roya zapamiętała. We wnętrzach wielkiego amerykańskiego hotelu jej rodzice wydawali się maleńcy, nieistotni: kiwając głowami i uśmiechając się do matki pana młodego, ściskając dłonie wysokim, gargantuicznym, blond krewnym Waltera, wyglądali na nieco zagubionych i potrzebowali bezustannego tłumaczenia i wyjaśnień.

– Uśmiechnij się, siostró, uśmiechnij! – Zari krzątała się po sali balowej w swojej bladuróżowej sukience z organdy, przepasanej szarfą, co podkreślało jej figurę. Poprawiała wstążki i prostowała obrusy. Przepływała przez salę, poddając inspekcji każde danie. Przez cały wieczór wyciągała Royę na parkiet i dbała, żeby krawat Waltera nie przekrzywił się ani o milimetr.

– Moja droga, pięknie wyglądasz – powiedziała Alice, matka Waltera. – Rety, ależ jesteś piękna. Och Walterze, jak bardzo bym chciała, żeby twój ojciec żył.

Podczas ceremonii Roya pocałowała Waltera, jak tego oczekiwano, i na sygnał pomachała klaszczącej publiczności. Kiedy została zapytana, czy to najszczęśliwszy moment w jej życiu, pokiwała głową i stanęła do fotografii, zupełnie nieruchomo.

*

Kiedy Roya i Walter skończyli studia – ona Mills College, a on UC Berkeley – Roya miała wrócić do Iranu. Lata wcześniej, przy śniadaniu złożonym z chleba *barbari*, sera feta i kwaśnego dżemu wiśniowego, Baba powiedział, że zostanie następną Madame Curie lub Helen Keller. Jednak może teraz mogłaby zostać naukowczynią – taką, która unosi zlewki pod światło, rozwiązuje problemy i dokonuje regularnych odkryć, zmieniających wiedzę o świecie – w Nowej Anglii.

Kupili z Walterem mały dom w stylu kolonialnym, z ciemnozielonymi okiennicami, na przedmieściach Bostonu. On nadal studiował, ale jego matka bez większych emocji pomogła im przy wpłacie zaliczki. Walter dojeżdżał na Uniwersytet Bostoński, a w weekendy oprowadzał Royę po jej nowym mieście. Ich dom znajdował się półtora kilometra od błoni, na których rozpoczęła się rewolucja amerykańska, gdzie o poranku dziewiętnastego kwietnia tysiąc siedemset siedemdziesiątego piątego roku minutemieni¹⁵ szli na śmierć, gdzie brytyjskie Czerwone Kurtki stawiały czoło dzielnym mieszkańcom kolonii, zmuszając ich do rewolucji. Zabrał ją w miejsce, w którym padł słyszalny na całym świecie strzał, i pokazał pomniki wzniesione na cześć poległych. Roya stała na nieskazitelnej trawie, zastanawiając się, czy pewnego dnia, kiedykolwiek, powstanie pomnik ku pamięci zastrzelonych na placu w Teheranie tamtego gorącego sierpniowego dnia w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim. Prawdopodobnie nie. Na tych samych błoniach, na których narodził się jej nowy kraj, Roya rozłożyła koc piknikowy i ze swoim nowym mężem jadła roladę z homarem, popijając piwem imbirowym. Przyprawy korzennego piwa paliły jej przetyk. Wołałaby wodę, ale Walter powiedział, że jego kława dziewczyna pokocha z czasem ten smak. Skinęła zgodnie głową. Pokocha.

Oczywiście po weselu jej rodzice wrócili do Iranu. Roya nie mogła porozmawiać z Maman i zapytać, ile pomidorów powinna dodać do *loobia polo*, które gotowała – nie mogła wpaść do niej i porwać na szybką wizytę w sklepie. Nie mogła czytać ojcu nagłówek z gazet ani siedzieć z nim i śmiać się z wybryków zwariowanej Lucille Ball¹⁶, która napychała sobie usta czekoladkami. Chciałaby, żeby rodzice zobaczyli telewizor, który kupił Walter. Chciała móc przejść kilka kroków do domu Maman, dotknąć jej policzka i powiedzieć: „Włóż buty, pójdziemy na spacer”.

Kiedy Zari i Jack brali ślub, Maman i Baba nawet nie przylecieli na uroczystość. Zari zaplanowała wszystko w trzy tygodnie i nie uprzedziła gości wystarczająco wcześnie. Poza tym podróż na ślub Royi stanowiła dla Maman i Baby spory wydatek, nie było ich stać, by znów przyjechać w tak krótkim czasie. Pod sekwojami kampusu pod presją Jacka młodzi wymienili się wierszami, które napisał na haju. Roya poleciała tam i obejrzała ten spektakl, po czym uściskała siostrę z nadzieją, że razem z Jackiem nie umrą z głodu.

– Czy on naprawdę zamierza być tylko poetą? To nie jest zbyt pewny zawód.

– Ależ jesteś surowa – odparła Zari, po czym wykrzyknęła: – Nie martw się, sestro! Postanowiłam zaznajomić Ja-cka z branżą reklamową. Myślę, że bardzo mu się to spodoba. Jest taki kreatywny. Te wiersze? Mogą stanowić reklamę produktów.

– Skoro tak mówisz. – Roya jednak nie przestała się martwić.

Siostry rozpoczęły swoje małżeńskie życie na dwóch przeciwnych wybrzeżach, pisywały do siebie listy i telefonowały od czasu do czasu, by pozostać w kontakcie. Roya zadomowiła się na północnym wschodzie. Zari dryfowała z Jackiem przez Kalifornię, na początku biwakując tu i ówdzie z jego przyjaciółmi. Potem zaczęły przychodzić listy. „Jack zgodził się ściąć włosy. Zgodził się poszukać posady w agencji reklamowej. Będzie musiał zacząć od samego dołu. Ale tak twórczy geniusz jak on długo tam nie pozostanie, prawda?”.

Wszyscy czekali, aż brzuch Royi się powiększy, aż pojawi się dziecko. Matka Waltera na widok talii Royi uśmiechała się z nadzieją, jakby chciała ją zmusić do pęcznienia samą siłą woli. Bardzo trudno było ich rozczarowywać.

Pewnego wieczoru siostra Waltera, mieszkająca w centrum Bostonu, przyjechała z wizytą. Roya podała pieczeń i gotowaną marchewkę, nie chcąc nękać Patricii perską kuchnią. Ostatnim razem, gdy

podawała swój *choresz* z kurczakiem i suszonymi śliwkami, Patricia, wzdychając, przesuwiała potrawę po talerzu. Potem Roya ze złością zgarnęła całe jedzenie z talerza do śmieci. Co za marnotrawstwo. Patricia ewidentnie nie lubiła jej kuchni – i trudno. Royę bardziej ranił fakt, że siostra Waltera wyraźnie nie lubiła też jej.

– I co słyhać nowego w świecie naszej czarującej pary, Waltera i Royi? – zapytała Patricia niezobowiązująco przy kolacji, kiedy już obwachała plaster pieczeni na swoim talerzu.

– Walter uczy się całymi dniami. I nocami.

– No cóż, to kompletnie zrozumiałe na studiach prawniczych, prawda? Nie możesz brać tego do siebie, Roya. Musi ciężko pracować. Tak to tutaj działa.

– Nie, chciałam powiedzieć, że... – zaczęła tłumaczyć Roya.

– Walter, czy wypoczywasz, ile trzeba? Dobrze się odżywasz? – przerwała jej Patricia. – Mogę przynieść ci pieczeń, jeśli chcesz. Mogłaby to być miła odmiana od... od tej całej reszty?

– Och, Roya zapewnia mi wszystko, czego potrzebuję. Niczego mi nie brakuje. Ale dzięki, Patricia.

– No cóż. – Patricia uśmiechnęła się z wysiłkiem. – Wybacz mi.

Jedli w ciszy. Po kilku minutach Patricia uniosła widelec i zapytała:

– No i?

– Co „no i”? – zapytał ze zmęczeniem Walter.

– Och, muszę to wam przeliterować? No i? Mam już powoli zaczynać haftować inicjały dziecka na kocyku?

Royi zaczęło ciążyć własne ciało.

– Posłuchaj, Patricio. Nie rozumiesz, że Roya jest nowoczesną kobietą? Na litość boską, mamy pięćdziesiąty dziewiąty rok. – Walter wypił haust dżinu z tonikiem. – Roya chce pracować – dodał. – Chce zostać naukowczynią. I ma doskonałe kwalifikacje. Wiesz o tym. Rozsyła życiorys i szuka posady, odkąd tylko przeprowadziliśmy się z powrotem na Wschód.

Widelec Patricii nadal wisiał w powietrzu. Po chwili go odłożyła i rzekła:

– Nie traktuj mnie protekcyjnie, Walterze. Jak gdybym ja nie pracowała! Ale jeśli bierzesz ślub, to rozsądnie jest mieć dzieci. To wszystko.

Patricia nigdy nie wyszła za mąż. Pięć lat starsza od Waltera, pracowała w banku w dzielnicy finansowej. Podobno świetnie radziła sobie z liczbami i żywiła coraz większą niechęć do obowiązków sekretarki, jakie jej przydzielono.

– Patricio, przynieść ci następnego drinka? – zapytał Walter.

Siostra spojrzała na niego spode łba i wymamrotała pod nosem coś niezrozumiałego. Walter uznał to za „tak” i poszedł do kuchni.

– Po prostu chcę popracować przez rok lub dwa – wyjaśniła Roya potulnie, gdy została sama ze szwagierką. Słowa Patricii wytrąciły ją z równowagi. Ślub, mąż, dom na przedmieściu: to wszystko łatwo było osiągnąć i już zostało starannie skreślone z jej listy. Jednak dzieci ją przerażały. Nie była gotowa do roli matki.

Patricia odgryzła kęs pieczeni, przeżuła i połknęła. Starannie otarła kąciki ust serwetką.

– Wszystko w twoim życiu nie wskoczy samo na swoje miejsce tylko dlatego, że jesteś teraz w Ameryce. To tak nie działa.

– Och, wiem – odparła Roya. – *Pewnie*, że wiem. – Nie mogła się oprzeć przed wypowiedzeniem tego z przesadnym amerykańskim akcentem.

Patricia wpatrywała się w nią przez kilka sekund. Po czym szepnęła:

– Biedny Walter.

Nigdy nie kryła, że uważa za wystarczającą katastrofę fakt, iż jej młodszy brat wybrał sobie perską narzeczoną zamiast jednej z wielu ustawionych, białych, anglosaskich protestantek z ich kręgów towarzyskich. Wydawała się do głębi wstrząśnięta, że jeszcze teraz ta mała Iranka upiera się, by pracować.

– Akurat *ty* nie możesz tego kontrolować, co? – zapytała Patricia. – I musisz jeszcze myśleć o Walterze.

– Proszę, Pat. – Walter wrócił i podał siostrze świeże martini. Jego wymuszony dobry nastrój zniknął na widok miny Royi. – Coś mnie ominęło?

– Nic, kochany Walterze. – Patricia wzięła drinka. – Po prostu niektórym ludziom się wydaje, że mogą kontrolować własne przeznaczenie, to wszystko. Są zbyt naiwni i głupi, by to zrozumieć.

*

Kilka tygodni później Walter wrócił z zajęć i pocałował Royę, która stała przy kuchni i gotowała.

– Wiesz, jeden z moich kolegów z roku ma siostrę, która pracuje w szkole handlowej. Ona odchodzi z pracy, żeby urodzić dziecko.

– Gratulacje – powiedziała Roya. Po tamtej nieszczęsnej rozmowie z Patricią powtarzała Walterowi, że po prostu nie jest gotowa na dziecko. Zapewnił ją, że rozumie. „Nie ma pośpiechu. Nie pozwól, żeby moja siostra mieszała ci w głowie”.

Dlaczego teraz poruszał temat czyjegoś dziecka?

– Ten koleś mówi, że posada jego siostry będzie wolna.

Roya przestała mieszać sos, pyrkający na gazie.

– Posłuchaj, wiem, że to posada w szkole handlowej i że nie tego pragniesz. Ale to praca, Roya. No i może chciałabyś się zgłosić, zanim zrobią to inni. Wkrótce rekrutacja zostanie oficjalnie otwarta i spłynie mnóstwo zgłoszeń.

– Nie chcę być sekretarką. – Pomyślała o Patricii, w jej ołówkowych spódnicach i obcisłych sweterkach, która stuknęła w maszynę, wypełniając polecenia mężczyzn w banku, kipiąc gniewem z powodu niespełnionych ambicji.

– Wiem, że to nie jest praca w laboratorium. Ale Roya, to dobra posada.

Znalezienie pracy w laboratorium okazało się o wiele trudniejsze, niż Roya kiedykolwiek przypuszczała. Posad dla kobiet było niewiele. Gotowa była zacząć od podstaw, jako technik, ale laboratoria jej nie chciały. Jedno z nich zaproponowało jej pracę przy myciu butelek: zlewki i próbki musiały być ostrożnie myte ręcznie, wyjaśnił jej przeprowadzający rozmowę kwalifikacyjną. Roya pokazała odpis prawie idealnych ocen i dyplom licencjacki z chemii. Mieli już prawie tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty rok, ale wyglądało na to, że wszędzie, gdzie szła, mężczyźni kandydaci byli traktowani preferencyjnie. A ona była nadal – i zawsze będzie – obcokrajowcem. Należała do mniejszości kobiet, które w ogóle *chciały* pracować. Większości z jej kohorty na przedmieściach Bostonu wystarczało siedzenie w domu i prowadzenie gospodarstwa dla mężów.

– No cóż, gratulacje – powiedziała Patricia, kiedy się dowiedziała, że Roya została sekretarką w szkole handlowej. – A kto teraz będzie gotował i opiekował się biednym Walterem?

– Będę nadal gotowała dla niego jak zawsze, Patricio. Nic się nie martw.

Roya posiekała pietruszkę, kolendrę, szpinak i miętę. Ugotowała gęstą zupę *asz* i razem z Walterem wzniesli kieliszki, by to uczcić.

Pomimo dezaprobaty Patricii i smutnych spojrzeń Alice Walter nie ugiął się pod presją siostry i matki i szanował potrzebę Royi, by poczekać ze staraniami o dziecko. W ciągu następnego roku od czasu do czasu podpytywał delikatnie Royę, czy zmieniła zdanie. Roya nie chciała mu mówić, że przeraża ją myśl o stworzeniu nowego życia i przywiązaniu się do niego. Nie potrafiła usunąć z głowy okrutnego pytania: „A jeśli coś stanie się z dzieckiem?”.

Dziwaczny refren pani Aslan z poprzedniego życia czasami wracał do niej w najmniej spodziewanych momentach. „Dzieci umierają”, powiedziała. Jaką trzeba być zwariowaną żoną, żeby myśleć tak jak Roya? Patricia miała rację. Rzeczywiście, biedny Walter!

Przez całe lata Roya myślała, że największą stratą w jej życiu jest pierwsza miłość. Albo sklepikarz, który umarł u jej stóp. Nie miała pojęcia, że przyszłość szykuje dla niej cios, przy którym lato tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego trzeciego roku wyda się dziecięcą igraszką.

15 Minuteman – ochotnik powoływany przed amerykańską rewolucją pod broń „w ciągu minuty”.

16 Lucille Ball – amerykańska aktorka, gwiazda m.in. sitcomu *Kocham Lucy*.

CZĘŚĆ CZWARTA

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

1958

NARODZINY

Nie spodziewałem się syna i córki za jednym zamachem! To specyficzny rodzaj radości połączonej z wyczerpaniem: więź, która obezwładnia. Oni nas pochłaniają. Jesteśmy błogosławieni i zachwyceni. Oby Bóg ich chronił.

Pewnego wieczoru wróciłem z pracy do domu, kucharka przyrządziła specjalne danie z jajek i czosnku, popularne w jej wiosce na północy, nagle bliźniaki zaczęły płakać jednocześnie i widziałem, że gdyby nie obecność służby i opiekunki, Szahla straciłaby nad sobą kontrolę. Matka przyszła z wizytą i siedziała w swoim kącie, cicha i wycofana.

Ani na sekundę nie zapominam tych wszystkich okrutnych słów, które do Ciebie skierowała. Czuję wstyd na myśl o jej braku emocjonalnego filtra, o stanowczych, raniących zdaniach. Pamiętam, jak byłaś w domu moich rodziców i moja matka mówiła różne rzeczy, żeby Cię zranić. Skrzywdzić. Przestraszyć Cię. Byłem przekonany, że jest okrutna. I kiedy mam lepszy dzień, potrafię zrozumieć, dlaczego to mogło Cię zniechęcić.

Ale oto historia, której nie znasz:

Nie byłem pierwszym dzieckiem moich rodziców. Nie byłem też ich dzieckiem drugim ani trzecim. Nie byłem czwartym dzieckiem mojej matki. Byłem jej piątym dzieckiem, a wszystkie przede mną umarły. Dwoje urodziło się martwych, jedno zmarło w ósmym miesiącu ciąży i jedno, zanim ukończyło rok. Fakt, że moi rodzice nadal próbowali, stanowi świadectwo ich pragnienia i znak czasów. Nie wiem, czy rodzice mieli po mnie jeszcze jakieś dzieci. Może tak, a ja byłem zbyt mały, by zapamiętać śmierć kolejnego. Moja matka powiedziała mi o tych utraconych dzieciach dopiero pod ogromną presją, w dniu, który wolałbym zapomnieć. Tamtego dnia wszystko się dla nas zmieniło. Można powiedzieć, że zmieniło się dla Ciebie i dla mnie.

Oczywiście w tamtych czasach moja matka nie była jedyna, która straciła dzieci, ale inne kobiety wydawały się lepiej to znosić. Może dlatego, że straciła ich tak wiele, jedno po drugim.

Utratą dzieci tłumaczyłem jej melancholię. Tak jak depresję, wahania nastrojów, brak równowagi. Skąd miałem wiedzieć, że nad wszystkim wisiała jeszcze jedna strata, poprzedzająca pozostałe?

Mam nadzieję, że dobrze się miewasz tam, w Ameryce. Niech Ci się wiedzie. Uważaj na siebie. Mam nadzieję, że jesteś zdrowa i szczęśliwa. Moje dzieci dają mi siłę do życia. Wiesz, o czym mówię?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

1962–1963

MARIGOLD

Siostrzo, Jack i ja spodziewamy się pierwszego dziecka. Poza tym nauczyłam się robić *choresz* z bakłażanami bez bakłażanów!”.

Roya przeczytała list Zari i ułożyła go schludnie na stercie spraw do załatwienia. Odpisała po persku, a na dole dopisała drukowanymi literami „GRATULACJE” po angielsku. Liżąc i zaklejając kopertę, powtarzała sobie własne cele. Ciężko pracowała jako sekretarka w szkole handlowej. Nie była to posada, jakiej się spodziewała, ale „kompromis” wydawał się hasłem przewodnim jej dorosłego życia. Po prostu nie była w stanie znaleźć dobrej (albo jakiegokolwiek) pracy w laboratorium, i to nie dlatego, że czegoś jej brakowało lub nie próbowała. Wiedziała, że to właśnie spotyka kobiety. I tak już przekraczała granice, upierając się, że w ogóle będzie pracować. A w nauce zawsze zakładano, że zabierze pracę dobrze wykwalifikowanemu mężczyźnie. Zresztą, czy jako imigrantka nie powinna być po prostu wdzięczna, że przebywa w tym kraju? Taki ukryty przekaz otrzymywała często od pełnych dobrych intencji znajomych lub sąsiadów. Roya powściągnęła swoje ambicje.

W tyle jej głowy rozbrzmiewało dręczące pytanie. Patricia miała rację: Roya powinna założyć rodzinę. Na litość boską, czego tak się bała, dlaczego sądziła, że stanie się coś złego?

Poszła na pocztę i wysłała list do Zari. Zadzwoni do niej pod koniec tygodnia i oczywiście pošle prezent. Oczywiście. Ruszyła szybko do domu, przypominając sobie, jak wiele ma do zrobienia. Cieszyła się razem z Zari i Jackiem. Naprawdę.

Jednak o rety, sama była taka zajęta, czyż nie? Taka zajęta.

Czasami w jej snach pojawiał się Bahman. Jego uśmiech, piżmowy zapach, oczy pełne nadziei, jego dotyk, jak przyciskał ją do regału z książkami w sklepie papierniczym, smak tego pierwszego espresso, słodkie ciastka, łuk jego pleców tuż obok niej... Kiedy się budziła, rozkazywała sobie o wszystkim zapomnieć. Nie mogła pozwolić, aby on zakłócił scenariusz jej obecnego życia. W snach był zawsze młody, czasami szczęśliwy.

W perski Nowy Rok Dżahangir powiedział jej przez telefon, że Bahman i Szahla są teraz zajęci dziećmi. Bliźniaki. Bliźniaki! Coroczny telefon od Dżahangira stanowił dla Royi jedyne źródło informacji o Bahmanie. Maman i Baba nigdy o nim nie wspominali. Podczas pierwszych dwóch lat w Stanach wymieniała listy z kilkoma koleżankami, z którymi chodziła do szkoły w Iranie, i z dwiema kuzynkami. Jednak miesiące mijały i przestały do siebie pisać. Dzielili je zbyt duża odległość. Upłynęło zbyt wiele czasu. Teraz jedynymi osobami, z którymi utrzymywała kontakt listowny, byli rodzice w Iranie i Zari w Kalifornii. Jednak coroczny telefon od Dżahangira stanowił łączność z przeszłością, której nie potrafiła się wyrzec – bez względu na to, jak była bolesna.

Walter pilnie studiował, a Roya była szczęśliwa – no dobrze, zadowolona – no dobrze, *przyzwyczaiła się* do swojej pracy w Harvard Business School. Nazywali to miejsce HBS. W Ameryce wszyscy uwielbiali akronimy. Jej współpracownicy byli kompetentni i czasami mili. Czuła satysfakcję, kiedy każdego ranka wkręcała w maszynę do pisania kartkę, żeby wystukać listy do dziekana i innych profesorów, robiła notatki, wypełniała dokumenty i utrzymywała wszystko w idealnym porządku. Lubiła panować nad sytuacją. Wszystko leżało na swoim miejscu: akta, listy, zatemperowane ołówki, teczki. Sprawowała kontrolę nad swoim światem z pełną precyzją troską.

– A zatem! – powiedziała Patrycja, goszcząc u nich na kolejnej kolacji. – Co u was słychać? Coś ekscytującego na horyzoncie?

– Czy przynieść ci drinka, Patricio? – wycedził Walter przez zaciśnięte zęby.

– Trzymam jednego w ręku, ale dzięki. – Patricia się uśmiechnęła. – Walter, pamiętasz Richarda z domku na Cape, razem dorastaliśmy? Nasze rodziny były bardzo blisko. – Ostatnie słowa skierowała do Royi w ramach wyjaśnienia, chociaż Roya знаła Richarda. Razem z Walterem regularnie jadali z nim i z jego żoną kolacje. – A zatem – kontynuowała Patricia – on i jego cudowna żona, och, uwielbiam Susan, jest taka elegancka, spodziewają się trzeciego dziecka. Trzeciego! – Upiła łyk drinka.

Roya poszła do kuchni i bez absolutnie żadnego powodu usmażyła trochę cebuli. Posypała ją miętą i zjadła prosto z patelni. Całe jej ciało drżało. Ona i Walter byli już dobrze po dwudziestce. Większość ich przyjaciół i znajomych miała przynajmniej jedno dziecko. Ale dla nich nie było jeszcze za późno. Patricia zachowywała się grubiańsko. Była bezpośrednia i się wtrącała. To nie była jej sprawa. Jak na razie udawało im się czekać i nadal będą, będą to robić.

*

Ona pojawiła się, kiedy uznała za stosowne. Urodziła się w szpitalu Mount Auburn jedenastego stycznia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego drugiego roku i kiedy Roya ją trzymała, gdy patrzyła w oczy, które wydawały się dziwnie czujne, kiedy tuliła maleńkie, mleczne, ciastowate ciało do swojego, była przerażona. Ale stała się też, w jakiś dziwny sposób, znów prawdziwa. Była podekscytowana i oszołomiona – tak – ale jednocześnie zadziwiająco osadzona w rzeczywistości. Po raz pierwszy od długiego czasu znowu w pełni była sobą.

Kiedy wrócili ze szpitala do domu, Alice zaopiekowała się całą trójką. Alice, pachnąca sałatką ziemniaczaną i balsamem, która była rzeczowa w stosunku do Royi i oczarowana wnuczką. Roya dotkliwie tęskniła za Maman, ale była wdzięczna za obecność Alice, wygotowującej wszystko w zasięgu wzroku w obronie przed zarazkami i przygotowującej niezliczone porcje pieczonych ziemniaków ze śmietaną.

Twarz Alice pomarszczyła się rok później, kiedy ich dziecko przestało oddychać. Gdy jechali do szpitala, w lodowatej panice, płakała w samochodzie.

Dziecko chwyciło powietrze. Marigold. Na imię miała Marigold. Wylądowała w ich życiu i na prawie dwanaście miesięcy Roya zrzuciła swoje ochronne skorupy. Nigdy nie dała Walterowi pełnego dostępu do siebie, jakaś część niej na zawsze pozostała zamknięta. On to zaakceptował (był Walterem!), po prostu cieszył się, że ona jest, że widzi ją codziennie rano. Jednak Marigold – ze swoimi jasnobrązowymi włosami, szarymi oczami, delikatnym kwileniem, gdy ssała pierś, chwytając się Royi z zadziwiającą siłą – Marigold przedzierała się przez każdy lodowy mur wzniesiony przez Royę, topiła go swoim bezzębnym uśmiechem. Przez dwanaście miesięcy Roya, wyczerpana i radosna, była w pełni sobą. W porównaniu z tym nawet romans jej młodości stracił na znaczeniu; nic nigdy nie stało się dla niej całym światem tak jak to dziecko.

W drodze do szpitala Walter w milczeniu ścisnął kierownicę. Śnieg padał uporczywie, zaspę rosły i szarzały. Samochód wypełniły modlitwy Alice; wersety z Biblii i błagania kierowane do Boga. Alice przyjechała z Cape z wizytą; jedli niedzielną kolację, kiedy atak kaszlu Marigold nie chciał minąć, kiedy gorączka, którą miała od wielu dni, podskoczyła, kiedy Marigold zaczęła świszczec i łapczywie chwycić powietrze. Roya siedziała zupełnie nieruchomo na tylnym siedzeniu z rozpalonym dzieckiem w ramionach i czuła się tak, jakby miała się złamać i rozpaść na kawałki. „Tylko pozwól, żeby mojemu dziecku nic się nie stało, pozwól lekarzom zbić jej gorączkę, ona wydobrzeje, na pewno, musi wydobrzeć”. Marigold zarzęziła i zrozpaczona Roya zaśpiewała jej starą perską piosenkę ludową. Alice przestała się modlić i słuchała, a Walter jechał najszybciej, jak to było możliwe na drodze skutej lodem.

Pielęgniarka, która wyjęła Marigold z ramion Royi, miała pod czepkiem blond kok. Jej oddech cuchnął papierosami. Roya nie chciała oddać córki tej kobiecie, chciała trzymać ją blisko. Lekarz, który się pojawił, miał bliskiego eksplozji pryszcza nad górną wargą. Lata później Roya, spacerując po uliczkach wokół swojego domu, wpadała we wściekłość na wspomnienie pryszcza lekarza i smrodu papierosów bijącego od pielęgniarki – oni weszli między nią i jej dziecko, wepchnęli się w tragedię jej życia i już na zawsze będą prześladować ją we wspomnieniach.

Marigold została uznana za zmarłą czterdzieści trzy minuty po przyjeździe do szpitala.

Na podłodze z linoleum, pod jarzeniówkami, Roya straciła czucie w nogach. Głos lekarza był zniekształcony. Tak samo jak tuż po przyjeździe do Ameryki, angielski był niezrozumiały. Obok niej stał Walter, unosił się przy niej, wysoki i milczący, i kątem oka dostrzegła, że jego wielkie dłonie drżą. Alice stała po przekątnej, wszystko w niej trwało bez ruchu, oprócz łez.

O świcie wrócili we troje do domu. Nie można było tego uniknąć, chociaż Roya zastanawiała się, czy po prostu nie zostać w szpitalu, nie wychodzić stamtąd i może umrzeć z głodu na podłodze z linoleum. W tym budynku, pełnym pisków, hałasu i miliona innych wypadków, które nigdy nie mogłyby być równie ważne jak życie Marigold, w miejscu pachnącym śmiercią, siedzieli godzinami, aż Walter podpisał dokumenty i kazano im wyjść. W drodze do domu majączyły zaspy. Roya nie miała ciała, nie czuła ramion, nóg ani palców; wiedziała, że w samochodzie siedział ktoś inny, nie ona. Najbardziej na świecie brakowało jej buzi Marigold przy swojej twarzy. Jej rozpacz nigdy nie zostanie ukojona, tego była pewna.

W końcu to Walter zrobił jej herbatę. To Walter wstawał co rano pierwszy z łóżka i gotował dla niej jajka na twardo. Już nie pogwizdywał. Odtąd w powietrzu zawsze unosił się jakiś cierpki zapach, czegoś gnijącego w kraterze pozostawionym przez Marigold.

*

– Nie musiałaś przyjeżdżać – powiedziała Roya kilka tygodni później, kiedy pojawiła się Zari, z walizką w dłoni, holując dwoje malutkich dzieci. Roya stała na progu tonącego w ciemności domu, w kuchennym zlewie za jej plecami piętrzyły się brudne naczynia, sterta prania rosła, powietrze było stęchłe.

– Och, ależ musiałam, siostrzo.

Syn Zari Darius miał cztery lata. Leila, jego młodsza siostra, wierząca się w ramionach matki, miała dwa lata. Przeżyła dwanaście miesięcy, które Marigold nigdy nie zostały dane. Wszystko – każdy szczegół, każde słowo, każda sekunda, każdy człowiek – przypominało Royi o Marigold. Chociaż „przypominało” nie było właściwym słowem. „Przypominanie” oznaczało, że najpierw musiałaby zapomnieć, żeby znów sobie przypomnieć. A ona nigdy nie zapomniała. Wszystko było związane z Marigold; tak naprawdę nigdy nic nie mogło zostać od niej oddzielone. Nawet słowa wymamrotane w poprzednim życiu przez szaloną kobietę w Iranie. „Dzieci umierają”.

I oto Leila w ramionach Zari. I oto jej siostrzenica, pulchna, szczęśliwa, oddychająca, w robionej na drutach różowej czapeczce na głowie. Czapeczce, którą Zari złożyłaby, zapakowała i wysłała pocztą Royi z listem mówiącym: „Maman-dżun zrobiła ją i wysłała. Leila już z niej wyrosła. Teraz powinna nosić ją Marigold”.

Marigold powinna.

Gdyby.

Darius zapiszczał i pobiegł do kuchni. Zari zdjęła buty i krzyknęła na niego, żeby nie biegał po domu w mokrych kozakach. Roya wpatrywała się w śnieg, kiedy jej siostra, siostrzenica i siostrzeniec ją mijali. Świat miał czelność pogrzyźć się w lodowatej, nienawistnej radości.

*

Chcąc odmienić Jacka, Zari przeprowadziła się w góry. Pod jej profesjonalnym zarządem poeta bitnik przeistoczył się w korporacyjnego woła roboczego. Pisał slogany reklamowe, najpierw do gazet, potem dla telewizji i nikt nie potrafił orzec, czy byłego, pełnego ideałów poetę ta zmiana smuci. Za każdym razem, gdy Roya go widziała, uśmiechał się promiennie, dzieci wisiły na nim jak małpki w zoo, długie włosy zastąpiła fryzura na jeża. W tych swoich garniturach i cienkich krawatach stanowił uosobienie pracownika reklamy tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku. W jaki sposób udało się Zari tak urobić męża, jaki cudowny narkotyk dała swojemu Jackowi, co wciąż wywoływało uśmiech na jego twarzy? „Och, siostrzo, obie wiemy, że koniec końców wszystko sprowadza się do tego, co dzieje się w łóżku, prawda? Spójrzmy prawdzie w oczy, to tak załatwia się wszystkie sprawy! Nie jestem głupia i wiem, co robić”.

Teraz na myśl o łóżku, pościeli i miłości Roya czuła się po prostu sparaliżowana.

Zari wysprzątała dom. Zarządziła gruntowne porządki, zwykle zarezerwowane na perski Nowy Rok, przypadający pierwszego dnia wiosny. Jednak teraz nie mieli wiosny, lecz zimę, wszędzie leżały śnieg i lód. Zari to nie obchodziło, sprzątała. A Roya myślała o wszystkich rytuałach, które – dorastając – odprawiała z okazji pierwszego dnia wiosny. Wszystkie teraz bezużyteczne. Jak gdyby jeszcze kiedykolwiek miała znaleźć motywację, by przygotować na perski Nowy Rok stół *Haft Seen*, zastawić go przedmiotami o nazwach rozpoczynających się na „s”, symbolizującymi odrodzenie i odnowę. Nie. Namoczyć soczewicę w wodzie, żeby wypuściła zielone kiełki, malować jajka, by świętować płodność – nigdy. Perski Nowy Rok, pierwszy dzień wiosny, Nouruz – teraz bez znaczenia, wszystko. Walter i Roya nie będą go obchodzić, ani Bożego Narodzenia, ani Dnia Dziękczynienia. Po co?

Zari umyła jej okna (w lutym! W Nowej Anglii! Po co zwracać sobie głowę? I tak zaraz pokryje je szron). Wyprała wszystkie ubrania. Poszła do sklepu, kupiła świeże produkty i gotowała, smażyła, piekła i dusiła, aż wypełniła zamrażalnik Royi *choresh* z daniami z ryżu, *dolme* z nadziewanych liści winogron, płaskimi mięsnymi *kotelet* i przypominającym *quiche* ziemniaczanym *kuku*. Otworzyła okna i wpuściła świeże powietrze (raczej lodowate). Zari nawet się uparła, żeby stopić na patelni cukier, do którego dodała kilka kropli soku z cytryny i ciepłej wody, by uzyskać воск, którym chciała usunąć włoski z nóg Royi.

– Naprawdę myślisz, że mnie to w tej chwili obchodzi?

– To nie dla ciebie.

– Mogę cię zapewnić, że Waltera też nie obchodzi. I mogę cię zapewnić, że nie istnieje żaden powód, dla którego miałby się kiedykolwiek dowiedzieć, czy na moich nogach rosną jakieś włosy.

– Proszę. Kiedyś będziesz musiała...

Ciało Royi przygniotła znajoma rozpacz. Chciała zniknąć. Co za różnica? Nikt już nie mógł nic zmienić.

Podczas dwutygodniowej wizyty Zari Roya jeden raz siedziała na podłodze, bawiąc się z siostrzeńcą i siostrzeńcem. Słuchała ich chichotów i śmiechów. Nagle wstała. Położyła się do łóżka i została w nim przez resztę wieczoru.

Zari przyniosła jej tacę z kolacją i przycupnęła na brzegu łóżka.

– Nie miałam wyboru, Roya-dżun. Musiałam z nimi przyjechać. Nie miałam ich z kim zostawić. Jack pracuje do nocy, w niczym by nie pomógł.

Tak od teraz będzie. Ludzie będą przepraszać za obecność swoich dzieci, będą ukrywali przed nią swoje szczęście, zażenowani własną radością. Takie było jej nowe przeznaczenie.

Podczas tych dwóch tygodni, poza wysprzątaniem domu i zaopatrzeniem lodówki Royi, Zari wkroczyła też do pokoju dziecięcego. Najpierw zapytała, a Roya z trudem zdobyła się na wzruszenie ramion. Zari bezceremonialnie popakowała ubrania Marigold w pudła, zabawki w torby i zaniosiła w darze do kościoła. Miała czelność powiedzieć Royi, że zostawiła kilka ubranek, aby siostra mogła kiedyś na nie popatrzeć, jak już będzie gotowa. Roya nigdy nie będzie gotowa.

– Dziękujemy, Zari, dziękujemy – powtarzał bez końca Walter. – Jesteś taka dobra. Tak miło z twojej strony, że to robisz. Nie masz pojęcia, jak bardzo to doceniamy.

Hiperuprzejmy, mięczakowaty Walter. Do diabła z nimi obojgiem. Do diabła z manierami Waltera i gorliwością Zari. Jaki był sens przeglądać ubrania jej dziecka, myć te cholerne okna? Roya leżała w łóżku i wpatrywała się w przestrzeń. W bujanym fotelu, w którym karmiła piersią Marigold, siedział Walter z piekielnym drinkiem w dłoni i w ciszy kołysał się w przód i w tył.

Gdy nadszedł dzień powrotu Zari do Kalifornii, Roya nie płakała. A może? Tyle ostatnio płakała, że łzy wydawały się niewidzialne, czasami nie potrafiła rozpoznać. Gdy już myślała, że wycisnęła z siebie ostatnią, zawsze pojawiał się wodosпад następnych.

– Pa – rzuciła Roya. Tak schludnie, tak po amerykańsku. Pa! Bułka z masłem. Do zobaczenia! Może coś jednak było w tych amerykanizmach. Żwawe. Niezobowiązujące. Z nimi wszystko przypominało mleczny koktajl truskawkowy i zwiastowało nadejście dobrych dni.

– Będę za tobą tęskniła, siostró – wyszeptła Zari po persku w szyję Royi. – Tak bardzo będę tęskniła. Zawsze możesz do mnie napisać. Zadzwoń do ciebie. Wiesz, że przyjadę, jak tylko będę mogła...

– Pa! – powtórzyła Roya. – Dzięki! – Nie wiedziała, czy jeszcze kiedykolwiek odnajdzie w sobie wdzięczność albo dobroć. Chciałaby umieć powstrzymać zamierzający wokół siebie lód.

– Tak bardzo mi przykro. – Zari pachniała tak samo jak wtedy, kiedy jako dziewczynki dzieliły pokój w Iranie. Jak herbata, jak dom. – Wiesz, że zawsze możesz...

– Jedź. Spóźnicie się.

Mała Leila marudziła przed wyjściem, a Darius schował się za kanapą w zabawie w chowanego, w której nikt inny nie uczestniczył. Po kilku zachętach i krzykach Zari pozbiierała dzieci i poprowadziła do czekającej przed domem taksówki. Roya pomachała. Walter pożegnał się rano, w nieskończoność dziękując, wyrażając wdzięczność i przeprasząc, że nie może odwieźć Zari na lotnisko Logan, ale musiał przygotować wniosek, sędzia w tej sprawie był bezlitosny.

Roya stała w drzwiach i patrzyła na śnieg, podczas gdy taksówka oddalała się z jej siostrą, siostrzeńcem i siostrzenicą. Za nią nieskazitelny, uporządkowany dom, z lodówką pełną jedzenia. Przed nią tylko pustka.

*

Nie miała innego wyjścia jak wrócić do pracy. W końcu znowu golić nogi. „Widzisz, sestro? Ani jednego włoska, który mógłby przeszkadzać Walterowi”. W swojej żałobie mąż i żona powoli odnaleźli nowy rodzaj równowagi. Stąpali wokół siebie, na początku ostrożnie, a potem bardziej spontanicznie, ponieważ, jak to się mówi, życie jakimś cudem toczyło się dalej.

Śnieg zastąpiła wiosna. Jednak Roya nie mogła się zmusić, by jej pierwszego dnia świętować perski Nowy Rok. Żadnego Nouruz. A co tu było do odnawiania? Jakie odrodzenie mieli celebrować? Dla Marigold pory roku nie miały znaczenia. Ktoś poszarpał scenariusz, wyrwał kartki i spalił je w ogniu, zniszczył wszelkie pozory sensu i porządku. Ktoś źle to wymyślił. Wesołej wiosny!

Pierwszego dnia wiosny Roya wróciła do domu trochę wcześniej niż zwykle i zaparzyła sobie herbatę. Walter pracował do późna, a ona robiła, co w jej mocy, by zignorować perski Nowy Rok. Gdy zadzwonił dzwonek, spodziewała się, że to pani Michael z naprzeciwka (wpadała czasami z ciastkami lub ciastem, o wiele częściej przez ostatnich kilka miesięcy, odkąd umarła Marigold), jednak kiedy otworzyła drzwi, z zaskoczeniem ujrzała Patricię. Była ubrana w granatowy płaszcz z sześciokątnymi guzikami, w ręku trzymała torbę z zakupami. Zamszowe buty miały rozsądny obcas i wyglądały na drogie.

– Czy mogę wejść? – spytała Patricia.

– Oczywiście. Proszę. – Roya odsunęła się na bok, żeby wpuścić szwagierkę do przedpokoju. Wiedziała, że nie ma sensu prosić jej o zdjęcie butów. Kiedy pierwszym razem Walter wspomniał, że Roya wolałaby, aby ludzie nie wchodzili w butach do domu, Patricia zrobiła zdezorientowaną minę i powiedziała: „Nie wydałam połowy pensji na obuwie po to, żeby szwendać się w pończochach”.

Roya wzięła od Patricii płaszcz, powiesiła w szafie w przedpokoju, zaprowadziła gościa do kuchni i automatycznie zapytała, czy napije się herbaty.

– Z ogromną przyjemnością, dziękuję – odrzekła Patricia. Położyła torbę z zakupami na stole i odchrząknęła. Po czym powiedziała: – Po pracy poszłam na Mount Auburn.

Roya zeszytywniała. Marigold była pochowana na cmentarzu Mount Auburn.

– Na ulicę Mount Auburn. Są tam różne sklepy – ciągnęła Patricia. – Coś ci kupiłam. Kilka rzeczy.

Roya patrzyła, jak Patricia wyjmuje przedmioty z papierowej torby i ostrożnie układa je na kuchennym blacie. Była tam mała doniczka hiacyntów w celofanie i torba jabłek. Czekoladowe monety owinięte złotą folią i paczka sumaku. Butelka octu i kilka ząbków czosnku. Nawet torba *senjed*, suszonych owoców drzewa lotosu.

Po persku nazwy wszystkich tych przedmiotów rozpoczynały się na „s”, stanowiły tradycyjne wyposażenie stołu *Haft Seen*, stołu siedmiu „s” na perski Nowy Rok. Dorastając z Maman, Zari i Babą, Roya każdego roku starannie wykladała te symboliczne przedmioty. Miała nadzieję, że pewnego dnia przekaże tę tradycję Marigold. Na pewno nigdy się nie spodziewała, że kultywować ją pomoże jej Patricia.

– Szczęśliwego Nowego Roku, Roya – powiedziała łagodnie szwagierka.

Roya poczuła w gardle gulę wielkości całej Nowej Anglii. Jej ciało pokryła warstwa potu. Zalała ją tak ogromna fala wdzięczności, że miała ochotę zgiąć się wpół i rozplakać.

– Dziękuję, Patricia – wyszeptała.

Patricia się odwróciła, żeby wyprostować hiacynta i przesunąć sumak odrobinę w lewo. Nie była zbyt dobra w wyrażaniu uczuć – tyle Roya wiedziała. Jednak kiedy ponownie się obróciła, Roya zobaczyła, że jej oczy są pełne łez.

– Jest mi tak bardzo, bardzo przykro – powiedziała Patricia.

Roya nie wiedziała, czy znów składa kondolencje z powodu Marigold (ostatnio tak wielu ludzi na jej widok mówiło, jak im przykro, to słyszała najczęściej), czy może przeprosza za to, co mówiła do niej w przeszłości, dlatego tylko pokiwała głową.

Patricia sięgnęła do papierowej torby i wyłowiła kolejny przedmiot. Była to mała przezroczysta saszetka z cienkimi szkarłatnymi nitkami, które Roya tak dobrze знаła.

– Gdzie ci się udało znaleźć szafran? – sapnęła.

– Och, popytałam tu i tam. Mam swoje sposoby. – Patricia podeszła bliżej i delikatnie wepchnęła saszetkę szafranu w palec Royi. Przez minutę obejmowała jej dłonie. A potem szybko się wyprostowała i rzuciła głośnym, autorytatywnym tonem: – No dobrze! Gdzie ta herbata, którą mi obiecałaś?

Tamtego popołudnia siedziały razem i piły herbatę. Na początku rozmowa się nie kleiła, ale powoli obie się otwierały. Po raz pierwszy, odkąd Roya wyszła za mąż, ubolewały nawet wspólnie nad obsesją Waltera na punkcie Red Soksów.

– Dziękuję, Patricio – powiedziała Roya, kiedy szwagierka zbierała się do wyjścia. – Doceniam to. Bardziej, niż możesz sobie wyobrazić.

– Nie musisz mi dziękować. – Patricia poszła do przedpokoju i wyjęła z szafy płaszcz. Zawahała się przy drzwiach. – Może przez tych ostatnich kilka lat byłam dla ciebie nieco surowa. Może. Musisz zrozumieć, że Walter jest moim jedynym bratem i go uwielbiam. Można by twierdzić, że kocham go aż do przesady. Matka mówi, że go rozpieszczam. Nikt nigdy nie jest wystarczająco dobry dla mojego braciszka i tak dalej. Ale... – Patricia przez chwilę bawiła się guzikami płaszcza, po czym podniosła wzrok. – Słuchaj, Roya, może i straciliśmy Marigold, ale jesteśmy tak bardzo wdzięczni, że mamy ciebie.

A potem ruszyła szybkim krokiem, zeszła po schodach i wsiadła do samochodu.

Roya stała na progu i tym razem zalała się łzami.

*

Stali się parą, na którą inni oglądali się ze smutnym uśmiechem, parą, za którą modlono się w kościele Alice, taką, która otrzymuje pocztą listy z wypisanymi wiecznym piórem kondolencjami. Roya nadal pracowała w HBS i czuła dziwną więź z Walterem. Zjednoczyli się w bólu. On spędzał każdy wieczór, pijąc w bujanym fotelu przed snem. Ona wycofała się w swoją skorupę. Lód, zamarzający na roztopionej warstwie, jest jeszcze trudniejszy do przebicia.

Rutyna pracy, kilkoro znajomych i osiągnięte z mozołem pozory powrotu do świata. W końcu Walter i Roya znów zaczęli wychodzić do sąsiadów na kolacje. Pewnie, ona nawet wyciągnęła garnki i patelnie i zaczęła gotować. Dla Waltera. Zmusiła się, by kupić ryż, namoczyć go w letniej wodzie i ugotować i pewnego wieczoru, kiedy Walter wrócił z biura (teraz pracował w wielkiej kancelarii w Bostonie, niedaleko Prudential Center, robił karierę, wszyscy tak mówili), znowu mógł poczuć wonny szafran – dzięki Patricii. Przytulił Royę i wciągnął w nozdrza zapach jej włosów. Cieszyła się, że nie powiedział czegoś okropnego, na przykład: „Wróciłaś”.

Kilka miesięcy później, z okazji rocznicy ślubu, poszli po raz pierwszy do restauracji. Przy stoliku Walter ujął jej dłoń.

– Roya-dzun, powinniśmy spróbować jeszcze raz.

Słowa trafiły niczym ostre igły w jej czaszkę, w jej skórę.

– Nie, jeśli nie jesteś gotowa. Ale sam nie wiem. Jesteśmy tacy młodzi, Roya-dzun, prawda? Nie mówię, że teraz. Jak będziesz gotowa.

Ona nigdy nie będzie gotowa. Nigdy, pod żadnym względem, nie będzie chciała zastąpić

Marigold. Dlaczego zgodziła się wyjść z Walterem? Nie była nawet gotowa pokazywać się publicznie, w restauracji, gdzie wszyscy wokół nich dobrze się bawili. Jedyne, czego pragnęła, to odzyskać córkę. Chciała poczuć dotyk jej twarzyczki na swoim policzku. Chciała ją przytulić i usłyszeć jej śmiech. Chciała Marigold.

W przytłumionym świetle restauracji Walter zrobił błagalną minę. Nie po raz pierwszy Roya dostrzegła, jak się postarzał. Incydent z rozlaną kawą w kawiarni w Berkeley miał miejsce siedem lat temu. Byli małżeństwem od pięciu lat. Był tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty trzeci rok. Mieli po dwadzieścia siedem lat. Ale strata wytrąciła ich z normalnego biegu rzeczy – należeli do elitarnego klubu, który doświadczył przewrotu w naturalnym porządku życia. Marigold pojawiła się w czwartym roku ich małżeństwa, bez uprzedzenia i nieoczekiwanie, ale och, jakże się ucieszyli z jej przybycia. Tylko po to, by potem mogła zniknąć i udowodnić, że wszystkie najgorsze lęki Royi były uzasadnione.

– Skarbie.

Nienawidziła, kiedy mówił do niej „skarbie”. Nazywał ją tak tylko wtedy, gdy traktował ją protekcyjnie. Gdy mówił z prawdziwą czułością, nazywał ją Roya-dzun, ale „skarbie” oznaczało „ja wiem lepiej”. „Skarbie” znaczyło „nie myślisz racjonalnie, oczywiście że będziemy mieć następne dziecko”. „Skarbie” znaczyło, że on nie ma pojęcia, iż jedynym powodem, dla którego nie daje sobie spokoju z *tym wszystkim*, są zobowiązania wobec niego.

– Nie mogę. Nie – powiedziała.

Gdy wstał, pomyślała, że idzie do łazienki. Może nawet chciał wyjść z restauracji. Miał pełne prawo od niej uciec. Od śmierci Marigold była nieznośna: samolubna, cicha i wycofana. Może pójdzie do toalety i w swój jakże Walterowy sposób odzyska równowagę, po czym wróci w sztucznie dobrym humorze – na tyle, na ile mu się uda wykrzesać go w miejscu publicznym – i przy akompaniamencie gwaru restauracji zjedzą swoje boeuf Stroganow. Będą udawali, że są taką samą parą jak wszystkie inne tu obecne.

Jednak on nie odszedł. Przeszedł na jej stronę stołu, uklękł i delikatnie ujął jej twarz w dłoń. Niebieskie oczy miał pełne smutku, który należał tylko do nich.

– Ona zawsze będzie tutaj – powiedział. I dotknął piersi dokładnie tak, jak wtedy, gdy Roya po raz pierwszy gotowała dla niego w kuchni pani Kishpaugh te wszystkie lata temu. Po czym wsparł czoło o jej czoło.

Kelnerzy przychodzili i odchodzili. Pozostali goście zmieniali sztuce, gawędzili i co jakiś czas wybuchali śmiechem. A Roya i Walter trwali w tej pozycji, stykając się czołami. Nigdy nie była bardziej pewna jego miłości. Za każdy gram rozpacz, jaki w sobie nosiła, Walter miał swój, taki sam. Zmagał się razem z nią w tej żałobie, brnął przez jej ciemność i głębinę i przez cały ten czas, gdy świat parł naprzód, trwał przy jej boku. Zawsze tam był. Niezawodny. Godzien zaufania. Pewny. Miłość, która łączyła ją i Waltera, stanowiła linię ratunkową, bez której nie chciała się obejść.

Pod koniec przerwy świątecznej, tuż przed upływem roku od śmierci Marigold, Roya staszczyła bujany fotel po schodach i wyniosła na krawężnik. Wiedziała, że pani Michael obserwuje ją ze swojego okna po drugiej stronie ulicy. W mieście, w którym zaczęła się Ameryka, Roya ustawiła bujany fotel na chodniku i tam go zostawiła, by ktoś go zabrał, wziął do domu i się na nim kołysał.

CZĘŚĆ PIĄTA

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

2013

WIRTUALNI PRZYJACIELE

Gdyby Claire mogła zakazać jednej rzeczy, byłyby to reklamy telewizyjne. I jeśli czegoś nie mogła przestać oglądać, to właśnie tych reklam. Znajomi na Facebooku radzili jej, żeby nagrywała ulubione programy i po prostu przewijała reklamy albo ściągała je z platform streamingowych, ale Claire nie mogła przestać oglądać każdego programu na żywo ze wszystkimi reklamami – niemal jak masochistka. Przypominało to drażnienie w ranie, drapanie strupa, aż zacznie piec.

Każdego wieczoru, gdy wracała do małego mieszkania w Watertown, robiła sobie na kolację chleb pita z indykiem i pomidorami albo zupę błyskawiczną lub ryż z mikrofalówki z jajkiem sadzonym. Włączała telewizor i czekała, aż zacznie piec. Nie oglądała programów, jakie lubili jej znajomi na Facebooku – seriali telewizji kablowych, zdobywających wszystkie nagrody. Seksownych, dobrze napisanych, niepokojących, które gwarantowały aktualizację statusu w mediach społecznościowych, ostrzeżenia przed spojlerami i wirtualne plotki. Zamiast tego oglądała – czasami ze zgrozą – reality show przedstawiające obeznane z chirurgią plastyczną gospodynie domowe, kłócące się w drogich restauracjach, lub rodziny z dwudziestką szczęśliwych dzieci, zmagające się z podyktowanym scenariuszem chaosem. W czasie reklam Claire leżała pod swoim beżowym kocem, podczas gdy kumple zajadali wspólnie fast food, rodzice i dzieci odnajdowali szczęście w apkach na telefon, słodkie maluchy biegały w pieluchach, a ojcowie patrzyli ze łzami w oczach, jak ich córki – dzięki fotomontażowi – zamieniają się z niemowlęciem w foteliku samochodowym w nastolatkę za kierownicą. Claire szydziła i nie akceptowała tej czułości, jednocześnie za nią tęskniąc. Lata temu była długonogą studentką college'u, z literaturą angielską jako kierunkiem wiodącym, przekonaną, że zostanie odnoszącą sukcesy, zadowoloną panią profesor na uniwersytecie. Jednak wtedy zadzwoniła jej matka we łzach i powiedziała: „Jest pozytywny”. Maleńki guzek w piersi matki nawet po usunięciu kontynuował tragiczną w skutkach wycieczkę po jej ciele i zanim Claire skończyła dwadzieścia cztery lata, matka spoczęła na cmentarzu w Bedford, Massachusetts, nie dalej jak półtora kilometra od marketu Whole Foods, a Claire pograżyła się w chronicznej żłobie. Jej ojciec zginął w wypadku samochodowym, kiedy była jeszcze niemowlęciem w tych pieluchach, nieustannie pokazywanych w reklamach, które teraz oglądała sama wieczorami. Claire w bardzo młodym wieku odczuła szokującą rzeczywistość samotności. Chłopcy przychodzili i odchodzili. Żaden z nich nie został na dłużej, chociaż raz była przekonana, że się zakochała. Może dwa.

Teraz, gdy miała trzydzieści lat, znajomi ze szkoły byli albo po ślubach, albo w poważnych związkach. Rozsiani po całym kraju, a nawet świecie. Miała z nimi kontakt przez media społecznościowe, nie przez telefon ani anachroniczny rytuał spotkań twarzą w twarz. W sieci śledziła ich kolorowe, szczęśliwe, ale och-trzeba-zawsze-pamiętać--by-się-nie-przechwalać, życie. Czytała aktualizacje statusów: „Tak, to prawda, zaciążyliśmy!” i klikała „lubię to!”, chociaż czasami czuła pustkę i zazdrość. Patrzyła na zdjęcia ciężarnych koleżanek na plaży, otoczonych ramionami mężów, i wciskała „lubię to!”. Otwierała laptop i widziała noworodki – małe skulone bobasy w czapeczkach – i czytała wszystkie komentarze: „Tak się cieszymy, Jenna!”, „O ŁAŁ – on jest CUDOWNY!”, wciskała „lubię to!” i dodawała własne „GRATULACJE!”. Przeglądała selfie dawnych kolegów z klasy, spędzających wakacje z dziećmi na Kostaryce i Hawajach, i pograżała się w dziwnej mieszance zawiści i radości z ich szczęścia. Potem włączała telewizor i oglądała rodziny pijące gorącą czekoladę, kłócące się i godzące, oraz ojców wręczających kluczyki córkom, które właśnie zrobiły prawo jazdy. I jedyne, o czym mogła

myśleć, to jak strasznie tęskni za mamą.

Ściany pokoju miała zastawione książkami, napisanymi przez guru i doradców, którzy zalecali jej, by patrzyła w głąb siebie, medytowała, odczuwała wdzięczność, liczyła błogosławieństwa i pisała dziennik wdzięczności. Claire stosowała się do zaleceń. Jednak kiedy stało się jasne, że studia w małym college'u sztuk wyzwolonych w Connecticut zapewniły jej kwalifikacje do prac administracyjnych lub składania ubrań w sklepach z odzieżą, gdy zdała sobie sprawę, że nigdy nie odważy się ubiegać o przyjęcie na studia doktoranckie i zostać panią profesor, wypłaciła pieniądze z ubezpieczenia na życie matki, zamieniła pracę w handlu na administrację i nagle, pewnego dnia, okazało się, że w wieku trzydziestu lat pracuje jako zastępczyni kierownika w Domu Seniora w Duxton.

Lubiła swoją pracę. Lubiła dzień po dniu przebywać z ludźmi znajdującymi się tak blisko zejścia ze sceny, jeśli można tak powiedzieć. Doceniała fakt, że w większości nie prezentowali fałszywej skromności ani potrzeby udowodnienia, że są szczęśliwi, szczęśliwi, szczęśliwi. Podobało jej się, że starsi zrzedliwi panowie kaszlą, plują i burczą, nie tworząc pozorów, że życie jest dobre. Lubiła pomagać starszym paniom w nakładaniu jaskraworóżowej szminki z religijną regularnością, jak gdyby odpuścić sobie tej jednej czynności oznaczało, że kompletnie skapitulowały przed swoim wiekiem. Z troską pomagała pannie Emily naciągać nylonowe pończochy na poznaczone niebieskimi żyłkami nogi i zapinać guziki swetra pana Rosenberga. Panie i panowie z Domu Seniora w Duxton byli jedynym powodem, dla którego Claire się nie poddała. Tylko oni jej zostali. Jej koledzy z podstawówki, liceum i college'u byli teraz po prostu „znajomymi z Facebooka” – nowa kategoria w jej głowie: ZZF – którzy istnieli jedynie jako cyfrowe obrazy, których od lat nie widziała (opuszczała zjazdy) i którzy przewijali się przez życie w szczęśliwych, czasami kłopotliwych, ale zawsze pełnych wykrzykników momentach. Ojca w ogóle nie pamiętała, była zbyt mała, żeby go poznać. Jego najbardziej wyrazisty obraz pochodził ze zdjęcia, które matka przyczepiła do lodówki magnesem w kształcie bakłażana: wysoki, szeroko uśmiechnięty mężczyzna o blond włosach, stojący z koszem piknikowym obok żony. Nie było żadnego eleganckiego ślubu. Tylko wizyta u sędziego pokoju, wyjaśniła matka.

Przez lata miała matkę, piękną i dobrą – matkę, która opowiadała jej historie o ojcu, która ubolewała, że sama, będąc jedynaczką, urodziła tylko jedno dziecko, i jak mało miały rodziny, ale miały siebie, prawda, i w gruncie rzeczy tylko tyle im było trzeba, i jej córeczka jest jej całym światem, jej śliczna córeczka, która nadała jej życiu sens. Była jej cudowną małą dziewczynką, czyż nie, przepraszam, jeśli cię zawstydzam, kochanie, ale to prawda, jesteś moim życiem i ty i ja, moja dziewczyneczko, zawojujemy świat, czyż nie, Claire, i och, jakże twój ojciec chciałby cię teraz zobaczyć, kochanie, i razem damy radę na tej planecie, dziewczyneczko, uda się nam, jesteś taka bystra i utalentowana i tylko poczekaj, pewnego dnia staniesz się grubą rybą, już jesteś moją dumą i radością. A potem rak zmiotł jej matkę z powierzchni ziemi i Claire poczuła się rozpaczliwie, niewytłumaczalnie, boleśnie, permanentnie samotna. Nie miała mamy, która czekałaby na nią w domu, do której mogłaby zadzwonić, z którą mogłaby ugotować ulubioną potrawę. Nie miała mamy, która by jej powiedziała, że wszystko będzie dobrze. I nagle z przerażeniem zdała sobie sprawę, że nie będzie dobrze. Już nigdy. Nawet jeśli jej ZZF będą wspinać się po górach w Azji, wychowywać idealne dzieci i świętować romantyczne rocznice w zagranicznych kurortach. Dla Claire nie będzie dobrze. W wieku trzydziestu lat to zrozumiała, pojęła, wiedziała – i nie czuła potrzeby udawania, że jest inaczej. Mężowie, dzieci, romantyzm i aktualizacje statusu och-rety-spójrz-na-moje-nieuporządkowane-ale-jakże-pełne-i-piękne-życie! nie należały do jej przyszłości. Do niej należały wieczory pełne reality show i dni spędzane w rzeczywistości ludzi stojących na progu śmierci.

Uwielbiała swoich starszych podopiecznych, nawet tych tak blisko końca, że ich poranne „No proszę, witaj, Claire” zakrawało na cud. Pan Rosenberg opowiadał jej historie ze swego życia w Queens w Nowym Jorku „w starych czasach”, a pani Ventura co tydzień wybierała się na tamten świat. Ulubieńcem Claire był niejaki pan Bahman Aslan, który przebywał u nich od dwóch lat. Nazywała go „panem Batmanem”. Był zawsze uprzejmy i uwielbiała słuchać opowieści o jego młodości w Iranie, jego przygodach politycznych, latach wojny. O jego wielkiej miłości. Ludzie tacy jak pan Batman – jego żarty, skargi, smutki, dolegliwości, żale, opinie, wspomnienia – byli powodem, dla którego Claire budziła się co rano, zjadała smakujący stęchlizną baton proteinowy i jechała swoją siedmioletnią hondą

z Watertown do Duxton. Dom seniora był połączeniem ośrodka kultury dla seniorów i domu opieki. Starsi ludzie mogli tu przyjść, by uczestniczyć w zajęciach albo zamieszkać jak w tradycyjnym domu opieki. Claire poświęciła się bez reszty troskom swoich podopiecznych. Spędzała z nimi Święto Dziękczynienia. Spędzała z nimi Boże Narodzenie. Jej życie było przy nich. Poza tym składało się jedynie z ZZF oraz cholernych programów i reklam w telewizji.

Nad to wszystko przekładała opowieści swoich pensjonariuszy. Zwłaszcza wspomnienia i anegdoty pana Bahmana Aslana.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

1978–1981

MELDUNKI

Sierpień 1978

Niedawno wybuchł pożar w kinie Rex. Zginęło ponad czterysta osób. Ludzie uwięzieni i zamknięci, ludzie biegnący i usiłujący wydostać się stamtąd tylko po to, by się przekonać, że nigdy im się to nie uda. Nie mogłem opędzić się od myśli o naszych randkach w kinie Metropol. Od dnia zamachu minęło dwadzieścia pięć lat. A teraz znowu się zaczyna. Każdego dnia na ulice wychodzi coraz więcej demonstrantów. Moje dzieci wierzą, że odpowiedź tkwi w ajatollahu Chomeinim, wygnanym duchownym, który nagle zdobył mnóstwo zwolenników. Ja sam nie wiem. Młodzi w dzisiejszych czasach potrzebują czegoś, czego będą mog-li się trzymać, w co będą mogli wierzyć – i aby nie był to szach.

Historia się powtarza. Patrzenie na tych wszystkich młodych studentów, znów wylewających się na ulicę, przekonanych, że wszystkie problemy zostaną rozwiązane, jeśli pozbędą się szacha, sprawia mi ból. Tak, był współwinny obalenia premiera Mosadeka, a potem poparł go Zachód. Jednak dzisiejsi młodzi uważają, że wszystkie ich problemy znikną wraz z odejściem szacha. Martwię się tym, co może nastąpić później. Pragniemy demokracji, ale jakoś nigdy jej nie dostajemy. A jeśli to, co nastąpi potem, będzie jeszcze gorsze?

Zastanawiam się, jak radzisz sobie tam, w Ameryce. Dżahangir czasem przekazuje mi jakieś informacje, za co jestem bardzo wdzięczny. Cieszę się, że wy dwoje nadal rozmawiacie. Niesamowite, że w tym nowoczesnym świecie możemy komunikować się przez ocean, jedynie podnosząc słuchawkę! Dżahangir mówił mi, że pracujesz na Harvardzie? Brawo, Roya-dżun.

Zawsze byłaś przeznaczona do wielkich rzeczy.

Marzec 1979

I szach odszedł. Jedyne, co widzę na twarzach tych z nas, którzy pamiętają tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty trzeci, którzy czują pod skórą to potworne rozczarowanie, że świat może runąć w jeden dzień, to znowu strach. Młodzi są tak pełni nadziei. Myślą, że tym razem nam się uda. Cieszą się, że szacha nie ma. Próbował dostać się do Ameryki, ale słyszałem, że Twój nowy kraj nie chce go wpuścić. Jak po tym wszystkim, co on zrobił dla Stanów, Twój kraj może go nie wpuścić?

Może tym razem dostaniemy naprawdę demokratyczny rząd.

Uwierzę, jak zobaczę.

Pamiętasz zmierzch tamtego wieczoru, kiedy Ci się oświadczyłem, tamtą purpurę na niebie? Myślisz, że nie patrzyłem na niebo w setki innych wieczorów, wspominając Twój pocałunek?

Odkąd ostatniego września Saddam Husajn zaatakował Iran, wojna staje się coraz gorsza i gorsza. Noce spędzamy w piwnicy, w schronie przeciwlotniczym. Moje dzieci cały czas się boją. Nie rozpoznałybyś teraz części tego kraju. Zostaliśmy wysadzeni w powietrze. Na noc zasłaniamy okna folią aluminiową, żeby samoloty Saddama nie mogły znaleźć miasta i świateł. Żyjemy w nieustannym strachu. Moje dzieci dopiero co skończyły dwadzieścia lat i nie chcę, żeby mojego syna wcielono do wojska, żeby kazano mu walczyć i zabijać Irakijczyków. W imię czego? Żeby ten nowy islamski rząd

poczuł się silny i gromadził nas wokół flagi? A moja córka musi nosić hidżab, kiedy wychodzi z domu. Czym się staliśmy? Już ledwo rozpoznaję mój kraj.

Roya-dżun, Dżahangir zaciągnął się do wojska jako lekarz. Moja droga Royu, on zginął na froncie. Zostawił tu po sobie ogromną pustkę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

2013

WIELKIE PUDŁO

Nos Zari na ekranie telefonu komórkowego wydawał się dziwnie powiększony. Jednym z niewielu pozytywnych aspektów życia był fakt, że można telefonować do ludzi, nie będąc widzianym, ale Zari upierała się przy cotygodniowej wideokonferencji. Może i była staromodna, ale Roya nie cierpiała pokazywać swojej twarzy na telefonie. To po prostu nie miało sensu. Jednak musiała przyznać, że miło było zobaczyć młodszą siostrę, nawet za pośrednictwem gadżetu. Zari była już babcią, przeszła operację wymiany stawu biodrowego i prawie codziennie kłóciła się ze swoją synową.

– Walter potrzebuje spinaczy i niszczarki. Muszę iść, Zari.

– Dobrze, siostrzo. Wiesz, to niesamowite, masz cerę młodej damy. W wieku siedemdziesięciu siedmiu lat! Dzięki Bogu za nasze geny!

– Pozdrów ode mnie Jacka, Dariusa, Leilę i wszystkie wnuki.

– Pozdrowię. Mam nadzieję, że zobaczymy się w Nouruz! Uściskaj ode mnie Waltera i Kyle'a.

*

Lata miały czelność mijać. Upłynęły dekady, od kiedy Marigold zmarła na krup, i dekady od zamachu stanu, w którym obalono Mosadeka. Świat stał się kompletnie innym miejscem. Iran miał w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym roku swoją islamską rewolucję i nie rządził już nim szach, lecz przywódcy religijni. Straty się nawarstwiały, a Royi brakowało czasu, by wszystkie opłakiwać. Walter uważnie śledził informacje, ale ona wolała siedzieć w garnkach niż oglądać te bzdury, które w obecnych czasach uchodziły w telewizji kablowej za „wiadomości”.

A jednak dzieci nie umierały. Nie mogły zniknąć i po prostu zostawić swojego dobytku. Jej dziecko nie umarło. W szpitalu chcieli, by uwierzyła, że roczne dziecko może umrzeć, chociaż kilka minut wcześniej oddychało w jej ramionach. Marigold nie tylko była przy niej każdego dnia i nocy; Marigold stanowiła część niej. Przez cały czas nosiła córkę ze sobą. Dzieci nikogo nie opuszczały.

„Ale siostrzo, pomyśl o Kyle'u! Marigold umarła, ale masz Kyle'a!”

Kiedy Roya miała czterdzieści dwa lata, gdy już od wieków pracowała w sekretariacie Harvard Business School i zaakceptowała fakt, że nigdy nie zostanie matką kolejnego dziecka – najwyraźniej bycie matką nie zostało jej przeznaczone – pojawił się Kyle. To, co uznano za niemożliwe, znów się wydarzyło. Niespodzianka, przypadek, dziecko. Razem z Walterem znów poczuli dotyk tej maleńkiej miękkiej twarzyczki na policzkach. Znów ogarnęły ich radość i przerażenie.

Kyle stał się jej nowym światem. Z nim związała swoje marzenia. To on znów wywołał jej głęboki śmiech, obudził ją. Stał się jej celem. Dla niego dbała, by świat nie legł w gruzach.

Gdy Kyle dorósł (został lekarzem!), Royę trzymały przy zdrowych zmysłach poranne spacerowanie, dodawały jej sił. Oczyszczały głowę. Nie spacerowała z koleżankami. Koleżanki za dużo mówiły, a ona chciała być sama ze swoimi myślami. Oczywiście kobiety z sąsiedztwa spotykały się na spacerach po galerii, kiedy na dworze było zbyt zimno. Roya otrzymywała e-maile z korespondencji seryjnej, w której zapraszano wszystkich do dołączenia do zabawy: „Spotkajmy się pod Cinnamon Station!”, pisano. Przed stoiskiem, na którym sprzedawano aromatyzowane, tłuste, smażone ciasto. Nie, dziękuję. Roya nie chciała chodzić w tę i z powrotem po wielkim, przypominającym pudło budynku i wdychając stęchłe powietrze, mijając jaskrawe sklepy, sprzedające zbędne produkty. Niezmierzona ilość rupieci w galerii handlowej ją przytłaczała. Zostanie blisko natury tak długo, jak tylko to będzie możliwe. Przynajmniej

dopóki wciąż jeszcze mogła się ruszać.

A ruszać się musiała. Niektóre sprawy zostają z tobą, prześladowają cię. Niektóre wypalają sobie gniazdko w twojej skórze. Strzałów nie da się zapomnieć. Tak jak potęgi miłości.

Czasami w nocy czuła jego oddech przy swoim uchu. Nie mógł być nim mężczyzna, którego wydawało jej się, że widziała, to tu, to tam, tutaj, w Nowej Anglii i nawet wcześniej, w Kalifornii, kiedy jakiś pęd powietrza, osoba, która ją mijala, wprawiała jej ciało w drżenie i gdy zerkała kątem oka, przez ułamek sekundy, była pewna, że to on. Kiedyś w domu towarowym Filene's w Bostonie szukała koszuli dla Waltera i mężczyzna po drugiej stronie wieszaka wyglądał jak Bahman. Poczwała, że to na pewno Bahman, ale oczywiście to nie był on. To nie mógł być. Innym razem, podczas przesiadki na lotnisku, młody mężczyzna wyglądał i poruszał się dokładnie jak Bahman. Musiała oprzeć się o filar, żeby odzyskać równowagę. Miał około dwudziestu lat. Chwytny oddech na lotnisku, przypominała sobie, że sama jest po czterdziestce. A zatem Bahman również miał ponad czterdzieści lat. Oczywiście ten młody człowiek nie mógł nim być. Nie potrafiła wyobrazić go sobie innego niż w młodości, stworzyć jego postarzonego obrazu. Czy stracił włosy? Utył? Walter nie wyłysiał. Był „ciachem”, jak lubiła mawiać Patricia, prawdziwy Jimmy Stewart. Kim był Bahman? Którą gwiazdę kina przypominał? Co zgotowało dla niego życie? To nie była jej sprawa.

Wraz z pojawieniem się Kyle'a do ich szczelnie zamkniętej bańki odosobnienia i bólu wniknął cienki strumień powietrza. Wkrótce strumień się rozrósł i na nowo wpuścił świat. Z powodu Kyle'a Roya pijała herbatę razem z innymi matkami. Z jego powodu uczestniczyła w zebraniach komitetu rodzicielskiego i wyskakiwała jak sprężyna, gdy trafiał w piłkę na meczach baseballa. Znowu odnalazła radość, znowu poruszała się swobodnie, smażyła rano jajecznicę, dyskutowała o wynikach w piłce nożnej i wertowała podręczniki i świadectwa. Z jego powodu znowu zaczęła uczyć się świata.

– Co się stanie, jeśli w żyłach skończy się krew?

Pytania Kyle'a nigdy się nie kończyły. Jego ciekawość nie miała granic. Zabierała go do biblioteki, sadzała sobie na kolanie i czytała książkę za książką. W pierwszych latach Kyle miał jej irański akcent, ponieważ najczęściej słuchał jej głosu. Akcent zniknął w szkole. Inne matki narzekały, że ich dzieci nie zwracają na nie uwagi, ale Kyle słuchał. Miał nienasycony apetyt na wiedzę, jak działa świat. Kiedy był mały, byli dwoma muszkieterami. Trzeci muszkieter – jego starsza siostra – zawsze była obecna w sercu Royi. Jej Marigold.

Roya cieszyła się, że było ich stać na to, by mogła odejść z pracy i zostać z Kylem. Chciała z nim spędzać tyle czasu, ile tylko było możliwe. Gdyby mogła otulić jego serce wyściełanym ocieplaczem na imbryk i ochronić je przed złamaniem. Gdyby w jakiś sposób mogła ochronić go przed niebezpieczeństwem, stratą, rozpaczą. Jednak wiedziała, że przeznaczenie już zostało wypisane na czole syna niewidzialnym atramentem i żadna ilość matczynej troski, czuwania ani zamartwiania się nie mogła trzymać go z dala od niebezpieczeństw.

Pokazywała mu kijanki w stawie na Merriam Hill, poznała odległości gwiazd i księżycy tylko po to, by móc go tego nauczyć, rysowała dla niego w szkicowniku ulubione postacie z telewizji. W solidnej obecności Waltera rzeźbiła dla nich trojga życie w Nowej Anglii i upchnęła wszystko, co ważne, w domu w stylu kolonialnym z okiennicami.

Każdego roku, kiedy Kyle zdmuchiwał świece na torcie urodzinowym, wraz ze smużkami dymu unosiły się lęk i ulga Royi. Wnikały w listwy przypodłogowe jadalni. Ładowały na każdym kosmyku ich włosów. Kolejny rok. Kolejny rok, a on wciąż tu był.

*

Market papierniczy znajdował się cztery kilometry i trzysta metrów od ich domu; Roya wiedziała, ponieważ czasami dla zabawy lubiła zerować licznik. Przypominający pudło sklep był ogromny i zbyt jasno oświetlony, tak naprawdę wyglądał jak magazyn. Wchodząc do środka z Walterem, Roya nakazała sobie zachować spokój. Wszędzie pachniało chemikaliami i tanią wykładziną, korporacyjną żarłocznością i znużeniem. Alejka za alejką notesów, karteczek samoprzylepnych, chusteczek odkażających, plastikowych pudełek, teczek, kopert, markerów, kredek, popcornu. (Popcorn? Dlaczego?). Kiedyś to uwielbiała: papeterie i temperówki, długopisy i ołówki. Jednak niczego z tego już

nie chciała, nie w ten sposób, nie kiedy wszystko leżało wyłożone w tej olbrzymiej przestrzeni, nawet bez właściciela. Pryszczaci nastolatki w koszulkach firmowych ignorowali jej „przepraszam”, aż Walter musiał huknąć „przepraszamy!” takim tonem, jakby ich łątał. Dopiero wtedy skierowano ich do alejki z niszczarkami. (Walter postanowił przejrzeć ich stare dokumenty i zniszczyć to, co niepotrzebne, żeby Kyle nie musiał tego robić, „kiedy nadejdzie czas”: „Najlepiej, żebyśmy to uporządkowali i pozbyli się tych wszystkich papierów, które nagromadziły się przez lata. Powinniśmy zrobić to teraz. Póki wciąż jesteśmy przy zdrowych zmysłach. To ułatwi sprawę, jak już odejdziemy. Kyle nie będzie musiał się przedzierać przez wszystkie nasze dokumenty”).

Po długim porównywaniu i sprawdzaniu wybrał niszczarkę, po czym prowadził Royę po wyłożonych wykładziną alejkach, dopóki nie znaleźli spinaczy do papieru. Taki ogromny wybór, w przeróżnych opakowaniach. A to tylko spinacze. W końcu wybrali przezroczysty słoiczek pełen radośnie niebieskich, trawiaście zielonych, jaskrawożółtych i w odcieniu głębokiej czerwieni.

W kolejce do kasy (jednej z ośmiu – jak dużo!) Roya wzięła z kosza małą tubkę środka dezynfekującego do rąk. Była zaopatrzona w gumową pętelkę, dzięki której można było przyczepić tubkę do torebki, breloczka na klucze, gdziekolwiek. Za pomocą tego środka Roya będzie mogła zapobiec przeziębieniom, grypie, zapaleniu płuc i najnowszym chorobom. Czy Marigold mogła obronić się przed krupem? – zastanowiła się. Dzięki tej małej tubce żelu antybakteryjnego?

Kiedy w końcu dotarli do kasy, Roya mruknęła:

– Ten sklep jest taki wielki, a żaden z tych nastolatków nie ma pojęcia o swojej pracy.

Kasjerka poderwała głowę. Była prawdopodobnie po sześćdziesiątce, niewiele młodsza od Royi. Miała ciemnoniebieskie oczy i miękkie siwe loki. Roya się zmartwiła, że obraziła tę kobietę, oczerniając jej współpracowników. Jednak kasjerka posłała jej uśmiech.

– Jakbym o tym nie wiedziała. Ale to dobre dzieciaki. Ciągłe dostajemy nowe produkty. Czy można ich winić?

– Oczywiście, że nie. Ale po prostu jest taki... olbrzymi – wyszeptła Roya.

– Och, to miejsce dla niektórych jest świetne! Mamy uwielbiają robić tu zakupy przed początkiem roku szkolnego. Jednak wciąż czasami mnie oszałamia, jak przychodzę do pracy. Powiem pani – pochyliła się i zaczęła szeptać: – że sama jednak jestem fanką małych lokalnych sklepików. Tylko proszę nie mówić mojemu szefowi!

Walter wyszperał portfel, wyjął kartę kredytową, przesunął ją w czytniku i czekał na rachunek.

– Te czasy minęły – odparła Roya. – Małe lokalne sklepiki.

– Och, zostało jeszcze tu i ówdzie kilka małych rodzinnych sklepów papierniczych – zapewniła kasjerka, chowając do siatki spinacze i żel antybakteryjny, podczas gdy Walter wkładał z powrotem niszczarkę do sklepowego wózka. – Nie mówię o drogeriach, gdzie jest jedna alejka z artykułami papierniczymi: tanie notesy na spirali i takie tam. Ale wie pani, w starym stylu. Prawdziwe sklepy. Jak ten przy Walnut Street w Newton. Mają tam najlepsze wieczne pióra. Kałamarze! Nie wiem, jak długo będą otwarci przy konkurencji ze strony takich marketów jak nasz. I internetu. Ale mówię pani, tam czas się zatrzymał.

– No dobrze, dziękujemy. Życzę pani miłego dnia – rzucił Walter, podpisał rachunek i szybko odjechał wózkiem od kasy. Jej opinie go nie interesowały.

Roya jednak poczuła nagły przypływ sympatii do tej miłej kobiety.

– Bardzo pani dziękuję.

– A ja życzę *pani* miłego dnia – powiedziała kasjerka, naśladując Waltera, i puściła do Royi oko.

Roya też do niej mrugnęła, po czym wyszła za Walterem na zimny parking.

– Ale ona była dziwna – jęknął Walter, targając niszczarkę do bagażnika.

– Moim zdaniem była bardzo pomocna.

– Biedna, samotna, stara wiedźma – rzucił, po czym szybko dodał: – Żartuję!

Jechali do domu przez oblodzone ulice, ze spinaczami i żelem antybakteryjnym w plastikowej siatce na kolanach Royi.

Na automatycznej sekretarce czekała wiadomość od podologa Waltera.

– Słyszałaś, Walterze? – zapytała Roya. – Muszą zrobić nowe odlewy do twoich wkładek

ortopedycznych.

– Nowe odlewy do wkładek. Zabawa nigdy się nie kończy! – skomentował.

– Nie kończy – zgodziła się Roya, wyjmując paluszki rybne, które zamierzała upiec. Ostatnimi czasy czuła się zbyt zmęczona, by ciągle gotować perskie potrawy. Po prostu po siedemdziesiątce pewne rzeczy trzeba sobie odpuścić.

*

W następnym tygodniu Roya czekała z Walterem w klinice ortopedycznej. Zawsze chodzili do przychodni w Belmont, ale była w remoncie i sekretarka podologa skierowała ich do nowej kliniki niedaleko szpitala Newton-Wellesley. Roya wierciła się na krześle. Wyglądało na to, że na dzisiaj wyznaczono wizyty wszystkim licealnym sportowcom i nieznosnym dzieciakom z przedmieść.

– Nie musisz tu siedzieć – powiedział Walter. – Idź złapać trochę świeżego powietrza, Roya. Nareszcie mamy ładną pogodę.

– Mogę z tobą poczekać. Nie przeszkadza mi to.

– Nie musisz. Pochodź po sklepach. Idź na kawę, jeśli masz ochotę. Gazeta dotrzyma mi towarzystwa. – Walter poklepał czasopismo prawnicze. – To może chwilę potrwać.

Roya z ulgą wyszła z dusznej poczekalni, pełnej hałaśliwych dzieci i nastolatków z nosami w swoich telefonach. Na zewnątrz było niemal przyjemnie. Walter miał rację, od miesiący nie było tak ciepło. Co za wyjątkowy dzień w środku stycznia! Od wielu tygodni nie mogła spacerować na dworze. „Naprawdę nie mogę zrozumieć, dlaczego nie wyjedziecie z tej mroźnej krainy i nie przeprowadzicie się do Kalifornii, siostrzo!”

Roya ostrożnie spacerowała przecznicami wokół kliniki. Ostatnie, czego im było trzeba, to żeby się przewróciła. Dzięki Bogu, miała na sobie wygodne buty: te szare, na grubych podeszwach i z małymi kokardkami na czubkach. Minęła kilka przecznic i dotarła do lokalnego centrum. Za szybą sklepu z bajglami leżał rozciągnięty kot i łypał na nią leniwie. Na wystawie starodawnego warsztatu szewskiego stały rzędy butów i puszki z pastą. Lubiła tę część Newton. Była mniej luksusowa niż inne centra handlowe i wydawała się bardziej autentyczna. Żadnych sklepów pudeł.

Kiedy mijała małą pizzerię, zapach słodkiego sosu pomidorowego obudził w niej chęć na kawałek pizzy. Zastanawiała się, czy wejść do środka i sprawić sobie przyjemność, kiedy jej wzrok przyciągnął szyld na końcu ulicy. Z kraty na drugim piętrze zwieszała się tablica ze złotymi literami na czarnym tle. Ozdobną czcionką wypisano na niej: „Sklep papierniczy”.

„Mają tam najlepsze wieczne pióra. Kałamarze!”, w głowie Royi rozbrzmiały słowa kasjerki. Czy znalazła się na Walnut Street? Na pewno. Pchana przez jakąś siłę, której nie potrafiła wytłumaczyć, ruszyła w stronę szyldu.

Kiedy otworzyła drzwi, rozbrzmiał znajomy dźwięk. Minęło dużo czasu, odkąd ostatni raz była w sklepie wyposażonym w jeden z tych dzwonek. Mój Boże, wszystkie te staromodne dzwonki brzmiały tak samo.

Upłynęła chwila, zanim jej oczy przyzwyczyły się do mrocznego i dusznego wnętrza. Gdy już przywykły, ujrzała półki pełne kolorowych zeszytów i notesów we wszystkich rozmiarach i kształtach. Po lewej stronie stał stół, uginający się od upominków i drobiazgów: budziki, układanki, kubki, eleganckie mydła. Na środku sklepu znajdowały się półki, na których leżały w małych pudełkach przeróżne długopisy i ołówki. Ruszyła alejką z przyborami do pisania. Ludzie wypróbowywali długopisy, mażąc zawijasy: napisy „hallo” i esy-floresy widniały na bokach małych kartonowych pudełek pełnych długopisów. Staromodne temperówki i wymyślne nowoczesne piórniki pyszniły się w równych rzędkach.

Niczym we śnie przeszła jedną alejką, potem drugą. Przed ladą stanęła jak wryta. W szklanej gablocie leżały połyskujące wieczne pióra i kałamarze, tak jak mówiła kasjerka. Ułożono je niczym biżuterię: buteleczki atramentu lśniły szafirowym błękitem i szmaragdową zielenią, a nawet purpurą. Jedna buteleczka pełna była atramentu w kolorze owocu granatu. Roya miała ochotę odkręcić wieczne pióro i delikatnie napełnić je atramentem, sunąć nim po świeżej, czystej stronie. Do listów, które pisała tak dawno temu, miała specjalną bibułę, żeby atrament się nie rozmazał, żeby ani jedno słowo nie zostało

zatarte, zanim schowa list w kopertę, by ukryć go w tomiku poezji Rumiego.

– Czy wszystko w porządku?

Obróciła się gwałtownie, jakby została przyłapana na kradzieży. W drzwiach na tyłach sklepu stał szpakowaty mężczyzna o oliwkowej skórze i ciemnych oczach.

– O tak... – Głos Royi się załamał. Nagle zakręciło jej się w głowie. Jej pierś się zacisnęła, pomieszczenie zaczęło wirować.

– Nic pani nie jest? – zapytał mężczyzna. Jego głos. Jego głos brzmiał znajomo.

– Oczywiście, że nie. – Jednak robiło jej się słabo. – Przepraszam, czy mogłabym usiąść?

Podszedł do niej i delikatnie ujął pod ramię. Zaprowadził ją za ladę, gdzie stało krzesło z różową poduszką. Roya z ulgą opadła na siedzenie i oparła się. W głowie jej dudniło.

– Proszę pani? Czy przynieść pani trochę wody?

– Nie, nie. Muszę tylko złapać oddech.

– Pozwoli pani, że jednak przyniosę wody.

Jego naleganie, uprzejmość, coś w mowie ciała wydawały się jej wyjątkowo znajome. Nagle zdała sobie sprawę, o co chciała zapytać. Ciemne oczy, oliwkowa skóra. Lekki akcent.

– Jest pan Irańczykiem?

– *Kanom, salam.* – Skłonił głowę. – *Man fekr kardam szoma ham Irani hastid.* Witam panią. Tak myślałem, że pani też jest z Iranu.

– *Hastam.* Jestem.

– Zaraz wrócę – powiedział po persku. – Przyniosę pani coś do picia.

Zniknął za drzwiami na zaplecze, a ona oparła głowę o zagłówek krzesła.

Wrócił po kilku minutach z tacą, na której stały *czaj estekan* i spodek pełen kostek cukru.

– Nie musiał pan – zaprotestowała. – Nic mi nie jest.

– To żaden kłopot. Mamy na zapleczu mały samowar. Wie pani, jak to jest. Persowie nie mogą żyć bez swojej herbaty. – Jego perski był bezbłędny. Musiał mieszkać w Iranie jako dziecko albo rodzice pilnie uczyli go języka.

Postawił tacę.

– *Befarmaid*, to poprawi pani samopoczucie.

Upiła łyk herbaty. Smak bergamotki i kardamonu z niezwykle delikatną nutą płatków róży przeniósł ją do domu.

– Bez wątplenia umie pan parzyć prawdziwą herbatę. Dziękuję.

– Rodzice mnie nauczili. – Wzruszył ramionami.

Para i aromat herbaty przejaśniły jej nieco w głowie. Mężczyzna musiał być dobrze po czterdziestce, może tuż po pięćdziesiątce. Mógł przyjechać tutaj jako starsze dziecko wraz z falą Irańczyków, którzy wyemigrowali po rewolucji tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego roku.

– Mam nadzieję, że pana nie nastraszyłam – powiedziała. – Po prostu na chwilę straciłam równowagę. I trochę rozsądku. – Odstawiła szklankę na tacę i przyjrzała się mu. – Poza tym, proszę mi wybaczyć, ale wygląda pan tak znajomo.

– My, Irańczycy, wszyscy jesteśmy do siebie podobni, prawda? – Uśmiechnął się.

A kiedy to zrobił, Royę ścisnęło w piersi tak, że myślała, iż zegnije się wpół. Wbiła wzrok w herbatę, po czym znów rozejrzała się po sklepie. Półki stały ukośnie rzędami, w gablocie wieczne pióra leżały w równoległych rządach. Jeden kąt zajmował stojak, wypełniony książkami w miękkich oprawkach. Wcześniej go nie zauważyła. Z miejsca, gdzie siedziała, widziała okładki; na wszystkich widniały obrazy przypominające perskie miniatury. Większość przedstawiała mężczyznę w turbanie, trzymającego starożytny instrument *setar*.

– Sprzedaje pan też książki? – zapytała słabo.

– Och, niewiele – odpowiedział mężczyzna. – Kolorowanki dla dzieci. Wycinanki. Książki z naklejkami. I tym podobne.

– A tamte? – Wskazała na stojak, na którym powinny leżeć kartki z życzeniami, który powinien być pełen kalendarzy ze zdjęciami psów, kociąt i oceanów. Zamiast tego stały na nim cienkie tomiki z serii, którą rozpoznawała. Dokładnie te same książki kupowała dla Kyle'a, żeby mógł czytać po

angielsku poezję, którą od młodości kochała, żeby sam mógł dostrzec mądrość i namiętność w słowach jej ulubionego poety wszech czasów. – Sprzedaje pan Rumiego?

Mężczyzna znów wzruszył ramionami.

– To raczej pomysł mojego taty. Zawsze miał bardzo szczegółowe wyobrażenie, jak powinno wyglądać to miejsce. Do ostatniego drobiazgu.

– Naprawdę?

– O tak. Ciężko było to wszystko urządzić. I pozostać na powierzchni przez te wszystkie lata. Jednak moja siostra i ja jakoś daliśmy radę.

– Pana siostra?

– Tak, moja bliźniaczka. W każdym razie tata miał swoją wizję i bardzo ciężko pracował, żeby ją zrealizować. A teraz... cóż, chcielibyśmy utrzymać to tak, jak on sobie życzył. – Znów się uśmiechnął.

– Na razie nam się udaje.

Niespodziewanie serce Royi zaczęło bić szybko, aż pomyślała, że zaraz dostanie zawału. Urządzony w ten sposób sklep. Cienkie tomiki Rumiego, ustawione na okrągłym stojaku. Szczegółowy projekt. Wizja. Ale to niemożliwe. To nie mogło być...

– Pana ojciec – rzuciła bez tchu. – Czy mogę zapytać, jak się nazywa?

– Oczywiście. Pochodzimy z Teheranu. Mój ojciec nazywa się Bahman Aslan.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

2013

WIZYTA

Kiedy Roya wracała do Waltera, żeby się dowiedzieć, jak poszło dobieranie wkładek, była cała w rumieńcach i gotowa zemdleć. Można by myśleć, że świat jest skomplikowany i pełen zagubionych dusz, że ludzie, którzy dotknęli twojego życia i zniknęli, nigdy nie zostaną odnalezieni, ale koniec końców to może się zmienić. Jeden sklep, jedna szklanka herbaty i wszystko może się wywrócić do góry nogami.

Syn Bahmana, Omid – powiedział jej, jak ma na imię – był swobodny. Korzyść z mieszkania w Ameryce, dobrodziejstwo jego pokolenia. Był otwarty i chętny do rozmowy. Nie tak czujny i podejrzliwy, jak mógłby być, gdyby miał jej lata. Kiedy mu powiedziała, że dawno temu znała jego ojca, otworzył szeroko oczy.

– Naprawdę? Rety! Żartuje pani?

Nie mogła się zmusić do sformułowania słów, żeby zapytać, czy on wciąż żyje. Od śmierci Dżahangira nie miała żadnych wiadomości o Bahmanie. Zresztą i tak zepchnęła go na samo dno pamięci.

Jednak syn powiedział:

– Czy mam mu przekazać, że panią spotkałem? Ucieszy się, że poznałem jego dawną przyjaciółkę.

– To nie będzie konieczne, absolutnie nie – zaprotestowała. – Proszę nie zawracać mu głowy. Ledwie się znaleźliśmy. Po prostu cieszę się, że on... ma się dobrze. I że poznałam jego syna. Miło było z panem porozmawiać. Dziękuję za herbatę. Muszę już iść. Mąż na mnie czeka.

– Och, oczywiście. Tata jest teraz w Domu Seniora w Duxton, tak tylko, żeby pani wiedziała. Bywa dość samotny. Siostra i ja odwiedzamy go tak często, jak możemy. Ale wie pani, jak to jest w tym szalonym, zabieganym życiu.

Nie potrafiła sobie wyobrazić chłopca, który miał zmienić świat, w domu opieki. Co się stało z Szahlą? Jednak nie odważyła się spytać tego miłego człowieka o matkę. Powiedziała, że musi iść, i oboje powtarzali niezliczoną ilość razy, jaki ten świat jest mały i że powinna jeszcze kiedyś przyjść.

„Nowe wkładki zostały zrobione z pianki”, powiedział Walter, kiedy wróciła do przychodni. Dodał, że mimo tego były zaskakująco twarde, co ona na to? Wsiedli do samochodu i Walter jęknął, słuchając wiadomości.

– Czy oni w Waszyngtonie niczego nie potrafią zrobić porządnie? Powinniśmy zagłosować, żeby wszyscy odeszli. – A potem: – Co się dzieje, Roya? Błado wyglądasz. Roya? Roya, co się stało?

– Nic. Po prostu wcześniej zrobiło mi się trochę słabo, to wszystko.

– Mam się zatrzymać?

– Nie, Walter, jedź. Po prostu jedźmy dalej.

*

W domu nadal brakowało jej tchu i była roztrzęsiona.

– Podgrzeję kawę – powiedział Walter. – Ożywi cię. – Włożył kapcie i podszedł do ekspresu. Przelewowego. Nie żadnej wymyślnej maszyny do espresso na kapsułki, do której kupna namawiała ich Zari. Walter wołał parzyć kawę w starym ekspresie, stała w dzbanku przez cały dzień.

– Dzięki. Pójdę tylko do łazienki

Kapcie Waltera z wielbłądziej skóry, z beżowym futerkiem wokół kostek mignęły jej przed

oczami, kiedy mijala go w pędzie.

Od lat nie wchodziła tak szybko po schodach jak teraz, pchana nową, przerażającą energią. Popędziła do biurka, które Walter zbudował w ich sypialni, usiadła i włączyła laptopa. Dłonie miała spocone (na pewno od rękawiczek termicznych), serce jej waliło. Może to jednak były symptomy zbliżającego się ataku serca. Tak jak pani Michael, ich sąsiadka, dostanie wylewu, jej głowa opadnie na klawiaturę, znajdzie ją Walter, który nigdy się nie dowie, co chciała napisać. Może powinna przestać. Jednak gdy znowu usłyszała dzwonek ze sklepu papierniczego, łzy popłynęły jej po twarzy. Uruchomiła przeglądarkę, tak jak nauczył ją Kyle. Gdy kursor zawisł w oknie wyszukiwania, wystukała: „Dom Seniora w Duxton”.

„Nie mogę pojąć, siostrzo, dlaczego przez te wszystkie lata nie szukałaś go w internecie. Bóg mi świadkiem, że wyszukałam każdego mężczyznę, którego kiedykolwiek kochałam. Jusuf z Teheranu jest teraz emerytowanym neurochirurgiem w Maryland, widziałam na stronie jego zdjęcie. Wiedziałaś? Ale ty się upierasz, żeby przeszłość zostawić za sobą. Jakby to było możliwe!”

Palce jej drżały. Cóż, jeżeli czeka ją wylew, to niech przynajmniej się dowie, co się stało. Przy tamtych krzewach, obsypanych jaśminem, w tamten letni wieczór namiętnie go pocałowała. Od niego nauczyła się tanga. To po jego listy biegła dzień po dniu tamtego przekłętą lata, z jego powodu zapisywała stronę za stroną niebieskim atramentem wiecznego pióra. To na niego czekała na placu.

Walter pewnie właśnie nalewa kubek oleistej kawy.

Roya sięgnęła po okulary do czytania.

Obrazy i słowa na monitorze nabrały ostrości. Dom Seniora w Duxton był ośrodkiem kultury połączonym z domem opieki, w sercu pięknego Duxton, w Massachusetts. Stronę wypełniały zdjęcia drzew nad jeziorem, sali balowej dla seniorów, zbliżenie talerza z gulaszem wołowym, marchewką i kukurydzą, podpisane „Pyszne domowe posiłki!”. Poczula się, jakby była świadkiem czegoś zakazanego, a jednocześnie zupełnie normalnego i prozaicznego. Chłopiec, który zbudował w Ameryce sklep papierniczy, przebywał w tym miejscu – znajdującym się według mapy, którą właśnie wyszukała, osiemdziesiąt sześć kilometrów na południe od jej domu. Domu, w którym czekał Walter. I co ty na to?

Na stronie domu opieki podano numer telefonu, faksu, instrukcje krok po kroku, jak dotrzeć pod drzwi frontowe z północy, południa, wschodu i zachodu. Roya przycisnęła opuszki do kącików oczu. Groteskowa starsza pani odgrzebuje coś, z czym, jak sądziła, pogodziła się tysiąc lat temu.

Wstała, by zejść na dół, do Waltera.

Jednak nagle jakieś przyciąganie, przewyższające siłę ciężkości, sprawiło, że wylądowała z powrotem na krześle. Tylko po to, by zapytać go dlaczego. Dlaczego skłamał? Dlaczego ją tam zostawił? Dlaczego zerwał tak nagle? Dlaczego zmienił zdanie? Przynajmniej na tyle zasługiwała po tych wszystkich latach. Kto wie, kiedy serce może nie wytrzymać? Niech ona się w końcu dowie, raz na zawsze.

Kliknęła w zakładkę „kontakt” i znalazła numer telefonu.

Jednak nie zadzwoniła. Zamiast tego zeszła na dół. Walter jeszcze raz zapytał, co się stało.

Na początku ich zalotów w Kalifornii wspomniała Walterowi, że miała kawalera w Teheranie. Licealna miłośćka. Nic wielkiego, nic poważnego. Jak my wszyscy, prawda?

Czuła się dziwnie, mówiąc mu teraz o sklepie papierniczym w Newton, jakby zdradzała sekret kogoś innego, nie jej własny, jakby odsuwając zasłonę, ujawniała coś świętego i słodkiego, a jednocześnie pełnego niebezpieczeństw.

W następnych dniach płakała bez powodu. Ni z tego, ni z owego, nie wiadomo dlaczego, za każdym razem, gdy pomyślała o tym sklepie mieszczącym się na Walnut Street przez te wszystkie lata, w stanie, w którym mieszkała, kilka miasteczek od miejsca, gdzie spędzała dnie, nie tak daleko od jej domu w stylu kolonialnym z okiennicami – rozpadała się na kawałki. Na stare lata traciła rozum. Kiedy myślała o synu Bahmana, Omidzie, układającym towary w sklepie, ogarniało ją poczucie surrealizmu z domieszką nostalgii i niedowierzania. Pamiętała lepiej niż kiedykolwiek miłego sprzedawcę, który pierwszy wskazywał jej drogę w tamtym sklepie w Teheranie. Uraz psychiczny i poczucie straty nigdy nie zniknęły – te wspomnienia zawsze były przy niej. Jednak teraz płakała tak, jak nie płakała od dekad, ostatni raz w pierwszych latach po śmierci Marigold. Od nowa odbywała żałobę za czymś, co – jak

myślała – zakończyła już lata temu.

„Weź się w garść, siostrzo!”, powiedziałyby Zari.

Jednak z każdym mijającym dniem myślała też coraz częściej o uprzejmiej uwadze syna: „Czy mam mu przekazać, że panią spotkałem? Ucieszy się, że poznałem jego dawną przyjaciółkę”.

Chciała go zobaczyć. Tylko po to, by zapytać dlaczego. Żeby wiedziała, raz na zawsze. I dlatego tydzień po wizycie w sklepie papierniczym na Walnut Street, sześćdziesiąt lat po ostatnim spotkaniu z chłopcem ze sklepu papierniczego w Teheranie, podniosła słuchawkę.

Recepcjonistka. „W czym mogę pomóc” i „proszę poczekać, zaraz sprawdzę, porozmawiam z nim i do pani oddzwonię”, po czym kolejny telefon i „Tak, proszę przyjechać, pan Aslan będzie na panią czekał”.

Tak po prostu.

Po odłożeniu słuchawki czekała, aż podłoga się rozstąpi, aż ściany się zawała.

Jednak Walter wycierał naczynia ścierką z obrazkiem żółtego kurczaka z parasolką, kiedy mu powiedziała, że umówiła się na wizytę u tego chłopca z dawnych lat. I świat się nie rozpadł.

Pojadą w śniegu, ona i Walter, razem. On był do tego zdolny, taki był dobry. Powiedział, że nie chce, aby jego żona siedziała pogrążona w czarnych myślach i płakała. Jeśli potrzebowała z nim porozmawiać, to powinna to zrobić. „Jesteśmy za starzy, żeby cierpieć bez powodu”, powiedział. „Bóg wie, że życie jest wystarczająco kruche”.

Wysiądzie z samochodu, żeby się upewnić, że robiony na drutach szal zakrywa jej nos i usta w ochronie przed wiatrem, i wejdą razem po stopniach szarego budynku z szyldem „Dom Seniora w Duxton”. W środku blond kierowniczka zaprowadzi Royę do sali, w której starszy pan będzie siedział na wózku przy oknie. A potem jeszcze raz spotka chłopca, który – jak kiedyś wierzyła – zawsze będzie jej.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

2013

SPOTKANIE

Kiedy kierowniczką odwróciła się i wyszła, stukając obcasami, Roya i Bahman zostali we dwoje w przegrzanej jadalni. On obrócił wózek i uśmiechnął się – jakimś cudem oczy wciąż miał pełne nadziei.

– Czekałem.

Trudno było nie upaść. Serce Royi podskoczyło, jakby to jeszcze miało jakieś znaczenie, jakby dla nich dwojga nie było już o wiele za późno. Owiał ją ten sam powiew wiatru, który wpadł do sklepu papierniczego pana Fakri, kiedy Bahman wszedł do środka tamtego pierwszego styczniowego wtorku tak wiele lat temu, przygwoździła ją ta sama siła. On był jej, zawsze był jej, miał taki sam głos. Zupełnie jakby słuchała go bez przerwy przez sześćdziesiąt lat. Siedział tu chłopiec, który tańczył z nią podczas czwartkowych wieczorków, który całował ją przy krzewie jaśminu, gdy postanowili się pobrać, który pisał do niej listy miłosne w lato zamachu.

Spojrzała w dół i widok jej butów starszej pani, na grubych podeszwach i z maleńkimi kokardkami, przywołał ją do teraźniejszości. Miała siedemdziesiąt siedem lat. Nie była już siedemnastolatką i nie była po raz pierwszy zakochana, nie czekała na życie z tym chłopcem, który miał zmienić świat. Dobrze znany smutek podszedł jej do gardła.

– Rozumiem. Ale ja chciałam cię tylko zapytać dlaczego, na litość, nie poczekałeś ostatnim razem?

Znow kręciło się jej w głowie, musiała usiąść. Podeszła do stojącego przy oknie plastikowego krzesła i opadła na siedzenie. Nie mogła przed nim paść na podłogę jak długa. Nic nie powiedział, ale rozległ się świst elektrycznego wózka i zaraz znalazł się przy niej. Siedzieli tak obok siebie, twarzami do okna. Nie miała odwagi na niego spojrzeć. To przypominałoby patrzenie prosto w słońce lub w silny snop światła latarki. Sprawiłoby zbyt wielki ból.

Szyba była gruba i pofałdowana. A może to jej mącił się wzrok? Pokój wypełniały trzaskanie kaloryfera i pełen wysiłku oddech Bahmana. Roya patrzyła, jak płatki śniegu zbierają się na parapecie, na dachach samochodów na parkingu, w szczelinach chodnika, na koronach drzew w Duxton. Jej myśli przypominały śnieg: musiały wylądować i znieruchomieć w tej nowej scenarii. Ona i Bahman znow byli razem. Sami. Po sześćdziesięciu latach siedzieli we dwójkę, sami.

Oczywiście przez te wszystkie lata wyobrażała sobie, że go spotyka. Ludzie ciągle na siebie wpadali. Ona została żoną Waltera, ponieważ jej łokieć strącił filiżankę kawy z lady, czyż nie? „Spójrz tylko na siebie, siostró, siedzisz jak głupia w tym smrodzie wołowiny i gapisz się przez okno! Przynajmniej z nim porozmawiaj! Spójrz na niego!”

– Martwiłem się spotkaniem z tobą. Tak bardzo się denerwowałem. Ale to ty. *Chodeti*. To ty – znowu odezwał się po persku, tym głosem, którego nigdy nie przestała słyszeć.

W poprzednim życiu Bahman nie przyszedł na spotkanie. Ożenił się z inną i nawet nie obejrzał się za siebie. Powie to, z czym tu przyszła.

– Wybaczam ci. – Wypowiedziała te słowa głośno i wyraźnie, jakby ćwiczyła je przed lustrem. Jednak wcale nie to zamierzała powiedzieć. Chciała go spytać dlaczego. Ale teraz, gdy tu była, tuż obok niego, odpowiedź na to pytanie nie wydawała się już mieć znaczenia. Zapadał zmierzch ich życia; byli już ponad to.

– Przepraszam?

Czy to było pytanie, czy prośba o wybaczenie? Odwróciła się, by na niego popatrzeć, znieście

krzywe spojrzenie, nawet wściekle, jeśli będzie trzeba. On wydawał się bezbronny, roztrzęsiony.

– Wybaczam ci, Bahman. – Dziwnie się czuła, wypowiadając jego imię wprost w jego twarz, w ogóle wypowiadając jego imię. – Byliśmy dziećmi. Co my wiedzieliśmy? – W jego oczach odbijał się brak zrozumienia. Czy on ją słyszał? Może miał aparat słuchowy, którego nie włączał, jak wielu znajomych jej i Waltera? – Nie jestem tutaj, by szukać winnych, Bahman – powiedziała głośniej. – Nawet nie chcę wyjaśnienia. Może wcześniej chciałam. Ale teraz już nie.

– Ty mi wybaczasz?

– Tak.

– Nie rozumiem.

– Posłuchaj, mogę mieć pretensje tylko do siebie.

– Za co?

– Za to, że uwierzyłam, że może być inaczej. Chcę tylko powiedzieć, że życie jest jakie jest, i że ci wybaczam, i że chciałam znowu się z tobą spotkać. Po prostu cię zobaczyć. Pomyśleć, że nie rozmawialiśmy przez te wszystkie lata. Dlaczego? Oczywiście słyszałam, co u ciebie, od Dżahangira, niech Bóg ma w opiece jego duszę, przez chwilę wiedziałam, jak się miewasz. Dopiero potem dowiedziałam się od Zari, że Dżahangir, biedny Dżahangir, zginął na wojnie. Ale jesteśmy za starzy, by chować urazę. Chciałam tylko, żebyś o tym wiedział. – Czuła potrzebę, by wyciągnąć rękę i poklepać go po dłoni. To był *on* i wciąż posiadał nad nią władzę, ledwo mogła w to uwierzyć, ale w jego obecności – co było dosyć zdumiewające – wypełniała ją miłość. Widzieć go takim starym! Jej Bahman. Chłopiec, który miał zmienić świat, na wózku inwalidzkim, w takim miejscu.

Tak, kochała go. Ta prawda przypominała falę, która nadpłynęła i zatopiła ją słonymi strumieniami, splątując jej włosy i piekąc w nozdrza, wymywając spod niej życie. Oczywiście że go kochała. Ziemia była okrągła, dzień przechodził w noc, on siedział przed nią, a ona go kochała. Dostrzegła w jego twarzy dobroć, którą pamiętała. Jak się nią opiekował i ufał jej, dzielił się z nią wszystkim. Jak opierał głowę na jej ramieniu, gdy ogarniał go smutek z powodu gniewu i braku rozsądku jego matki. Ostatecznie jego matka miała nad nim większą władzę niż Roya. Ale co którekolwiek z nich mogło zrobić w wieku siedemnastu lat? Przeznaczenie miało swoje plany.

– Ty mi wybaczasz? – Jego głos wydawał się bardzo odległy.

Zalała ją kolejna fala. Tym razem lodowata, bezlitos-na. Oczywiście. Powtarzał się. Dlaczego spodziewała się czegokolwiek innego? Utrata pamięci. Zapewne demencja. Bardzo prawdopodobne, że Bahman w ogóle jej nie pamiętał. Może jednak przyszła za późno.

– Bahman? – powiedziała powoli, jakby zwracała się do dziecka. Powinna po prostu wyciągnąć rękę i go przytulić. On tulił ją tak wiele razy.

– Nie wiesz, jak bardzo mnie uszczęśliwiłaś swoją wizytą – odrzekł. – Marzyłem o spotkaniu z tobą. To było moje marzenie. – Bez wahania ujął jej dłoń.

Pamiętała, oczywiście, jego dotyk. Był tak znajomy, że aż bolał. Czuła drzewny zapach jego wody po goleniu. Czy użył jej specjalnie przed jej wizytą? Zachowywali się jak nastolatki, chcący sprawić sobie nawzajem przyjemność. Ona z pewnością odmówiła włożenia śniegowców, by dobrze wyglądać.

– Czekałem na ciebie całe popołudnie.

– Jest poranek – przypomniała mu łagodnie.

– Nie, wtedy, na placu.

– Słucham?

– Tak bardzo się martwiłem, że porwał cię tłum, że zostałam ranna. Kiedy nie przyszłaś, modliłem się tylko, żeby nic ci się nie stało. Poczułem ogromną ulgę na wieść, że jesteś bezpieczna. Tylko to się liczyło. Że nic ci nie jest. I tylko to nadal się liczy. Chcę wiedzieć, jak się teraz miewasz – kontynuował. – Powiedz mi, jak się czujesz. Opowiedz mi wszystko.

Okrucieństwo starości, degeneracja umysłu! Biedny człowiek, nie pamiętał ich historii.

– Szahla umarła – rzucił nagle.

Wysoka dziewczyna o falistych włosach, która mierzyła ją wzrokiem w kawiarni Ganadi, która podkradła się do niej w domu Dżahangira, która – patrząc gniewnie na żyrandol – minęła ich w tangu,

nagle była obecna w tej sali. Smak miazdzonego melona na przyjęciu tamtego wieczoru, kostka lodu po wewnętrznej stronie policzka Royi. Śmierć nie była niczym nowym, w ostatnich latach umarło kilkoro ich znajomych, oboje stracili pana Fakri – ona straciła własne dziecko! Jednak oczywiście ta wiadomość nappełniła ją smutkiem.

– Tak bardzo mi przykro – powiedziała.

– Wychowaliśmy dwoje cudownych dzieci. Bliźniaki.

– Mój Boże. *Maszallah* – odrzekła. Po czym zmusiła się, by dodać: – Poznałam twojego syna, Omida. – Nie wspomniała o sklepie. Samo pytanie o sklep otworzyłoby zbyt wiele światów. Jeszcze nie mogła.

– Mówił mi. Cieszę się, że widziałas, co stworzyliśmy. Chciałem... – ścisnął jej dłoń – po prostu mieć nasz sklep.

Poczuła się tak, jakby znów mogła zatonać. Na wspomnienie sklepu w Newton przed oczami stanął jej ten w płomieniach, w Teheranie.

– Co się stało z Szahłą? – odważyła się zapytać.

– Dzięki Bogu, nie cierpiała zbyt długo. Powiedzieli nam we wtorek przed Świętem Dziękczynienia w dwa tysiące czwartym roku. W Nouruz było po wszystkim.

– Rak?

– Nowotwór trzustki.

Nouruz był pierwszego dnia wiosny. Roya wyliczyła cztery krótkie miesiące od diagnozy do śmierci.

– Niech Bóg ma w opiece jej duszę.

– Była dobrą żoną... – Zamilkł na chwilę, po czym dodał: – Ale nie była tobą.

Roya wbiła wzrok w podłogę.

– Powiedz mi, jak się miewa twój syn? – zapytał.

– Skąd wiesz, że mam syna?

– Szukałem informacji o tobie w internecie. Widziałem, że jest lekarzem. Gratuluję. Wybacz mi, mam nadzieję, że nie uznasz mnie za wścibskiego. Nie mogłem się powstrzymać. Wiem też, że wysłaś za niejakiego Waltera Archera, emerytowanego prawnika z kancelarii Lippincott i Mackevy. Internet... wie wszystko! – wypowiadając imię Waltera, wydawał się nieco skrępowany. Wymawiał je „Valter”. A Lippincott „Lii-piin-es-scot”.

– Jak Dżahangir. Był naszą światową siecią informacyjną – zauważyła.

Twarz Bahmana rozjaśniła się na wspomnienie starego przyjaciela.

– Tak, zawsze był centrum informacji! Pamiętasz jego przyjęcia?

– Jak mogłabym zapomnieć? Te piosenki na gramofonie!

– Roya. – Gdy wypowiedział jej imię, wszystko przestało mieć znaczenie: dekady, dzieci, rak, zdrada, strata, zamach, napisana na nowo historia. Wypowiedział jej imię tak samo jak zawsze je wypowiadał. Znów byli Bahmanem i Royą, tańczącą parą, rozmawiającą bez tchu wśród książek w sklepie. Przytrzymała się plastikowego krzesła. Nie mogła upaść.

Jego oddech stał się głośniejszy, jakby w jego piersi krył się zepsuty silnik. Odwróciła się do okna. Padał jeszcze gęstszy śnieg. Nikt nie wszedł do sali – nie było partyjki bingo, nikt nie podawał lunchu, chociaż zapach gulaszu wołowego wciąż unosił się w powietrzu. Byli zupełnie sami. Czy gdyby dotknęła szyby, poczułaby zimno? Nawet przy tak podkreślonym ogrzewaniu, czy gdyby się pochyliła, żeby dotknąć szkła, poczułaby lód? Siedziała tutaj z obcym człowiekiem. Siedziała tutaj ze swoją miłością. Obracała te dwie prawdy w myślach i trudno jej było znaleźć jakiegokolwiek słowa.

– Bardzo za tobą tęskniłem – powiedział.

Może stara miłość po prostu płynie przez dekady nieskrępowana, nie do zatrzymania, nawet jeśli się jej wyrzekasz.

– Ja też.

– Wygodnie ci tutaj?

– Oczywiście. – Poprawiła się na krześle, nie puszczając jego ręki.

– W Ameryce, w twoim życiu.

– Pewna sprawa – potwierdziła w amerykański sposób.

– Nie lituj się nade mną, że tutaj jestem. Wiem, że w naszej kulturze gardzi się takimi miejscami. Ale moja córka z rodziną regularnie mnie odwiedzają. Mieszkają tutaj, w Duxton. Omid z żoną i dziećmi też przyjeżdżają. Po prostu w pewnej chwili opieka nade mną ich przerosła. Próbowali. Ale ja nie chciałem być dla nich ciężarem. Zwłaszcza odkąd zachorowałem na parkinsona. To dobre miejsce. Nazywają mnie tu „panem Batmanem”.

– Parkinsona? – Zesztywniała. – Ty nie...

– Nie trzęsę się? Nie grzechoczę kośćmi, jak mówią Amerykanie? Niektóre dni są lepsze niż inne. Myślałem, że widząc się z tobą, będę drżał cały ranek. Ale tak naprawdę czuję się lepiej.

– Nie wiedziałam...

– Od wieków tak dobrze się nie czułem. To dzięki tobie.

– Proszę, przestań. Nie mamy siedemnastu lat.

– Zawsze będziemy mieli siedemnaście lat.

– No dobrze, proszę pana. – Teraz, gdy już trochę się rozgrzali, łatwo było wrócić do dawnych przekomarzanek, droczenia. – Powiedz mi. Ile wnuków?

– Sześcioro!

– O rety! Oby żyli długo pod opieką cieni swoich rodziców. – Dzięki Bogu za stare obyczaje. Te perskie wyrażenia, które rzucało się odruchowo, były wybawieniem, gdy człowiek nie wiedział, co powiedzieć.

– Nie przestałem o tobie myśleć. Próbuję ci powiedzieć, Roya-dżun, że od tamtego dnia na placu nigdy nie przestałem o tobie myśleć.

Puściła jego dłoń. Po czym poklepała go po ramieniu, tym ramieniu, dzięki któremu kiedyś czuła się tak bezpieczna. Rękaw miał wełniany i znoszony. Już dobrze, Bahman, już dobrze. Tylko tyle mogła zrobić. Nigdy się nie martwiła, że Walter utraci pamięć. Ani Zari, och Boże, to byłby koszmar. Kilkoro jej znajomych skarżyło się, że zapomina. Ale to – cóż, to były dla niej nieznane wody. Nie była pewna, czy powinna po prostu przytakiwać jego wersji wydarzeń. Słyszała, że pacjenci z demencją mogą wpadać we wściekłość, gdy czują się nierozumiani.

– Tamtego dnia na placu? Roya, stałem tam godzinami, czekając na ciebie. Miałem przygotowane wszystkie dokumenty, żebyśmy mogli pójść do Urzędu Ślubów i Rozwodów i wszystko oficjalnie przypieczętować. Czekałem, kiedy pojawili się bandyci i zajęli plac, gdy maszerowali do domu premiera. Zwolennicy Mosadeka prosili mnie o pomoc, ale nie przyłączyłem się do walki. Nie ruszyłem się. Myślałem tylko o tym, co się stanie, jeśli przyjdiesz, a mnie tam nie będzie. Nie chciałem cię tam zostawiać. Czekałem na ciebie. Czekałem, ponieważ jedyne, czego pragnąłem, to cię zobaczyć, wszystko ci wyjaśnić, znów cię przytulić. Ale ty nie przysłałaś.

Roya próbowała przypomnieć sobie, co wiedziała o parkinsonie. Czy to był jeden z objawów?

– Wybaczam ci – wyszeptwała znowu.

– Wybaczasz mi, ale dlaczego? Ja dałbym ci wszystko. Gdybyś tylko mi na to pozwoliła. – Jego usta ułożyły się w podkówkę jak u małego chłopca.

– Ożeniłeś się z Szahlą. I w porządku. My po prostu... po prostu nie byliśmy sobie przeznaczeni.

– Ożeniłem się z nią, ponieważ straciłem ciebie.

– Straciłeś mnie, ponieważ ożeniłeś się z nią!

Dłoń Bahmana zadrżała.

– Obalenie Mosadeka, śmierć pana Fakri i tylu innych, to była jedna sprawa. Ogromna strata. Jednak największa moja strata? Utracenie ciebie. Nic w życiu nie sprawiło mi większego bólu. Myślałem o tobie bezustannie przez sześćdziesiąt lat. – Ciągnął dalej: – Jednak nie zamierzałem stawać ci na drodze. Kiedy napisałaś mi, że jednak nie możesz wżenić się w moją rodzinę, z całym obciążeniem i wyrzeczeniami, jakich wymagały nastroje i napady mojej matki, byłem zrozpaczony. Tak bardzo zraniony. Co mogłem zrobić z jej stanem psychicznym, z nią? Nie mogłem tego zmienić. Z tego powodu już unikała nas rodzina ze strony ojca. Jak mogłem nie pozwolić ci odejść? Nie chciałem obciążać cię tym, czego wtedy się wstydziliśmy. Nie chciałaś więcej oglądać mojej rodziny i jej dysfunkcji, a ja nie chciałem stawać ci na drodze. Szahla nie miała takich uprzedzeń w stosunku do stanu mojej matki. Po

prostu nie miała i chyba część mnie była jej za to wdzięczna...

Szaleństwo. On kompletnie postradał zmysły.

Roya przemówiła łagodnie, ale zdecydowanie:

– Bahman, nie mam pojęcia, o czym ty mówisz. Wiem, że możesz nie pamiętać wszystkiego. Nigdy niczego takiego nie powiedziałam. Nigdy bym czegoś takiego nie powiedziała ani nie czuła. Zostawić cię z powodu twojej matki? Odsunąć się od ciebie przez jej rozchwianie psychiczne? Chciałam być z tobą, wspierać cię na każdym kroku tej drogi. Pomóc tobie i twojemu ojcu. Twojej matce też! To ty mi powiedziałeś, że chcesz iść dalej. Pamiętasz?

Bahman się nie poruszył. Przez kilka sekund wpatrywał się w milczeniu w jej twarz. Nagle wciął gwałtowny wdech, który brzmiał, jakby ktoś go dusił.

Musiała zawrócić rozmowę z tych absurdalnych bezdroży, zanim on jeszcze bardziej się zdenerwuje. Odezwała się tak spokojnym głosem, na jaki tylko potrafiła się zdobyć:

– Ja byłam na placu. Rozumiesz? Ja martwiłam się o ciebie. To ty nie przyszedłeś. Twoja matka chciała dla ciebie Szahli, to były inne czasy. Naprawdę wszystko w porządku. Pomyśl o swoich dzieciach. O swoich wnu...

– Nie. – Jego głowa, szyja i ramiona drżały. – O mój Boże.

– Posłuchaj, to bez znaczenia. Po prostu zapomnijmy o tym wszystkim. Proszę...

Jego twarz wykrzywił grymas bólu.

– Nie rozumiesz. Roya-dżun... – Całym jego ciałem wstrząsnął świszczący kaszel. Był tak silny. Roya się przestraszyła, że zaraz dostanie ataku serca. Kiedy skończył kaszleć, znów na nią spojrzął.

– Gdzie byłeś?

– Tutaj, w Stanach. Wiesz, że przyjechałam na studia do Kalifornii. Pamiętasz? Mój ojciec aplikował na jedno z pierwszych miejsc w amerykańskim college'u dostępne dla irańskich kobiet...

– Tak, Dżahangir mi powiedział, wiem to wszystko. Roya-dżun, gdzie byłeś tamtego dnia?

Westchnęła. To było naprawdę bardzo trudne, biedny człowiek.

– Na placu.

– Na którym placu? – Nie trząsał się już, siedział nieruchomo jak pień, po ataku kaszlu oddychał z mniejszym wysiłkiem. Właściwie wyglądał, jakby wstrzymywał oddech.

– Tam, gdzie mi kazałeś być. Na placu Sepah.

– Napisałem „plac Baharestan”.

O rety. Czyli pamiętał niektóre rzeczy, ale bez szczegółów. Miał własną wersję rzeczywistości, prawdy. Tak smutno było na to patrzeć. Chciała wrócić do Waltera, do bezpieczeństwa rolady z homarem i nieskomplikowanych historii, do jego niezawodnej pamięci.

– Nie pamiętasz, w porządku – wyszeptała.

– Listy...

Przerwał im stukot obcasów. To była Claire; weszła z plastikową tacą w kształcie nerki, pełną fiolek z lekarstwami.

– Panie Batmanie, czas na pana leki! – Gdy podeszła bliżej, jej twarz oblała się rumieńcem. Bahman był na skraju łez. – Przepraszam, przeszkadzam... Mogę wrócić za kilka...

Roya wstała.

– I tak powinnam już iść. Naprawdę powinnam pójść. Mąż na mnie czeka.

– Zostań – poprosił Bahman. – Nie musisz wychodzić.

– Zaraz wrócę – obiecała Claire.

– Nie, Roya, ty. Proszę. Zostań. Mamy tak wiele do omówienia.

– Mój mąż czeka.

– Zaczynam rozumieć – wyszeptał.

– Czy ma pan ochotę na lunch? – zapytała łagodnie Claire.

Roya stała tam w swoich szarych butach na grubej podeszwie. Kiedy patrzyła na Bahmana w takim stanie, z na wpół utraconym rozumem, pomieszаныmi wspomnieniami, czuła, jak pęka jej serce. Chciała chłopca, którego kiedyś знаła, chłopca, który miał ocalić świat. Pomyśleć, że ona wciąż go kochała! Nagle ogarnęło ją wyczerpanie.

– Śnieg – powiedziała w końcu. – Robi się coraz gęstszy. Czekają nas długa droga. Nie mogę pozwolić sobie na czekanie. Nie chcemy, żeby warunki na drodze się pogorszyły.

W obecności Claire przeszli na angielski. Tak się właśnie robiło przy Amerykanach. Dziwnie było słuchać, jak on mówi w tym języku. Chciała uściskać go na do widzenia, uściskać na dzień dobry, uściskać za to, że trochę pamiętał, po prostu jeszcze raz go uściskać.

– Kto nas oszukał, Roya? Ktoś to zrobił. Ja napisałem „plac Baharestan”. Kto podmienił nasze listy?

Claire spojrzała na Royę, potem na Bahmana. Plastikowa taca w jej rękach przechyliła się niebezpiecznie.

– A twoja siostra? Nigdy mnie nie lubiła. Czy może Dżahangir? Wiedziałaś, Roya-dżun, później powiedział mi, że był zakochany. – Spojrzał na swoje dłonie. – We mnie. – Znow podniósł wzrok. – Kto nam to zrobił? Szahla nigdy by w czymś takim nie wzięła udziału. Nie mogłaby. A może? Czy to pan Fakri? Na pewno nie moja matka.

Serce Royi galopowało, gdy przeszłość zalała ją falą, kiedy ludzie, którzy odegrali tak ważne role w ich życiu tamtego lata, przepływali przed jej oczami, gdy słuchała mężczyzny, którego kochała, a który stracił tak wiele, łącznie z rozumem.

– Do widzenia, Bahman.

– Wróć. Kiedy będziesz mogła. Nie znasz tak dużej części tej historii.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

2013

ZAPLECZE

List Bahmana przyszedł pocztą na adres domu Royi. Czy tak łatwo było znaleźć adres państwa Waltera i Royi Archerów, nic więcej niż kolejna możliwa do wyszukania informacja w sieci? Roya otworzyła kopertę z dziwnym uczuciem déjà vu: przeszył ją ten dawny, znajomy dreszcz, chociaż teraz siedziała w swojej kuchni – w wieku siedemdziesięciu siedmiu lat! – i czekała, aż Walter wróci do domu ze sklepu spożywczego.

Najdroższa Roya-dżun,

po naszym przyjęciu zaręczynowym chciałem Ci to wszystko wynagrodzić. Fakt, że moja matka próbowała popsuć nasze radosne święto, bezbrzeżnie mnie zasmucił. Jedyne, czego pragnąłem, to mieć normalną matkę, kogoś dobrego, kogoś, kto nie sterował moim życiem za pomocą strategii, kalkulacji i niekończących się planów, jak zaaranżować przyszłość, jakiej dla mnie chciała. Pragnęła, abym wspinał się po szczeblach w tym fałszywym, burżuazyjnym świecie, którego łaknęła. Jej napady wściekłości pozbawiały ojca i mnie sił. Przetaczały się niczym żywy, jak pozbawiony kontroli huragan, i nawet kiedy te pozory spokoju w naszym domu ulegały zniszczeniu, byliśmy wyczerpani i słabi. Moja matka była chora. Potrzebowała pomocy. Ale my nie wiedzieliśmy, jak jej pomóc.

Przez całe dni po naszym przyjęciu zaręczynowym była niespokojna, podminowana. Mój ojciec zasugerował, żeby usiadła i zajęła się kaligrafią. Nauczył ją pisać w nadziei, że to zajęcie ją uspokoi, żeby miała odskocznię, hobby, coś pozytywnego, na czym będzie mogła skupić swoją nerwową energię. Co zaskakujące, naprawdę to polubiła. Jednak nigdy nie mogłaby stać się tak dobra jak ci, którzy ćwiczyli tę sztukę od bardzo młodych lat.

Kaligrafia była umiejętnością najlepszych uczniów tamtego pokolenia. Ci z pierwszorzędných szkół byli uczeni przez mistrzów, jak kontrolować dłoń, z jaką siłą naciskać, jak trzymać pióro.

Oczywiście później się dowiedziałem, ile szkody przyniosła ta umiejętność. Jaką wyrwę zrobiła w naszym życiu. Kiedy przyjechałaś tutaj, do Duxton, kilka dni temu zostałem zmuszony, by zdać sobie sprawę z czegoś, czego chyba przez cały czas się obawiałem. Moja matka podmieniła nasze listy. A raczej je przerobiła, zadbała, żebym ja poszedł na jeden plac, a Ty na drugi. Nikt nie mógł tego pragnąć poza moją matką, Roya-dżun. To jej się wydawało, że świat się zawali, jeśli jej syn nie zawrze małżeństwa, jakie dla niego zaplanowała. A skąd moja matka miała nasze listy? Och, Roya. Żeby odpowiedzieć na to pytanie, muszę opisać Ci historię, której nie znasz. Dlatego teraz, gdy tak siedzę w domu pomocy o zmierzchu życia, pozwól, że Ci opowiem, co wydarzyło się tamtego lata.

Dwa tygodnie po naszym przyjęciu zaręczynowym, w piątek, matka nie mogła usiedzieć spokojnie. Wstała i zaczęła chodzić po pokoju. Narzekała na gorąco, na żar, który nie dawał jej spać całą noc, na głosy w głowie. Zażądała chłodnych skórek z ogórka na oczy. Obrałem ogórki – co mogłem zrobić – i położyłem jej na powieki. Wachlowałem ją bambusowym wachlarzem, tak jak lubiła. Krzątałem się wokół niej, chociaż we mnie wrzało, w nadziei, że się uspokoi, rozluźni, poskromi swoje demony.

Nic jednak nie działało. Zerwała obierki z ogórków i cisnęła je na podłogę. Powiedziała mi, że nie mam pojęcia, jaki sprawiam jej ból, że pragnie tylko, aby jej jedyny syn prowadził życie pełne sukcesów i odpowiednich ludzi z najlepszych kręgów, a to oznaczało małżeństwo z Szahlą. Opowiadała,

jak wybrała dla mnie Szahlę, rozmawiała z jej rodzicami, wszystko zaplanowała. Czy zdaję sobie sprawę, co odrzucam, co tak naprawdę robię? Ona sama była córką sprzedawcy melonów, i to właśnie małżeństwo z inżynierem, który był przyzwoity, dobry, a przede wszystkim z wyższej klasy, ją ocaliło. Czy ja mam w ogóle pojęcie, ciągnęła, co to znaczy utknąć w życiu, nie mieć żadnej pozycji, rozpychać się i walczyć o lepsze jutro, ale być bezradnym przez to, kim byli twoi dziadkowie, ponieważ twój ojciec był niewykształcony, z powodu klasy, w jakiej się urodziłeś? Byłem wściekły. Ona wyrwała się z klasy, w której się urodziła, i teraz zamiast pozwolić mi na małżeństwo z miłości, upierała się, żebym parł dalej, jakbym był atletą przejmującym jej pałeczkę. Nie wolno mi przestać biec, nie mogę zawrócić, jak gdyby moje małżeństwo z kimś, kogo kocham, zaprzeczało jej postępowi w walce z przeznaczeniem.

Pozbierałem z podłogi zwiędnięte obierki z ogórka. Były ciepłe od kontaktu z jej skórą, miękkie i wiotkie. Ich dotyk wywołał we mnie obrzydzenie. Walczyłem o nas. Powiedziałem jej, jaka jesteś bystra, o twoich wspaniałych stopniach, jak ciężko pracowałeś w szkole. Nawet podkreśliłem znaczenie stałej pracy twojego ojca w urzędzie. I gdy tak siedzę o zmierzchu, pisząc ten list, czuję ból na myśl, że w ogóle wypowiedziałem te słowa. Jak gdybym miał jakikolwiek obowiązek ją przekonać. Jak gdyby sama nasza miłość nie powinna wystarczyć. Jestem zszokowany własną słabością.

Ojciec wyjął świeżą buteleczkę atramentu, przysunął jej bliżej pióro do kaligrafii, błagał, by napisała kilka wersów ulubionego wiersza. Wszystko, byleby tylko skoncentrowała się na czymś innym niż własna wściekłość.

– Jeśli Bahman ożeni się z tą dziewczyną, to go stracę, wiem o tym. Roya nie będzie taka jak Szahla. Nie pozwoli mi zostać blisko niego. Jak gdyby utrata innych nie wystarczyła.

Mój ojciec się skurczył, gdy to powiedziała, ukrył twarz w dłoniach i tak pozostał.

Ona wybiegła. Słyszeliśmy, jak otwiera i zamyka szuflady w kuchni. A potem usłyszeliśmy huk zatraskiwanych drzwi sypialni. Jak zawsze.

Siedzieliśmy jak zwykle w niezręcznej ciszy, mój ojciec i ja, czekając, aż jej gniew się wyczerpie, aż okropna burza minie. Żeby oderwać myśli, zamknąłem oczy i recytowałem w głowie Rumiego. W końcu poczułem jakiś słodki, duszący zapach. Otworzyłem oczy. Powietrze pachniało zwiędłymi różami. Moja matka wróciła do salonu w pełni ubrana i umalowana. Wylała na siebie zbyt dużo perfum. Jej policzki pokrywała gruba warstwa różu. Mocno przyciskała do siebie torebkę. Wypadła przez frontowe drzwi, zanim ojciec i ja zdążyliśmy powiedzieć choć słowo, zanim spróbowałem ją błagać, żeby została w domu.

Czasami gdy wychodziła, wydawało się, że nagle znika dusząca warstwa sadzy. Jednak teraz dyskomfort pozostał. Nie mogłem się ruszyć. Nie wiem, jak długo czekałem, by odzyskać siłę w nogach, żeby wstać i pójść za nią. Mój ojciec nic nie powiedział. Wyglądał na załamane. Oczywiście musieliśmy za nią pójść. Kto wie, w jakie kłopoty mogła się wpakować, kiedy była w jednym z tych nastrojów? Martwiłem się o jej poczytalność, o jej bezpieczeństwo, martwiłem się nawet spojrzaniem ludzi na ulicy, których będzie mijała. Przedstawieniem, jakie mogła z siebie zrobić.

– Pójdę – powiedziałem. – Przyprowadzę ją do domu.

Wyszedłem za furtkę. Nie miałem pojęcia, dokąd się skierować. Przeklinałem siebie, że siedziałem na kanapie dłużej, niż powinienem, że natychmiast za nią nie pobiegłem. Nie miałem pojęcia, dokąd poszła, w którą ulicę skręciła. Ponieważ było piątkowe święto, większość ludzi odpoczywała w domach albo modliła się w meczecie i przechodniów było niewielu. Zresztą o co miałbym ich zapytać? Czy widzieliście wysmarowaną różem kobietę, która szła wściekła?

Jedyne, czego pragnąłem, to być z Tobą. Chciałem Cię zobaczyć, przytulić, poczuć Cię obok siebie. Kusilo mnie, by pójść do Twojego domu. Ale musiałem znaleźć matkę. Kiedyś w sklepie warzywnym odgryzła czubki kilku bakłażanów, ponieważ – jak powiedziała – sprzedawca potraktował ją jak nędzną wieśniaczkę, *dahati*. „Traktujesz mnie jak zwierzę, to ja się tak zachowuję, co ty na to?” A ja spłonąłem ze wstydu. Innym razem dopadła sprzedawcę buraków i jego młodszą córkę, kiedy pchali wózek po ulicy. „Nigdy nie powinien pan spuszczać córki z oka”, powiedziała mu, „ponieważ ona łatwo może stać się dziwką, nierządnicą, śmieciem, w przedwczesnej ciąży”. Gdy te szaleńcze moce przejmowały nad nią władzę, okrucieństwo wystrzelało z mojej matki niczym wąż, niespodziewane i niemożliwe do powstrzymania.

Nie mogłem jej znaleźć. W święto sklepy były zamknięte, na ulicach niewielu ludzi. Raz czy dwa widziałem od tyłu jakąś kobietę, ale to oczywiście nie była ona. Szukałem i szukałem, chodziłem wkoło, czując się coraz bardziej zagubiony.

Wyczerpany, z nerwami w strzępach, poszedłem w jedyne miejsce, które mogło mnie uspokoić. Wiedziałem, że pan Fakri czasami w piątki nadrabiał zaległości w inwentarzu, sprzątał na zapleczu. W czasach liceum nawet pomagałem mu w piątki rozpakowywać pudła, dumny z bycia jego pomocnikiem.

Głośny dźwięk dzwonka, gdy otworzyłem drzwi sklepu papieżniczego, przyniósł mi ulgę. Drzwi były otwarte, więc pan Fakri musiał być w środku, pracował. Pamiętałem, jak moja matka rozmawiała z nim na naszym przyjęciu zaręczynowym. Była opryskliwa i bezpośrednia, winała go za pomoc w naszym romansie. Chyba chciałem przeprosić w jej imieniu, tak samo jak pragnąłem spokojnej, kojącej obecności pana Fakri.

Kiedy wszedłem do sklepu, usłyszałem stłumione głosy, uniesione jak podczas kłótni. Rozejrzałem się, ale w sklepie nikogo nie zauważyłem. Znajomy zapach zakurzonych książek i ulotek był podszyty jakąś inną wonią. Zwiędłych róż. Perfum mojej matki.

Podszedłem do drzwi prowadzących do magazynu na tyłach sklepu. Głosy stawały się coraz głośniejsze. Nagle podłoga zaczęła się kołysać. Zegar sklepowy dostał czkawki, jakby był zepsuty. Nienawidziłem zapachu tych perfum, tak bardzo chciałem się mylić. Jednak wtedy już rozpoznałem głos matki zza drzwi.

– Powiedz mi, że mnie kochasz. – Usłyszałem jej słowa.

– Nie rób tego, Badri. – Nigdy nie słyszałem, żeby pan Fakri wydawał się aż tak bezradny. W tamtej chwili zrozumiałem, jak brzmiał jako chłopiec. Dlaczego zwracał się do mojej matki po imieniu? Co ona tu robiła?

– Pamiętasz sztylet, którym mój ojciec rozcinał melony? – zapytała. – Byłam w tym ekspertką. Mogę tego użyć w tej chwili i położyć kres temu całemu cierpieniu, jakie spowodowałaś. Byłeś i zawsze będziesz bezużytecznym, pozbawionym kręgosłupa tchórzem, który zamordował własne dziecko.

– Badri, proszę... – błagał pan Fakri.

Wtedy otworzyłem drzwi. Moja matka stała na małej drabince. Ręce miała opuszczone wzdłuż boków. W prawym ręku trzymała duży nóż rzeźnicki. Moje ciało zlodowaciało. Chciałem wierzyć, że ten nóż po prostu wisi przy jej udzie. Nie mógł być połączony z jej dłonią. Skąd mogłaby wziąć ten nóż – czy pochodził z naszej kuchni? Czy to ten, którym mój ojciec kroił na kawałki mięso, który trzymał z tyłu kuchennej szuflady? W dużym sierpowatym ostrzu widziałem odbicie okularów pana Fakri.

I nagle ona szybkim ruchem uniosła nóż. Po czym wbiła sobie ostrze w gardło.

Nie jestem pewien, jak przedostałem się przez pokój. Przedarłem się przez sterty książek, pudełek, gazet i ulotek. Dopadłem do matki i podskoczyłem. Schwyciłem nóż, który trzymała. Kiedy wylądowałem, ścisnąłem go tak mocno, że myślałem, że połamię palce.

– Bahman? – Kolory odpłynęły jej z twarzy.

Moje usta wypełnił metaliczny, blaszany smak. Pomyślałem, że chyba zwymiotuję. Jedyne, co mogłem zrobić, to otoczyć ramionami kolana mojej matki, która stała na drabinie. Wciąż trzymałem nóż.

Delikatnie pogłaskała mnie po głowie. Kiedy podniosłem wzrok, na jej szyi wyskakiwały bańki krwi.

Puściłem nóż, który z przeszywającym brzękiem wylądował na podłodze.

Ściągnąłem ją z drabiny. Była oszołomiona. Zalaną łzami twarz miała czerwoną i pokrytą plamami. Przyłożyła dłoń do rany na gardle, po czym wyciągnęła rękę i spojrzała na krew na swoich palcach.

– Spójrz, do czego mnie zmusiłeś – powiedziała. – To wszystko przez ciebie, Ali.

Pan Fakri kołysał się w tył i w przód, szepcząc modlitwę. Po czym swoim idealnie wyglansowanym butem kopnął nóż matki na bok. Podszedł do niej. Wyjął z kieszeni kwadratową chustkę. Pochylił się i uniósł chustkę, jakby chciał przycisnąć materiał do jej gardła.

Matka cofnęła się i wyszczała:

– Nie.

Małe krople krwi z jej rany rozbryzgnęły się dookoła w dziwnie symetrycznej linii.

– Najpierw ty, teraz ja, co? – Uśmiechnęła się do mnie smutno. Nie patrzyła na pana Fakri. – Ty zostałeś zraniony w szyję na demonstracji, a ja musiałam radzić sobie z kłamstwami i sprzeniewierzeniem tego zdrajcy. Szczęście, że oboje znamy dobrego lekarza. Myślisz, że ojciec Dżahangira da nam zniżkę rodzinną?

Zrobiło mi się niedobrze. Książki, które przewróciłem, biegnąc do niej, leżały porzucane na podłodze. Nóż znieruchomiał obok sterty politycznych gazet. Ona siliła się na żart dla mnie; widziałem, jak bardzo się bała mojego lęku. Dlaczego, na litość boską, taka była? Dlaczego nas torturowała, straszyla, groziła nam?

Wtedy zaczęła niepohamowanie szlochać, tak głęboko zanurzona w swoich emocjach, że dźwięki, które wydawała, brzmiały prawie miękko. Wiele razy widziałem, jak płakała głośno, rozpaczliwie. Ale nigdy nie widziałem, żeby szlochała w ten sposób.

– Jest za późno – stwierdziła. – Jest o wiele za późno. Już jest za późno dla mojego dziecka.

Myślałem, że mówi o mnie. Sądziłem, że ma na myśli moje przyszłe małżeństwo, którego nie akceptowała. Myślałem, że na swój własny pokręcony sposób chce powiedzieć, że jest już za późno, abym wiódł takie życie, jakie dla mnie zaplanowała.

– Przez ciebie zabiłam swoje dziecko. Sama. – Odwróciła się do pana Fakri. – Bo jesteś tchórzem.

Oddech uwiązał mi w tchawicy. Stałem tam, wmurowany w podłogę.

– Badri, błagam cię – powiedział pan Fakri. – Nie rób tego teraz.

– Kiedy je zabiłam, moje ciało obróciło się w ruinę. – Spojrzała na swój brzuch, jak gdyby rozmawiała z jakąś siłą, do której już wcześniej się odwoływała. – Moje ciało było tak popsute, że zabiło wszystkie inne. Wszystkie. – Podniosła na mnie wzrok. – Wiesz, ile dzieci pochowałam? Powinnam była wcześniej ci powiedzieć.

– Badri, przestań... – wyszeptał pan Fakri.

– Wychodzą z ciebie i myślisz, że są całe. Myślisz, że będziesz mógł je kochać, wychowywać, hołubić. A potem widzisz. Wychodzą z ciebie nie takie, jak powinny. Za szybko albo po prostu wychodzą... milczące, ciepłe i martwe.

Płonałem z niedowierzania. Nigdy nie miałem pojęcia, że moja matka traciła wcześniej dzieci. Ani ona, ani ojciec nic mi nie powiedzieli. Miałem siedemnaście lat i dopiero się dowiedziałem.

– Myślałeś, Ali, że możesz ze mną zrobić, cokolwiek zechcesz. Za meczetem. Na tamtym skwerze. Wszystko uchodziło ci na sucho. Miałeś pieniądze, przywileje. Ja nie miałam nic. – Szlochała w dłonie. – Byłam dzieckiem!

– Przepraszam – powiedział miękko. – Tak bardzo, bardzo przepraszam.

Drobinki kurzu fruwały w promieniach słońca, wpadających przez pojedyncze małe okno magazynku. Powietrze nie wypełniał zapach książek, perfum mojej matki ani mój własny, kwaśny, gdy stałem tam zlany potem. To było coś innego: coś, czego nie potrafiłem do końca zidentyfikować, co zawsze już będzie spowijało tamten dzień i wszystkie, które nadeszły po nim. Myślę, że to była woń rozpacz.

Pan Fakri do niej podszedł. Ona przytuliła się do niego. Moja matka szlochała w jego ramionach. Mówiła o utraconych i martwych dzieciach i wtedy z jej nieskładnej, ponurej opowieści dowiedziałem się, że nie byłem pierwszym dzieckiem urodzonym przez moją matkę. Nie byłem też jej drugim, trzecim ani czwartym. Byłem piątym dzieckiem, które urodziła, jedynym, które przeżyło. Tym – z czego teraz zdaję sobie sprawę – w którym pokładała nadzieje i marzenia, jakie miała wobec wszystkich innych. I z lodowatym dreszczem, na tym zapleczu, zrozumiałem, że ojcem pierwszego dziecka mojej matki – tego, które usunęła sama, zanim nadszedł czas narodzin, być może własnymi rękami – był nasz łagodny, spokojny sprzedawca artykułów papierniczych, pan Fakri.

Stałem pośród porzucanych książek, wśród słów artystów, którzy spędzili pełne szczęścia i komplikacji godziny na pisaniu, na cyzelowaniu swoich słów przez lata. Pan Fakri pochylił się nad moją matką niczym ranne zwierzę i sam też się zranił.

Chciałem wyjść i już nigdy nie wracać do tego sklepu, opuścić to miasto, uciec i gdzieś się ukryć.

Wybiegłem na zewnątrz. Na chodniku pochyliłem się i zwymiotowałem, ukrywając przed

przechodniami moje łyzy najlepiej, jak umiałem.

*

Gdy ojciec zobaczył ranę mojej matki, czym prędzej zawiózł nas do Dżahangira. Nie mogliśmy pójść do szpitala w Teheranie. To był wtedy taki wstyd, Roya-dżun. Jej choroba. Jej próba pozbawienia się życia. W ogóle sama myśl o samobójstwie.

Kiedy przywieźliśmy matkę do jego ojca, Dżahangir był w domu. Uściskał mnie i zapewnił, że nasza tajemnica nie wyjdzie na jaw. Ojciec Dżahangira obiecał nie wspominać ani słowem o tym, co próbowała zrobić.

Dzięki Bogu, nie zdążyła przebić skóry wystarczająco głęboko. W porę chwyciłem nóż. Wystarczyły jedynie bandaże i maść ichtiolowa.

– Jednak jeszcze jedna sekunda, jeden mały ruch... – Ojciec Dżahangira potrząsnął głową.

Mogła nosić szal na szyi i chodzić po mieście. Mogła zostać w domu, dopóki rana się nie zagoi. Ale wszyscy – moja matka, ojciec i ja – byliśmy w kompletnym szoku. Nie tylko z powodu tego, co prawie zrobiła, że wystarczyłaby „jeszcze jedna sekunda”, by skończyło się to zupełnie inaczej. Ja wciąż próbowałem zrozumieć, co wydarzyło się między moją matką a panem Fakri. I zastanawiałem się, czy mój ojciec, na swój własny cichy sposób, wiedział.

To był pomysł Dżahangira, żebyśmy pojechali do willi na północ. Tylko na kilka dni. Tylko dopóki się nie pozbieramy, dopóki matka nie wydobrzeje, dopóki nie wrócimy choćby do pozorów normalności. Obiecał mi, że będzie cię informował. Chyba nie do końca dotrzymał tej obietnicy. Oczywiście wiedziałem, że Dżahangir się we mnie kocha – proszę, Roya, nie mamy już czasu na pozory. Nie będę udawał, że nie wiedziałem. Chociaż wtedy nigdy byśmy tego nie przyznali. Nie ubralibyśmy tego w słowa. Siłą rzeczy.

Ale ja kochałem Ciebie. Tylko Ciebie chciałem. Oddałbym za Ciebie wszystko. I Dżahangir obiecał, że zadba, abyśmy pozostali w kontakcie. To on pośredniczył w dostarczaniu naszej korespondencji. Był moim przewodnikiem, powiernikiem, pośrednikiem. On miał dobre serce, Roya-dżun. Próbował nas chronić. Przede wszystkim przegnał, abym był szczęśliwy – naprawdę w to wierzę. Więc kto w końcu podmienił nasze listy, tak że znaleźliśmy się na różnych placach? Chciałbym powiedzieć, że moja matka. Bóg świadkiem, że nie chciała, abyśmy się pobrali. Tyle że, Roya-dżun, moja matka przez cały czas była ze mną w willi na północy. I chociaż cierpiała, nie sądzę, żeby ona to zrobiła. Zrobił to ktoś, komu oboje ufaliśmy, kto jednak sądził, że ma dług do spłacenia.

Przekonała pana Fakri, żeby to zrobił. Oczywiście dopiero teraz zdaję sobie z tego sprawę, dziesięciolecia później, kiedy usiłuję poskładać elementy tej układanki. Ponieważ on był jej coś winien. Był jej dłużnikiem, dlatego że ją porzucił i zostawił z nienarodzonym dzieckiem. Które ona, cóż... wtedy nie było w Iranie legalnych aborcji. Wzięła sprawę w swoje ręce.

Już następnego dnia chciałem Ci powiedzieć, gdzie jestem. Pomyślałem, że znajdę tam jakiś telefon, zadzwonię do Ciebie, dam Ci znać. Chciałem, żeby Dżahangir Ci powiedział.

Następnego ranka w willi poszedłem do pokoju matki. Nawet nie musiałem nic mówić. Tylko na mnie spojrziała i powiedziała:

– Zadzwonisz do tej dziewczyny, powiesz jej, gdzie jesteśmy, ujawnisz cokolwiek z tego, co się stało, i wiesz co, Bahman? – Na jej bladą twarz wypłynął uśmiech. – Zrobię to jeszcze raz. I tym razem zrobię to skutecznie. Obiecuję ci. – Wciągnęła powietrze i przytknęła dłoń do szyi. – Po prostu ją zostaw, Bahman. Dla mnie. Skontaktujesz się z nią, a ja zrobię to znowu.

*

Pamiętam, że między drewnianymi panelami w salonie willi była szpara, przez tę szczelinę wpadał wiatr i w nocy robiło się bardzo zimno. Chociaż było lato, wiesz, jakie bywają noce na północy. Mój ojciec wcisnął w szparę *szamad* ścierkę, żeby ją zatkać. Niewiele to pomogło. Siedziałem tam noc po nocy i pozwalałem, by wiatr smagał mi plecy. Specjalnie siadałem tuż przy szparze, żeby wiatr chłostał mnie po kręgosłupie.

Gotowałem. W końcu matka zaczęła jadać z nami posiłki. Żyła w świecie iluzji. Nieustannie

mówiła o moim małżeństwie z Szahlą. Żeby zmienić temat, ojciec opowiadał o problemach premiera Mosadeka. Tęskniłem za Tobą, tak bardzo chciałem Cię zobaczyć. Ale wstydziłem się powiedzieć Ci, że uciekliśmy z miasta, ponieważ moja matka próbowała się zabić.

Tamten dom nasiąkał nieszczęściem i nie można było tego powstrzymać, tak samo jak wiatru wiejącego przez szparę między drewnianymi panelami, bez względu na to, jak bardzo mój ojciec starał się zapchać dziurę. Twoje listy dawały mi siłę. Nie chciałem opowiadać Ci o wszystkim, co się stało. Czułem wstyd i byłem zagubiony. Chciałem, żeby moja matka była normalna, żeby była jak inne matki. Chciałem, żeby się o mnie troszczyła i mnie wspierała, pragnąłem, żeby była na naszym ślubie i pozwoliła nam żyć własnym życiem. Pragnąłem tego najbardziej na świecie. Jednak ona nie była jak inne matki. Była sobą. Miewała napady wściekłości, chorowała na depresję, była agresywna, okrutna, nie chciała zostawić mnie w spokoju. Chciała sprawować kontrolę nad moim życiem, mówiła mi, że tak bardzo mnie kocha i pragnie dla mnie tego, co najlepsze. Że ona była zbyt biedna i zbyt wiele poświęciła, bym to zmarnował.

Czy mój ojciec nie był dla niej niczym więcej niż tylko sposobem na uzyskanie statusu? Czy ona kiedykolwiek w ogóle naprawdę go kochała?

W tamte listy do Ciebie wkładałem całe serce. Czy wciąż je masz, Roya-dzun? Czy zatrzymałaś te listy? Podejrzewam, że nie.

Mój ojciec i ja nie powinniśmy byli próbować radzić sobie z tym sami. Teraz to wiem. Jednak wtedy byłem zbyt młody, by to zrozumieć. Cały czas się o Ciebie martwiłem. Wciąż odpychałem Szahlę. Im bardziej matka mi ją wciskała, tym większy stawiałem opór. I bez względu na to, w co wierzyła moja matka, nie robiłem jej tego na złość. Nie odrzucałem Szahli w ramach buntu. Jedyne, co widziałem, to Ciebie, jak stoisz w sklepie, z włosami splecionymi w warkocze i szkolną torbą na ramieniu. Słyszałem tylko Twój głos. W Twojej obecności odnajdowałem spokój.

Byłem zdeterminowany, by się z Tobą ożenić, bez względu na groźby, bez względu na chorobę, na to całe piekło. Dlatego napisałem ten ostatni list. Ona nie mogła nas powstrzymać. Nie mogła zniszczyć naszego szczęścia, strasząc samobójstwem! Miałem dość i postanowiłem uciec. Ona groźbami zrobiła z nas zakładników i nie chciałem, żeby miała nade mną taką władzę.

Wiedziała, że czekałem na Ciebie na tym placu. Wiedziała, że umierałem z niepokoju o Ciebie. A kiedy przeczytałem Twój ostatni list i zły, zdezorientowany, powiedziałem jej, że nie chcesz mnie więcej widzieć (jak mogłem jej powiedzieć, że napisałaś w liście, iż to jej nie możesz znieść?), roześmiała się. Rzuciła: „I dobrze, przecież ci mówiłam, mówiłam ci, że ta dziewczyna to nic dobrego” – i obiecała, że zagłodzi się na śmierć, jeśli spróbuję się z Tobą pogodzić, jeżeli spróbuję Cię odzyskać.

Miałem być „chłopcem, który zmieni świat”. Jednak życie potrafi miazdżyć marzenia, plany, ideały. Koniec końców, prawie wcale nie przysłużyłem się krajowi. Oczywiście, byłem aktywistą, rozprowadzałem materiały polityczne Frontu Narodowego. W pięćdziesiątym trzecim roku aktywnie działałem. Ale jakże rozczarowany stałem się polityką i całą resztą po zamachu. I nie potrafiłem cieszyć się razem z innymi w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym, kiedy odszedł szach. Za bardzo się martwiłem, że będzie jeszcze gorzej. Ostatecznie Dżahangir dokonał więcej niż ja. Pojechał na front! Poszedł w ślady ojca i został lekarzem. Podczas wojny leczył żołnierzy i opiekował się rannymi w Ahwaz. Zginął w czasie nalotu bombowego. Więc nie, podczas tych tygodni rozłąki nie siedziałem w więzieniu. Nie ukrywałem się z powodów politycznych. Po prostu usiłowałem utrzymać przy życiu moją matkę i wymyślić, jak rozwiązać problem jej szantaży, wysokiego prawdopodobieństwa, że zrobi to jeszcze raz, naszych niedających się pogodzić planów.

Pamiętasz, jak bardzo się martwiłaś, że zawistne oko rzuci na nas urok? Drwiłem wtedy, że to tylko przesady. Jednak patrzę na życie, które przeżyłem bez Ciebie, i kto wie? Może jednak coś jest w obsesji naszej kultury na punkcie złych uroków. Zobacz, co w końcu stało się z moją matką.

Nawet po tym, jak dostałem Twój ostatni list, w którym żądałaś, abym więcej się z Tobą nie spotykał, więcej się z Tobą nie kontaktował, nigdy nie przestałem Cię kochać. I nie chcę myśleć o innej możliwości – czy naprawdę tak napisałaś? Ponieważ teraz już naprawdę nie wiem.

I moja najdroższa Royu, kiedy spotkaliśmy się tu, w domu seniora, w zeszłym tygodniu, widziałem w Twoich oczach troskę, że może straciłem rozum albo pamięć. Jednak proszę, wiedz jedno.

Może są pewne rzeczy, których nie pamiętam: co jadłem na lunch dwa dni temu lub kiedy trzeba wziąć którą piekielną pigułkę. W tym potrzebuję pomocy Claire. Jednak mój umysł jest ostry jak brzytwa, jeśli chodzi o wspomnienia wszystkiego, co wydarzyło się tamtego lata. Jeśli chodzi o to, co mam w sercu.

Prawda jest taka, Roya-dżun, że nigdy nie byłem tak szczęśliwy jak wtedy, gdy byłem z Tobą. Tak wiele cudownych chwil z moimi dziećmi i tak, z Szahlą, ale nigdy nie byłem tak szczęśliwy jak przy Tobie. Bywały lata, w których byłaś moją pierwszą myślą po przebudzeniu. Właściwie wszystko przypominało mi o Tobie. Oczywiście wiedziałem, że należysz do kogoś innego, tak jak ja. Ale Roya, Ty zawsze byłaś częścią mnie. Pewnych rzeczy nie można zmienić.

A teraz czuję, że muszę przestać.

Gdy myślę o purpurowym niebie w wieczór naszych zaręczyn i naszych wspólnych chwilach, przypominam sobie, ile piękna jest na tym świecie. Jednak po tym, co stało się z naszym krajem, i kiedy rozglądam się po tym nowoczesnym świecie, nie mogę oprzeć się myśli, ile jest na nim brzydoty, okrucieństwa. Próbowałem myśleć pozytywnie, co tak bardzo polecają Amerykanie, starałem się nie być jednym z tych zrzedliwych staruszków! Tutaj, w domu opieki, dba o mnie Claire. Nazywa mnie „panem Batmanem”. Nie nudzą jej moje opowieści. Zwierzyłem się jej. Nawet opowiedziałem jej o naszej nastoletniej miłości. Chwile piękna i bliskości dają mi siłę. Widzę moje dzieci i wnuki i czuję się szczęśliwy. Cała reszta – polityka, choroba psychiczna, w której utonęła moja matka, okrutne zakręty i zwroty – cóż, czasami życie miewa cuchnącą stronę. Myślę tak wtedy, gdy najbardziej brak mi nadziei.

Kochałem Cię. Kochałem Cię wtedy, kocham Cię teraz i zawsze będę Cię kochał.

Jesteś moją miłością.

Bahman.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

2013

POŚCIEL PACHNĄCA PASTĄ DO ZĘBÓW

Roya znalazła telefon i wyszukała numer do domu seniora. Pani Aslan i pan Fakri. Pierwsze dziecko, które nigdy się nie urodziło. A potem ciało pani Aslan zbuntowało się przeciw niej i zabiło wszystkie inne. Poza jednym.

Miała przed oczami panią Aslan, z różem na policzkach, tamtego wieczoru na przyjęciu zaręczynowym. Wiedziała, jak strata jednego dziecka może obrócić wszystko w pył. Stracić czworo? „Och sestro, nie pamiętasz, wtedy były inne czasy. Ludzie ciągle tracili dzieci”.

Na litość boską, wystarczająco długo czekała. Nic jej nie obchodził śnieg, do diabła z nim. Musiała tam znowu pojechać i spotkać się z nim twarzą w twarz.

– Obawiam się, że nie ma pani dużo czasu – powiedziała Claire przez telefon.

– Przepraszam?

– Bardzo mu się pogorszyło, pani Archer. Jego córka i syn są przy nim od dwóch dni.

– Ale widziałam go niecałe dwa tygodnie temu. Dostałam jego list...

– Pisał go tak, jakby od tego zależało jego życie. Poprosił mnie, bym go wysłała. Proszę posłuchać, czasami to tylko fałszywy alarm. Czasem bywa gorzej, parkinson się panoszy, a potem znów wszystko jest w porządku. Trzymamy się nadziei.

– Och.

– Ale jeśli chciałaby się pani z nim zobaczyć... cóż, na pani miejscu przyjechałabym tak szybko, jak to możliwe.

*

Kiedy dotarła do domu opieki, lód praktycznie nie stopniał. Śnieg nadal pokrywał każdy kąt parkingu, tyle że teraz był szary i matowy, a w każdą szparę wcisnął się brud.

Wchodząc do środka, Roya spodziewała się, że Claire zaprowadzi ją do jadalni. Hol wypełniał ten sam swąd gulaszu wołowego. (Czy oni tutaj w ogóle jadali na lunch cokolwiek innego?). Chciała, żeby Claire poprowadziła ją korytarzem do jadalni, w której zobaczy Bahmana na wózku inwalidzkim przy oknie. Pewnie postawili plastikowe krzesło dla niej w tym samym miejscu. Mogliby znów wyglądać na parking, na śnieg, chociaż już szary i brudny. Wyjęłaby z torebki list i oczy Bahmana wypełniłaby ta sama cholerna nadzieja, a ona rozmawiałaby z nim o historii, której dotychczas nie znała.

Ale Claire poprowadziła ją zupełnie innym korytarzem. Był w kolorze każdego szpitalnego korytarza, jaki kiedykolwiek widziała, w kolorze tego, w którym po raz ostatni tuliła Marigold. Stawianie jednej stopy przed drugą wymagało ogromnego wysiłku. Gdy dotarły do pokoju, do którego weszła Claire, Roya była złana potem. Powinna była zdjąć swoją długą kurtkę.

W pokoju panował mrok, rolety były opuszczone. Gdy jej oczy się przyzwyczaiły, dostrzegła łóżko, stojące obok niego krzesło, nocny stolik z wazonem, stół w kącie przy umywalce. A w łóżku leżał Bahman, jego oddech przypominał pracę zepsutej maszyny.

– Pomogę pani zdjąć kurtkę. – Claire pociągnęła za jeden rękaw, potem za drugi i razem zdjęły puchową kurtkę Royi.

Roya podeszła do krzesła stojącego przy łóżku i usiadła. Była tak blisko Bahmana, że widziała zmarszczki wokół jego ust. Miał zamknięte oczy. Z jego nosa nie wystawały żadne plastikowe rurki. Nie był podpięty do litrów płynów, był tam w pełni, jej Bahman. Na pewno wydobrzeje.

– Będę w holu, gdyby pani czegokolwiek potrzebowała. Proszę tylko przycisnąć guzik przy łóżku i natychmiast się zjawię. Ale pani Archer...

– Tak?

– Proszę się nie spieszyć.

– Och – powiedziała. Ale tak naprawdę chciała powiedzieć: „Dlaczego on jest w tym łóżku, a nie na wózku?”. I: „Proszę, nie wychodź”.

Gdy ucichł stukot obcasów Claire, Roya znów została z nim sama. Jego pierś unosiła się i opadała pod białym prześcieradłem i kocem barwy buraków. Miała ochotę podnieść żaluzje, wpuścić do pokoju światło.

– Czekałem – powiedział. Otworzył oczy. – Jak podróż? Jak się miewasz? – Głos miał cichy, ochryply.

– Wszystko dobrze. Co się stało, Bahman? Co ci się stało?

– Nic mi nie jest. Jeszcze się trzymam, jak mówią Amerykanie. Córka odwiedziła mnie dziś rano. Wieczorem wróci.

Roya powinna była przyjechać wcześniej. Pomyślała o tym, jak pisał do niej ten list. Tyle wyznań. Nagle to wszystko straciło znaczenie. Ktoś podmienił ich listy, kiedy byli młodzi. Czy zrobił to pan Fakri ze względu na panią Aslan, jak podejrzewał Bahman, czy może Szahla lub Dżahangir? Być może Roya nigdy się tego nie dowie. Chciała tylko, żeby wiedział, że ona również miewała dni, w których on był pierwszą osobą, o jakiej myślała po przebudzeniu, dni, w których nie pragnęła niczego bardziej, niż być z nim. Kiedy byli młodzi, coś się wydarzyło, coś niewytłumaczalnego i nieodwracalnego. Byli związani, połączeni ze sobą więzami, których nie dało się zerwać. Kochała go i jej miłość do niego nigdy do końca nie wygasła. Próbowwała ją zepchnąć, ukryć, kazać jej zniknąć. Ale ona zawsze tam była. Unosiła się w gałęziach drzew rosnących przed jej stacją w Kalifornii, leżała między warstwami chmur w Nowej Anglii, kryła się w czerwonej wydętej piersi ptaka, który śpiewał w zimie. Była wszędzie. Nadal.

– Bahman?

Jego oddech zwolnił. Przyjrzała się lekkiemu zarostowi na jego twarzy, zmarszczkom na czole.

– Tęskniłem za tobą. Każdego jednego dnia.

– Ja też za tobą tęskniłam. – Gdy to powiedziała, po jej policzkach spłynęły łzy. Przysunęła krzesło tak blisko do łóżka, jak to było możliwe, i wzięła go za rękę. Była sucha i wydawała się mniejsza niż dwa tygodnie temu. Z wazonu z kwiatami, stojącego na nocnym stoliku, dobiegł ją zapach brudnej ziemi, kałuży, czegoś zapomnianego.

Wstała. Przez chwilę balansowała na lewej nodze, po czym, wykorzystując wszystkie siły, podciągnęła się na łóżko. Otworzył szeroko oczy, gdy się obok niego położyła. Przerzuciła rękę w poprzek jego ciała. Idealnie do siebie pasowali. Jak naturalne to się wydawało tak leżeć koło niego. Ułożyła głowę na jego ramieniu.

– Roya-dżun.

Pościel pachniała pastą do zębów. A on pachniał wiatrem, wodą i solą, wszystkimi wspólnymi chwilami, gdy byli młodzi.

W równoległym świetle chłopiec, który pierwszy pokazał jej, co to znaczy się zakochać, który obiecał, że na nią poczeka, zawsze należał do niej. Leżała w łóżku w domu starców i stała przyciśnięta do półek z książkami, gdy kradł jej pocałunki. Przez cały czas przebywała w obu miejscach. On zawsze tam będzie.

Tuliła go pod pachnącym pastą do zębów prześcieradłem, w cukierniach dawno odmienionego miasta i kiedy przechodzili przez hol kina Metropol z jego okrągłymi czerwonymi kanapami, by całować się pod niebem. Zanim się zorientowała, byli w salonie Dżahangira, znajomy granatowo-biały wzór z figur geometrycznych na perskim dywanie, i ćwiczyli taneczne kroki. „Spójrz na mnie”. Bahman delikatnie uniósł jej podbródek. Splótł palce z jej palcami. Gramofon był wyposażony w ogromną mosiężną tubę, płynące z niej dźwięki tanga wypełniały pokój. Bahman nie mógł wiedzieć, co robić, skąd miałby wiedzieć, ale przejął prowadzenie. Na początku poruszali się niezdarnie, nie mogli zsynchronizować kroków. Pary tańczyły wokół nich, po plecach Royi ściekał pot. On trzymał rękę u dołu

jej pleców, złapali rytm i stali się jednością. Miała wrażenie, że ją niesie, gdy tak poruszali się razem w tym nagrzanym salonie. Muzyka wsiąkała w fałdy zielonej sukienki Royi, lądowała w jej włosach. Była pijana od jego zapachu. Razem się kołysali, ciało przytulone do ciała. On uniósł jej twarz ku swojej i pocałował ją. Myślała, że poczuje się tak, jakby frunęła, ale nie, miała wrażenie, że ląduje. W miękkim i słodkim miejscu.

W łóżku, pod prześcieradłem pachnącym pastą do zębów, Roya głaskała jego pierś, szukała jego ramion, mięśni, które tak dobrze znała. Całowała jego oczy, kości policzkowe, usta. Przycisnęła policzek do jego serca i leżała tak, wdzięczna za czas, który z nim spędziła, bez względu na to, jak krótki lub długi był, wdzięczna, że go znała, wdzięczna, że kiedyś, gdy była młoda, doświadczyła miłości tak silnej, że wszystko przetrwała, że ani dziesięciolecia, ani odległość, ani kilometry, dzieci, kłamstwa, listy – nie mogły sprawić, by zniknęła. Trzymała go w ramionach i powiedziała mu wszystko, co pragnęła powiedzieć.

Przez ten ułamek czasu on należał tylko i wyłącznie do niej.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

2013

OKRĄGŁA NIEBIESKA PUSZKA

Wszystko w porządku. Kilkoro jego znajomych z domu seniora też przyjdzie.

– Och, nie mogę, to będzie dziwnie wyglądało.

– Zostanie pani po prostu uznana za jedną z rezydentek. Jeszcze jedną koleżankę.

– Tak, no cóż, nawet jeśli. Walter wybiera się na zebranie mieszkańców. A ja nie lubię jeździć po takim lodzie.

– Pani Archer, mogę po panią przyjechać, a potem odwiedzić panią do domu. Myślę, że on by chciał, aby pani tam była. Umowa stoi?

Ci Amerykanie, ze swoimi umowami i dobrymi planami. Jednak w tej młodej kobiecie, Claire, była jakaś szczerza dobroć. Upierała się, że nikt nie dostrzeże nic niestosownego w obecności Royi na pogrzebie.

I Roya poszła.

Przez całe dziesięciolecia nie zamknęła spraw z Bahmanem, nie pożegnała się, nic nie zostało wyjaśnione. Jednak ostatni dzień, który spędziła z nim sam na sam – zawsze będzie wdzięczna za ten czas. Chciała pójść na jego pogrzeb. Chciała być tam dla niego.

Ceremonia odbywała się w kościele uniwersalistycznym w Duxton. Bahman chciał, by go skremowano. Nigdy nie był religijny, nie praktykował. Biała skąpana w słońcu wieża kościoła uniwersalistycznego z jakiegoś powodu bardzo do niego pasowała.

Roya z pomocą Claire weszła po schodach do kościoła. Poczowała się dziwnie, ale jednocześnie podniesiona na duchu na widok Omida i kobiety bardzo do niego podobnej. Omid przedstawił ją swojej siostrze bliźniaczce, Sanaz. A więc siostra Omida również miała uśmiech Bahmana. Roya musiała zebrać wszystkie siły, by zachować spokój, gdy szła do dzieci Bahmana złożyć im kondolencje. Omid przedstawił siostrze Royę jako „dawną przyjaciółkę taty” i uściśnął jej dłoń.

Podczas mszy siedziała w ławce obok Claire. Duchowna weszła na podium, podziękowała wszystkim za przybycie i powiedziała, że chciałaby zacząć od krótkiego cytatu z ulubionego wiersza pana Aslana. Krew napłynęła Royi do twarzy i dudniła w uszach, gdy słuchała strof Rumiego, które po raz pierwszy czytali razem z Bahmanem w sklepie papierniczym. Między stronami tomiku zawierającego ten wiersz ukrywali swoje listy.

Spójrz na miłość
Jak się plecie
Gdy jedno się zakocha

Spójrz na duszę
Jak wtapia się w ziemię
dając jej nowe życie.

Jego dzieci wstały i wygłosiły mowy. Opowiadały, jak bardzo lubiany był ich ojciec, w swojej

społeczności, przez klientów sklepu. W ich mowach Roya dostrzegła obrazki z życia Bahmana.

– Mama i tata uwielbiali obchodzić Nouruz – powiedziała siostra Omida, Sanaz. – Nasz dom zawsze wypełniał zapach perskiego ryżu, a tata dbał, byśmy zastawiali stół tradycyjnymi przedmiotami *Haft Seen*, symbolizującymi wiosnę.

– Tata dbał, byśmy zawsze ciężko pracowali – poinformował zebranych Omid. Nie mógł się nachwalić swojego oddanego ojca. – On zawsze chciał zmienić świat.

Roya słuchała tych dwojga kompetentnych, elokwentnych dorosłych ludzi. Zrozumiała, że Bahman jednak zmienił świat. One tu były, stojąc na podium, mówiły prosto z serca. Jego dzieci.

Czasami myślała, że to, co łączyło ją z Bahmanem, mogłoby zająć cały wszechświat. Tak silne się wydawało. Jednak tak naprawdę stanowiło tylko ułamek, maleńki fragment jego życia. Jego dzieci i ich urodziny, ich studia, ich chłopaki i dziewczyny, małżonkowie i dzieci. To było jego życie. Jego żona. Ona była jego życiem.

*

Kiedy msza się skończyła, wszyscy przeszli do przykościelnej sali. Claire cicho szlochała. Roya chciała ją pocieszyć, ale nie była pewna, co powinna zrobić. Kiedy goście się rozproszyli, dostrzegła stół z przekąskami.

– Przyniosę ci coś do jedzenia – zaproponowała Claire, poklepując ją po ramieniu.

Przy stole z przekąskami Sanaz układała ciastka na półmisku.

– Te zawsze były taty ulubione – powiedziała. Wyciągnęła półmisek w stronę Royi. – Nazywał je „uszy słonia”.

Roya chciała powiedzieć: „Wiem”. Chłopiec, który przynosił jej ciastka w kawiarni Ganadi, był tuż obok niej i zawsze będzie, czuła zapach cynamonu i cukru w tamtej zatłoczonej kawiarni.

– Dziękuję. – Położyła dwa słoniowe uszy na małym papierowym talerzu i wróciła do Claire.

– Co pani tam ma, pani Archer?

– Spróbuj. Zasmakują ci.

Claire wgrzyła się w ciastko w kształcie ucha słonia, a Roya opadła na krzesło, zdumiona, jak szybko płynie czas.

*

Młodsze dzieci objadły się cukrem i zaczęły biegać wokół sali. Nastrój stał się lżejszy, ludzie jedli, rozmawiali i śmiali się. Roya dobrze się czuła wśród tych nieznanym, powiązanych z Bahmanem. Nie знаła nikogo poza Claire i Omidem, ale było jasne, że wszyscy lubili Bahmana za jego energię, za dobroć. Obok niej przelatywały urywki rozmów:

– A pamiętasz, jak bardzo lubił...

– Rany, ależ doprowadzał nas do szału tą piosenką, którą ciągle gwizdał...

Tak długo, jak Roya była w tym pomieszczeniu, mogła dowiedzieć się o nim więcej, przebywać z ludźmi, którzy też go kochali. Kiedy już wyjdzie, wróci do życia, w którym nikt go nie znał. Chciało jej się płakać. Żeby odzyskać równowagę, próbowała zgadnąć, które dzieci są wnukami Bahmana. Jedna nastolatka opierała się o ścianę, żując gumę. Wyglądała jak skóra zdarta z pani Aslan.

*

Po skończonym spotkaniu Omid i Sanaz ze swoimi partnerami stali przy wyjściu, ściskali wszystkim dłonie i dziękowali za przybycie. Dziwne, ale Roya miała ochotę zostać blisko nich tak długo, jak to było możliwe. Stanowili jedyne ogniwo, łączące ją z chłopcem, którego kochała. I już nigdy więcej żadnego z nich nie zobaczy.

– Gotowa? – Claire miała czerwone oczy. – Zawiozę panią do domu.

*

Gdy Claire wjechała na podjazd domu w stylu kolonialnym z ciemnymi okiennicami, Roya odpięła pas, ale nie wysiadła.

– Czy chciałabyś wejść?

Zaproponowała to, ponieważ wymagała tego uprzejmość, ale też dlatego, że Claire wiedziała więcej o Royi i Bahmanie niż ktokolwiek inny. To ona była powiernicą Bahmana w domu opieki. Opowiedział jej ich historię. Roya czuła niewytłumaczalną potrzebę przebywania z Claire. Jego dzieci nie stanowiły jedyne ogniwa. Opiekunka też nim była.

– Och... – Claire wyglądała na zaskoczoną. – Jeśli jest pani pewna, że nie sprawię kłopotu...

– To żaden kłopot – zapewniła ją Roya.

– No dobrze. Dziękuję. Mam dla pani coś, co miałam pani dać w samochodzie. W takim razie dam to pani w środku.

– Co to jest?

– On chciał, żeby to trafiło do pani. Nic więcej nie wiem.

Roya wstawiła wodę i wskazała gościowi miejsce przy kuchennym stole. Walter szybko nie wróci z zebrania mieszkańców. Te spotkania zawsze się przeciągały i trwały godzinami, gdy ludzie się kłócili.

Claire usiadła, poszperała w płóciennej torbie i wyjęła okrągłą niebieską puszkę z obrazkami duńskich ciastek maślanych.

Przez lata Roya i Walter zjedli wiele takich ciastek. Roya miała w szafie dokładnie taką samą puszkę. Trzymała w niej przybory do szycia: szpulki nici, szpilki, igły, napatki i zapasowe guziki.

– Bardzo nalegał, żeby to trafiło do pani. Dzieci zabrały całą resztę jego rzeczy. Ale upierał się, żeby do tej puszkę nie zaglądał nikt oprócz pani.

Roya czuła się odrobinę słabo. Claire popchnęła delikatnie puszkę w jej stronę, a ona drżącymi rękami uchyliła wieczko.

Papier. Sterta kartek z papeterii. Wyjęła jedną i rozłożyła. Pismo wydawało jej się zdumiewająco znajome, ale nie potrafiła go umiejscowić. Nagle jej serce stanęło.

To było jej własne pismo. Upuściła kartkę i przejrzała zawartość puszkę. Leżały w niej listy, które pisała do Bahmana latem tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego trzeciego roku. Leżało tam jej serce. Szybko odłożyła pierwszy list, jak gdyby mógł oparzyć ją w palce, gdyby zbyt długo go trzymała. Po czym starannie zamknęła pokrywkę i schowała puszkę do szuflady stołu kuchennego.

Claire nie odezwała się ani słowem.

– No dobrze – powiedziała Roya. – Na jaką herbatę masz ochotę?

*

Na początku rozmawiały tylko o Bahmanie. Claire opowiadała historie z domu seniora, a Roya odważyła się podzielić kilkoma wspomnieniami z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego trzeciego. Potem Roya zapytała Claire o jej rodzinę. Jej matka zmarła na raka, a ojciec zginął w wypadku samochodowym, kiedy miała dwa lata. Smutna mina Claire poruszyła Royę. Ta młoda kobieta była wyjątkowo samotna.

– Naprawdę powinnam już iść – powiedziała Claire, gdy skończyła perską herbatę i bakławę.

– Proszę, może zechciałabyś zostać na kolacji?

Roya ledwo знаła tę młodą kobietę. Co je łączyło poza słabością do mężczyzny, którego Claire nazywała Batmanem? Jednak Walter jeszcze nie wrócił do domu, robiło się ciemno i Roya się martwiła, że jeśli Claire wyjdzie, zostanie ze swoją żalobą sama. Ta dziewczyna wyglądała, jakby nie powinna była być sama.

– Czy próbowałaś kiedykolwiek perskiej kuchni?

– W Watertown jest knajpka, w której sprzedają kebab – wymamrotała Claire.

– Och, zapomnij o kebabach. Czy kiedykolwiek jadłaś *choresh*, jeden z naszych gulaszy? Próbowałaś ryżu po persku?

– Na pewno coś słyszałam, pan Batman ciągle o nich mówił. Jego ulubionym daniem było coś o nazwie *alibalu*...

– *Albalu!* Ryż z wiśniami na kwaśno?

– Tak! I zawsze mówił o jakimś *sabzi*?

– *Korme sabzi!* Posłuchaj, miałam zamiar smażyć dzisiaj mrożone paluszki rybne. Walter

uwielbia paluszki rybne z keczupem i majonezem. Jest na zebraniu mieszkańców. Dyskutują o jakichś pilotach. Wiesz, to dobrze, że on nadal się angażuje. Nie możesz przestać się angażować. Ale jeśli chcesz? Możemy go zaskoczyć smaczną kolacją. Jeśli zostaniesz.

Tamtego wieczoru na pierwszą lekcję gotowania w domu pani Kishpaugh Walter przyszedł z idealnie uczesаныmi włosami pod kapeluszem, a ona przygotowała dla niego *choresz-e bademdżan* z kurczakiem. Zwykle nie używało się do tego dania kurczaka, ale wołowiny, jednak ona sobie poradziła, danie wyszło pyszne. A teraz, cóż, ta młoda dama wyglądała, jakby przydał jej się dobry domowy posiłek. Dlaczego nie? Po wszystkim, co Claire zrobiła dla Bahmana, Roya mogła przynajmniej ugościć ją smaczną kolacją. Mój Boże, minęły wieki, odkąd pokazywała komuś, jak gotować perskie dania. Patricia i Alice nigdy nie były tym zainteresowane. Ale ta młoda dama, która siedziała w jej kuchni, której zmarli rodzice, która poświęcała czas na rozmowy z Bahmanem, która słuchała go, opiekowała się nim i wykraczała daleko poza zakres swoich obowiązków, zasługiwała na dobrą kolację.

– Jeśli mi pomożesz – powtórzyła Roya. – Możemy spróbować.

Claire wzruszyła ramionami.

– Proszę mi powiedzieć, od czego mam zacząć.

Razem krzątały się po kuchni. Roya pokazała Claire, gdzie co się znajduje. Umyły i namoczyły ryż basmati, a potem Roya poprosiła Claire, by włączyła perski garnek do ryżu, który Walter zamówił na Amazonie. Już nie musiały wtykać ścierki pod pokrywkę, żeby schwytać parę, jak robiła to Maman, by uzyskać idealny chrupiący *tadig*. Garnek do ryżu robił to sam!

Roya wyjęła torebkę suszonych perskich limonek, łuskany groch i kurczaka z lodówki. Tamtego pierwszego wieczoru na stacji u pani Kishpaugh przygotowała dla Waltera *choresz-e bademdżan* z kurczakiem, ale teraz nie miała bakłażanów, więc robi *choresz-e kejme* i użyje łuskanego grochu. Kroiły, siekały i podsmażały, dodały szafran, kurkumę i mieszanekę perskich przypraw. Claire się rozluźniła i opowiadała historyjkę za historyjką o panu Batmanie. Jak agitował, żeby w domu seniora odbywały się lekcje tanga, i sam brał w nich udział, chociaż jeździł na wózku. Jak czytał każdy artykuł, który wpadł mu w ręce, na temat depresji, lęków i skutków straty.

– Bardzo chciał dowiedzieć się więcej na temat stanu swojej matki. Powiedział mi, że gdyby tylko urodziła się w innym miejscu i czasie, może zostałaby zdiagnozowana i leczona. – Przerwała na chwilę. – Czułam z nim największą więź ze wszystkich rezydentów. Chciał opowiadać swoje historie. A ja je uwielbiałam. Podziwiałam jego dobroć.

Koniec końców, jego serce po prostu nie wytrzymało. Kiedy Roya wychodziła, spał, oddychał. Zmarł wieczorem, gdy przyszła jego córka. Roya zawsze będzie wdzięczna za tę ostatnią godzinę z nim w łóżku, za czas, który oboje mieli tylko dla siebie. Zawsze będzie wdzięczna Claire, że jej to dała. I Walterowi. Że nie stanął jej na drodze.

– Halo? – Głos Waltera dobiegł z przedpokoju.

– Tutaj jesteśmy! – zawołała śpiewnie Roya. Z jakiegoś powodu nie czuła się tak radosna, odkąd dowiedziała się o śmierci Bahmana. Właściwie nie czuła się tak radosna od bardzo dawna. Po prostu miło było przebywać z Claire. A może to zapach szafranu z *choresz* poprawił jej nastrój. Zari zawsze mówiła, że szafran jest naturalnym antydepresantem. „Och, i afrodyzjakiem, siostró! Rozpuść pół łyżeczki szafranu w kubku gorącej wody i wypij, i pamiętaj, żeby dosypać dodatkową porcję do jedzenia Waltera”.

Walter wszedł do kuchni.

– No proszę, co my tu mamy? – Spojrzał na Royę, potem na Claire i znów na Royę. – Roya, jak tu cudownie pachnie! Zastanawiałem się, czy samochód stoi przed domem! Witaj, Claire.

– Dzień dobry, panie Archer.

– Myślałem, że wracam do domu na paluszki rybne, które zapewniam was, są bardzo smaczne, ale... czy ja czuję zapach pysznego *choresz*?

– Miałam wspańiałą asystentkę. Chciałam zrobić ci niespodziankę.

– To zabawne, ponieważ ja też mam dla ciebie niespodziankę! Spójrz, kogo spotkałem na podjeździe.

Kyle miał twarz zarumienioną z zimna i oczywiście był w skarpetach, ponieważ Roya nauczyła

go, żeby nigdy nie chodził w butach po domu. Nie miała śmiałości prosić Claire o zdjęcie obuwia – naleganie na to przy pierwszej wizycie byłoby nieco dziwne. Kyle musiał mieć dużo pracy przez kilka ostatnich dni, ponieważ jego policzki pokrywał lekki zarost, ale zawsze było mu z tym do twarzy. Och, ten jej synek, jaki był przystojny.

– Kyle! – Roya podbiegła, by uściskać syna.

– Jak się masz, mamó?

– Och, Kyle, to jest Claire. Claire jest... – Zamierzała powiedzieć „kierowniczką w domu seniora”, jednak się powstrzymała. – Jest moją znajomą.

– Miło mi cię poznać. – Kyle podszedł do Claire i uściskał jej dłoń, a Claire oblała się rumieńcem.

Walter rozłożył talerze i sztuce, Kyle przygotował napoje i usiedli we czworo w kuchni, by zjeść wspólnie *choresz*. Powietrze było przesiąknięte zapachem ryżu i gulaszu, Roya pod każdym względem czuła się u siebie. Nie poddali się, nie przeprowadzili się do domu z asystą, chociaż Zari męczyła ją o to przy każdej okazji. Roya chciała mieć swoją kuchnię, własne garnki, książki kucharskie, swój fotel, wygodę dużej sypialni, piękno ogrodu. Chciała przebywać we własnym domu tak długo, jak tylko mogła. Czy ona i Walter skończą w takim miejscu jak dom seniora? Nie chciała o tym myśleć.

Choresz miał idealną równowagę cierpkości i słodczy, ryż był wonny i pokrzepiający, wszystkie smaki idealnie się ze sobą mieszały. Dziś wieczorem z radością dzieliła się tym posiłkiem z Walterem, Kylem i tą uroczą młodą kobietą, która teraz z uśmiechem chrupała *tadig*.

Kyle pożerał swoją porcję.

– Mamó, nie mogłoby być lepsze. Dziękuję.

*

Podczas gdy Walter pomagał Claire nałożyć płaszcz, Kyle włożył buty i powiedział:

– Uważaj na schodach. Bywają śliskie!

– O mój Boże, żadne z was nie ma rękawiczek. Ręce wam zamarzną – zmartwiła się Roya.

Roya i Walter stali obok siebie w drzwiach i patrzyli, jak Claire i Kyle wsiadają do swoich samochodów i odjeżdżają.

– Jak się trzymasz? – zapytał Walter, kiedy zamknął drzwi i znów zostali tylko we dwoje.

– Zaskakująco dobrze.

– A msza?

– Jego dzieci są niesamowite.

– No dobrze. Dokończę w kuchni. A ty idź na górę. Dobry plan?

*

W swojej sypialni Roya usiadła w fotelu, który zastąpił bujany, służący jej kiedyś do karmienia Marigold. Na początku tej zimy nie sądziła, że zalegają ją wspomnienia z przeszłości, że odnajdzie chłopca z innego świata, że naprawdę pojedzie do domu seniora i będzie z nim rozmawiać. Myślała, że w jej wieku nic nie może przedostać się do jej szczelnie zalakowanego życia. Ale oczywiście zawsze mog-ło. Nigdy nie było za późno.

Gdyby ktoś powiedział jej kilka miesięcy temu, że znów będzie siedziała obok Bahmana Aslana, słuchała jego głosu (ten sam głos!), rozmawiała o sprawach, które już dawno zostały zamknięte, nigdy by nie uwierzyła. Nie rozumiała wtedy, że czas nie jest linearny, lecz kolisty. Nie istnieją przeszłość, terażniejszość, przyszłość. Roya była jednocześnie kobietą, którą była teraz, i siedemnastolatką w sklepie papierniczym, zawsze. Ona i Bahman stanowili jedność, a ona i Walter byli zjednoczeni. Kyle był jej duszą i Marigold nigdy nie umarła.

Przeszłość zawsze tam była, czaiła się po kątach, puszczała do ciebie oko, gdy już myślałaś, że poszłaś do przodu, czepiała się twoich organów wewnętrznych.

*

Później Roya otworzyła niebieską okrągłą puszkę, wyjmowała list po liście i czytała. Zobaczyła,

co pisała do Bahmana te wszystkie lata temu i ujrzała też ten ostatni list, który nie został napisany przez nią, ale w jej imieniu, pismem bardzo podobnym do jej, od niej do Bahmana. Ona by wiedziała, że ktoś dołożył ten dodatkowy list, w którym pisała, że nie chce go więcej widzieć. Przeczytała też wszystkie listy Bahmana, te, które pisał do niej przez lata. Opowiadał jej o swoim życiu, o pracy, dzieciach, dniach. Listy, których nigdy nie wysłał. Jednak zachował je w tej niebieskiej okrągłej puszcze razem z listami z jej młodości.

Dołożyła do puszek ostatni list, który napisał do niej Bahman, po ich spotkaniu w domu seniora.

Lód stopnieje. Na pierwszy dzień wiosny, na perski Nowy Rok, wypiorą zasłony i umyją okna. Wypucują dom od góry do dołu. I będą świętowali odrodzenie i odnowę. Pomyślała o swoich rodzicach w Iranie, którym nie dane było poznać jej syna. Pomyślała o Zari i Jacku, ich dzieciach i wszystkich wnukach w Kalifornii. Myślała o Dżahangirze, który tańczył tango z Bahmanem i zginął na iracko-irańskiej wojnie. Pamiętała dzień zamachu, jak stała na tamtym placu, podczas gdy kraj rozpadał się wokół niej. Myślała o tych wszystkich razach, gdy jej kraj pęczniał z dumy i nadziei, po czym upadał wśród strachu i represji. Może pewnego dnia będzie wolny. Myślała o córce, która dzisiejszego wieczoru powinna była gotować z nią w kuchni, i o mężczyźnie, z którym leżała w łóżku ostatniego dnia jego życia. Niespodziewanie przygniotła ją miłość do niego i do Waltera, i do wszystkich tych, którzy odeszli i którzy zostali.

EPILOG

19 SIERPNI 1953

POWIERNIK TAJEMNIC

Inni, nawet z jego klasy społecznej, chadzają od czasu do czasu na miejski bazar. Warto tam kupować złoto, dywany i bransoletki, zdobiące cienkie nadgarstki eleganckich kobiet takich jak Atie. Szafran jest sprzedawany w karmazynowych stertach. Koronkowa bielizna wisi przypięta do sznurków klamerkami. Kolorowe mozaikowe szkatułki stoją w piramidach dla pospólstwa. Ale Ali unika bazaru tak, jak człowiek mógłby unikać ataku serca. Woń owoców leżących na słońcu, okrzyki handlarzy zachwalających swoje towary, choćby najślabszy zapach melona mógłby go oślepić. Nie ma potrzeby tam kupować. Po co? W domu jest wszystko. Atie prowadzi ich gospodarstwo systematycznie i niezawodnie. Synowie nie przysparzają mu zbyt wielu kłopotów. Córki dorosły i dobrze powychodziły za mąż. O co więcej mógłby prosić? Na litość boską. Z czystej przyzwoitości, Ali.

Otwiera sklep, by pomóc młodym. Stawia sobie za cel oferowanie nie tylko artykułów papierniczych, ale też książek. Tytuły z całego świata, kuszące czcionką grzbiety, słowa wielkich ludzi z przeszłości i teraźniejszości, tomy pełne wiedzy i ryzyka. Ten sklep, to ustronie go ocaliło, zwłaszcza odkąd chrapliwy śmiech ojca odebrał mu przyszłość z tą, której pachnącej melonem skóry nadal pragnie. Dobre maniere i tradycja, „na litość boską, Ali, z czystej przyzwoitości”, doprowadziły go do stabilnego małżeństwa i szczęśliwych rodziców po obu stronach. On i Atie przypieczętowali swoją przyszłość, a dziewczyna, która nosiła na biodrze kubek pełen skór z melona i całowała go na placyku za bazarem, została usunięta. Miała zostać niemal zapomniana.

Dzieci, gdy nadeszły, pojawiały się w krótkich odstępach czasu. W sumie czworo i wszystkie zdrowe, tak się złożyło, Bogu niech będą dzięki. Chowane pod opieką matki i według jego wskazówek. Dwóch synów, odnoszących sukcesy w nauce (ojciec Aliego czuje się spełniony, widząc, że przynajmniej chłopcy idą w jego akademickie ślady, nawet jeśli Ali zniżył się do sprzedaży produktów „jak kupiec, jak *bazaari*”).

Dzisiaj, dwudziestego ósmego *Mordad*, pracuje sam. Premier prosił ludzi, by nie wychodzili na ulice. W sklepie panuje cisza, słychać jedynie zgrzyt drabiny przesuwanej po podłodze magazynku na tyłach sklepu. Przeszywa go wspomnienie Badri na tej drabinie zaledwie kilka tygodni temu. Nóż przebija ją jej gardło. Krople krwi na jej skórze.

Nagle zalewa go pot. To minie – ten atak paniki, skręt wnętrza, oznaczający minuty paraliżującego bólu. Musi minąć.

„Zapomnij o tej dziewczynie, Ali”.

Musi skończyć układanie książek. Niedługo musi wracać do domu. Atie na niego czeka i Ali wie, że czasami, gdy się spóźnia, ona podejrzewa, że widuje się z kimś innym.

Bierze miotłę i zamiata podłogę, a ona znów przy nim jest. Zdumiewające, jak on może bez przerwy ją przy sobie nosić. Gdy ponownie wkroczyła w jego życie, dokładnie tu, w tym sklepie, wpadając do środka ze swoim synem po tych wszystkich latach, on znów się znalazł za śmietnikami na bazarze. Czy tak naprawdę kiedykolwiek opuścił tamto miejsce? Gdzie mieli dla siebie wszystko, podczas gdy reszta świata unosiła dłonie w modlitwie.

Teraz za nią tęskni. Wciąż za nią tęskni. Dlaczego on to wszystko dla niej robi? Dlaczego nie potrafi jej odmówić? Ona na okrągło mu powtarza, że Roya i Bahman nie mogą być razem.

Rozkazuje mu podmienić listy. Każe przysiąc, że to robi, i on robi. Ponieważ jest jej to winny. Ponieważ wychłptał ją na tym placyku za bazarem. Zapłodnił ją, skradł jej honor, położył kres jej

niewinności. Ponieważ był mężczyzną – młodym, tak, ale wciąż mężczyzną – który wykorzystał czternastolatkę. A potem, gdy powinien był się z nią ożenić, odszedł, posłuchał ojca i matki i ożenił się z Atie. Z Atie o białej skórze, cienkiej jak papier. Atie z osobowością przypominającą jogurt. Z Atie, która zasługuje na kogoś lepszego niż mężczyzna marzący o Badri.

Niczego nie pragnie bardziej, niż pomóc tym dzieciakom, które przychodzą tu głodne wiedzy. Chce ocalić je od przewidywalności i stagnacji. Uwolnić z pułapki tradycji. Rozprowadza mowy polityczne i rozprawy naukowe, ponieważ wierzy w demokrację. Wie, że premier Mosadek jest sprawiedliwym i rzetelnym przywódcą. Kiedy przychodzą chłopcy tacy jak Bahman Aslan (och, ten pierwszy dzień, gdy matka go przyprowadziła – ból i rozkosz, gdy znów zobaczył Badri), on chce pomóc im dojrzewać. Może uda mu się nauczyć tych pełnych ideałów chłopców i dziewczęta wykorzystywania rozumu, wyposaży w umiejętności niezbędne do doskonalenia kraju i samych siebie. Może uda mu się ich ocalić.

W te wszystkie dni, gdy Roya Kajhani wpadała do sklepu po szkole, gdy prosiła o rekomendacje książek, czuł się spełniony.

Nic nie sprawia mu większej radości niż podsycanie romansów za pomocą listów w książkach. Listy miłosne, które przekazuje, zapewniają tak wielu młodym parom kanał komunikacyjny, którego inaczej by nie miały. Mała ulga od presji rodziców i duszących obyczajów, w których pułapce wszyscy tkwią. Przekazuje listy między parami, które nie mogą być ze sobą widziane. Między ludźmi, których dzieli klasa, religia, wymogi kultury, ale łączy pożądanie. Dziewczętom, które noszą zbyt nędzne ubranie dla bogatych chłopców. Chłopcom, których przyszłe zarobki są zbyt niskie dla dziewcząt z elity. Muzułmanom zakochanym w Żydach. Komunistom zakochanym w monarchistach.

Uwielbia to robić. Chce, żeby mieli to, co jemu zostało odebrane: wolność miłości.

Bez jego pomocy niemożliwe byłyby zaloty Abbasa i Leili Golami, jednych z największych filantropów w Teheranie. Dżale Tabatabaj i Cyrus Godusi, komunistyczna aktywistka i monarchista, prawdopodobnie się pobiorą. Dobrze mu z nimi poszło. Pomaga mu pamięć o tych, którym pomógł. Myślenie o tym, co dobre.

Bahmanowi i Royi też pomógł się zakochać. Czyż nie popędził do banku, wiedząc, że zostaną sami? Czy nie zniknął bezustannie na zapleczu, żeby mogli rozmawiać w spokoju? Pomaga im od samego początku, daje błogosławioną przestrzeń prywatności. Czas, by byli razem. Z rozkoszą obserwuje, jak syn Badri się zakochuje, tutaj, pod jego dachem. A potem przekazuje ich listy.

Dopóki ona nie każe mu tego skończyć.

Dlaczego jego serce nie może odpuścić? Dlaczego niektórzy ludzie zamieszkują w naszych duszach, utykają w gardłach, odciskają piętno w umysłach?

„Zapomnij o tej dziewczynie, Ali”.

Roya jest teraz na placu. Czeka.

Niech Bóg mu przebaczy. Niech Bóg go uniewinni.

Badri powiedziała mu, że sama narzędziami usunęła ich dziecko, potem jej ciało stało się ruiną dla wszystkich innych. Poza Bahmanem. Dlatego Ali próbuje ocalić Bahmana. Dać mu wszystko, czego chłopiec pragnie: książki, politykę, miłość. Ale Badri nie chce dla syna tego jednego, inaczej jej plan się nie powiedzie. Obmyśla dla Bahmana przyszłość. I nie ma w niej miejsca dla Royi.

Gdy przebiła sobie szyję i omal nie umarła, kiedy potem pojechała na północ, nad morze, by wydobrzeć, nadal nim manipulowała. Kazała mu obiecać.

I tak, na jej rozkaz, przepisał list Bahmana. Zmienił tylko jedno słowo. To wszystko. Tylko nazwę placu. Jednak to było najokrutniejsze słowo, jakie mógł zmienić. Dać im tę nadzieję, kazać im czekać w różnych miejscach zamiast po prostu to zakończyć. Badri chciała to przeciągać. Patrzeć, jak Roya cierpi. Wydzwaniała do niego znad morza, by się upewnić, że zrobił dokładnie tak, jak kazała. Podobał jej się dramatyzm tego wszystkiego. Niebezpieczeństwo i okrucieństwo. I ku jego przerażeniu Badri podyktowała mu jeszcze dwa listy – jeden od Bahmana do Royi i drugi od Royi do Bahmana – i kazała przyrzec, że napisze je i wyśle na kilka dni przed „spotkaniem” dzieciaków na placu. Aby każde dostało list od drugiego niedługo po zaplanowanym spotkaniu, kiedy oboje wciąż czuli urazę, że zostali wystawieni do wiatru.

Jego kaligrafia była bezbłędna, od zawsze. Mógł skopiować wszystko. Czyż od najmłodszych lat nie był uczony w najlepszych szkołach sztuki odręcznego pisania, szkolony na uczonego? Był produktem epoki, w której doskonałe pismo odzwierciedlało status. Niewielu mogło dorównać opanowaniu jego dłoni.

Czy Bóg może mu wybaczyć?

Gdyby Bahman i Roya się pobrali, Badri obarczyłaby winą jego. I co on by wtedy zrobił? Co zrobiłaby ona? Zabiłaby się? On nie mógłby z tym żyć.

Siada na drabinie, wciąż drży. Czy naprawdę wypełnia tylko rozkazy Badri? Czy jakaś część jego, pomimo najlepszych intencji, nie zazdrości tego, co mogłoby się stać udziałem tych dzieci? Życie pełne miłości. Którego on nigdy nie zaznał.

Pamięta, jak Roya patrzyła na tego chłopca w jego sklepie.

Jest zlany potem. I gdy tak siedzi z głową w dłoniach, już wie.

Nie. To jest złe.

W głębi serca wie, co musi zrobić.

Zamyka sklep.

I biegnie.

Biegnie i biegnie, i biegnie. Nie poruszał się tak szybko, odkąd sam był młody, odkąd sam był zakochany. Z każdym przebytych metrem, z każdym krokiem jego serce staje się lżejsze. Badri się myli. Nie mogą tego zrobić tej młodej parze. On nie może zapomnieć o dziewczynie. Dziewczynie, która stoi na placu.

Alejki, ulice i wzbierający tłum rozmazują mu się przed oczami. W końcu dobiega do celu, brak mu tchu. Przeciska się i przepycha przez tłum. To by było na tyle, jeśli chodzi o zaprzestanie demonstracji. Czy ludzie nigdy się niczego nie nauczą? *Roya. Roya. Roya.* Oczywiście wie, gdzie ona stoi. Przepycha się do przodu. I wtedy, w środku tłumu i chaosu, ją dostrzega. Przeciska się do niej między wściekłymi ciałami. Chwyta ją za ramię.

– Roya! – Mógłby rozplakać się z ulgi. Znalazł ją. I teraz jej powie.

Wygląda na zmęczoną, wyczerpaną. Jest blada, ma spierzchnięte usta. On pragnie ją chronić, pomóc jej, wynieść ją z tego tumultu. Musi jej powiedzieć.

– Och, dzięki Bogu! Pan Fakri! Czy widział pan...

– Roya-chanom, proszę, posłuchaj mnie... – Chwyta ją za ramię obiema rękami.

– Muszę znaleźć Bahmana – mówi.

– Roya-chanom, proszę cię, musisz coś wiedzieć...

Ona wrywa się z jego uścisku. I nagle siła eksplozji. On jednocześnie wylatuje w powietrze i upada. Od uderzenia jest w szoku. Nie może oddychać. Wie tylko, że leży na ziemi, jego pierś jest mokra i nie wysycha. Chce znaleźć Royę. Powiedzieć jej, co złego zrobił. Powiedzieć, że przez niego ona czeka w złym miejscu. Że powinna biec do Bahmana. Który jest na placu Baharestan. Że powinni iść do Urzędu Ślubów i Rozwodów. Że powinni schwytać tę chwilę. Że nie powinni rezygnować ze swojej miłości. Że powinni spędzić razem wiele lat. Zestarzeć się ze sobą. Dorosnąć. Stać się starsi. Delikatniejsi i pełniejsi. Razem wychowają dzieci. Będą robili cudowne rzeczy. Zestarzeją się razem. Chce jej powiedzieć, że przeprasza. Chce powiedzieć Badri, że przeprasza. Że pamięta plac za bazarom z muchami i skórami melonów i pamięta, jak budował ten sklep centymetr po centymetrze, książka po książce. Myśli o swoich dzieciach i ich piskach radości, gdy były małe. On się myli i widzi Atie siedzącą wieczorem w fotelu i zajęta szyciem. Chce wypalić w tym świecie, że przeprasza. Dziecko, które Badri usunęła z łona, skończyłoby tego lata trzydzieści sześć lat. On nigdy nie poznał tego dziecka, nigdy nie trzymał go za rękę... I przeprasza. Przeprasza. Twarz Royi tuż przed nim. I teraz jeszcze kilka innych. Mężczyzna naciska jego mokrą pierś, a on nie może oddychać, unosi się. Stoi tam Badri z bazaru, unosi się na palcach przez chwilę, oderwaną od całej reszty. Jej usta są ciepłe i lepkie na jego twarzy. Przypomina wybuch ognia. A teraz skrawek materiału w kolorze melona na jego sercu. Czy to mu się śni? Patrzy w kierunku sklepu papierniczego, który zbudował jako zadośćuczynienie za swoje grzechy, by szerzyć wiedzę, wspierać miłość, i wydaje mu się, że widzi dym, ale jest pewien, że to nie to. Sklep będzie trwał dalej. Ludzie będą do niego przychodzili, nawet gdy on odejdzie. Nie wie jak, ale wie, że

będą. Ktoś nie odpuści. Ktoś się nim zajmie. On znika. Kurczy się. Niebo się ściemnia. Kurtyny zamykają się z obu stron. On odchodzi, ale miłość będzie żyła nadal. Młodzi nadal będą mieli nadzieję. Walka o demokrację nie ustanie. Jego książki, słowa, zapiski, listy, nadzieja nigdy nie będą mieć końca. To miłość, z której nigdy się nie leczymy.

PODZIĘKOWANIA

Przez długi czas byłam z tą opowieścią sama, pisałam przy biurku, tworząc bohaterów od podstaw. Byłam przekonana, że należą tylko do mnie. Jednak gdy szkic był gotowy i odważyłam się go pokazać, hojność innych mnie oszołomiła. Jestem dozgonnie wdzięczna wszystkim, których czas i energia pomogły mi w pokazaniu tej powieści światu.

Wendy Sherman towarzyszyła mi od samego początku, jako niestrudzone wsparcie i znakomita superagentka. Czekala cierpliwie, kiedy potrzebowałam czasu, by bohaterowie ukształtowali się i rozwinęli, i delikatnie zachęcała, gdy potrzebowałam motywacji. Mam ogromne szczęście, że jest w moim życiu, i jestem zachwycona podróżą, którą razem odbyłyśmy.

Jackie Cantor jest spełnieniem pisarskich marzeń o redaktorce, która intuicyjnie „czuje” bohaterów i powieść oraz której mądrość i rady pochodzą prosto z serca. Kiedy Jackie odpowiedziała na mój rękopis, uwierzyłam w magię. Jej wiara w tę książkę i pełne oddanie uczyniły ogromną różnicę, za co jestem jej niezmiernie wdzięczna.

Jestem winna serdeczne podziękowania całemu zespołowi GalleryBooks, gdzie ta książka miała szczęście wylądować. Dziękuję Wendy Sheanin za ekscytującą trasę przed wydaniem, Meagan Harris i Michelle Podberezniak za ich talenty reklamowe i Sarze Quaranta, że asystowała przy każdym kroku. Specjalne dzięki dla redaktorki Joal Hetherington, której skrupulatność ogromnie doceniam, oraz dyrektor artystycznej Lisy Litwack i jej wspaniałego zespołu za projekt okładki książki.

Zamach stanu z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego trzeciego roku został wryty we wspomnieniach tych, którzy go przeżyli, a reperkusje tego wydarzenia wywarły wpływ na świat. Ogromną pomocą w badaniach historycznych była książka Stephena Kinzera *All the Shah's Men* (która rozpoczyna się tym samym cytatem z Harry'ego Trumana). W kwestii poezji autorka Melody Moezzi pomogła mi wybrać wersy Rumiego, tłumaczone przez Nadera Khalili, Colemana Barksa i samą cudowną siebie. Dziękuję też starszym z mojej rodziny, którzy cierpliwie odpowiadali na moje niekończące się pytania na temat tego burzliwego czasu, w tym mojej teściowej Maman Pari, która opowiedziała mi fascynujące anegdoty ze swoich szkolnych czasów.

Podczas ataku bostońskiej zimy, kiedy już myślałam, że moja korekta pozostanie zagadką, której nigdy nie rozwiążę, wkroczyła redaktorka Denis Roy i pochyliła się nad moim szkicem z fachowym okiem i bystrym umysłem. Ogromnie doceniam jej celne uwagi i rady i jestem bardzo wdzięczna za nasze rozmowy. Moja przyjaciółka, pisarka Susan Carlton spędziła ze mną wiele zimowych dni i letnich popołudni w bibliotece, a potem przy burgerach i bajglach. Jej porady i wsparcie stanowiły ogromną pomoc, nie wiem, co bym bez niej zrobiła. Dziękuję też Marii Mutch za lekturę pierwszej wersji i za to, że jest źródłem radości i światła w moim życiu, Ilanowi Mochari za przyjaźń i mądrość przez te wszystkie lata i moim kolegom z czasów NYU MFA, którzy zawsze będą moją ekipą: Courtney Brkic, Carze Davis Conomos, Jeffowi Jacksonowi i Sophie Powell. Bardzo wyjątkowe podziękowania dla świetlistej Lary Wilson, która siedziała naprzeciwko mnie podczas niespodziewanego lunchu i spokojnie zaproponowała zwrot akcji (nie czytając ani jednego słowa z książki). Dziękuję ci, droga Laro, za twoją przyjaźń. Ogromne, wspaniałe podziękowania dla Elinor Lipman i Whitney Scharer za to, że pierwsze przeczytały ukończoną książkę i podzieliły się wrażeniami przed wydaniem egzemplarzy pokazowych. Wasze wsparcie na tym wczesnym etapie było dla mnie bezcenne.

Jeśli istnieje Hogwart dla pisarzy, to jest nim GrubStreet w Bostonie, a ja jestem ogromną szczęściarą, że odnalazłam tę wspólnotę fantastycznych artystów. Dziękuję Eve Bridburg za stworzenie niewątpliwie najlepszej organizacji dla pisarzy w kraju i za przyjaźń, Christopherowi Castellani za nieustające wsparcie, hojność, dobroć i inspirację, Sonyi Larson i całemu personelowi Grub za wszystko, co robią, i Darielowi Suarezowi za ofiarowanie mi możliwości uczenia niewiarygodnych pisarzy. Jestem taka dumna ze wszystkich moich studentów i uwielbiam stanowić część ich podróży.

Tak wiele z mojego rozwoju, jako pisarki, zawdzięczam hojnym nauczycielom, których słowa

i rady wciąż ze sobą noszę: Charlesowi Muscatine, Leonardowi Michaelsowi, Maxine Hong Kingston i Bharati Mukherjee z UC Berkeley; Alexandrowi Chee, który wierzył we mnie, gdy szukałam własnej drogi; i E.L. Doctorow, Chuckowi Watchelowi i Paule Marshall ze studiów magisterskich sztuk pięknych. I dopuściłabym się zaniedbania, gdybym zapomniała o panu Garcii, moim nauczycielu z szóstej klasy Szkoły Podstawowej nr 144 w Forest Hills, Queens, który traktował świeżo przybyłą z Iranu dziewczynkę z szacunkiem i godnością i zachęcał mnie do pisania i snucia opowieści.

Jestem też dłużna podziękowania przyjaciółom, w których mam oparcie: całej ekipie Lavangar – Stephanie, Julii, Rachel, Abby, Lily i Davidowi Lawrence (David jest znakomitym fotografem i jego autorskie zdjęcie towarzyszyło mi na całym świecie!), Victorii Fraser, Marjorie Travis, Pam, Peterowi, Jane, i Claire Lawrence, Alexandrii Snyders Dykeman, Margaret Dykeman, Lindzie K. Wertheimer, Pam Wolfson, Kwi Young Choi i Laurie Buchta. Nigdy nie zapomnę hojności Jaya Buchta, którego bardzo mi brakuje.

Dziękuję czytelnikom mojej pierwszej powieści *Together Tea*: wasze listy i e-maile oraz liczne interakcje bezpośrednie podczas spotkań klubów książki dawały mi siłę do pracy. Specjalne dzięki dla wszystkich utalentowanych pisarzy, z którymi miałam zaszczyt pracować przy „Solstice Literary Magazine” i w Arlington Author Salon. Dziękuję też poecie i profesorowi Persisowi Karimowi, który wspierał w pracy mnie i tak wielu irańsko-amerykańskich pisarzy.

Moja siostra Maryam zachęcała mnie do czytania i pisania, gdy w dzieciństwie kryłyśmy się w piwnicy podczas nalotów bombowych na Teheran, i był to pierwszy raz, gdy pisanie mnie ocaliło. Uwielbiam się z nią śmiać, patrzeć, jak jej piękne dziewczynki rosną, i jestem ogromnie wdzięczna za naszą nierozzerwalną więź. Odwaga i dobry humor mojej matki w obliczu trudności inspirują mnie każdego dnia. Jej miłość mnie wzmacnia i mam nadzieję, że posiadam choć połowę jej siły i witalności. Dziękuję ci, droga Maman, za wszystko. Jesteś wszystkim. Moim dzieciom, Monie i Rodowi: wypełniacie moje życie radością, a wasza mądrość i dobroć są najlepszymi darami na świecie. Uwielbiam spędzać z wami czas. Nie ma nikogo, z czyjego towarzystwa bardziej bym się cieszyła... może poza waszym tatą. Dziękuję ci, Kamran-dżun, za to, że ocierałeś moje łzy po napisaniu pewnych akapitów, za słuchanie, za bycie przy mnie, za wiarę we mnie od samego początku. Kocham cię.

Ale przede wszystkim chcę podziękować mojemu ojcu, który całymi godzinami rozmawiał ze mną o mieście swojej młodości, kawiarniach, kinach, demonstracjach i tańcach. Rysował mapy starego Teheranu, tłumaczył historię i geografię, opowiadał o poetach i politykach, zadziwiając mnie swoją wiedzą i pamięcią. Pisanie tej książki jeszcze bardziej mnie do niego zbliżyło i choćby dlatego było warto. To wszystko stanowiło jedynie wymówkę, by słuchać twojego głosu, Papi. To wszystko z twojego powodu.

Ten przewodnik do wspólnej lektury Zapachu szafranu zawiera wstęp, pytania do dyskusji i pomysły na wzbogacenie spotkania waszego klubu książki. Proponowane pytania mają na celu pomóc waszej grupie w odnalezieniu nowych i interesujących punktów widzenia oraz tematów do dyskusji. Mamy nadzieję, że te pomysły ubogacą waszą rozmowę i pozwolą wam czerpać większą radość z książki.

TEMATY I PYTANIA DO DYSKUSJI

1. Pierwsze dwa rozdziały ukazują nam bardzo odmienne etapy w życiu Royi. Porozmawiajcie o podobieństwach i różnicach między jej życiem jako zamężnej kobiety w Nowej Anglii i nastolatki mieszkającej w Teheranie.

2. Roya zauważa: „Czyż nie wyszła za mężczyznę, który był racjonalny i – mój Boże – niewiarygodnie wyrozumiały? Przecież w końcu nie wyszła za tamtego chłopca, którego poznała wieki temu w małym sklepie papierniczym w Teheranie, lecz związała swoje życie z tym urodzonym w Massachusetts filarem stabilizacji”. Czym Bahman i Walter różnią się od siebie? W czym są podobni? Jak myślicie, czego Roya w każdym z nich szukała? Jak z biegiem opowieści zmieniają się jej oczekiwania wobec związku?

3. Po odkryciu, że zdaniem matki Bahmana on powinien ożenić się z Szahłą, Roya próbuje stłumić złość: „Tak właśnie wyglądała społeczna sieć uprzejmości, etykiety i oczekiwanego od kobiet odpowiedniego zachowania, która często ją dusiła. Jednak nie miała innego wyjścia, niż się dostosować, próbować nawigować w jej ramach. Tyle wiedziała”. Porozmawiajcie o tym, jak istotne było „zachowanie twarzy” dla irańskich kobiet w latach pięćdziesiątych. Czy te oczekiwania różniły się od stawianych kobietom w Ameryce? A dzisiejszym kobietom? Dowiedzcie się więcej o kulturowych wymaganiach wobec kobiet w Iranie i podyskutujcie o tym wspólnie. W jakim stopniu są podobne lub odmienne od oczekiwań stawianych wam albo kobietom w waszym życiu?

4. Roya i Zari mają bardzo odmienne charaktery i sposób patrzenia na życie, dlatego siostry często kłócą się i ścierają. Jednak łączy je prawdziwa nierozzerwalna więź. Czy doświadczyliście jednoczesnej bliskości i konfliktu z rodzeństwem w waszym życiu? Jak myślicie, co jest takiego w relacji rodzeństwa w ogóle – oraz w relacji Royi i Zari – co wywołuje takie sprzeczności?

5. Podczas zalotów w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim roku Roya w nowy, zaskakujący sposób doświadcza namiętności i tęsknoty. Na przykład, gdy patrzy na taniec Dżahangira i Bahmana, ogarnia ją pożądanie. Porównajcie pożądanie młodej Royi z pożądaniem Badri. Czy ich klasa społeczna ma wpływ na ich działania? Jakie byłyby reperkusje, gdyby Roya zachowała się tak, jak w młodości zachowywała się Badri?

6. Snując intrygę *Zapachu szafranu*, Marjan Kamali stosuje zabieg zwiastunów. Porozmawiajcie, w jaki sposób wzbogaca on historię i pcha narrację do przodu. Jak czytałoby się powieść bez niego?

7. W latach pięćdziesiątych kobiety w Teheranie nie posiadały swobód, które – choć ograniczone – posiadały wówczas kobiety w Ameryce. W jaki sposób rodzina Royi rzuca wyzwanie tym oczekiwaniom społecznym? Jak to wpływa na życie Royi jako dorosłej kobiety?

8. W rozdziale czternastym czytelnicy dowiadują się, co wydarzyło się między panem Fakri a matką Bahmana. Jak sądzicie, dlaczego Badri traktowała tak podle Royę?

9. Roya zmagą się z różnicami kulturowymi dotyczącymi flirtu: „Chociaż czasami wydawało się, że tu nie ma żadnych zasad. O wiele łatwiej było w Iranie, gdzie tradycja, *tarof* i to, kim był twój dziadek, często dyktowały, jak się zachować”. Jakie wymagania stawiają przed Royą i jej oczekiwaniami wobec związku flirt i randki w Teheranie i w Ameryce? Porozmawiajcie o tym, czym różni się podejście do randek Royi i Zari. Jak sądzicie, dlaczego Zari czuje się swobodniej w Ameryce niż Roya? Czy waszym zdaniem Royi łatwiej byłoby umawiać się na randki w Ameryce, gdyby nigdy nie poznała Bahmana?

10. W rozdziale osiemnastym Bahman opisuje trudy życia z chorą psychicznie matką w Teheranie. Porozmawiajcie o piętnie choroby psychicznej. W jaki sposób postrzegano chorobę psychiczną na przestrzeni lat i czym różni się leczenie chorych psychicznie w różnych kulturach? Pod jakimi względami sposób, w jaki Bahman i jego ojciec opiekują się matką Bahmana, jest kontrkulturowy?

11. Na początku rozdziału dziesiętnastego Roya i Walter idą na podwójną randkę z Zari i jej chłopakiem Jackiem. Jack obraża Royę sposobem, w jaki mówi o Iranie, jego kuchni i kulturze. Czy

sądzić, że Roya ma prawo czuć się urażona? Czy wy poczulibyście się urażeni? Podyskutujcie o ignorancji kulturowej i uprzedzeniach.

12. Bohaterowie *Zapachu szafranu* doświadczają wielu druzgocących strat, od miłości przez tożsamość po poronienie. W jaki sposób dochodzą do siebie i jak owe straty na zawsze ich zmieniają? Jak wasza grupa odnosi się do tych cierpień? Jakie straty w waszym życiu zmieniły was na zawsze?

JAK WZBOGACIĆ SPOTKANIE WASZEGO KLUBU KSIĄŻKI

1. Przed spotkaniem wszyscy członkowie powinni zapoznać się z wydarzeniami zamachu stanu w Iranie w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim roku. Porozmawiajcie o waszych spostrzeżeniach na temat relacji między Iranem a Stanami Zjednoczonymi przed poznaniem szczegółów zamachu i po nim. Czy nowa wiedza zmieniła wasze zdanie na temat historii amerykańskiej polityki zagranicznej? Dlaczego tak lub dlaczego nie?

2. Marjan Kamali opisuje potrawy przygotowywane przez Royę, Zari i ich matkę z mnogością tak pięknych szczegółów, że niemal można poczuć ich smak. Zorganizujcie kolację, podczas której będziecie razem gotować dania podobne do tych z *Zapachu szafranu*. Porozmawiajcie o wrażeniach zmysłowych jedzenia, które szykujecie. Czy potrawy spełniły wasze oczekiwania?

3. *Zapach szafranu* łączy wiele podobieństw z *Pamiętnikiem* Nicholasa Sparksa. W obu powieściach rodzice jednej strony nie akceptują związku głównych bohaterów i starają się mu zapobiec. Porozmawiajcie o miłości w kontekście klasy socjoekonomicznej i o znaczeniu rodziny w wyborze życiowego partnera.